



# BAGNO

*(Bones)*

*Przełożył Bieliński Przemysław*

Dla Lili

*Specjalne podziękowania dla*

*Larry 'ego Malmberga i Billa Hodgmana*

Że wszyscy to robią, to nie jest żadne usprawiedliwienie!

Nieprawda.

Wszyscy to robili, więc to normalne, tak? A Chance zbadał sprawę i wiedział, że nie zrobił nic złego.

Wpisał w Google „ściągnięcie w liceum”, bo wypracowanie na ten temat było częścią kary.

Dowiedział się, że czterech na pięciu uczniów – kurde, osiemdziesiąt procent! – ściąga.

Większość rządzi. Tworzy... zaraz, zaraz... normy społeczne. Według nauki o społeczeństwie.

„Normy społeczne to spoiwo łączące społeczeństwa”.

Proszę bardzo, przysłużył się społeczeństwu!

Kiedy jednak próbował na ten temat żartować przy rodzicach, nie śmiali się.

Tak samo jak wtedy, kiedy im powiedział, że tu chodzi o jego prawa obywatelskie, że szkoła nie może go zmusić do prac społecznych poza swoim terenem. To wbrew konstytucji. Pora dzwonić do ACLU.

Tata zmrużył oczy. Chance odwrócił się do mamy, ale ona unikała jego wzroku.

– ACLU? – Głośne mokre odchrząknięcie taty, jak po zbyt wielu cygarach. – Bo wpłacamy im duże kwoty? – Zaczął dyszeć. – Każdego zaszranego roku. To chcesz powiedzieć?

Chance milczał.

– Cudownie, po prostu precudownie. O to ci chodzi? No to ja ci coś powiem: ściągałeś. Kropka. ACLU ma coś takiego w dupie.

– Nie wyrażaj się, Steve... – wtrąciła mama.

– Nie zaczynaj, Susan. Mamy tu cholernie poważny problem i chyba do mnie jednego to, cholera, dociera.

Mama po swojemu zacisnęła usta, poskubała paznokcie. Odwróciła się plecami do nich obu i zaczęła przestawiać naczynia na kuchennym blacie.

– To jego problem, Susan, nie nasz, i jeśli nie naprawi błędu, może się, do jasnej cholery, pożegnać z Occidental czy jakimkolwiek w miarę porządnym college'em.

– Naprawię wszystko, tato. – Chance zrobił minę Pana Szczerego, jak to nazywała Sarabeth.

Śmiała się, rozpinając stanik. „Wszyscy kupują Pana Szczerego oprócz mnie, Chancy. Ja wiem, że to Pan Ścierna”. Tata wytrzeszczył na niego oczy.

– Hej – powiedział Chance. – Przynajmniej pochwal mnie za koordynację ręka–oko.

Tata wyrzucił z siebie potok bluzgów i wybiegł z kuchni.

– Przejdzie mu – mruknęła mama, ale też wyszła.

Chance zaczekał, żeby mieć pewność, że żadne z nich nie wróci, a potem się uśmiechnął.

Był zadowolony z siebie, bo koordynację ręka–oko rzeczywiście miał niezłą.

Ustawił swoją komórkę na wibracje i ułożył w bocznej kieszeni luźnych bojówek na śmieciach, które też tam wepchnął, żeby zrobić z nich idealną podstawkę.

Sarabeth trzy rzędy przed nim esemesowała mu odpowiedzi. Chance był wyluzowany, wiedział, że nikt go nie przyłapie, bo Shapiro, krótkowzroczny palant, siedział za biurkiem i nic nie widział.

Kto mógł przewidzieć, że Barclay przyjdzie powiedzieć coś Shapi-

rowi, spojrzy w głąb sali i zauważy, jak Chance zerka do kieszeni?

Cała klasa robiła dokładnie to samo, każdemu wibrowała kieszeń.

Wszyscy mieli niezły ubaw, kiedy tylko test się zaczął, bo Shapiro był

beznadziejnym pierdołą, dupek nie zauważyłby nawet Paris Hilton, gdyby weszła i rozłożyła przed nim nogi.

„Że wszyscy to robią, to nie jest żadne usprawiedliwienie!” Rumley patrzył na niego wzdłuż swojego wielkiego nosa i głądził

ponuro jak na pogrzebie. Chance już miał ochotę mu odpowiedzieć: „No to powinno być, gościu”.

Siedział w gabinecie Rumleya, wciśnięty między rodziców, z głową pokornie spuszczoną. Starał się wyglądać na skruszonego, choć myślał o dupci Sarabeth w stringach, gdy Rumley bredził bez końca o honorze, etyce i historii szkoły Windward, i o tym, że grono pedagogiczne mogłoby powiadomić o wszystkim komisję rekrutacyjną Occidental i pozbawić nieuczciwego ucznia szansy na college.

Mama zalała się łzami.

Tata siedział bez słowa wściekły na cały świat. Nie podał jej nawet chusteczki z pudełka na biurku, tak że dyrektor musiał to zrobić sam; wstał, wręczył mamie chustkę i spojrział na tatę wkurzony, że musiał się ruszyć.

Znów usiadł i jeszcze trochę pokłapał dziobem.

Chance udawał, że słucha, mama pociągała nosem, tata wyglądał, jakby miał zaraz kogoś zdzielić. Kiedy Rumley wreszcie skończył, tata zaczął

mówić o „datkach na Windward”, napomknął o osiągnięciach Chance’a w drużynie koszykówki, przypomniał swoje własne, futbolowe.

W końcu doszli do porozumienia i zaczęli się z satysfakcją uśmiechać pod nosem. Chance czuł się jak kukła, ale pilnował, żeby wyglądać poważnie; w takiej sytuacji uśmiech to baaardzo złe posunięcie.

Kara numer 1: Będzie musiał napisać inny test, przygotowany przez Shapira.

Kara numer 2: Koniec z komórką w szkole.

– Może ten niefortunny wypadek przyniesie pozytywne skutki, młody człowieku – powiedział Rumley. – Zastanawialiśmy się nad wprowadzeniem zakazu w całej szkole.

No i proszę, pomyślał Chance. Wyświadczyłem wam przysługę, nie tylko nie powinniście mnie karać, ale wręcz mi zapłacić, jak za doradztwo.

Na razie nie jest źle, przez chwilę Chance już myślał, że udało mu się wykipić tanim kosztem. A wtedy...

Kara numer 3: Wypracowanie. Chance nienawidził pisać, zazwyczaj to Sarabeth odwalala za niego tę robotę, ale teraz nie mogła, bo miał pisać w szkole, w gabinecie Rumleya.

Ale wciąż to nic wielkiego.

Nadeszła kara numer 4:

– Bo sprawiedliwości musi się stać zadość, panie Brandt.

Mama i tata się zgodzili. Cała trójka osądziła go w stylu Al-Kaidy.

Chance udawał, że się zgadza.

„Tak jest, proszę pana, muszę spłacić dług i zrobię to pilnie i z wielką ochotą”.

Dorzucił kilka mądrych słów. Tata popatrzył na niego z wypisanym na twarzy tekstem: „Kogo próbujesz nabrać, koleś?”, ale mama i Rumley wyglądali, jakby naprawdę im zaimponował.

Rumley zaczął gadać.

Prace społeczne. O cholera.

I tak tu trafił.

Siedział w biurze Ocalmy Moczary w jedenasty wieczór ze swojego trzydziestodniowego wyroku. Gówniany pokój ze ścianami w kolorze rzygowin, obwieszony zdjęciami kaczek, robaków i innych takich. Jedno brudne okno wychodzące na parking, gdzie nie parkował nikt oprócz niego i Duboffa. W kącie leżały stopy naklejek na zderzaki, które Chance miał

dawać każdemu, kto by wszedł.

Nikt nie wchodził, a Duboff zostawił go samego i poszedł badać, jak globalne ocieplenie zagotowało kaczkom w dupach, od czego ptaki rzygają, czy robaki mają duże fiuty, czy coś tam.

Trzydzieści takich wieczorów, bomba atomowa na całe wakacje.

Od siedemnastej do dwudziestej drugiej, zamiast iść gdzieś po szkole z Sarabeth i kumplami, wszystko przez „normę społeczną”, którą robiły cztery osoby na pięć.

Kiedy dzwonił telefon, Chance zazwyczaj nie odbierał. A jak już podniósł słuchawkę, zawsze jakiś palant chciał się dowiedzieć, jak trafić na bagno.

Wejdz, kurde, na stronę internetową albo zajrzyj do planu miasta, debil! – odpowiadał w duchu.

Nie wolno było mu nigdzie dzwonić, ale od wczoraj zaczął się umawiać z Sarabeth na seks przez komórkę. Kochała go jeszcze bardziej za to, że nie wydał jej przed Rumleyem.

Siedział. Pił napój z puszki, teraz ciepły. Poczul w kieszeni spodni woreczek z trawką. Później, pomyślał

Jeszcze dziewiętnaście wieczorów totalnego więzienia. Chance zaczynał się czuć jak ci kolesie z Bractwa Aryjskiego.

Jeszcze, kurde, dwa i pół tygodnia i odzyska wolność. Spojrzał na swojego tag heuera. Dziewięta dwadzieścia cztery. Trzydzieści sześć minut i można spadać.

Zadzwonił telefon.

Zero reakcji.

Dzwonił dalej, dziesięć razy.

W końcu umarł śmiercią naturalną.

Minutę później znów zadzwonił. Może jednak odebrać? – pomyślał

Chance. A jeśli to Rumley mnie sprawdza?

Odchrząknął, przygotował Pana Szczerego i podniósł słuchawkę.

– Ocalmy Moczary.

Cisza po drugiej stronie sprawiła, że się uśmiechnął.

Któryś z kumpli się zgrywa, pewnie Ethan. Albo Ben, albo Jared.

– Stary, co jest? – zagadnął.

– Co jest? – odparł syczący głos. Dziwny śmiech. – Czegoś nie ma.

Leży zakopane na waszym bagnie.

– Jasne, koleś...

– Zamknij się i słuchaj.

Chance poczuł gorąco na twarzy, zupełnie jak kiedy szykował się, żeby po cichu rąbnąć jakiegoś palanta z przeciwnej drużyny, a potem zrobić minę urażonego niewiniątka, kiedy tamten zacznie się skarżyć, że dostał

po jajach.

– Pieprz się, koleś.

– Po wschodniej stronie moczarów – wysyczał głos. – Poszukaj, to znajdziesz.

– Mam to w...

– Trup. Bardzo, bardzo martwy. – Śmiech. – Koleś. Rozłączył się, zanim Chance zdążył dodać, żeby koleś wsadził sobie swojego trupa w...

– Hej, stary, jak tam leci? – spytał ktoś od drzwi.

Chance wciąż czuł gorąco, odkładając słuchawkę, ale włączył Pana Szczerego i się odwrócił.

W progu stał Duboff w koszulce z napisem „Ocalmy Moczary”, frajerskich krótkich spodenkach odsłaniających chude, białe uda i w plastikowych sandałach. Na dodatek miał głupią siwą brodę.

– Witam, panie Duboff.

– Sie masz, stary. – Duboff zasalutował zaciśniętą pięścią. – Zajrzałeś już do czapli?

– Jeszcze nie, proszę pana.

– To niesamowite ptaki. Wspaniałe. Mają taką rozpiętość skrzydeł. –

Rozłożył chude ramiona, ile mógł.

Najwyraźniej pomyliłeś mnie z kimś, kogo to obchodzi, skomentował

w duchu Chance.

Duboff podszedł bliżej. Straszliwie cuchnął tym swoim ekologicznym dezodorantem, na który usiłował namówić Chance'a.

– Jak pterodaktyle. Mistrzowie łowienia ryb. – Duboff przysunął się do biurka, wyszczerzył obłe zęby. – Nadziani goście w Beverly Hills nie lubią, kiedy czaple przylatują w sezonie godowym i wyjadają im koi. Koi to wynaturzenia. Mutanty, ludzie namieszali w DNA karpowi, żeby uzyskać jaskrawe kolory. Czaple to czysta natura, genialne drapieżniki.

Karmią młode i przywracają przyrodzie równowagę. Pieprzyć palantów z Beverly Hills, co?

Chance się uśmiechnął.

Chyba nie dość szeroko, bo Duboff nagle zrobił zaniepokojoną minę.

– Nie mieszkasz tam, dobrze pamiętam?

– Tak, proszę pana.

– Mieszkasz w...

– Brentwood.

– Brentwood – powtórzył Duboff, jakby usiłował odgadnąć, co to znaczy. – Twoi rodzice nie hodują koi, prawda?

– Nie. Nie mamy nawet psa.

– To bardzo dobrze. – Duboff poklepał chłopaka po ramieniu. – Zwierzę nie powinno być niewolnikiem człowieka.

Nie zdejmował mu ręki z ramienia. Facet był pedałem?

– Aha – mruknął Chance i odsunął się trochę.

Duboff podrapał się w kolano, zmarszczył lekko brwi i potarł różowy bąbel.

– Zajrzałem na bagno, czy nie ma śmieci. Pewnie mnie coś ugryzło.

– Karmi pan mniejszych braci – powiedział Chance. – To dobrze.

Duboff wytrzeszczył oczy, niepewny, czy chłopak nie robi sobie jaj.

Chance odpalił minę Pana Szczerego i Duboff uznał, że gówniarz nie żartował. Uśmiechnął się.

– Chyba racja... w każdym razie pomyślałem, że do ciebie zajrzę.



Sprawdę, jak sobie radzisz.

– Wszystko w porządku, proszę pana.

– Dobra, to zobaczymy się później.

– Ee, proszę pana... niedługo już kończę. Duboff się uśmiechnął.

– Jasne. O dziesiątej możesz zamykać. Wpadnę tu później. – Podszedł

do drzwi, przystanął, obejrzał się. – To szlachetna rzecz, co tu robisz, Chance. Niezależnie od okoliczności.

– Ma się rozumieć, proszę pana.

– Mów mi Sil.

– Oczywiście, Sil.

– Powinienem o czymś wiedzieć? – spytał Duboff.

– Na przykład o czym?

– Jakież telefony, wiadomości?

Chance wyszczerzył się, błyskając idealnie białymi zębami – efekt pięciu lat starań doktora Wassermana.

– Nic, Sil – odparł z całkowitą pewnością.

Bob Hernandez potrzebował pieniędzy.

Tylko forsa mogła go tu ściągnąć tak wcześnie.

O piątej rano magazyn Pacific Public Storage wyglądał jak spowita mgłą rudera – jedno z tych ponurych miejsc, gdzie kręcą sceny strzelanin handlarzy narkotyków i ataków seryjnych morderców. Był czynny całą dobę, ale większość żarówek w korytarzach między schowkami nie świeciła i prowadzący aukcję musiał używać latarki.

O tej godzinie nikt nie był całkiem rozbudzony oprócz Azjaty. Kiepska frekwencja w porównaniu z innymi aukcjami, w których Bob brał udział.

Tylko on, cztery inne osoby i sprzedający, siwy facet o imieniu Pete w tanim brązowym garniturze i wymiętym krawacie. Gość przypominał

Bobowi kiepskich prawników kręcących się po gmachu sądu w śródmieściu, czekających na przydział sprawy.

Zupełnie inaczej niż w serialach.

Bob bardzo by chciał poznać ładną dziewczynę, taką jak w filmach, która broniłaby go naprawdę z pasją. Inne rzeczy też robiłaby z wielkim zaangażowaniem. Ratuje mu tyłek, a potem oboje...

Zamiast tego dostał Masona Sota, obrońcę z urzędu. Facet studiował w Berkeley, podczas rozmowy wspominał o tym trzy razy. Usiłował

zakumplować się z Bobem, jakby byli kolegami z podwórka, opowiadał o imigracji.

Mason Soto wychował się w San Francisco i uważał, że kraj powinien otworzyć granice dla wszystkich. Bob dorastał w West Covina jako syn Meksykanina–Amerykanina w trzecim pokoleniu, byłego strażaka oraz Szwedki–Amerykanki w czwartym pokoleniu, dyżurnej telefonistki na policji. Obaj jego bracia pracowali w policji i cała rodzina, z Bobem włącznie, uważała, że ludzie powinni grać według zasad, a jeśli nie, to kopa w tyłek i do widzenia.

Bob uprzejmie przytakiwał. Miał nadzieję, że Soto się postara i wybroni go z mandatów i niestawienia się w sądzie.

Soto na rozprawie ziewał, a Bob dostał ogromną grzywnę i dziesięć dni odsiadki w więzieniu stanowym, skróconej do pięciu, potem do jednej nocy z powodu tłoku. Ale jedna noc w tym piekle wystarczyła.

Grzywna była bardziej długotrwałym problemem. Musiał zdobyć trzy i pół tysiąca dolarów w sześćdziesiąt dni, a żadna robota przy ogrodach nie wypaliła, do tego już zalegał z czynszem. Nie wspominając o alimentach.

Gdyby Kathy postanowiła mu nabruździć, byłby załatwiony.

Bardzo tęsknił za dziećmi mieszkającymi w Houston ze starymi Kathy.

Prawdę mówiąc, za Kathy też.

Wszystko przez niego. Pieprzył się z kobietami, na których mu nie zależało, i wciąż nie rozumiał, dlaczego to robi.

Pożyczył pięćset dolarów od matki, powiedział, że pójdą na grzywnę.

Ale miasto nie przyjmowało rat, a on potrzebował roboty, żeby zapłacić zaległy czynsz, no i karę.

Wczoraj zadzwonili z Saugus z firmy przesadzającej drzewa. Kazali mu przyjechać i wypełnić formularze. Może coś z tego będzie.

Na razie robił, co mógł.

Wstał o czwartej rano, żeby nie utknąć w korku w drodze z Alhambry do Playa Del Rey i zdążyć na otwarcie magazynu.

Kilka miesięcy temu wyczytał w Internecie o aukcjach porzuconych rzeczy. Zapomniał o tym, dopóki nie dowalili mu grzywny. Nie był aż tak głupi, żeby myśleć, że trafi na jeden ze skarbów, o których pisały gazety –

kartę bejsbolową z Honusem Wagnerem albo rzadki obraz. Swoje nadzieje wiązał z eBayem.

Bo na eBayu ludzie kupowali wszystko. Można tam było opchnąć nawet próbkę stolca.

Jak dotąd brał udział w czterech licytacjach, zapuścił się aż do Goleta –

co okazało się całkowitym niewypałem. Ale trafił złoto – a właściwie srebro – tuż pod domem.

Magazyn w Pasadenie, schowek dwa na dwa metry zastawiony schludnie pozaklejanymi pudełkami. Większość zawierała pleśniejące ubrania – wyrzucił je do kontenera dla biednych. Ale znalazł też dzinsy z dziurami i kłęb koszulek z rockowych koncertów z lat osiemdziesiątych, które sprzedały się całkiem nieźle.

Do tego torebka. Mała, niebieska, aksamitna Crown Royal ściągana sznurkiem, pełna monet, w tym kilka pięciocentówek z bizonem i srebrnych dolarów. Bob zabrał to wszystko do sklepu numizmatycznego w Santa Monica i wyszedł bogatszy o dwieście dwadzieścia dolarów.

Fantastyczny zysk, biorąc pod uwagę, że za cały schowek zapłacił

sześćdziesiąt pięć.

Rozwahał, czy nie oddać długu matce, ale postanowił zaczekać, aż wyjdzie na prostą.

Napadło go ziewanie, oczy mu zasły mgłą. Pete licytator cicho zakaszał.

– Dobrze, następny schowek: czternaście pięćdziesiąt pięć – powiedział

i wszyscy powlekli się ciemnym, przypominającym tunel korytarzem do następnych drzwi zamkniętych na kłódkę w rzędzie ciągnącym się wzdłuż ściany z pustaków.

Kiepskie drzwi, kiepskie zamki, Bob wywaliłby je kopniakiem.

Magazyn liczył sobie dwieście miesięcznie za schowek, to się nazywa przekręt.

– Czternaście pięćdziesiąt pięć – powtórzył bez potrzeby Pete. Potarł

czerwony nos i zaczął gmerać przy kluczach.

Pozostali licytujący bardzo się starali mieć obojętne miny. Dwie pulchne starsze panie z warkoczami wyglądały jak siostry, może nawet bliźniaczki. Za czterdzieści osiem dolarów trafiły zabytkowy kufer. Za Bobem stał wysoki, chudy heavymetalowiec w koszulce AC/DC, spodniach ze skaju i motocyklowych butach; żyłaste ręce miał niemal całe niebieskie od tatuaży. Wygrał ostatnie dwa schowki: jeden pełny brudnych, pogniecionych książek w miękkich okładkach za sto pięćdziesiąt i coś, co wyglądało na zardzewiały złom, za trzydzieści.

Ostatnim uczestnikiem był Azjata, po trzydziestce, atletycznie zbudowany, w nieskazitelnie czystej niebieskiej koszulce polo, wyprasowanych czarnych spodniach i czarnych mokasynach, bez skarpet.

Jak dotąd nie licytował ani razu.

Świeżo ogolony, natarty wodą po goleniu, wyglądał sztywnie w ciuchach, których na pewno nie kupił w sklepie z używaną odzieżą.

Podjechał bmw kabrioletem. Bob zastanawiał się, czy to nie handlarz dzieł

sztuki, taki z nosem.

Warto mieć na niego oko.

Pete znalazł klucz do schowka, otworzył kłódkę, drzwi.

– Proszę się odsunąć, własność prywatna – zakomunikował. Mówił

dokładnie to samo za każdym razem.

Przez jakieś dziwne prawo stanowe porzucone dobra należały do właściciela, dopóki nie zostały sprzedane. Czyli nie można było dotknąć towaru, zanim się go nie kupiło. A wtedy, puf, prawa właściciela zniknęły jak chmurka nieprzyjemnego zapachu.

Bob nigdy nie rozumiał systemu prawnego. Kiedy mówili do niego prawnicy, równie dobrze mogliby

gadać po marsjańsku.

Pete przesunął światłem latarki po zawartości schowka. Bob słyszał, że ludzie podciągali na lewo elektryczność i spali w magazynach, ale w to nie wierzył. Od czegoś takiego można dostać świra.

– Dobra. Zaczynamy licytację – oznajmił Pete.

– Czy mógłby pan poświecić jeszcze raz? – spytał Azjata.

Pete zmarszczył brew, ale posłuchał. Schowek był prawie pusty – tylko pół ramy od roweru i dwa czarne worki na śmieci. Pete odkasznął.

– Zobaczyl pan, co chcial?

Azjata pokiwal glowa, odwrócił się plecami. Udawal? Zamierzał

włączyć się do licytacji w ostatniej chwili? A może naprawdę zawartość go nie zainteresowała.

Bob nie widział sensu licytowania. Dotychczas w workach na śmieci najczęściej były śmieci. Ale potrzebował czegoś, żeby wystawić na eBayu, więc gdyby nikt nie zalicytował i graty poszły odpowiednio tanio...

– Zaczynamy licytację – powtórzył Pete. – Pięćdziesiąt, czy słyszałem pięćdziesiąt, pięćdziesiąt dolarów, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt dolarów.

Cisza.

– Czterdzieści, czterdzieści dolarów, okazja za czterdzieści dolarów, metal z ramy jest wart czterdzieści dolarów. – Pete nawijał, ale bez entuzjazmu. Jak dotąd jego prowizja była niewarta wzmianki. –

Czterdzieści? Nikt nie da czterdzieści? Czy słyszę trzydzieści pięć?

– Dwadzieścia – powiedział Azjata, nie odwracając się.

Bob wyczuł coś w jego głosie. Nie spryt, raczej... wyrachowanie.

Doszedł do wniosku, że metalowe części roweru mogą być coś warte; pedały też, jeśli ktoś akurat ich potrzebował.

– Dwadzieścia pięć – włączył się do licytacji. Cisza.

– Dwadzieścia pięć – powtórzył Pete. – Czy słyszę trzydzieści?

Czekamy na trzydzieści, trzydzieści dolarów...

– Jasne – mruknął Azjata. Wzruszył ramionami, jakby zupełnie go to nie obchodziło.

Bob pozwolił Pete'owi ponawiając jeszcze trochę, potem podbił stawkę do trzydziestu pięciu. Azjata spojrzał przez ramię.

– Czterdzieści.

– Czterdzieści pięć. – Bob nie ustępował.

Starsze panie zaczęły wyglądać na zainteresowane. Oho.

Ale nic nie mówiły.

Heavymetalowiec przysunął się do otwartego schowka.

– Pięćdziesiąt – szepnął.

– Sześćdziesiąt – powiedział Azjata.

Atmosfera w korytarzu zrobiła się napięta, jakby na wszystkich nagle zaczęła działać mocna kawa.

Azjata wyjął blackberry, popatrzył na wyświetlacz, wyłączył

urządzenie.

Może to superrzadki rower i nawet niekompletny jest wart poważną forszę. Bob już niejedno słyszał o starych schwinnach – takich jak ten, którego porzucił, kiedy skończył szesnaście lat i zrobił prawo jazdy.

Sprzedawały się za obłędne pieniądze...

– Sześćdziesiąt pięć – rzucił heavymetalowiec. Azjata się zawahał.

– Siedemdziesiąt – powiedział Bob.

– Siedemdziesiąt pięć – przebił Azjata.

– Osiemdziesiąt – prawie krzyknął Bob dziwnym głosem. Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy.

Azjata wzruszył ramionami.

Pete popatrzył na heavymetalowca, który już się odsunął i masował

sobie tatuaż.

– Osiemdziesiąt dolarów za ten skarbiec. Słyszę osiemdziesiąt pięć?

Osiemdziesiąt pięć... to wciąż okazja.– Mówił to, co musiał, ale nikogo nie namawiał. – Po raz pierwszy, po raz drugi... poszło za osiemdziesiąt. –

Stuknął małym, plastikowym młotkiem w swój clip-board. Zapisał coś na kartce. – Jest pan szczęśliwym zwycięzcą – oznajmił Bobowi. –

Osiemdziesiąt dolarów, gotówka do ręki. – Wyciągnął poplamioną dłoń.

Wszyscy się uśmiechali. Jakby to był dowcip, a Bob jego ofiarą. W

żołądku poczuł coś zimnego i lepkiego.

– Gotówka, proszę pana – ponaglił Pete. Bob sięgnął do kieszeni.

Później, na parkingu, kiedy ładował worki i pól roweru na pikapa, zobaczył Azjatę wsiadającego do beemki.

– Często pan to robi?

– Ja? – Gość uśmiechnął się uprzejmie. – Właściwie to... pierwszy raz.

Jestem anestezjologiem, muszę być na szóstą w Marina Mercy.

Pomyślałem, że aukcja trochę mnie obudzi. I obudziła.

– Dlaczego licytował pan czternaście pięćdziesiąt pięć? Facet wydawał się zaskoczony.

– Chciałem zapytać pana o to samo.

W domu był o siódmej, muchy brzęczały wokół juk przed blokiem, okrutne słońce przesączało się przez zakurzone szyby. Bob rzucił worki na podłogę w małym zapuszczonym saloniku.

Zamierzał najpierw się przespać, potem walnąć pierwszą krwawą mary tego dnia, przejrzeć zdobycz, w końcu zadzwonić do tych od drzew w Saugus.

Padł ciężko na łóżko, wciąż w zakurzonym ubraniu z aukcji. Zamknął oczy.

Myślał o Kathy. O grzywnie. O tym, co bracia mówili za jego plecami.

Wstał, przyniósł nóż kuchenny i rozciął pierwszy worek.

W środku były pudełka z grami – Monopol, Scrabble, Life. Ale pogniecione i niekompletne, same plansze.

Świetnie.

Drugi worek – cięższy – skrywał zmięte gazety. I tyle. Po co ktoś trzymał w płatnym magazynie takie

badziewie?

Czując, że zbliża się poważny ból brzucha, Bob usiadł na podłodze i przegrzebał stosy „LA Timesa”. Nic archiwalnego, żadnych historycznych nagłówków, tylko druk i te głupie wkładki reklamowe, które ciągle się wysypywały.

Rany, trzeba było zostać w łóżku.

– Dureń – powiedział na głos i przyjrzał się połówce roweru.

Tani złom., Nalepka „made in China” na ramie, którą Bob mógł zgiąć gołymi rękami.

Z obrzydzeniem przyrządził sobie drinka, usiadł na podłodze i się napił.

Na myśl o zmarnowanych osiemdziesięciu dolarach czuł się śmiertelnie zmęczony. Ale rozrzucone worki przypominały mu, jakim jest idiotą.

Pora wytargać to całe dziadostwo za dom, do kontenera.

Dopił mary, wstał z wysiłkiem, wrzucił papiery do worka z grami, dźwignął.

Coś zagrzecotało. Na dnie.

Pewnie mu się przywidziało. Mocno potrząsnął workiem.

Grzechot, grzechot, grzechot – jak marakasy, które sprzedawali na Olvera Street. Kathy kupiła mu takie, kiedy się spotykali. Co sobie wyobrażała? Że jak jest pół-Meksykaninem, to mu się spodobają?

Wsadził rękę w papiery, dogrzebał się do dna i znalazł...

Drewniane pudełko, ciemne, lśniące. Długie jak po butach, ale szersze, z mosiężnymi inkrustacjami w zawijasy, ładnie polakierowane, z małą mosiężną zapadką.

Oto nadchodzę, eBayu! Samo pudełko... nazwie je egzotycznym, importowanym, wszystko jedno, może wymyśli historyjkę, skąd pochodziło... Malezja? Nie, coś bardziej tajemniczego, gdzie jest Mount Everest... Tybet... Nepal.

„Egzotyczne pudełko – egzotyczna szkatułka na klejnoty – z nepalskich gór, z litego, sezonowanego mahoni”... wyglądała jak z mahoni, można było tym zagrać – „litego, sezonowanego rzadkiego azjatyckiego mahoni”. Może dałby opcję „Kup teraz” za sto, sto trzydzieści dolarów.

Zobaczmy, co jest w środku. Nawet jeśli to suche fasolki, co z tego?

Dzięki samemu pudełku nie był już idiotą.

Otworzył mosiężną zapadkę, podniósł wieczko. W środku była wkładka ze złotego aksamitu.



Pusta; odgłos dochodził spod spodu.

Bob wyjął wkładkę, odsłonił dolną przegródkę. I oto... małe, białe, guzkowate cosie.

Wyjął jeden z nich. Gładki, z czubkiem, i nagle Bob zrozumiał, co to jest.

Chociaż nigdy nie był mocny z biologii, nawet zawalił ją raz w liceum, potem z trudem dostał tróję.

Kość.

Jak z ręki albo stopy. Albo z łapy.

Mnóstwo małych kostek, zapełniało prawie całą przegródkę.

Musiało ich być... z pięćdziesiąt.

Bob policzył.

Czterdzieści dwie.

Przyjrzał się własnej dłoni. Trzy kości w każdym z czterech palców, dwie w kciuku, to... czternaście na dłoń.

Czyli trzy dłonie. Albo trzy łapy. Nie było powodu myśleć, że to nie są zwierzęce kości. Potem coś mu przyszło do głowy – może pochodzą z takiego szkieletu, jakich używają w szkołach medycznych, kiedy ludzie zapisują swoje ciała nauce.

Są cięci na kawałki, badani, a potem rekonstruowani w szkielety trzymające się w kupie na drucikach.

Nie, żadna z tych kostek nie miała dziurek na druciki.

Dziwne.

Bob wyjął jedną z najmniejszych, przyłożył do własnego palca wskazującego.

Nie taka duża jak jego.

Może mały pies.

Albo kobieta.

Albo dziecko...

Nie, nie... to musiał być pies. Lub kot. Ile kości jest w łapie psa albo kota?

Za duże na kota.

Średniej wielkości pies, jak Alf. Tak, pasowałaby.

Brakowało mu Alfa. Teraz psisko mieszkało z Kathy w Dallas.

Myślał o tym wszystkim, zamykając zapadkę.

Pudełko zagrzechotało.

Kości.

Zrobi małe rozeznanie w Internecie. Może sprzeda całość jako antyk –

jakieś indiańskie wykopalisko. Z... Utah. Albo z Kolorado; tak, to brzmiało bardziej... egzotycznie.

„Zabytkowa kolekcja egzotycznych kości”.

Takie rzeczy świetnie idą na eBayu.

Milo dzięki nowemu szefowi policji miał fikuśne stanowisko: śledczy do spraw specjalnych w stopniu porucznika.

Czy, jak sam to ujmował, wielka tłusta dupa siedząca na stołku.

Ale dzięki temu uniknął papierkowej roboty, wiążącej się z jego stopniem, zatrzymał swoje biuro wielkości schowka na miotły w komisariacie West LA, pracował dalej nad swoimi zabójstwami, dopóki Śródmieście nie zadzwoniło i nie wysłało go gdzie indziej.

Przez ostatnich czternaście miesięcy dzwoniono dwa razy, oba telefony dotyczyły strzelanin w porachunkach gangów w Rampart. Nic wielkiego, ale nowy szef, wciąż działający w LA trochę po omacku, słyszał plotki o korupcji w Rampart i chciał mieć zabezpieczenie.

Plotki okazały się nieprawdziwe i Milo skupił się na neutrudnianiu innym życia. Kiedy sprawy zostały zamknięte, szef uparł się, żeby na raportach widniało nazwisko jego protegowanego.

– Chociaż przydałem im się jak ślepy strzelający do rzutek. Bardzo mnie po tym wszyscy polubili.

Łatwa metafora; tego poranka, kiedy ją wymyślił, celowaliśmy do glinianych gołębi na strzelnicy w Simi Valley.

Późny czerwiec, upał, niebieskie niebo, wzgórza w kolorze khaki. Milo przeszedł przez pięć stanowisk wyrzutni aktywowanej głosem, trafiając osiemdziesiąt procent bez większego wysiłku. W zeszłym roku był celem psychopaty ze strzelbą, wciąż nosił śrut w lewym ramieniu.

Ja wystrzelałem całe pudełko naboju, zanim przypadkowo trafiłem jeden z jasnozielonych dysków. Odłożyłem browninga na stojak i napiłem się ciepłego napoju.

– Kiedy strzelasz, zamykasz lewe oko – powiedział Milo.

– Czyli?

– Może jesteś praworęczny, ale lewooczny, i to wytrąca cię z równowagi.

Kazał mi ułożyć obie dłonie w trójkąt, ustawić je tak, żeby przestrzeń między palcami wypełniło uschnięte drzewo kawałek od nas.

– Zamknij lewe oko. Teraz prawe. Przy którym bardziej skacze?

Znałem test na dominację oka, przeprowadzałem go lata temu jako stażysta badający wpływ lateralności mózgu na naukę u dzieci upośledzonych.

Nigdy nie przeprowadziłem go na sobie. Wyniki były zaskakujące.

Milo się zaśmiał.

– Lewooki. Teraz już wiesz, co robić. Poza tym przestań to dziadostwo odpychać.

– O co ci chodzi? – spytałem, chociaż dobrze wiedziałem, w czym rzecz.

– Trzymasz broń, jakbyś nie mógł się doczekać, kiedy ją rzucisz. –

Podał mi strzelbę. – Przytul ją, nachyl się do przodu... tak, właśnie tak.

Strzelałem już z pistoletów i karabinów w nieprzyjemnych sytuacjach.

Nie lubię broni palnej bardziej niż wizyt u dentysty, ale doceniam przydatność jednego i drugiego.

Strzelby, ze swoją wytworną, zabójczą prostotą, to co innego. Aż do dziś ich unikałem.

Remingtony kaliber 12 były ulubionymi zabawkami mojego ojca.

Wingmaster 870 pump-action kupiony na aukcji policyjnej stał w kącie szafy taty. Prawie zawsze naładowany.

Tak jak tata.

W lato – pod koniec czerwca – zmuszał mnie, żebym chodził z nim na wiewiórki i drobne ptaki. Podkrażał się do małych, kruchych zwierzątek z absurdalną siłą ognia, bo chodziło mu tylko o samo zabijanie. Kazał mi przeszukiwać zakrwawiony kurz, przynosić odłamki kości, pazury albo dzioby, bo byłem bardziej posłuszny niż pies.

I bardziej niż pies bałem się jego wahań nastroju.

Poza tym musiałem trzymać gębę na kłódkę i nosić torbę ze sprzętem.

W środku, oprócz zestawu do czyszczenia, pudełek z amunicją i samotnego wymiętego „Playboya” znajdowały się butelka whisky, kraciasty termos z kawą i zimne puszki Blue Ribbon.

Smród alkoholu w oddechu ojca robił się coraz silniejszy, w miarę jak upływał dzień.

– Gotowy, Ślepaku? – spytał Milo. – Zamknij prawe, otwórz lewe i nachyl się, bardziej, jeszcze bardziej, musisz stać się częścią broni. O tak.

Tak trzymaj. I nie celuj, tylko mierz. – Zerknął na bunkier. – Pal!

Pół godziny później ocenił:

– Trafiłeś więcej niż ja, kolego. Stworzyłem potwora.

O dziesiątej trzydzięci właśnie ładowaliśmy sprzęt do bagażnika mojego seville’a, kiedy komórka Mila zagrała pierwszych sześć dźwięków *My way*.

Milo słuchał przez chwilę, śledząc lot wzbijającego się jastrzębia. Jego wielka blada twarz ściągnęła się mocno.

– Kiedy... dobra... za godzinę. – Klik. – Pora wracać do antycywilizacji. Pokieruj, por favor.

Wyjechaliśmy na Sto osiemnąstą Wschodnią.

– Ciało porzucone na Ptasich Moczarach w Playa – powiedział. – Jakiś wolontariusz znalazł je wczoraj w nocy, zajął się tym komisariat Pacific.

– Ale...

– Pacific ma braki kadrowe z powodu „problemów z walką z gangami”.

Jedyny wolny gość to żółtodziób, którego Jego Świątobliwość chce „wspomóc”.

– Trudne dziecko?

– Kto wie? W każdym razie, tak brzmi oficjalna wersja.

– A mimo to się zastanawiasz.

Milo odgarnął czarny kosmyk z dziobatego czoła, rozprostował nogi, przeciągnął dłonią po twarzy, jakby się mył bez wody.

– Bagno to sprawa polityczna, prawda? A szef jest politykiem.

Kiedy jechaliśmy w stronę miasta, zadzwonił po szczegóły, dostał zarys sytuacji.

Świeże zabójstwo, biała kobieta, lat dwadzieścia parę, ślady uduszenia sznurem.

Usunięcie całej prawej dłoni chirurgicznie czystym cięciem.

– To jedna z tych spraw – powiedział Milo. – Pora mieć oczy otwarte, doktorze.

Ptasie Moczary to niecały hektar trójkątnego terenu, kilometr na wschód od oceanu, gdzie przecinają się bulwary Culvera, Jeffersona i Lincolna. Ze wszystkich trzech stron otaczają je wielopasmowe przelotówki, nad południowym skrajem wznoszą się zabudowane blokami urwiska, plan lotów LAX zapewnia mechaniczny grom.

Większość mokradeł znajduje się w nieckowatym zagłębieniu, w dole pod przejeżdżającymi kierowcami. Kiedy zaparkowałem po drugiej stronie ulicy, widziałem tylko zbrązowiałą trawę i korony odległych wierzb i topoli. W LA nie liczy się nic, czego nie można zobaczyć z

przejeżdżającego samochodu, a federalna ochrona flory i fauny wtłoczonej między cały ten postęp pozostawała złudna.

Pięć lat temu studio filmowe prowadzone przez klikę miliarderów próbowało wykupić ten teren pod „ekologiczny” plan filmowy, opłacany z pieniędzy podatników. Ukrywany przed opinią publiczną projekt toczył się gładko, jak to zwykle bywa, gdy w parze idą duże pieniądze i małe umysły. Wtedy redaktor z pewnego radia dowiedział się o całym przedsięwzięciu i rzucił na „spisek” jak wściekły rosomak; rzecznicy inwestorów potykali się jeden o drugiego, żeby czym prędzej wszystkiemu zaprzeczyć.

Wolontariacka grupa ratujących moczary, która powstała niedługo potem, nie pochwalała taktyk radiowca i przyjęła dwa priusy ofiarowane przez miliarderów. Jak dotąd spychaczy ani śladu.

Wyłączyłem silnik i razem z Milem przez kilka chwil przyglądaliśmy się moczarom z daleka. Urocze znaki wypalane na deseczkach, mające przypominać klimat letnich kolonii, stały za daleko, żeby je przeczytać.

Byłem tu w zeszłym roku z Robin i wiedziałem, że wolno parkować na ulicy – teraz to niepotrzebna wspaniałość; teren został odgradzony żółtą taśmą i pomarańczowymi pachołkami.

Większy biały znak nakazywał pieszym trzymać się ścieżki i nie zbliżać się do zwierząt. Robin i ja szykowaliśmy się na dłuższy spacer, ale dróżka ciągnęła się przez niecałą jedną piątą obwodu bagna. Tamtego dnia zauważyłem chudego, brodatego mężczyznę w koszulce „Ocalić Moczary” i spytałem go o ten brak dostępu.

– Bo ludzie to wróg.

– Naprzód – wydał komendę Milo.

Przeszliśmy przez ulicę. Mundurowy stojący przed żółtą taśmą wyprężył pierś jak tokujący gołąb i zatrzymał nas wyciągniętą dłonią.

Kiedy Milo błysnął odznaką, policjant powiedział „Tak jest” i odsunął się na bok z urażoną miną.

Między pachołkami stały dwa samochody – biała furgonetka koronera, nieoznakowany szary džip explorer.

– Ciało zostało zabrane wczoraj w nocy, ale ekipa z krypty tu wróciła –  
powiedziałem.

– Ciekawe, co?

Trzydzieści metrów na północ dwaj inni mundurowi wyszli z zarośli i wspięli się na chodnik. Za nimi gramolił się barczysty, krępy mężczyzna w niebieskiej marynarce i spodniach khaki, otrzepując klapy.

Przyjrzał się nam uważnie, ale Milo go zignorował i spojrział na nawis bloków mieszkalnych.

– Tam musi być minimum sto mieszkań, Alex. Tylu ludzi ma widok na moczary, a ktoś porzuca tu trupa?

– Tylu ludzi ma widok na nic – sprostowałem.

– Dlaczego na nic?

– Ani jednej latarni. Po zachodzie słońca na bagnach jest czarno jak w kałamarnicy.

– Byłeś tu w nocy?

– Pewien sklep z gitarami w Playa Del Rey od czasu do czasu organizuje koncerty. Kilka miesięcy temu pojechałem tam posłuchać flamenco. Dziewiąta, wpół do dziesiątej i wokół ani żywej duszy.

– Prawdziwy bukoliczny rezerwat przyrody – mruknął Milo.

Opowiedziałem mu o swojej wizycie za dnia, o ograniczonym wstępie.

– Kiedy tu byłeś, nie widziałeś przypadkiem szaleńca z pianą na ustach, który szwendałby się po krzakach z tabliczką z nazwiskiem na szyi, rozdając próbki DNA?

– Przykro mi, nie.

Milo się zaśmiał, jeszcze raz popatrzył na domy. Odwrócił się i zmierzył wzrokiem bagno. Gliniarze wciąż się kręcili, ale człowiek w marynarce zniknął.

– Ptaszki, żabki i inne takie wszystko przespały.

Prześliznęliśmy się pod taśmą, poszliśmy w kierunku białej flagi powiewającej na wysokiej metalowej tyczce – stała z półtora metra od ścieżki, wbita w grunt dość twardy, żeby się nie kiwała. Ale kawałek dalej ziemia zmieniała się w błoto pokryte glonami.

Ścieżka ciągnęła się jeszcze kilka metrów, potem ostro zakręcała.

Głosy zza zakrętu doprowadziły nas do trzech postaci w białych plastikowych kombinezonach, przykucniętych na płyciźnie, częściowo zasłoniętych przez trawę, trzciny i pałki wodne.

Zanurzenie w wodzie mogło spowolnić rozkład, ale wilgoć w połączeniu z dostępem powietrza mogła go z kolei przyspieszyć. Tak samo jak upał, a w tym roku czerwiec zaczynał przypominać lipiec.

Zastanawiałem się, w jakim stanie jest ciało.

Nie byłem jeszcze gotów myśleć, do kogo kiedyś należało.

Za drugim zakrętem zmaterializował się przysadzisty mężczyzna.

Podszedł do nas, zdejmując lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Młody, krzepki, po wojskowemu przycięte ciemnoblonde włosy.

– Pan porucznik? Moe Reed, Pacific.

– Witam detektywie Reed.

– Wystarczy Moe.

– To jest doktor Alex Delaware, nasz konsultant psycholog.

– Psycholog – powtórzył Reed. – Z powodu ręki?

– Z powodu, że nigdy nic nie wiadomo.

Reed przyjrzał mi się przeciągle i kiwnął głową. Oczy miał jasne, okrągłe, niemowlęco niebieskie. Marynarka z szerokimi ramionami przydawała mu kanciastości. Na spodniach mankiety i kanty, oślepiająco biała koszula non-iron, zielono-niebieski uczelniany krawat, brązowe pantofle na słoninie.

Ubrany jak kujon w średnim wieku, ale najwyżej pod trzydziestkę, z krótkimi kończynami i beczkowatym torsem zapaśnika. Ostrzyżone na jeża włosy w kolorze owsa otaczały okrągłą gładką twarz, którą niedługo miało spalić słońce. Mężczyzna pachniał jak urlopowicz na plaży: świeżo nałożonym kremem do opalania. Przeoczył skrawek lewego policzka i ciało w tym miejscu już zaczynało lekko się przysmażać.

Trzask zamykanych drzwi samochodu zwrócił naszą uwagę. Dwóch pomocników wysiadło z furgonetki koronera. Jeden zapalił papierosa, a drugi patrzył, jak jego partner pali. Milo spojrział na ubrane na białą kobiety w wodzie.

– Antropolożki sądowe, poruczniku – wyjaśnił detektyw Moe Reed.

– Ciało było zakopane?

– Nie, proszę pana, zostawione na brzegu, bez prób ukrycia.

Znaleźliśmy też dokumenty. Selena Bass, adres w Venice. Pojechałem tam o siódmej rano, to przerobiony warsztat samochodowy, nikogo nie zastałem. W każdym razie, co do antropolożek, widoczność była słaba, więc pomyślałem, że lepiej sprowadzić naszą jednostkę K-9, żeby mieć pewność, że nie przeoczyliśmy dłoni. Nie przeoczyliśmy, ale psy mocno się ożywiły. – Reed potarł nos z lewej strony.

– Okazuje się, że nie bez powodu.

Suka owczarka belgijskiego o imieniu Edith („pies tropiący, a nie ratowniczy, poruczniku, ale



najwyraźniej to nie zawsze ma znaczenie”) przyjechała ze swoim opiekunem o wpół do drugiej nad ranem, pokręciła się po miejscu porzucenia zwłok, a potem pobiegła w głąb mokradeł.

Zatrzymała się dziesięć metrów na południe od ciała i skoczyła w kałużę słonawego mułu nie dalej jak dwa metry od brzegu.

Zaszczekała.

Kiedy opiekun nie przychodził, zaczęła wyć.

Mimo rozkazu powrotu na ląd siedziała tam dalej. Opiekun zażądał

woderów. Na te trzeba było zaczekać jeszcze pół godziny; pies stał w miejscu jeszcze dziesięć minut, potem nagle skoczył dalej. Głębiej w bagno, z wywieszonym językiem.

– Edith wyglądała, jakby była z siebie dumna – powiedział Moe Reed.

– No i chyba powinna. Do piątej rano znaleziono trzy kolejne ciała. W

sumie same kości, poruczniku. To może być jakiś indiański cmentarz.

Podszedł do nas jeden z kierowców z krypty.

– No, historią starożytną to mi nie pachnie – stwierdził.

– Może to naturalne gazy. Kierowca się wyszczerzył.

– Albo chili, które ktoś zjadł na obiad. Albo frijoles rosnące na bagnie.

– Powiem wam, kiedy będziecie mogli jechać. – Moe Reed poprowadził nas w stronę tria antropolożek.

Stojąc po pachwiny w brązowo–zielonej zupie, kobiety zawzięcie dyskutowały wokół kolejnej tyczki z białym proporczykiem, zwisającym w ciepłym nieruchomym powietrzu. W ogóle nie zwróciły na nas uwagi.

Szliśmy dalej. Za następnym zakrętem tkwiły jeszcze dwie flagi. Jak na dziwacznym polu golfowym.

Zawróciliśmy. Dwie kobiety były młode, jedna czarnoskóra, jedna biała. Obie upchnęły pod jednorazowymi czepkami bujne fryzury. Starsza kobieta z krótko obciętymi siwymi włosami pomachała Reedowi.

– Cześć, doktor Hargrove. Coś nowego? – spytał.

– Normalnie przymierzałybyśmy się do kopania rowów, ale to teren chroniony i nie wiemy, co tu wolno.

– Postaram się dowiedzieć.

– Już dzwoniłyśmy do biura wolontariuszy, ktoś powinien się niedługo zjawić. Ale ziemia jest tu miejscami bardzo miękka. Obawiamy się, że zrobimy więcej złego niż dobrego, próbując znaleźć to, co jest do znalezienia. – Uśmiechnęła się. – Przynajmniej to nie ruchome piaski.

Młode kobiety się zaśmiały. W ich dłoniach lśniły małe metalowe narzędzia.

– A więc jaki jest plan, doktor Hargrove? – dociekał Reed.

– Potrzebujemy czasu, żeby się tu pokręcić. Chyba najlepiej wsunąć coś pod podłogę, stopniowo podnosić i mieć nadzieję, że nic nie odpadnie.

Ale na pewno to nie żadna paleontologia. Pod zuchwą tego tutaj jest miękka tkanka, pod kolanami też. Szczątki skóry są ciemne, ale to może być skutek rozkładu.

– Świeżak? – spytał Reed.

– Nie taki, jak ta zostawiona na brzegu, ale dokładniej nic nie powiem.

Woda może rozkładać albo konserwować, zależnie od mnóstwa czynników. Próbki z bezpośredniej okolicy mają średnie pH, mimo tylu śmieci, ale może tu wchodzić w grę jakiś efekt buforujący, wywoływany przez roślinność, która łagodzi skutki kwaśnego deszczu, gnicia roślin i reszty. Naprawdę nie chcę mówić nic więcej, dopóki wszystkiego stamtąd nie wyciągniemy.

– Miękka tkanka – powtórzył Reed. – To dość świeża sprawa, tak?

– Prawdopodobnie, ale niekoniecznie – odparła Hargrove. – Kilka lat temu wyciągnęli ze zbiorowego grobu w Pensylwanii weterana wojny secesyjnej. Biedak trafił w jamę o niskiej wilgotności i małej zawartości tlenu, niedaleko ciągu podziemnych jaskiń i wciąż miał skórę i mięśnie na policzkach. Większość została zmumifikowana, ale nie wszystko. Broda wyglądała jak dopiero co przystrzyżona.

– Niewiarygodne – mruknął Reed; podchwycił spojrzenie młodej czarnoskórej antropolożki i się odwrócił. – Nie może pani dla mnie spróbować zgadnąć, pani doktor? Nieoficjalnie?

– Nieoficjalnie zaryzykuję i powiem, że zwłoki raczej nie leżały tu przez dziesięciolecia. Jedna sprawa: wszystkim im brakuje prawej dłoni.

Ale nie zaczęłyśmy jeszcze dokładnych badań, może nie ma też innych części ciała.

– Zwierzęta? – spytał Reed.

– Nie wyobrażam sobie, żeby w bagnach nurkowały kojoty lub szopy, ale nigdy nic nie wiadomo. Niektóre większe ptaki: czaple, nawet pelikany czy mewy, mogły uskubać kawałek czy dwa. Albo ludzki drapieznik...

ktoś zbierający trofea. Sprawdzimy przeszłe prognozy pogody, spróbujemy ustalić, czy wiatr na wodzie mógł mieć wpływ na dryfowanie i zmiany temperatury przy powierzchni.

– Skomplikowana sprawa – wtrącił się Milo. Hargrove uśmiechnęła się szeroko.

– Dla nas to sama radość, ale was, panowie, mi żal.

Młoda czarnoskóra antropolożka, ładna, z owalną twarzą i pełnymi ustami, szepnęła coś Hargrove.

– Dzięki, Liz – odpowiedziała starsza kobieta i odwróciła się do nas. –

Doktor Wilkinson chce panom przekazać, że wszystkie trzy ciała leżały głowami na wschód. Czy to zostawione na brzegu też?

Reed się zastanowił.

– Rzeczywiście, tak. Interesujące...

– Z drugiej strony, mówimy tu o niezwykle małej próbce, z której próbujemy wyciągać jakieś znaczące wnioski – odezwała się doktor Wilkinson.

– Cztery na cztery to dla mnie dość znaczące, pani doktor – stwierdził

Reed.

Wilkinson wzruszyła ramionami. Do rozmowy włączyła się druga antropolożka, piegowata i rumiana.

– Na wschód. To jakiś rytuał?

– W stronę Mekki – odparła Hargrove. Skrzywiła się. – Nawet o tym nie mówmy.

Reed nie odrywał wzroku od doktor Liz Wilkinson.

– Dzięki za spostrzegawczość. Wilkinson poprawiła czepek.

– Pomyślałam tylko, że powinniście o tym wiedzieć.

Reed, Milo i ja wróciliśmy do wejścia na mokradła. Furgonetka koronera zniknęła. Dwaj mundurowi stali wyraźnie znudzeni.

– Trupojady pojechały coś przegryźć – powiedział jeden z nich.

– Jakież pomysły, poruczniku? – spytał Reed.

– Wygląda na to, że masz wszystko pod kontrolą. Młody detektyw bawił się okularami przeciwsłonecznymi.

– Coś panu powiem, cieszę się, że mi pan pomaga.

– Dlaczego?

– Bo zapowiada się na pracę zespołową prawda?

Milo nie odpowiedział, a oparzony od słońca skrawek twarzy Reeda zrobił się ciemnoczerwony.

– Szczerze mówiąc, raczej nie jestem Sherlockiem, poruczniku.

– Jak długo w branży?

– Wstąpiłem po college'u, zrobiłem patent detektywa dwa lata temu, zacząłem w kradzieżach samochodów w Central. W lutym przenieśli mnie do zabójstw.

– Gratulacje.

Reed zmarszczył brwi.

– Od tamtej pory dostałem dwie sprawy. To znaczy, oprócz tej. Jedną zamknąłem w tydzień, ale to mógł zrobić każdy, totalny banał. Druga dotyczyła dawno zaginionej osoby. Nie wiem, czy kiedykolwiek ktoś to rozwiąże.

– Pacific przydziela zaginionych wydziałowi zabójstw?

– Ogólnie nie – odparł Reed. – Chyba że poszukują osoby z koneksjami i należy dbać o ich zadowolenie...

– Sprawy mają swój rytm – powiedział Milo. – Trzeba czasu, żeby coś działać.

Widywałem go, jak nie śpi, chudnie i dostaje wysokiego ciśnienia, ślęcząc nad nierozwiązanymi zagadkami.

Reed wpatrywał się w miękką, brązową ziemię. W górze leciał brązowy pelikan; wycelował wielki dziób w dół, rozmyślił się i zawrócił nad Pacyfik.

– Porozmawiajmy o Selenie Bass – zaproponował Milo. Reed wyjął

notes.

– Kobieta, rasa kaukaska, dwadzieścia sześć lat, sto sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt, brązowe i brązowe. Jeden zarejestrowany pojazd, nissan sentra z 2003 roku, stał pod jej mieszkaniem, raczej nierusza–ny, więc to nie porwanie. Nie ma śladów włamania. Może pojechała z kimś, kogo znała, i sprawy przybrały paskudny obrót.

– Gdzie w Venice?

Reed przeczytał adres – Indiana, na południe od Rose, na zachód od Lincoln.

– Tam działają gangi, prawda? – spytał Milo.

– Parę. Gdyby jakiś ją zdybał, nie miałby daleko stamtąd tutaj. A więc możliwe, że chodzi o wygodne miejsce wyrzucenia trupa. Ale te inne ciała...

– To także mogą być ofiary z okolicy Bass.

– Gang sprząta ludzi?

– Albo jakiś maniak – zasugerował Milo. – Obserwuje ich, śledzi, dopada.

Reed zmarszczył brwi.

– Nieznajomy nieznajomych.

– Hej! – ryknął ktoś. Wszyscy trzej się odwróciliśmy.

Chudy, krzywonogi, brodaty człowiek w białej koszulce, zielonych szortach bojówkach i klapkach szedł w naszą stronę, energicznie machając rękami.

Ten sam, który wywarczał zgryźliwie, że ludzie to wróg, trzy miesiące temu.

– Hej – powtórzył.

Nikt z nas nie odpowiedział.

– Co tu się dzieje?

– A pan to... – zaczął Moe Reed.

– Silford Duboff, Ocalić Moczary. To moje miejsce.

– Pana miejsce – powtórzył Reed.

– Nikogo innego nie obchodzi.

Reed wyciągnął dłoń. Duboff przyjął ją niechętnie, jakby się bał

zakażenia.

– Co tu się dzieje?

– Otóż, proszę pana, wczesnym rankiem zabraliśmy stąd zwłoki młodej kobiety, którą zamordowano i porzucono na brzegu bagna. Przeszukując okolicę, znaleźliśmy trzy kolejne ciała.

Silford Duboff zbladł.

– Przeszukując? Wy tu kopiecie?

– To nic wielkiego...

– Nie ma takiej możliwości. – Duboff zauważył flagę oznaczającą miejsce porzucenia zwłok Seleny Bass. – Co to tam robi?

– Tam znaleźliśmy pierwszą ofiarę, proszę pana. I jak mówiłem, trzy inne kobiety. Wszystkie martwe.

Duboff potarł brodę.

– To katastrofa.

Reed zdjął okulary. Niemowlęco błękitne oczy miał zmrużone.

– Też tak sądzę, cztery trupy to katastrofa. I nie wiadomo, ile jeszcze.

– Sugeruje pan, że może być ich więcej?

– Na razie mamy trzy, panie Duboff.

– Szlag by to... Gdzie są pozostałe? Muszę zobaczyć. Ruszył w stronę flagi. Grube ramię Mila go zatrzymało.

– Co jest?

– Jeszcze nie wolno tam wchodzić, proszę pana.

– To całkowicie niedopuszczalne... Milo pokazał zęby.

– To zdecydowanie dopuszczalne.

– Że co? – sapnął Duboff.

– Na miejscu przestępstwa pracuje ekipa policyjna.

– Co to znaczy „pracuje”?

- Bada szczegóły. Duboff szarpnął brodę.
  - To strefa chroniona, policja nie może tu parkować swoich brudnych...
  - Sądowi antropolodzy, proszę pana.
  - Antro... oni kopią? Muszę z nimi porozmawiać, w tej chwili!
  - Rozumiemy pana troskę, panie Duboff. Ale ci ludzie to specjaliści i szanują każde miejsce.
  - To nie jest zwyczajne miejsce, to...
  - Piękne miejsce – dokończył Milo. – Zabierzemy stąd tylko dowody.
  - Oburzające.
  - Tak samo jak zabójstwo, proszę pana.
  - To jest gorsze – zagotował się Duboff.
  - Gorsze niż cztery trupy?
  - Ja nie... Przykro mi, że ci ludzie zginęli, wasze morderstwa to doskonały dowód...
  - Na co?
  - Sami zabijamy ziemię, a potem się dziwimy, że życie jest takie brutalne.
  - Chyba nie przepada pan za ludźmi – zauważyłem. Duboff omiół mnie wzrokiem, ale nie rozpoznał.
  - Skoro już o tym mowa, jestem certyfikowanym mizantropem, ale nie zabijam niczego, co oddycha tlenem. – Wskazał swoje klapki. –
- Ekologiczna guma. – Spojrzał na białą flagę. – Musimy dopilnować, żeby ten rzadki zakątek spokoju takim pozostał.
- Na moje oko, ten spokój już ktoś zakłócił – wtrącił się Reed.
  - W takim razie nie pogarszajmy sprawy. Muszę porozmawiać z tymi kopaczami.
- Reed popatrzył na Mila.
- Najpierw niech pan odpowie na parę pytań – powiedział Milo.

Górując nad Duboffem, zaczął zasypywać coraz bardziej zdenerwowanego mężczyznę lawiną istotnych i pozornie przypadkowych pytań. W końcu skupił się na tym, co Duboff robił przez ostatnie

dwadzieścia cztery godziny.

– Podejrzewacie mnie?

– Proszę pana, to pytania, które musimy...

– Kogo obchodzi, gdzie byłem wczoraj wieczorem? Ale dobrze, nie mam nic do ukrycia. Siedziałem w domu. Czytałem. – Wojowniczo wysunął brodę. – „Utne Reader”, jeśli chcecie wiedzieć.

– Mieszka pan sam? – ciągnął Milo. Duboff się uśmiechnął.

– Tak, choć często nocuje u mnie przyjaciółka. Mądra, wielkoduszna, zmysłowa kobieta. Teraz akurat jest w Sebastopolu na Festiwalu Muzycznym Green Fiber. Kiedy dokonano tych morderstw?

– Jeszcze to ustalamy.

– Hm... Na pewno po ósmej – stwierdził Duboff. – Bo o ósmej zaglądałem na bagno i możecie mi wierzyć, nie widziałem żadnych trupów.

– Jak długo pan tu był?

– Krótko, patrzyłem tylko, czy nie ma śmieci. Potem kupiłem sobie kanapkę w całodobowym markecie na Culver. Wegetariańską. I zajrzałem do biura, żeby sprawdzić, jak sobie radzi wolontariusz. – Prychnął. –

Bogaty gówniarz, przydzielili go nam w ramach prac społecznych za karę.

Radził sobie, więc zostawiłem go i pojechałem do Santa Mo-nica, zjadłem kanapkę na Ocean Front. Pięć po dziesiątej wróciłem do biura zobaczyć, czy gnojek zamknął. I bardzo dobrze zrobiłem, bo nie zamknął. O

dziesiątej trzydziści siedziałem już ze swoim „Utne”.

– Znalazł pan jakieś śmieci na bagnie? – spytał Milo.

– Nie tym razem... A tak, Alma, moja przyjaciółka zadzwoniła z Sebastopola o jedenastej piętnaście.

– Ten pana wolontariusz... – wtrącił się Moe Reed. – Za co został

ukarany?

– Przeskrobał coś w szkole. Nie pytałem, nie moja sprawa. Niewiele z niego pożytku, ale nie sprawia problemów.

– Alma... – Reed wyjął notes. – Nazwisko, poproszę. Duboff zrobił

wielkie oczy.



- Dlaczego chcecie z nią rozmawiać?
- Rutynowe...
- Nie do wiary. Ja tu zabezpieczam bagno, a wy mnie zastraszacie?
- Trochę pan przesadza – powiedział Reed.
- Czyżby? Nie wydaje mi się.
- Alma...? – przycisnął faceta Milo.

– Dobry Boże... dobrze, dobrze, Reynolds, Alma Reynolds. – Duboff wyrecytował numer telefonu. – Zadowoleni? A teraz musicie mnie przepuścić.

Poszliśmy za Duboffem, który prawie biegiem ruszył w stronę an-

tropolożek. Moe Reed go dogonił, zapytał, czy mówi mu coś nazwisko Bass.

– Jedyne bass, jaki mnie interesuje, to nakrapiany. Niestety przetrzebiony przez amerykańską żądę mięsa.

– Ludzie – powiedziałem, zastanawiając się, czy w końcu mnie pozna.

Zespół doktor Hargrove wydobył kilka małych, brązowych fragmentów i ułożył je na niebieskiej płachcie rozciągniętej na brzegu. Wszystkie trzy kobiety wróciły do wody. Z głowami przy powierzchni przesiewały, oglądały.

– Co to jest? – spytał Duboff.

– Ludzkie kości – odparł Reed. Duboff zwinął dłonie w tubę.

– Wy tam, ostrożnie! – zawołał do badaczek. Kobiety podniosły wzrok.

– Ten pan zabezpiecza bagno – wyjaśnił Milo.

– No, tylko z szacunkiem. To ważne zadanie.

– Ten pan zabezpiecza bagno w sposób istotny.

– Proszę pana – zwróciła się do Duboffa doktor Hargrove. – Jesteśmy bardzo ostrożne, staramy się niczego nie naruszyć.

– Sama wasza obecność oznacza, że moczary zostały naruszone.

Hargrove, Liz Wilkinson i piegowata antropolożka popatrzyły na niego ze zdumieniem.

Duboff jeszcze raz spojrział na kości.

– Musimy stąd iść, nie przeszkadzać im w pracy– powiedział Milo. –A skoro o tym mowa, pracuje pan, panie Duboff?

– Co pan sugeruje? Milo milczał.

– Pracowałem. W księgarni Midnight Run.

– Zamknęli ją w zeszłym roku.

– Dlatego „pracowałem” – podkreślił Duboff. – Przez lata trochę inwestowałem, stać mnie, żeby nie spieszyć się z szukaniem nowej pracy.

I żadnych dowcipów o akcjach naftowych i gazowych, jasne? Nie mam żadnych.

– Rany, musi być panu bardzo ciężko.

– Dlaczego?

– Nosić na ramieniu wiór wielkości sekwoi\*. Duboff rozdziawił usta.

Milo wziął go za ramię.

– Miło było pana poznać. – Zaprowadził go z powrotem na ulicę.

Reed i ja patrzyliśmy, jak obaj idą do zakurzonej jetty Duboffa. Ekolog pogroził palcem, Milo się nie przejął. Duboff wszedł do samochodu, ciągle złorzecząc. Odjechał.

Milo szedł z powrotem do nas, dłońmi naśladowując klapanie szczęk.

– Wrogo nastawiony dziwak – stwierdził Reed. – Ale gdyby był winny, chyba starałby się zachowywać przyjaźnie. Jedno z tego, co powiedział, to na pewno prawda. Rzeczywiście wpadł do biura po dziewiątej i rozmawiał

z wolontariuszem. Chłopak nazywa się Chance Brandt i to po części dzięki niemu w ogóle się dowiedzieliśmy o Selenie Bass. Miałem wam o tym opowiedzieć, ale ten czubek nam przerwał.

– Mów teraz.

Reed spojrział na zegarek.

– A co wy na to, żebyśmy spotkali się z nim twarzą w twarz; opowiem wam po drodze? Rozmawiałem tylko przez telefon z jego ojcem, chciałbym mieć pewność, że nic nie pokręciłem. Jestem umówiony u nich w domu za pół godziny, może być ciężko, jeśli nie wystartujemy od razu.

– Ty prowadź, detektywie Reed.

Milo usiadł na przednim fotelu pasażera niebiesko–czarnej crown victorii Reeda. Ja wsiałem z tyłu.

– Moe to zdrobnienie od Moses?

– Tak.

– Aha.

– Myśli pan o dziecku w trzcinach i bagnach?

– Przeszło mi to przez myśl. Reed się zaśmiał.

– Kiedy się urodziłem, moja matka miała biblijną obsesję. – Chwilę później dodał: – Mojżesz nigdy nie zobaczył Ziemi Obiecanej.

– Opowiedz mi o tym młodym Brandcie – wrócił do tematu Milo.

Przystojny chłopak, bezczelne spojrzenie.

Chance Brandt siedział rozwalony na wielkiej brokatowej kanapie w wielkim salonie wielkiej śródziemnomorskiej posiadłości przy Old Oak Road w Brentwood. W domu pachniało pizzą na wynos i drogimi perfumami.

Chance miał na sobie strój tenisowy. Tak samo jego matka, oszałamiająca, długonoga blondynka o oczach w kolorze morskiej zieleni z wyraźnie dominującymi chromosomami. Brokatowa szminka trochę się jej już starła; widać było pobladłe usta. Kobieta chciała wziąć syna za rękę, ale nie śmiała.

Po drugiej stronie chłopaka siedział ojciec: ciemny, zwalisty, z wielkim kanciastym podbródkiem, łysy, w niebieskiej koszuli od garnituru i złotym krawacie od Hermesa.

Wściekły adwokat, zawsze przyjemny widok.

– Niewiarygodne. A teraz to. – Steve Brandt popatrzył na syna, jakby zmaterializował się w nim Edyp.

Chłopak nic nie powiedział.

– Robię w testamentach i nieruchomościach, nie pomogę ci tu, Chance

– oznajmił Brandt senior.

– Jestem pewna, że nie ma w czym pomagać – powiedziała Susan Brandt.

Mąż spojrział na nią jadowitym wzrokiem. Przygryzła dolną wargę, skrzyżowała ramiona na piersi.

– Chance, opowiedz nam, co się stało – zaczął Moe Reed.

– Tak bez adwokata? – prychnął Steve Brandt.

– Proszę pana, jeśli on tylko odebrał telefon, adwokat nie jest potrzebny.

Chance się uśmiechnął. Ojciec zrobił się czerwony.

– Coś cię rozbawiło, geniuszu?

Susan Brandt wstrzymała oddech, jakby zaczepiła się o drut kolczasty.

Zielone oczy zwilgotniały.

– Jak detektyw Reed już wyjaśnił – wtrącił się Milo – prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa. Jeśli Chance jest w to zamieszany, oczywiście potrzebuje porady prawnej i chcemy, żeby otrzymał ją jak najprędzej. Ale na razie nic nie wskazuje na współudział. Rzecz jasna, macie państwo

prawo zażądać prawnika w każdych okolicznościach i jeśli obierzecie tę drogę, przeprowadzimy rozmowę na komisariacie, w sali przesłuchań z kamerą, protokołem i tak dalej.

– Pan mi grozi? – Steve Brandt uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– W żadnym wypadku. Po prostu będziemy musieli tak zrobić. W tym momencie Chance interesuje nas wyłącznie jako świadek. I to rozmowy telefonicznej. Naprawdę więc nie rozumiem, dlaczego nie mielibyście państwo w pełni współpracować.

Chance spojrział na nas. Pewność siebie zniknęła, pojawiło się zmieszanie.

Steve Brandt skrzyżował ręce na piersi.

– W porządku – westchnął Milo. – Proszę dopilnować, żeby Chance był

tutaj jutro o siódmej rano, kiedy przyślemy radiowóz. Jeśli papiery przejdą szybciej, to może być dzisiaj wieczorem.

Zaczął wstawać.

– Proszę zaczekać – powstrzymał go Steve Brandt. – Porozmawiam z synem na osobności. Potem powiem panom, co dalej z tym... burdelem.

Dobrze?

Milo usiadł.

– Bardzo się staramy, żeby było dobrze.

Sto pięćdziesiąt osiem sekund później ojciec i syn wrócili do pokoju, idąc półtora metra jeden od drugiego.

– Wszystko powie – oznajmił ojciec. – Ale czy moglibyście mi panowie wyjaśnić, jak się sprawy mają? Żebym wiedział, że jest ze mną szczerzy.

Syn wyrzwał przez okno wychodzące na basen z czarnym dnem.

Moe Reed zerknął na Mila. Ten kiwnął głową.

– O dwudziestej trzeciej trzydzieści dostaliśmy zgłoszenie o zwłokach na Ptasich Moczarach. Dzwoniący usłyszał o tym od kogoś, kto dowiedział się od Chance'a.

– Skąd wiecie? – spytał Brandt.

– Poinformował, że ktoś zadzwonił wieczorem do biura wolontariatu, rozmawiał z Chance'em i kazał mu szukać zwłok. Chłopak uznał, że to kawał. Ale nasz dzwoniący potraktował sprawę poważnie.

– Kim on jest?

– Sprawdzamy to.

Chance dalej był rozluźniony, ale na czoło wystąpił mu pot.

– Plotka z trzeciej ręki? – wtrąciła się Susan Brandt. – To nie brzmi poważnie.

Mąż spiorunował ją wzrokiem. Zaczęła się bawić tipsem na kciuku.

– Dzieciaki plotą i zmyślają – powiedział Brandt.

– Być może – odparł Reed. – Tyle że faktycznie znaleźliśmy zwłoki. A ofiara została zamordowana.

– Odwrócił się do Chance'a. – Musimy wiedzieć dokładnie, co się stało.

Chłopak milczał. Ojciec położył mu dłoń na ramieniu; grube palce wbiły się w urażoną dumę, w tym geście nie było nic czułego. Chance wykręcił się z uścisku.

– Mów, co wiesz, i miejmy to z głowy.

– Tak jak pan powiedział, ktoś zadzwonił – odezwał się chłopak.

– Kto? – spytał Reed.

– Jakiś dupek z dziwnym głosem.

– Nie wyrażaj się, Chance – jęknęła Susan Brandt.

– Jak to dziwnym? – spytał Reed.

– Ee... takim syczącym.

– Syczącym?

– Szeptem. Jak na horrorach. Robot–morderca, coś takiego.

– Ktoś maskował swój głos, sycząc.

– Aha.

– Mógłbyś nam pokazać, jak to brzmiało? Chance się zaśmiał.

– Zrób to – powiedział ojciec.

– Nie jestem w kółku dramatycznym, tato.

– Ale przysporzyłeś rodzinie dużo dramatów. Wzruszenie ramion.

– Etam.

– Zrób to.

Chłopak syknął. Kłykcie Steve’a Brandta pobielwały.

– Dobra. Co powiedział? – spytał Milo.

– Że... ee... że coś jest w bagnie. Trup.

– Co jeszcze?

– To wszystko.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna... chyba.

– Nie jesteś pewien?

– On tak... syczał. Niewyraźnie.

– Specjalnie – stwierdził Reed.

– Aha. Myślałem, że ktoś sobie robi jaja.

– Kto?

– Nie wiem. Kumple.

– Książkę Albert w puszcze – powiedział Milo. Chance nie zrozumiał.

– A więc trup w bagnie – podjął Milo.

– Aha.

– Co jeszcze ci przekazał ten syczący człowiek?

– Nic – odparł Chance. – To brzmiało głupio, dlatego nie powiedziałem o tym facetowi, który zaraz potem przyszedł.

– Jakiemu facetowi? – spytał Reed.

– Temu, co tam wszystkim kieruje, niezły agent. Ciągłe mnie sprawdza.

– Jak się nazywa?

– Duboff. Hipis. Mówią o takich na historii.

- Pan Duboff wszedł do biura zaraz po tym, jak skończyłeś rozmowę przez telefon?
  - Ja nie rozmawiałem. Tylko słuchałem, a potem odłożyłem słuchawkę.
  - Jak długo po tym wszedł Duboff?
  - Od razu.
  - Parę chwil.
  - Aha.
  - Sprawdzał cię.
  - Aha.
  - I powiedziałaś mu...
  - Że jest luz.
  - W ogóle nie wspominałeś o syczącym telefonie.
  - Myślałem, że to jakieś jaja. Że ktoś się nabija. Ethan albo Ben, Sean, wszystko jedno. Zerkał na nas, wymieniając imiona. Usiłował odgadnąć, kto go wydał.
  - O której godzinie odebrałeś ten telefon? – spytał Reed.
  - Ee... e, e... Koło, ee, dziewiątej trzydzieści.
  - Ee, nie stękaj tak – warknął Steve Brandt. Jego żona wyglądała, jakby miała się rozpłakać.
  - Możesz podać dokładniejszą godzinę? – nalegał Reed.
  - Ee... Tak, chwilę przedtem spojrzałem na zegarek i była dziewiąta dwadzieścia parę.
  - Więc telefon zadzwonił około dziewiątej trzydzieści.
  - Ee, no, chyba tak.
  - Jezu – sapnął Steve Brandt. – To nie fizyka kwantowa. Chance zesztyniał. Przygryzana warga Susan zrobiła się szkarłatna.
  - Matematyka nie jest jego mocną stroną – powiedział ojciec. – Przez to właśnie wpakowaliśmy się w ten cały bałagan. Przez upokarzający test z algebry. Wystarczyło minimum wysiłku, żeby zdać.
- Chance przygryzł wargę. Znów geny? A może życie ze Steve'em Brandtem każdego doprowadziłoby do nerwicy? Brandt poluzował krawat.



– W zasadzie jeszcze nie ustaliliśmy, czy w ogóle ma jakąś mocną stronę.

Jego żona aż się zatchnęła.

– Zejdź na ziemię, Suze. Gdyby nie ściągał, nie musielibyśmy rozmawiać z policją. – Do nas mruknął: – Może skoro już tu panowie jesteście, okazalibyśmy mojemu synowi trochę szorstkiej miłości.

Włączylibyśmy go do jakiegoś programu dla młodocianych. Praca w kostnicy, by wrócił do rzeczywistości?

Susan Brandt wstała i wyszła pospiesznie. Oczy Chance'a były utkwione w czerwonej twarzy ojca.

– Żebyś wiedział, że jestem wkurzony, gówniarzu! – ryknął Brandt. –

Mara kupę roboty, a muszę przyjeżdżać do domu w środku dnia przez coś takiego. A ty sobie grasz w tenisa?

– Mama powiedziała, że muszę się trochę po... Brandt uciszył go machnięciem ręki. Rzucił do Milo:

– Prowadzicie jeszcze kursy w kostnicy?

– Nie wiem, proszę pana. Z tego co pamiętam, były dla młodocianych pijanych kierowców.

– A więc znów wszystko ujdzie mu płazem. Chance poruszył ustami.

– Co tam mamrociesz? – warknął ojciec. Cisza.

– Panie Brandt – powiedział Milo – rozumiemy, że złoścą pana wybryki Chance'a. Ale jeśli on tylko odebrał „głupi telefon”, nie ma mu co uchościć płazem. A jeżeli jest zamieszany w zabójstwo, wycieczka do kostnicy nie wystarczy.

Steve Brandt nieco zbladł.

– Oczywiście, że nie jest zamieszany. Chcę tylko zapobiec dalszym...

komplikacjom.

– Jestem komplikacją? – spytał Chance. Ojciec uśmiechnął się pod nosem.

– Nie chcesz, żebym ci odpowiedział. Tym razem to chłopak się zaczerwienił.

– Rób swoje, stary, podłącz mnie do wykrywacza kłamstw...

– Zamknij swoją pyską gębę i nie używaj tego gówniarskiego, durnego tonu...

Chance zerwał się na równe nogi, zaciskając pięści.

– Nie mów tak do mnie! Kurwa, nie mów tak do mnie! Dłonie Steve’a Brandta łupnęły w brokat. Dyszał. Tempo oddychania Chance’a prześcignęło sapanie ojca. Milo stanął pomiędzy nimi.

– Proszę się natychmiast uspokoić. Chance, siadaj... tam, gdzie siedziała twoja mama. Panie Brandt, proszę nam pozwolić wykonywać obowiązki.

– Myślałem, że właśnie to robię...

– To przypadek zabójstwa, proszę pana, dla nas długie dni pracy.

Musimy mieć pewność, że kiedy stąd wyjdziemy, nie zostaniemy wezwani z powrotem do przemocy w rodzinie.

– To śmieszne... uderzyłem cię kiedyś, Chance? Kiedykolwiek? Bez odpowiedzi.

– Uderzyłem?

Chance się uśmiechnął. Wzruszył ramionami.

Ojciec zaklął.

– Wężowy pomiot. Chance wciąż stał.

– Siadaj – rozkazał Milo. Chłopak usłuchał.

– Synu, chcę usłyszeć szybką odpowiedź: kiedy po telefonie pojawił się pan Duboff?

– Od razu.

To się zgadzało z wersją Duboffa. Albo sam porzucił Selenę Bass, albo morderca zaczekał, aż ekolog sobie pójdzie.

Albo miał szczęście i rozminął się ze strażnikiem bagna.

Tak czy inaczej, morderstwo zostało zgłoszone tuż po porzuceniu zwłok.

Ktoś chciał, żeby Selena Bass została znaleziona. I szybko zidentyfikowana.

Zakopał trzy inne trupy, ale nabrał pewności siebie i przeszedł do przechwałek?

Zajął bagno jako swoje terytorium. Duboff czy ktoś mu podobny?

– Z kim rozmawiałeś o syczącym telefonie? – spytał Moe Reed.

– Tylko... z Sarabeth. Komu mnie wygadała?

– Jak ona ma na nazwisko?

– Oster – powiedział Steve Brandt. – Tak jak te centra handlowe. –

Kiedy żaden z nas nie zareagował: – To bogaci ludzie, mieszkają w Brentwood Park. Sarabeth jest jedynaczką. Wydaje się słodka i niewinna, ale to ona podpowiadała mu na tym cholernym teście z algebry, więc wszystko, co dziewczyna powie, dzieliłbym przez cztery.

Chance warknął.

– Ojjoj – parsknął ojciec. – Cały się trzęsę.

# 6

Steve Brandt odprowadził nas na podjazd z imitacji bruku, pilotem otworzył bramę.

– A więc jest czysty?

– Jak dotąd tak, proszę pana.

– Wierście mi, on jest za głupi, żeby kogoś zabić.

Uśmiechając się z kwaśną satysfakcją, wrócił do ciepła swojego domowego ogniska.

Telefon Moe Reeda do Toma L. Rumleya, dyrektora Akademii Windward, zakończył się obietnicą „bezzwłocznego udostępnienia wszelkich istotnych informacji” o telefonie do Chance’a Brandta. W

zamian: żadnych wizyt policji w szkole, bo „są wakacje i przyjmujemy gości z Dubaju”.

Reed przełączył Rumleya na czekanie.

– Panie poruczniku?

– Dobra, daj mu szansę się wykazać – powiedział Milo. – Któryś z was jest może głodny?

Wróciliśmy na bagno i wsiedliśmy do seville’a. Pojechaliśmy do West LA, Reed za nami.

– I co myślisz? – spytał Milo.

– O sprawie czy Reedzie?

– Jednym i drugim.

– Wydaje się rozsądny, chce się uczyć. A w tym przypadku jest czego.

– Cztery ciała.

– Przy takim apetycie nie ma powodu poprzestawać na czterech –

zakupiłem ponuro.

– Zawsze mogę liczyć, że mnie rozweselisz.

Cafe Moghul, przy Santa Monica Boulevard, kilka przecznic od komisariatu, służy Milowi za drugie biuro.

Kobieta w sari i okularach, która prowadzi ten lokal, na widok Mila zawsze się rozpromienia. Nie licząc gargantuicznych napiwków, traktuje go jak ludzkiego rottweilera. Oczywista policyjna aparycja Reeda idącego tuż za nim wprawiła ją prawie w ekstazę.

– Homar – oznajmiła i usadziła nas przy stoliku Miła w głębi. Nucąc i uśmiechając się, nalewała do szklanek mrożoną herbatę z goździkami. –

Przyniosę nakrycia. Ze wszystkim.

– „Wszystko” to dobra koncepcja – stwierdził Milo. Zdjął marynarkę i rzucił ją na krzesło obok.

Reed zawiesił swoją równo na oparciu. Jego biała koszula miała krótkie rękawy. W większości wypchane bicepsami. Zaczęła się parada potraw.

– Hm... Pewnie zostawia pan niezłe napiwki – zauważył Reed.

– O rany – westchnął Milo. – Dlaczego na tym świecie wszędzie musi chodzić o pieniądze?

Czasami Milo przy stole gada bez przerwy. Innym razem uważa jedzenie za święty rytuał, którego nie wolno zakłócać doczesnymi sprawami.

Tego popołudnia był akurat Dzień Święty. Moe Reed patrzył, jak Milo przeżuwa i ociera twarz. Szybko się otrząsnął i pochylił nad własnym talerzem jak skazaniec.

Stery homara, ryżu, soczewicy, bakłażana na ostro, szpinaku z serem szybko znikwały; młody detektyw bil Miła w szybkości. Był masywny, ale twardy jak tekowe drewno.

Kiedy kobieta w okularach przyniosła pudding ryżowy, zadzwoniła komórka.

– Reed... – Brwi tak jasne, że prawie niewidoczne, wysoko się uniosły.

– Tak... Proszę zaczekać, wezmę coś do pisania. – Sięgnął za siebie, wyjął

notes, zaczął pisać równymi ładnymi literami. – Dziękuję panu. Nie, tym razem nie. – Pstryk. – Dyrektor Rumley mówi, że przeszedł całą drogę plotki. Młody Brandt powiedział o telefonie Sarabeth Oster, która również uznała, że to przezabawne. Podzieliła się nowinkami z Ali Light, a Ali ze swoim chłopakiem, Austinem Coopersmithem. On z kolei przekazał tę

„śmieszna historię” starszemu bratu, drugoroczniakowi z Duke imieniem Lance, który przyjechał na wakacje do domu. Lance Coopersmith ma widać więcej skrupułów i rozsądku niż reszta, to on do nas zadzwonił.

Uważał to za swój obowiązek.

– To potwierdzona wersja? Reed wzruszył ramionami.

– Rano poprosiłem o przeanalizowanie połączeń. Nie dzwonił na numer dyżurny, więc trwa to dłużej i nie ma nagrania. Mam sprawdzić?

– Sprawdź.

Kilka chwil później poinformował:

– Komórka zarejestrowana na Lance’a Allana Coopersmitha, adres w Pacific Palisades. Jest sens dalej to drążyć?

– Na razie nie – odparł Milo. – Zapowiada się długi dzień, jedz homara.

Wyjął telefon i zażądał nakazu przeszukania mieszkania Seleny Bass.

Zostawiłem seville’a na parkingu Westside, wróciłem na tylny fotel nieoznakowanego wozu Reeda na dwudziestominutową przejażdżkę na Indiana Avenue. Milo w tym czasie dowiedział się, co z nakazem.

Wydany telefonicznie, papiery miały przyjść później.

– Sprawdziłeś ją gdzieś poza wydziałem komunikacji? – spytał Reeda.

– Aha. Nic na stronach notowanych. Planowałem dzisiaj poszukać w googlach.

Milo zalogował się do terminalu Reeda i wszedł do Internetu.

– Przyjemnie rozmawiać z Bogiem bez pośredników... Proszę bardzo, dwa trafienia... Jedno to dokładna kopia drugiego... Nauczycielka gry na fortepianie... Przedstawia na recitalu ucznia... Niejakiego Kelvina Vandera.

Szukanie w „grafice” nic nie dało.

– Nauczycielki gry na fortepianie to raczej nie jest grupa wysokiego ryzyka – skwitował Reed.

– Nie ma to jak smutna piosenka na dobry początek tygodnia.

– A co z pozostałymi ciałami, panie poruczniku?

– Zobaczymy, co powiedzą zbieraczki kości. Na razie będziemy pracować z tym, co mamy.

Dorzuciłem swoje przemyślenia o kimś, kto byłby jakoś związany z moczarami.

– Możliwe – stwierdził Milo. Reed milczał.

Przerobiony warsztat Seleny Bass był parterowym bliźniakiem, otynkowanym na biało.

Mieszkanie od frontu, osłonięte bananowcami i jaśminowcami, zajmowała właścicielka budynku, staruszka na wózku Anuta Rosenfield.

Wesoła filipińska opiekunka zaprosiła nas do maleńkiego salonu z różowymi, aksamitnymi zasłonkami i zastawionego roślinami w doniczkach oraz porcelanowymi figurkami na chwiejnych podstawkach.

– W styczniu skończy sto lat!

Staruszka ani drgnęła. Oczy miała otwarte, ale zamglone; jej nogi nie utrzymałyby nawet ciężaru porcelanowej lalki.

– To cudownie. – Milo nachylił się nad wózkiem. – Proszę pani, czy możemy prosić o klucz do mieszkania panny Bass?

– Jest głucha – wyjaśniła opiekunka. – I nie widzi. O wszystko pytajcie mnie. – Wskazała na siebie. – Luz.

– Luz, czy moglibyśmy...

– Oczywiście! – Z kieszeni mundurka wyjęła klucz.

– Jesteśmy wdzięczni.

– Wszystko z nią w porządku, z Seleną?

– Zna ją pani?

– Właściwie nie, ale czasami widuję. Najczęściej kiedy wychodzę. I ona akurat też wychodzi.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostami?

– Hm... Dość dawno. I wie pan co, nie świeciło się u niej światło od...

co najmniej paru dni. – Głęboki oddech. – A teraz panowie tu przychodzicie... Ojej.

– Kilka dni – podjął wątek Reed.

– Może cztery, pięć, nie liczyłam.

– Jaka ona jest?

– Nigdy z nią nie rozmawiałam, uśmiechałyśmy się tylko do siebie i mówiłyśmy cześć. Wydawała się miła. Ładna, chuda, bez bioder, teraz one takie są.

– O której pani zazwyczaj stąd wychodzi? – spytał Milo.

– O dziewiętnastej.

– Ktoś inny zjawia się na nocną zmianę?

– Córka pani Rosenfield wraca o siódmej do domu. Elizabeth jest pielęgniarką w Świętym Janie. – Konspiracyjnym szeptem dodała: –

Siedemdziesiąt jeden lat, ale wciąż zajmuje się maluchami na intensywnej opiece neonatologii. Tak

ją poznałam. Razem pracowałyśmy na ION.

Lubię dzieci, ale tu jest lepiej. – Poklepała swoją podopieczną po ramieniu. – Pani Rosenfield jest bardzo miła.

Na ustach staruszki zatańczył słodki uśmiech. Ktoś upudrował jej twarz, umalował opadające powieki, wymanikiuował paznokcie.

Powietrze w pokoju było duszne i ciężkie. Róże i iglaki.

– Co jeszcze może nam pani powiedzieć o Selenie Bass? – spytał Milo.

– Hm. Jak mówiłam, sympatyczna... może trochę nieśmiała. Jakby nie lubiła długich rozmów. Nie słyszałam, żeby Elizabeth się na nią skarżyła, a ona narzeka na wszystko.

– Jak Elizabeth ma na nazwisko?

– Mayer. Wdowa, tak samo jak matka. – Spuszczona oczy. – I ja.

– Ach, wyrazy współczucia.

– Dawne dzieje.

Pani Rosenfield znów się uśmiechnęła. Trudno stwierdzić, co to miało znaczyć.

– Kto mieszka w drugiej części budynku?

– Pewien pan. Prawie nigdy go nie ma. Profesor, chyba Francuz.

Najczęściej jest we Francji. Teraz też.

– Nazwisko? Pokręciła głową.

– Przykro mi, musielibyście panowie zapytać Elizabeth. Nie wiem, czy widziałam go przez dwa lata pięć razy. Przystojny mężczyzna, długie włosy, jak ten aktor, taki chudy... Johnny Depp.

– Wygląda na to, że jest tu raczej spokojnie – powiedział Milo.

– Bardzo spokojnie.

– Widziała pani kiedyś Selenę z przyjacielem?

– Z przyjacielem nie. Raz jakiś facet na nią czekał przy krawężniku.

Wsiadła do jego samochodu.

– Jakiego?



– Przykro mi, nie zwróciłam na to uwagi.

– Może pani opisać tego mężczyznę?

– Stał tyłem do mnie i było ciemno.

– Wysoki, niski? – spytał Reed.

– Średniego wzrostu... aha, prawie na pewno nie miał włosów, był ogolony jak ci koszykarze. Światło odbijało mu się od głowy.

– Białe?

– No... na pewno nie czarny – odparła Luz. – Chociaż to mógł być jasny czarny facet. Zresztą widziałam tylko jego plecy i głowę. Zrobił coś Selenie?

– Cóż, w tej chwili nie jesteśmy nawet blisko wytypowania podejrzanego. Dlatego to tak ważne, co pani widziała.

– Podejrzanego... a więc ona...

– Tak – uciął krótko Reed.

– O nie. – Oczy Luz zwilgotniały. – To bardzo smutne, taka młoda...

Ojej... Chciałabym móc panom powiedzieć więcej.

– Świetnie pani idzie. – Milo delikatnie poklepał kobietę po ramieniu. –

Mógłbym panią prosić o nazwisko do akt? I numer kontaktowy?

– Luz Elena Ramos... Czy tu jest teraz niebezpiecznie?

– Nie mam powodu do obaw.

– O rany – westchnęła Luz. – Co za straszna historia. Lepiej będę uważać.

– Na pewno nie stanie się pani nic złego, pani Ramos, ale ostrożności nigdy za wiele.

– Kiedy panowie się pojawiliście, od razu przewidziałam, że coś się stało. Pracowałam osiem lat w szpitalu, rozpoznaję złe wieści.

Czterdzieści metrów kwadratowych mieszkania Seleny Bass nadal nosiło piętno swoich warsztatowych początków.

Spękana betonowa podłoga, pomalowana na brązowo i polakierowana, ale plamy oleju przebijały przez farbę, a w powietrzu unosił się słaby smród ropy. Niski sufit z bielonych płyt kartonowo-

gipsowych kompresował przestrzeń. Tego samego materiału użyto na ściany, mocując go takerem na chybił trafił do listew pod spodem. Widać było wyraźnie bandaże na łączeniach; łebki gwoździ sterczały jak pryszcze na twarzach uczestników balu maturalnego.

– Górna półka budowlanki – ocenił Milo.

– Może lekcje gry na fortepianie nie przynosiły kokosów – zasugerował

Reed.

Założyliśmy rękawiczki, stanęliśmy w drzwiach, rozejrzeliśmy się. Nie było widać żadnych oczywistych śladów przemocy ani bałaganu.

– Wezwiemy techników – powiedział Milo. – Ale nie wygląda mi to na salę operacyjną.

Wszedł do środka, my za nim.

Ustawione prostopadle do ściany czarne szafki z dykty oddzielały maleńki aneks kuchenny. Lodówka, mikrofalówka, elektryczna płyta z dwoma palnikami. W lodówce woda w butelkach, przyprawy, zgniła nektarynka, zeschnięty seler, pudełko chińszczyzny na wynos w firmowym opakowaniu.

Moe Reed zajrzał do pudełka – kurczak słodko–kwaśny w kolorze pomarańczowym. Przechylił opakowanie.

– Ściał się na twardo. Ma co najmniej tydzień.

Na podłodze leżał podwójny materac, nakryty brązową batikową narzutą i zasypany mnóstwem puchatych wzorzystych poduszek. Milo podniósł skraj narzuty. Lawendowe prześcieradła, czyste, niezmięte.

Powąchał. Pokręcił głową.

– I co? – spytał Reed.

– Żadnych zapachów detergentów, potu, perfum, nic. Jakby zostały zmienione, ale nikt w nich nie spał.

Podszedł do szafki nocnej z imitacji brzozy. W szufladach znalazł lekki dres, białą flanelową koszulę nocną, tani zegarek, grzebień.

Milo go obejrzał.

– Nie widzę włosów, ale może ludzie z pęsetami na coś trafią. A skoro o tym mowa, detektywie Reed...

Reed zadzwonił po kryminalistyków, a Milo dalej obchodził pokój.

Zajrzał do wysokiego, żółtego plastikowego kosza na śmieci. Pusty.

Rozrzucone po podłodze kolejne poduszki zapewniały miejsca do siedzenia. Pulchne i sprężyste, jakby nikt na nich nigdy nie siedział.

Poza tym trzyszufladowa komoda ze sklejki i dwumetrowa stalowa szafa, pomalowana na ciemną oliwkową zieleń. Na lewo od szafy łazienka, szeroka ledwie na tyle, by zmieściła się tam jedna dorosła osoba.

Nylonowa zasłonka zamiast drzwi, kabina prysznicowa z włókna szklanego, sedes i umywalka z Home Depot. Na podłodze stała tandetna szafka na lekarstwa.

Wszystko czyste i suche. Szafka pusta.

Wyjątkiem od spartańskiego stylu było miejsce pod ścianą z elektronicznymi organami, wzmacniaczem, stołem mikserskim, dwudzie-

stocelowym płaskim monitorem na czarnym stole, dwoma czarnymi składanymi krzesłami i kilkoma wysokimi do pasa stosami nut.

Reed je przejrzał.

– Klasyka... Klasyka... Jakiś indie rock... Znów klasyka.

– Nie ma wieży ani płyt – zauważył Milo.

– Gdzieś tu pewnie jest iPod – stwierdził Reed.

– A ciekawe, gdzie się podział komputer. Reed zmarszczył brwi.

– Ktoś tu posprzątał.

Obaj zaczęli przetrząsać komodę i szafę. Dżinsy, koszulki, kurtki, bielizna w małych rozmiarach. Tenisówki, półbuty, czarne sandały na obcasie, czerwone czółenka, białe czółenka. Na wieszaku w szafie pół

tuzina sukienek w optymistycznych kolorach.

Nie było płyt, laptopów, nic związanego z komputerami.

Reed uklęknął przed komodą wysunął dolną szufladę.

– Ho ho.

Wyjął skórzany gorset, dwie pary kabaretek, trzy pary czarnych majtek z dziurą w kroku i pomarańczowymi lamówkami, trzy tanie czarne peruki, trzy olbrzymie fioletowe sztuczne członki.

Każda peruka sięgała do ramion, z krótką grzywką. W niebieskim, plastikowym pudełku były pojemniczki z białym pudrem, czarnym tuszem do rzęs, szminki w kolorze dojrzałego siniaka. Kiedy Reed zaczął

wszystko wystawiać na podłogę, wypadła mała czarna szpicruta.

– Domina na pół etatu? – zagadnął Milo. – Może mieszkała gdzieś indziej, a w tej norze tylko imprezowała.

Reed wydawał się zahipnotyzowany przebraniami.

– Niewykluczone, że dawała tu też lekcje muzyki, panie poruczniku.

– Wątpię, nie ma fortepianu, podręczników. – Milo zamknął szufladę, rozejrzał się po pokoju. – Jeśli to rzeczywiście było jej mieszkanie, prowadziła bardzo ponure życie. Pięć minut w środku i już mam ochotę nałykać się prozacu. – Wrócił do metalowej szafy, przesunął dłonią po górnej półce. – Co my tu mamy?

Wyjął kartonowe pudło pełne papierów.

Na wierzchu leżało rozliczenie podatkowe Seleny Bass za zeszły rok.

Dochód w wysokości czterdziestu tysięcy dolarów za „muzyczne konsultacje”, dziesięć tysięcy odliczone na „sprzęt i wyposażenie”.

Pod spodem Milo znalazł trzynaście comiesięcznych czeków spiętych w równy plik. Każdy na cztery tysiące dolarów, wypisany przez spółkę Global Investment z konta Rodzinnego Trustu Vanderów, adres na Piątej ulicy w Seattle.

Ten sam tytuł na każdym czeku, drukowanymi literami: „Lekcje Kelvina”.

– Ten chłopak z Internetu – powiedział Reed.

– Prawie pięćdziesiąt kawałków rocznie za naukę juniora, jak pukać w klawisze. – Milo zagwizdał cicho.

– Jeden uczeń pokrywa wszystkie rachunki. Może to jakiś wybitny talent, cudowne dziecko.

– Albo komuś się tak wydaje. Skoczyłbyś do samochodu i sprawdził

Simona Vandera, co? Tego małego też.

– Robi się.

Milo wrócił do przeglądania papierów w pudełku. Kalifornijski dowód osobisty przedstawiał dziewczynę o wąskiej twarzy i wielkich oczach, ze spiczastym podbródkiem i ciemnoblonde włosami. Krótka grzywka, taka sama jak w perukach. Żeby łatwiej było się przebierać?

– Po co jej to, jeśli miała prawo jazdy? – spytałem.

– Może przeprowadziła się tu bez prawa jazdy – odparł Milo. Pod dowodem były paragony ze sklepu Betsey Johnson w Caba-

zon, niedaleko Palm Springs, i rachunek za kartę kredytową sprzed pół

roku na pięćset dolarów, niedawno spłacony po sześciu miesiącach naliczania zwyczajowo lichwiarskich odsetek.

Na samym dole wydrukowany e-mail, sprzed czterech miesięcy, od engrbass345 z konta na Hotmailu. Przeczytałem nad ramieniem Mila.

*„Sel, cieszę się ogromnie, że w końcu znalazłaś pracę. I to dającą ci satysfakcję. Uważaj na siebie, skarbie. Nie czekaj tak długo następnym razem.*

*Kocham, mama”.*

Milo westchnął.

– Pora na powiadomienie.

– Twój ulubiony moment – powiedziałem.

– Zaraz po topieniu szczeniaków.

Reed wmaszerował z powrotem do mieszkania, z błyszczącymi oczami, wymachując notesem.

– Simon Vander to gruba ryba. Konto inwestycyjne może ma w Seattle, ale mieszka tutaj, w Palisades. Posiadał sieć supermarketów w meksykańskich dzielnicach, sprzedał je dwa i pół roku temu za sto jedenaście milionów. Potem znika z ekranu, nie licząc jeszcze trzech trafień dotyczących Kelvina, same recitale. Chłopak ma dziesięć lat.

Znalazłem jedno jego zdjęcie.

Wręczył nam wydruk. Ziarnista czarno-biała fotografia przedstawiała ładnego małego Azjatę.

Milo pokazał mu e-mail od matki Seleny Bass.

– Spróbujemy przez komputer? – spytał Reed.

– Jeśli mieszka tutaj, zrobimy to osobiście.

– „Engrbass” – przeczytał na głos Reed. – Może jest inżynierem. Na razie, zabieramy się do Vanderów. Sprawdzimy, czy wiedzą coś o życiu osobistym Seleny.

Użył imienia zamordowanej. Początek więzi.

– Ja bym tak zrobił – przyznał Milo. Reed zmarszczył czoło.

– Jakbym wynalazł koło.

Na Simona Mitchella Vandera zarejestrowanych było pięć samochodów pod dwoma adresami.

Przy Calle Maritimo w Pacific Palisades: trzymiesięczny lexus GX, roczny mercedes SLK, trzyletni aston martin DB7 i pięcioletni lincoln town car.

W Malibu, przy Pacific Coast Highway, siedmioletnie volvo kombi.

Moe Reed sprawdził adresy na mapie.

– Plaża La Costa i północny skraj Palisades. Cholernie blisko.

– Może lubi piasek pod stopami – powiedział Milo. – W środku tygodnia raczej znajdziemy go w głównym domu. A jeśli nie, czeka nas dzień na plaży.

Z Venice do Pacific Palisades najpierw wlekli się wzdłuż Lincoln i Ocean Front, potem wykonali szybki skok przez Channel Road i błyskawicą popędzili w górę wybrzeża. Łagodny wiaterek marszczył

gładką powierzchnię oceanu w kobaltową bezę. Surferzy, ludzie z latawcami i ci, którzy po prostu lubili świeże powietrze, masowo wylegli na plażę.

Kręta dróżka Calle Maritimo wspinała się nad dawną posiadłość Gettych. Im wyżej, tym domy były większe; ziemia drożała z każdym metrem. Reed jechał szybko wzdłuż żywopłotów z bugenwilli i kamiennych murków.

Minęliśmy znak „Koniec ulicy. Nie ma przejazdu”. Kilka sekund później oczywiście stanęliśmy przed trzymetrową, żelazną bramą.

Ręcznie kuta, z masywnymi słupkami przypominającymi olbrzymie łodygi koralowca i prętami wijącymi się na kształt macek ośmiornicy. Po drugiej stronie tej kowalskiej roboty znajdował się owalny podjazd wyłożony niedużymi, łupkowymi płytkami. Niedawno płukanymi; miejscami wciąż były mokre. Otaczały je równo przystrzyżone daktylowce. Za drzewami stał zaskakująco skromny dom.

Parterowy, ciemny tynk, czerwona dachówka, drzwi wejściowe ukryte na zabudowanym dziedzińcu. Z boku stały cztery samochody wymienione na formularzach rejestracyjnych Vandera. Reed nacisnął dzwonek. Pięć piśnieć interkomu, potem cisza.

Spróbował jeszcze raz. Cztery dzwonki.

– Tak? – odezwał się chłopięco brzmiący męski głos.

– Policja LA do pana Simona Vandera.

- Policja?
- Tak. Musimy porozmawiać z panem Vanderem. Pauza.
- Nie ma go.
- A gdzie jest? Dłuższa pauza.
- Ostatnio był w Hongkongu.
- Podróż służbowa?
- Podróżuje. Mogę przekazać mu wiadomość.
- Z kim rozmawiam? Znów wahanie.
- Jestem zarządcą posiadłości pana Vandera.
- Jak się pan nazywa?
- Travis.
- Zechciałby pan podejść na chwilę do bramy, panie Travis?
- Czy mogę spytać, o co...
- Może pan. Proszę podejść, powiemy panu.
- Ee... moment.

Chwilę później drzwi dziedzińca się otworzyły. Wyrzwał z nich mężczyzna w granatowej koszuli, jasnych dżinsach i dużej, szarej wełnianej czapce. Poły luźnej wypuszczonej na spodnie koszuli kłapały na wietrze. Dżinsy marszczyły się na białych adidasach. Czapkę miał

naciągniętą na czubki uszu.

Ruszył w naszą stronę niepewnym krokiem – nierówne ramiona, chwiejny chód. Stopa wykręcała mu się na bok. Kiedy dotarł do furtki, przyjrzał się nam przez żelazne macki – pociągła, wychudła twarz, zapadnięte policzki, głęboko osadzone piwne oczy. Trzydniowy zarost miał w większości czarny, miejscami siwy, tak jak włosy na głowie, przynajmniej te, które wystawały spod czapki. Jego usta były wykrzywione, jakby w trwałym wyrazie smutku. To i niepewny chód sugerowały jakiś neurologiczny uraz. Dawałem mu trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Młody jak na wylew, ale życie potrafi być okrutne.

Milo przepchnął między mackami rękę z odznaką.

- Dzień dobry, panie Travis.



– Huck. Travis Huck.

– Możemy wejść, panie Huck?

Wcisnął długim palcem guzik na pilocie. Brama otworzyła się do środka.

Zaparkowaliśmy pod najbliższym daktylowcem. Posiadłość leżała wysoko nad sąsiednimi; władca wierzchołka królował na co najmniej dwóch hektarach. Połacie trawników i klomby pnącego geranium zaprojektowano ze smakiem i umiarem. Najważniejsze było pionowe urwisko, otoczone sadzawką nieskończoności całującą Pacyfik.

Z bliska dom tracił wszelkie pozory skromności. Parterowy budynek rozpełzał się na kawał terenu i dawał rozległy widok na bezmiar oceanu.

Travis Huck wetknął palec pod czapkę, starł pot z za ucha. Ciepły dzień jak na wełniane nakrycie głowy. A może po prostu łatwo się pocił.

– Jeśli mogę przekazać jakąś wiadomość panu...

– Wiadomość jest taka – przerwał mu Milo. – Niejaka Selena Bass została zamordowana i rozmawiamy ze wszystkimi, którzy ją znali.

Huck zamrugał. Jego smutne, wykrzywione usta wyprostowały się, kontrastując z napięciem wokół oczu.

– Selena? – powtórzył.

– Tak, proszę pana.

– O... nie.

– Znał ją pan.

– Uczy muzyki. Kelvina. Syna państwa Vanderów.

– Kiedy ostatni raz pan ją widział?

– Ostatni raz? Ja nie... Jak powiedziałem, ona daje lekcje. Kiedy on ich potrzebuje.

– Kelvin.

Huck znów zamrugał.

– Tak.

– Powtarzam pytanie...

– Słucham?

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Niech pomyślę – powiedział Huck, jakby rzeczywiście potrzebował pozwolenia. Kropla potu spłynęła mu po brodzie, spadła na podjazd. –

Hm... dwa tygodnie temu... – Pociągnął skraj czapki. – Nie, piętnaście dni.

Dokładnie piętnaście.

– A wie pan to, bo...

– Pani Vander i Kelvin wyjechali dzień po lekcji. To było piętnaście dni temu. Kelvin grał Bartóka.

– Wyjechali dokąd?

– Na wakacje – odparł Huck. – Jest lato.

– Cała rodzina podróżuje – zauważył Reed. Huck kiwnął głową.

– Co się stało z Seleną? – wymamrotał.

– W tej chwili możemy powiedzieć tylko tyle, że coś paskudnego – odparł Milo.

Cisza.

– A więc ostatni raz była tutaj dokładnie piętnaście dni temu?

– Tak.

– Jak się zachowywała?

– Normalnie. – Huck utkwiał wzrok w mokrych płytach podjazdu. –

Wpuściłem ją, wypuściłem. Jak zwykle.

– Czy ktoś mógłby chcieć jej zrobić krzywdę? – dociekał Reed.

– Krzywdę? Ona tylko dawała tu lekcje. Tak jak inni.

– Jacy inni?

– Kelvin uczy się w domu. Przychodzą do niego specjaliści. Od malarstwa, gimnastyki, karate. Kurator z Getty’ego uczyła go historii sztuki.

– Kelvin nie lubi szkoły? – zagadnął Milo.

- Jest zbyt inteligentny, żeby chodzić do zwykłej szkoły. – Pod Huckiem ugięła się noga, musiał się oprzeć o maskę samochodu. Czoło miał złane potem.
- Inteligentny, a do tego uzdolniony muzycznie – powiedział Reed.
- Gra klasykę – odparł Huck, jakby to wszystko wyjaśniało.
- Od jak dawna Selena Bass go uczyła?
- Hm... Rok. Mniej więcej.
- Gdzie odbywały się lekcje? – spytał Milo.
- Tutaj.
- Nigdy w domu Seleny?
- Nie, oczywiście, że nie.
- Dlaczego „oczywiście”?
- Kelvin ma mnóstwo zajęć. Nie może marnować jeszcze czasu na dojazdy.
- Lekcje fortepianu nie odbywały się w stałym terminie.
- Zgadza się, to zależało – przyznał Huck. – Były raz w tygodniu albo codziennie.
- Zależało od potrzeb Kelvina.
- Jeśli przygotowywał się do recitalu, Selena przychodziła częściej.
- Dużo dawał recitali?
- Niezbyt... Wciąż nie mogę uwierzyć... To miła dziewczyna.
- Co jeszcze może nam pan o niej powiedzieć?
- Miła – powtórzył Huck. – Cicha. Bardzo sympatyczna, zawsze punktualna.
- Dostawała duże pieniądze za nauczanie Kelvina – wtrącił Moe Reed.
- Nie wiem.
- Nie podpisuje pan czeków?
- Ja tylko zajmuję się domem.
- Kto podpisuje чеки?

- Księgowi pana Vandera.
- Kto to?
- Są z Seattle.
- Pan raczej zajmuje się domami, w liczbie mnogiej – sprostował Milo.
- Słucham?
- Jest jeszcze jeden na plaży. – Kciukiem wskazał ocean.
- Ach, ten. Tam mieszkał Vander, zanim się ożenił. Rzadko z niego korzysta.
- Trzyma tam samochód.
- To stare kombi? Akumulator pewnie już padł.
- Miejscówka nad samym morzem– powiedział Milo. – Żal nie korzystać.
- Pan Vander dużo podróżuje – odparł Huck.
- W ramach kształcenia Kelvina?
- Nie rozumiem...
- Bogactwo doświadczeń, zwiedzanie świata, poznawanie innych kultur.
- Czasami. – Czoło Hucka lśniło jak opędzlowane białkiem jajka. – To naprawdę nieprzyjemna sytuacja.
- Lubił pan Selenę.
- Tak, ale... rzecz w tym, że ktoś, kogo się znało... A potem ten ktoś... –

Huck załamał rękę. – Pan Vander musi się o tym dowiedzieć. Kelvin i pani Vander również. Będą... Jak mogę się z panami skontaktować?

Reed podał mu wizytówkę.

Huck, bezgłośnie poruszając ustami, przeczytał powoli nazwisko detektywa.

- Usiłujemy dotrzeć do krewnych Seleny – wyjaśnił Milo. – Wie pan, gdzie ich znaleźć?
- Nie, przykro mi. Biedny Kelvin... trzeba będzie znaleźć nowego nauczyciela.

Zjechaliśmy z powrotem na PCH, po kilku minutach, przy plaży La Costa Reed zawrócił i zaparkował pod ogrodzeniem z cedrowych desek.

Piętnastometrowej szerokości działka, kilka kroków od autostrady. Na prawo od płotu stał cedrowy garaż. Furtka była zamknięta na skobel. Milo zadzwonił. Nic. Wetknął swoją wizytówkę pod klamkę.

Wróciliśmy do miasta.

– Co sądzicie o Hucku? – spytał Moe Reed.

– Dziwny koleżka.

– Mocno się pocił. I coś jeszcze... nie umiem tego określić, ale... jakby miał się za bardzo na baczności. Nie przesadzam, panie poruczniku?

– Z całą pewnością był nerwowy, młody. Ale to może być tylko nerwowość pracownika. Boi się wkurzyć szefa. A co ty na to, Alex?

Przedstawiłem swoją teorię o neurologicznym urazie.

– I nosi czapkę w taki upał – dodał Reed. – Chyba nie ma zbyt wiele włosów. Średniej budowy biały facet to mógł być ten łysy, którego Luz Ramos widziała z Seleną.

Milo rozważył tę sugestię. Sięgnął do terminalu.

Travis Huck nie był notowany, a na zdjęciu z wydziału komunikacji miał burzę czarnych, kędzierzawych włosów. Jego prawo jazdy zostało odnowione trzy lata temu. Jako miejsce zamieszkania podał dom na Calle Maritimo.

Milo pisał dalej. Internet nic o Hucku nie wiedział.

– Łysa głowa i trochę dziwne zachowanie to jeszcze nie powód do aresztowania, ale nie traćmy go z oczu.

– A ten pyskaty z bagna, Duboff? – spytał Reed. – Ma fioła na punkcie tego miejsca, jak pan mówił, doktorze. Nawet obsesję. A jeśli porzucanie tam ciał to jakiś seksualny rytuał?

– Seryjny ekolog – zakpił Milo.

– Jego też bym pilnował – odparłem. – Ale jak zauważyłeś, Moe, nie próbował odwracać od siebie uwagi. Wręcz przeciwnie, rzucił się na nas, przyznał wprost, że był na bagnie w czasie, kiedy Selena została tam porzucona.

– Może chciał nas zmylić? – zastanawiał się głośno Reed. – Albo po prostu zachowywał się arogancko, myślał, że jest cwańszy od nas. Jak ci idioci, którzy wysyłają wiadomości. Albo wracają na miejsce zbrodni, żeby się podelektować własnym okrucieństwem.

– Możliwe.

Palce Mila już tańczyły na klawiaturze.

– Patrzcie państwo. Pan Duboff był notowany.

Silford Duboff– aresztowany siedem razy w ciągu dziesięciu lat, za każdym razem za stawianie oporu podczas demonstracji.

Zadyma antyglobalistów w Century Plaza, podniesienie płac obsłudze hotelowej w San Francisco, protest siedzący przeciwko rozbudowie elektrowni jądrowej w San Onofre, demonstracja przeciwko zabudowie wybrzeża w Oxnard i Ventura. Siódme aresztowanie było za walkę z zakusami miliarderów na Ptasie Moczary.

Po imprezie antyglobalistów dodatkowo oskarżono go o napaść na funkcjonariusza, w drodze ugody zarzut sprowadzono do naruszenia nietykalności osobistej, zapłacił grzywnę. Dwa lata później, po zbiorowym pozwie, sąd apelacyjny uznał, że to policja Los Angeles zawiniła.

– Pamiętam tamtą akcję – powiedział Milo. – Straszny burdel. A więc gość lubi siedzieć na środku ulicy i skandować. Ale w jego aktach nie odnotowano żadnej poważnej przemocy. Zresztą trudno to w ogóle nazywać aktami. To raczej notes.

– Antyglobaliści przyciągają anarchistów i innych dziwnych kole–si –

stwierdził Reed. – Ci goście noszą takie czapki jak Huck. A jeśli Huck i Duboff byli kumplami od demonstracji i odkryli, że mają też wspólne upodobanie do gorszych rzeczy?

– Chodzą na te same marsze, Duboffa zamykają, a Hucka nie?

– Duboff jest agresywny, nachalny. Huck to bardziej podstępny typ.

Może to właśnie mi się w nim nie podobało.

– Koszmarny duet – mruknął Milo. – W dzień agitują za wolnością, a kiedy zapada zmrok, zabijają kobiety, odrąbują ręce i wrzucają trupy w bagno.

Reed przyspieszył.

– To chyba trochę zbyt śmiała hipoteza.

– Młody, w tym momencie zbyt śmiała hipoteza jest lepsza niż nic.

Pewnie, sprawdź ich obu. Jeśli znajdziesz nazwisko senora Hucka na liście członków grupy, z którą demonstrował senior Duboff, czy w ogóle cokolwiek, co ich łączy, pociągniemy trop zabójczego zespołu.

– Dwóm mordercom łatwiej byłoby porzucać zwłoki – wtrąciłem. –

Jeden parkuje, drugi wyciąga trupa. Albo obaj wyciągają, w duecie mogą działać szybciej i sprawniej.

– Powiniennem też chyba porozmawiać z księgowymi Vandera –

stwierdził Moe Reed. – Dowiedzieć się o innych domowych nauczycieli.

– Selenę załatwił ktoś, kogo poznała w pracy? – spytał Milo.

– Raczej ktoś, kogo poznała w pracy, powiedziała by nam więcej niż Huck. Może nie znaleźliśmy w jej mieszkaniu żadnych śladów życia towarzyskiego, bo przez dyżury u Kelvina Vandera odpuściła sobie inne zainteresowania. – Reed pokręcił głową. – Pięćdziesiąt kawałków za uczenie jednego dzieciaka... A jeśli Selena zginęła przez swoje związki z tą rodziną?

– Selena i trzy inne kobiety bez prawych dłoni? Reed nie odpowiedział.

Chwilę później podjął:

– Nie prowadzi życia towarzyskiego, ale w szafie trzyma gorset i inne takie gadzety. Czyli, rzeczywiście, imprezowała gdzieś indziej. A jak dotąd wiemy, że spędzała czas w domu Vanderów.

– Musztrowała małego w Bartóku, a potem wymykała się do domku kąpielowego na szybki numer z instruktorem karate – pociągnął myśl Milo.

– Albo z Huckiem. Albo z samym panem Vanderem.

– Hydraulikiem, czyścicielem basenów, kwiaciarzem, ogrodnikiem.

Reed milczał.

– Jasne, zadzwoń do księgowych i dowiedz się, ile zdołasz, o personelu. Dopóki nie zidentyfikujemy pozostałych ofiar, i tak stoimy w miejscu.

– Pięćdziesiąt kawałków – wspomniał Reed. – Może szef miał jakieś dodatkowe oczekiwania. Vandera nie ma w kraju, ale bogacze nie odwalają brudnej roboty, wynajmują do tego ludzi.

– Bogaty ergo zły – zakpił Milo.

– Po prostu takim ludziom często się wydaje, że wszystko im wolno.

– Dla ciebie i dla mnie, Moe, pięćdziesiąt kawałków to poważna forsa.

A Vander pewnie płaci więcej za ubezpieczenie swojej kuchni. Ale jasne, spróbuj, zobacz, co wygrzebiesz. Sprawdź też, co u antropolożek.

– Zrobi się – powiedział Moe. – Dzięki, panie poruczniku.

– Za co?

– Za naukę.

– Po pierwsze, zaznaliśmy razem dość frustracji, żebyś mówił mi Milo.

Po drugie, za naukę przyślę ci rachunek. – Przeciągnął się i zaśmiał. –

Pięćdziesiąt kawałków może być?



Po powrocie do swojego gabinetu wielkości schowka na miotły Milo raz jeszcze przeczytał e-mail od engrbass345. Włączył komputer, wpisał

„engineer” i „bass”, dostał mnóstwo wyników, ale żadnego, który by pasował. Szukał dalej.

– Bingo... strona Emily Nicole Green–Bass. Wygląda na to, że babka ma sklep z antyczną biżuterią w... Great Neck w stanie Nowy Jork... jest tu jej zdjęcie z błyskotkami. Rodzinne podobieństwo, nie?

Kobieta o pociągłej twarzy, po pięćdziesiątce, za gąbłotą z bransoletkami. Duże oczy, spiczasty podbródek z dołkiem. Krótkie, siwe włosy.

Selena Bass w średnim wieku, którego nigdy nie osiągnie.

– Geny – powiedziałem.

– Będzie ubaw. – Milo wziął głęboki oddech i sięgnął po telefon.

Rozłączył się dziesięć minut później, ziewając.

Nie było w tym nic beztrioskiego. Po prostu oznaka zmęczenia.

Emily Green–Bass wrzasnęła, rozplakała się, rozłączyła. Oddzwoniła chwilę później, przeprosiła. Poszłochała jeszcze trochę.

Milo słuchał, żując niezapalone cygaro. Kiedy ucichła, zaczął wyciskać z niej fakty.

Selena była jedynym dzieckiem Emily z drugiego małżeństwa. Z

pierwszego miała dwóch synów. Jeden z nich mieszkał w Oakland. Tam właśnie obecnie przebywała. Pojechała zobaczyć swoją dopiero co urodzoną wnuczkę.

– Myślałam, że to najszcześniejsza chwila w moim życiu – powiedziała.

Nie widziała Seleny od ponad pięciu lat. Ostatnio wymieniły kilka e-maili.

Selena się z nią kontaktowała. W końcu.

Milo spytał, czemu tak długo nie odzywały się do siebie, a Emily znów się rozplakała.

– Jutro przylatuję.

O szesnastej zadzwonił zastępca szefa policji, Henry Weinberg, dowiedzieć się, czy w śledztwie w sprawie morderstw z bagien są jakieś postępy.

Milo przełączył go na głośnik.

- Jak dotąd nic oraz nic – poinformował uprzejmie.
- W takim razie może pora iść do mediów, poruczniku.
- Wolałbym raczej poczekać, aż antropolodzy rzucają nam jakiś ochłap.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Wreszcie Weinberg powiedział:

- Zrozumiałem pana, poruczniku. Ładna gra słów. Jak postawimy pana przed kamerami, będzie się pan popisował?
- Boże broń.
- Boże i szefie, poruczniku. I proszę nie pytać, który jest który. Dzwon pan do tych zbieraczy kości. Niech się pośpieszą.

Hargrove wciąż była jeszcze na moczarach. Odebrała doktor Liz Wilkinson.

- O, dzień dobry, panie poruczniku. Zrobiliśmy pewne postępy z Jane Numer Jeden. Sądząc po nasadzie nosa, najprawdopodobniej czarna kobieta, wiek między dwadzieścia a trzydzieści pięć lat.
- Mogła równie dobrze opisywać siebie, ale w jej głosie brzmiała tylko naukowa obojętność.

Milo zanotował.

- Coś jeszcze?
- Urodziła co najmniej jedno dziecko. Miała złamaną prawą kość udową, na tyle poważnie, że wstawiono jej metalowy implant. Nie znalazłyśmy tytanu, ale są dziury po śrubach. Nie zdziwiłbym się, gdyby utykała.
- Niedawne złamanie?
- Dookoła znaczny przyrost kości, więc lata temu, nie miesiące, ale była już dorosła. Poza tym złamana kość gnykowa. I oczywiście brak dłoni.

– Uduszona.

- Najprawdopodobniej. Zgadujemy, że leżała zanurzona przez kilka miesięcy, ale to wyłącznie domysły. Eleonor, doktor Hargrove, jeszcze tam jest, pracuje z Lisą, doktor Chaplin, przy dwóch pozostałych. Ale to potrwa, za dużo się tam porozłaziło, a nie chcemy niczego przeoczyć.

Jestem tutaj, bo Eleanor poprosiła, żebym spisała wszystko, co mamy do tej pory. Wyślę panu mailem to, co właśnie powiedziałam.

– Dzięki.

– Jeszcze jedno, panie poruczniku. Kiedy wychodziłam z bagna, znów pojawił się ten facet z brodą. Pilnujący policjant go nie wpuścił i padło trochę brzydkich słów. Chciałabym zacząć jutro rano, kiedy tylko wstanie słońce, a będę sama, bo Eleanor i Lisa przyjadą dopiero na dziewiątą.

Wolałabym uniknąć utrudnień.

– Dopilnuję, żeby kogoś tam postawili.

– Dzięki. To piękne miejsce, ale potrafi tu być trochę... nieprzyjemnie.

Miło zalogował się do departamentowej bazy danych osób zaginionych, poszukał czarnoskórych kobiet w przedziale wiekowym podanym przez Wilkinson. Znalazł pięć wpisów, najnowszy sprzed pół roku. Żadnych wzmianek o utykaniu ani złamanych nogach, ale i tak wydrukował dane.

– Pora zacząć szukać w innych hrabstwach. Oby kobieta nie okazała się wyrzutkiem, którego wszyscy mieli gdzieś.

Wbrew zakazom zapalił cygaro. Małeńki pokój wypełnił się dymem.

Milo zakaszłał, rozluźnił krawat, wypluł okruch tytoniu do kosza na śmieci, nie trafił. Sięgnął do klawiatury.

Zaczął pisać, milcząco i zaciekle.

Wyszedłem bez słowa.

Godziny szczytu i pasy pozamykane bez żadnego widocznego powodu zmieniły drogę do domu w mękę i kiedy dojechałem do Beverly Glen, dochodziła szósta.

Stara ścieżka konna, która prowadzi do mojego domu, była nagłym zastrzykiem spokoju. Biały budynek, otoczony sosnami i sykomorami, cieszył oko prostotą.

Zawołałem Robin, nie usłyszałem odpowiedzi. Zrzuciłem marynarkę, wyjąłem sobie grolscha, zszedłem po kuchennych schodach i ruszyłem przez ogród. Przystanąłem przy stawie z koi.

Na odgłos moich kroków ryby przypuściły szturm na brzegi.

Dwanaście dorosłych, pięć młodych. Połowa małych zdechła, zanim osiągnęła trzy centymetry, ale ocalałe miały już prawie po trzydzieści i były wciąż głodne. Rzuciłem im granulki, popatrzyłem, jak spokojna woda zmienia się w wir żarłocznych ryb. Przez kilka chwil napawałem się iluzją wszechmocy, potem poszedłem dalej kamienną dróżką do pracowni Robin.

Czasami siedzi przy warsztacie, dopóki jej nie oderwę od pracy. Tego wieczoru warsztat był posprzątanym, a ona siedziała na kanapie, nawijając kosmyk włosów na palec i czytając książkę o renesansowych lutniach.

Blanche ułożyła się jej na kolanach. Królicze uszy psa zwisały, płaski pysk wyglądał jak

pomarszczony aksamit.

Druga kobieta w moim życiu to dziesięciokilowy francuski buldog w kolorze wanilii, z dobrymi manierami przy stole, co rzadko spotykane w tym gatunku, i z usposobieniem świętej. Niektórzy moi pacjenci domagają się jej obecności podczas sesji. Wciąż jeszcze nie ustaliłem, ile powinna za to dostawać.

Blanche i Robin jednocześnie na mnie spojrzały. Nowa konkurencja olimpijska: uśmiech synchroniczny. Pocałowałem Robin w policzek, cmoknąłem Blanche w czubek guzowatego łebka.

– Psa i dziewczynę traktujesz tak samo? – oburzyła się Robin.

– Ona przynajmniej dyszy z uciechy.

– I sika w krzakach.

– A problem w...?

– Oj, nie kuś mnie.

Pocałowaliśmy się. Usiadłem obok Robin. Jej skóra i włosy pachniały cedrem i Gio.

Chłodne palce dotknęły mojego karku.

– Miałeś dobry dzień?

– Teraz już lepszy.

Nasz następny uścisk Blanche obserwowała z przekrzywioną głową i nadstawionymi uszami.

– Podglądasz, koleżanko? – spytała Robin. Blanche się uśmiechnęła.

Usmażyliśmy sobie omlet z grzybami i serem. Spytałem, co robiła.

– Nic, głównie się obijałam. Mogłabym się do tego przyzwycząić.

Tydzień temu skończyła duże zamówienie: repliki czterech starych gibsonów dla internetowego potentata, który przekazał je na cele charytatywne. Mówiła o nowym projekcie, ale na razie ograniczała się do napraw.

Pomyślałem o wciąż pachnącej, pięćdziesięcioletniej gitarze flamenco, przyniesionej do wyregulowania gryfu.

– Skończyłaś Barbero?

– Aha, okazało się to prostsze, niż przypuszczałam. Paco zabrał ją dwie godziny temu. Musiałeś być rzeczywiście bardzo zajęty. Dzwoniła twoja poczta, podobno nie odebrałeś wiadomości. Jakiś

prawnik chce cię na bieglego.

Powiedziała mi nazwisko.

– Może uda mu się kogoś zwerbować, jak popłaci zaległe rachunki –

odparłem. Dopilem piwo, przeciągnąłem się.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– To brzemię Mila. Ja tylko chodziłem za nim i patrzyłem.

– Na co?

Zawahałem się. Za dawnych czasów unikałem opowiadania o policyjnych sprawach. Dwa rozstania i powroty później miałem już inne podejście do dzielenia się swoim życiem.

W skrócie przedstawiłem sytuację.

– Moczary? – spytała. – Tam, gdzie próbowaliśmy spacerować?

– Tak.

– Trochę upiorne miejsce... – Podobnie określiła bagna Liz Wilkinson.

– Jak to?

– Nie umiem tego sprecyzować. Tak jakoś nieprzyjazne. Gdzie porzucono zwłoki?

– Najświeższe leżały tuż przy wschodnim wejściu. Inne były zatopione kawałek dalej wzdłuż ścieżki.

– Podjechał i wyrzucił. – Zamyśliła się. – Samochód zwracałby uwagę, Alex. Tyle tam dookoła domów.

– W nocy wyłączasz światła i znikasz w ciemności.

Robin odsunęła talerz. Zrobiła sobie sok żurawinowy z odrobiną grey goose.

– Trzy zatopione ciała i jedno na wierzchu. Co to znaczy?

– Może zwiększoną pewność siebie.

– Przechwalał się – powiedziała. – Jakby to był powód do dumy.

Internetowy potentat przysłał Robin pudło filmów z Audrey Hepburn.

Przedarliśmy się już przez większość DVD. Na długi, spokojny wieczór zostawiliśmy sobie Szaradę.

Dziesięć minut po rozpoczęciu filmu zadzwonił telefon. Nie odebrałem, mocniej przytuliłem Robin. Kilka sekund później dzwonienie się powtórzyło. Zapauzowałem Cary'ego Granta.

– Jesteś wolny jutro o dziesiątej, prawda? – spytał Milo. – Przylatuje matka Seleny.

– Jasne.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście.

– Przeszkodziłem w czymś?

– W skomplikowanej intrydze w wykonaniu pięknych ludzi.

– Film – stwierdził domyślnie.

– Brawo, detektywie.

– Na pewno nie prawdziwe życie. Wracaj do filmowych snów. Jutro opowiem ci o kościach.

– Co o kościach?

– Nie ma mowy, żebym odciągał cię od Robin, pieska i fikcyjnych pięknych ludzi.

– Co o kościach?

– Doktor Hargrove uwinęła się szybciej, niż myślała. Wyłowiła trzy prawie kompletne szkielety, bez prawych dłoni. Jane Doe Numer Dwa to również czarnoskóra kobieta, ten sam przedział wiekowy co Jane Doe ze złamaną nogą. Prawdopodobnie też uduszona. Wnioskując z długości kości udowych, co najmniej metr siedemdziesiąt wzrostu, a ślady zwyrodnień wskazują że chyba miała znaczną nadwagę. Hargrove ocenia, iż zwłoki pochowano z pół roku temu, ale nie powie tego oficjalnie.

Numer Trzy to biała kobieta, starsza niż pozostałe, bliżej pięćdziesiątki, średniego wzrostu, też złamana kość gnykowa, żadnych znaków szczególnych. Czas śmierci zbliżony do Jane Dwa, ale to nic pewnego.

Jeszcze jeden drobiazg: policja z San Diego szuka zaginionej czarnoskórej kobiety, Sheralyn Dawkins. Dwadzieścia dziewięć lat, aresztowana za prostytutkę i narkotyki, złamała nogę w wypadku samochodowym pięć lat temu i utykała.

– Dwieście kilometrów stąd – zauważyłem. – Nasz chłopiec lubi podróże?

– Tego mi tylko trzeba. Kazałem Reedowi znaleźć jej rodzinę, pojechać tam i zawiadomić o śmierci. Niech poczuje satysfakcję, że czegoś dokonał, chłopak ma niską samoocenę, nie?

– Udało się coś z księgowymi Vandera?

– Nic a nic. W Global Investments skierowali go do prawnika Van-

dera, gdzie utknął na etapie kontaktu z sekretarką która najpierw kazała mu czekać, a potem powiedziała, że Oddzwoni. Nie mamy też nic na Travisa Hucka, Silforda Duboffa ani ich potencjalnych związków.

– Ekscytujący świat detektywa – mruknąłem.

– Zobaczymy, czego Reed się dowie od rodziny SHERALYN DAWKINS.

Może przeniosła się do LA i uda się nam ją z kimś powiązać.

– Hm... Mokrado znajduje się niedaleko lotniska, a okolica LAX jest pełna prostytutek.

– No... podoba mi się ta wersja. Dobra, wracaj do swojego filmu –

powiedział Milo. – Który to?

– Szarada.

– Igraszki w Paryżu i cięte dialogi. Gdyby tylko zbrodnia rzeczywiście była tak przyjemna.

– Chcesz potem pożyczyć?

– Nie. W tej chwili nie stać mnie na fantazje.

Przyjechałem na spotkanie z matką Seleny Bass punktualnie.

– Już zaczęli – poinformował mnie cywilny recepcjonista. – Sala D, na górze.

Drzwi były otwarte, klimatyzacja huczała. Milo siedział naprzeciwko Emily Green–Bass. Krawat miał równo zawiązany, twarz łagodną.

Widywałem go, jak ćwiczył przed lustrem przed spotkaniami z krewnymi pogrążonymi w żałobie. Pilnował się, żeby w oczach nie zabłysło mu to wilcze spojrzenie.

Siwe włosy Emily Green–Bass były teraz długie i zaplecione we francuski warkocz. Miała na sobie czarny półgolf, szarą długą spódnicę i czarne, zamszowe pantofle na płaskich obcasach. Sprzedawała biżuterię, ale nie nosiła żadnych błyskotek. Rysy jak wycięte laserem, zbyt ostre, pozbawiały twarz piękna. W dobrych czasach była ładną kobietą. Teraz –

lodowym posągiem.

Z boku stołu siedziało dwóch zwalistych mężczyzn po trzydziestce.

Starszy w żółtej koszulce polo, brązowych spodniach, żeglarskich butach.

Rudoblond włosy zaczesał z przedziałkiem w menedżerskim stylu. Gładko ogolony, o byczym karku, z czerwonym nosem.

Młodszy był ciemniejszy, z bardziej kościstą twarzą. Miał na sobie spłowiałą, szarą koszulkę „David Lynch rządzi”, pogniecione bojówki, wysokie, sznurowane buty. Faliste, ciemne włosy opadały mu do ramion.

Trójkątną bródkę pod dolną wargą utlenił na białą. Z tylnej kieszeni spodni zwisał mu chromowany łańcuch; kiedy mężczyzna odwrócił się do mnie, łańcuch zabrzączał. Milo dokonał prezentacji.

– To mama i bracia Seleny, doktorze Delaware.

Emily Green–Bass wyciągnęła długą, białą dłoń, zimną, jakby jeszcze przed chwilą trzymała ręce w zamrażarce. Uścisnąłem ją krótko obiema moimi, a szare oczy kobiety zwilgotniały.

– Chris Green – przedstawił się facet w koszulce polo.

– Marc – mruknął ten z bródką.

– Właśnie rozmawialiśmy o życiu Seleny w LA. Marc miał z nią kontakt, kiedy się tu przeprowadziła.

– Odwiedziła mnie w Oakland – powiedział Marc. – Mówiła, że u niej wszystko dobrze. To samo



napisała w mailu do mamy.

Emily Green–Bass nie odrywała ode mnie wzroku.

– Cieszę się, że jest tu psycholog. To, co się stało, to robota wariata. W

życiu Seleny nie było żadnych ekscesów. Już od dawna.

– Nigdy nie było – sprostował Marc Green. – Wcześniej to zwykle głupoty wieku dorastania.

– Skoro tak twierdzisz, Marcus. – Słaby uśmiech. – Kiedy ja się musiałam z tym męczyć, nie tak to wyglądało.

Marc wzruszył ramionami. Łańcuch zadzwonił; Green sięgnął za siebie, żeby go uciszyć.

– Ja robiłem takie same głupoty. Chris też. Jedyne różnica, że my lepiej się z tym kryliśmy.

Spojrzał na brata, oczekując potwierdzenia.

– Aha – mruknął Chris.

– Niestety dla Seleny – ciągnął Marc – miała przymus przyznawania się do wszystkiego. Prawda?

Chris smutno się uśmiechnął.

– Jak katolicy. Tyle że my nie jesteśmy katolikami.

– Najpierw nam się spowiadała – kontynuował Marc. – „Paliłam skręta”. „Oglądałam film dla dorosłych na kablówce”. „Skłamałam mamie, gdzie byłam”. A my, no nie mów nam, głupia. A już na pewno nie mów mamie. Więc oczywiście mówiła.

Emily Green–Bass zaczęła płakać.

– Typowe zachowania nastolatki – skwitował Milo.

– To strata czasu – stwierdził Marc.

– Wciągnęła się w muzykę, granie – powiedział Chris.

– I co z tego!

– Wyluzuj, Marc. Chcę tylko, żeby znali wszystkie fakty...

– Fakty są takie, że była w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, wpadła na reinkarnację Teda Bundy’ego.

Nikt się nie odezwał.

– To może niespodzianka, ale zainteresowanie muzyką nie oznacza, że ktoś jest świrem – skomentował zgryźliwie Marc. – Z natury była spokojna. Kiedy poznała pewnych ludzi, z którymi muszę się zadawać, uznała, że to czubki.

– A co to za ludzie? – spytał Milo.

– Z pracy – odparł Marc.

– Czyli skąd?

– To ważne?

– Marcus, pan stara się nam pomóc – upomniała go matka.

– Świetnie. – Mruknął do Mila: – Pracuję wszędzie, gdzie mi płacą.

– Marc skończył inżynierię dźwięku – wyjaśniła Emily Green—Bass.

– Robię nagrania i nagłaśniam imprezy, głównie koncerty i niezależne filmy. A skoro już przedstawiamy oficjalną biografię rodziny, starszy brat Chris pracuje w Starbucksie. To mało znana sieć kawiarni z Seattle.

– Marketing i dystrybucja – uzupełnił Chris.

– Kiedy Selena pana odwiedziła, Marc? – spytałem.

– Rok temu i może z pół roku później. Za pierwszym razem pracowałem przy filmie, a ona za mną łąziła. Wtedy mi powiedziała, że ludzie, z którymi pracuję, są dziwni. Akurat w przypadku tej konkretnej ekipy to prawda. Połowa dialogów była po włosku, reszta pantomimą, to był jakiś hołd dla Pasoliniego, tyle że nikt tam nie znał włoskiego.

– Ale Oscary się zgarnia – zadrwił jego brat.

– Hej, wszyscy nie mogą żyć z kofeiny.

– Druga wizyta Seleny... – podpowiedział Milo.

– Zaprosiłem siostrę na weekend, żeby jej przedstawić Cleo, wtedy moją narzeczoną, teraz żonę. Właśnie urodziło się nam dziecko. Dlatego powinienem być w domu. Możemy się streszczać?

Milo odchylił się w tył na krześle i założył nogę na nogę.

– Jeśli nie ma pan nic więcej do dodania, droga wolna.

Marc potarł bródkę, założył włosy za lewe ucho. Szyję zdobił

niebiesko–zielony tatuaż. „Cleo” w plątaniu pnączy. Oby ich małżeństwo przetrwało.

– A zresztą, mam lot o dwudziestej pierwszej. Po co go przekładać –

stwierdził.

– Selena dwa razy się z tobą widziała, tak? – zagadnął Chris. – A do mnie nawet łaskawie nie oddzwoniła.

– Widać nie miała czasu na korporacyjne pogaduszki. Chris odwrócił

się od brata.

– Dzwonił pan do niej... – pociągnął wątek Milo.

– Żeby zapytać, co u niej słysząc.

– Kiedy ostatni raz z nią pan rozmawiał?

– Nie wiem... dwa lata temu?

– Mocne rodzinne więzy, co? – skomentował Marc.

– Ojciec Chrisa i Marca odszedł, kiedy chłopcy mieli rok i trzy lata –

powiedziała Emily Green–Bass. – Od tamtej pory nie dał znaku życia. –

Spojrzała na synów, marszcząc czoło, jakby ich za to winiła. – Tatę Seleny poznałam rok później. Był dla was dobry, chłopcy.

Żaden nie zaprzeczył.

– Dan zmarł, kiedy Selena miała sześć lat. Wychowałam ją sama i pewnie ktoś mógłby uznać, że spieprzyłam sprawę.

– Nieprawda, mam – zaprotestował Chris.

– Możemy się skupić na Selenie? – burknął Marc. Cisza.

– Po co te dygresje? – ciągnął. – Selena miała talent, ale była bardzo świętoszkowata. Nie mówię, że nigdy nie pociągnęła skręta, ale nawet kiedy ona i mama obrażały się na siebie, nie zrobiła nic na złość. Na przykład nie zadawała się z nikim nieodpowiednim. Wręcz przeciwnie.

Mówiliśmy na nią siostra C. Jak cnotka.

– Sama siebie tak nazywała – wtrącił Chris.

– Miała chłopaków? – spytał Milo.

– Nie – odparł Marc.

– Pani Green–Bass?

– Nie, nigdy żadnego nie widziałam.

Zakryła twarz. Marc sięgnął, żeby poklepać ją po ramieniu. Odsunęła się.

– O Boże – załkała przez palce. – To takie straszne. Marcowi zadrżały usta.

– Mamo, Selena sama na siebie nie ściągnęła tego nieszczęścia. Zdarza się, życie jest do dupy. Schodzisz z chodnika, a tu jedzie jakiś dupek. Mnie się coś takiego przydarzyło. Zaraz po tym, jak Cleo urodziła Phaedrę.

Wyszedłem ze szpitala, żeby kupić szampana, fruwałem z radości.

Schodzę na pasy, a tu nie wiadomo skąd wyjeżdża pieprzona ciężarówka San Francisco Examiner, minęła mnie o milimetr.

– Marcus, nie opowiadaj mi takich rzeczy! Nie chcę tego słuchać!

– A więc nikt nie widział o żadnym chłopaku– podsumował Milo. – A przyjaciele? Ludzie, z którymi trzymała się tutaj, w LA?

Cisza.

– Naprawdę wydawała się zadowolona ze swojej pracy– odezwała się po chwili Emily Green–Bass.

– O tym właśnie mi napisała w mailu.

– Uczyła bogatego dzieciaka – dodał Marc. – Mówiła, że to fucha jak marzenie. Dzwoniła, żeby mi o tym opowiedzieć, bo ja też zajmuję się muzyką. Grałem na basie. Nie żebym kiedykolwiek dorównywał Selenie.

Ja po prostu umiem grać, ona była genialna. Usiadła do pianina, kiedy miała trzy lata, i po prostu zaczęła na nim zasuwać. W wieku pięciu lat grała Gershwiną ze słuchu. Umiała grać na wszystkim, co jej wpadło w ręce. Kiedyś wzięła klarnet i zagrała na nim gamę. Od razu załapała, jak dmuchać.

– Cudowne dziecko – stwierdził Milo.

– Nikt nie używał tego określenia. Mówiliśmy po prostu, że jest niesamowita.

– Byłam bardzo zajęta zarabianiem na życie – powiedziała Emily. –

Cieszyłam się, że córka znalazła sobie ciekawe zajęcie.

– Któregoś dnia wchodzę – ciągnął Marc – to znaczy dawno temu, kiedy Selena miała osiem czy dziewięć lat. Siedzi w salonie i brzdąka na mojej gitarze. Nowiutkiej, dostałem na urodziny. Wkurzyłem się, że ją wzięła bez pytania. A potem nagle słyszę, że ona naprawdę gra. Nie brała żadnych lekcji, sama nauczyła się kilku akordów.

– Kiedy miała jedenaście lat – powiedziała Emily – zauważyłam, że najbardziej pociąga córkę pianino, więc posłałam ją na kurs. Wtedy jeszcze mieszkaliśmy w Ames w Iowa. Sklep muzyczny prowadził tam zajęcia. Selena okazała się lepsza od pierwszego nauczyciela, potem od dwóch następnych. Stwierdzili, że muszę znaleźć kogoś, kto ma wyższe wykształcenie muzyczne. Kiedy przeprowadziliśmy się na Long Island, znalazłam starszą panią, która była profesorem konserwatorium w Związku Radzieckim. Niemierow, madame Niemierow. Była bardzo stara, nosiła suknie balowe. Selena uczyła się u niej do piętnastego roku życia. A potem któregoś dnia po prostu przestała. Tłumaczyła, że nie znosi klasyki.

Powiedziałam jej, że marnuje talent dany od Boga, że nigdy więcej już nie zagra. Odparła, że się mylę. Zrobiło się... to jedno z naszych największych... nieporozumień. Nie było łatwo. Selena zupełnie odpuściła sobie szkołę, dostawała trójce i dwójce. Twierdziła, że życie uczy ją więcej niż jakaś głupia szkoła.

– Co ty powiesz? – mruknął Marc.

– Przestała grać? – spytałem.

– Nie. Rzeczywiście się myliłam. Grała nawet więcej, tyle tylko że mało klasyki. Trochę Liszta, Szopena. – Smutny uśmiech. – Etiudy Szopena. Lubiła te w tonacjach molowych. A przynajmniej tak mówiła, ja tam się nie znam. Selena odziedziczyła talent po ojcu, grał na gitarze, banjo, na wszystkim. Uwielbiał bluegrass, pochodził z Arkansas. Madame Niemierow mówiła, że Selena jest jednym z jej najzdolniejszych uczniów, że ma słuch absolutny. Według niej córka mogła być wielką pianistką, gdyby zechciała.

– Ale Selena uważała, że jeżdżenie po świecie i granie Beethovena dla wyfraczonych sztywniaków pozbawi jej życie normalności – wtrącił Marc.

– A więc to było lepsze? – rzuciła Emily. – Nie robić zupełnie nic aż do dwudziestego pierwszego roku życia? A potem spakować się i wyjechać do LA? Zupełnie w ciemno.

– Uciekła? – spytał Milo.

– Kiedy jest się pełnoletnim, tak tego nie nazywają. Zabrała wszystkie swoje rzeczy i zostawiła kartkę, że przenosi się „na wybrzeże” i żebym nie próbowała jej powstrzymać. Wpadłam w panikę. Zadzwoniła kilka dni później, ale nie chciała powiedzieć, gdzie jest. Twierdziła, że utrzymuje się ze „sztuki”. Cokolwiek to znaczyło.

– Załapała się na klubowe imprezy – wyjaśnił Marc. – Grała na klawiszach.

Matka popatrzyła na niego nieruchomym wzrokiem.

– No, to dla mnie nowina, Marcus.

– Więc dobrze, że tu jestem, to już wiesz.

Dłoń Emily Green-Bass uniosła się i pomknęła w stronę jego twarzy.

Zatrzymała się, zadrżała.

– Poruczniku, to Selena zdecydowała nie utrzymywać ze mną stałych kontaktów. Zupełnie mnie odsunęła. Nie mam pojęcia, co robiła przez te wszystkie lata. To było piekło. Gdybym nie musiała prowadzić firmy, przyjechałabym tu i odszukałabym córkę. Dzwoniłam na policję, ale nie znałam adresu, więc nie potrafili mi wskazać odpowiedniego komisariatu.

A ponieważ Selena była pełnoletnia i wyjechała z własnej woli, nikt nie mógł nic zrobić. Sugerowali, żebym wynajęła prywatnego detektywa. Ale to droga impreza. Poza tym wiedziałam, że takie węszenie zirytowałoby córkę, dlatego zajęłam się swoimi sprawami i wmawiałam sobie, że wszystko będzie dobrze.

– Kiedy dzwoniła pani na policję? – spytał Milo.

– Na samym początku. Ze cztery, pięć lat temu. Cały czas miałam nadzieję, że poprosi o pieniądze, przynajmniej mogłabym się domyślać, co robi. – Odwróciła się do Marca. – A teraz ty mi mówisz, że doskonale się orientowałeś, gdzie ona pracuje.

Marc Green poruszył się niespokojnie.

– To nie było nic wielkiego.

– Dla mnie było.

– Nie chciała, żebyś wiedziała, co robi. Uważała, że próbowałabyś jej przeszkodzić.

– A niby dlaczego? Cisza.

– Nie przeszkadzałabym jej – stwierdziła z mocą Emily Green—Bass. –

A teraz powiedz nam wszystko, co wiesz! Wszystko.

Marc szarpnął kosmyk włosów.

– Ale już, Marcus!

– To nic takiego. Na pewno...

– No gadaj, Marcus!

– Dobra! Nie chciała, żebyś o tym wiedziała, bo środowisko, w którym się kręciła, jej nie ruszało. Ona tylko grała.

– O czym ty mówisz!?

– Mamo, przysięgłem, że nie puszcze pary z ust, nie miałem powodu łamać...

– Teraz pan ma – przerwał mu Milo.

– Dobra, ale to naprawdę nic nie znaczy. Jak mówiłem, grała w klubach. No i wiadomo, były imprezy. – Odwrócił się do matki. – Wolą, żebyś nie słyszała o różnych sytuacjach, bo byś panikowała.

– Jakich sytuacjach? Cisza.

Emily Green–Bass chwyciła syna za nadgarstek i przyciągnęła do siebie.

– Jestem jakąś skamieliną, Marc? Nie mam kontaktu z rzeczywistością?

Lubię rocka. Twoja siostra nie żyje! Ci ludzie muszą wiedzieć!

Marc oblizwał usta.

– Nie mówię o muzyce, mam. To były... specjalne imprezy... z grupowym seksem, jasne? Zboczeńcy chcieli mieć tło muzyczne.

Emily Green–Bass puściła jego rękaw.

– Mój Boże.

– Chciałaś wiedzieć, mam, to teraz wiesz. Selena była spłukana, bez grosza, więc przeglądała darmowe gazetki i znalazła ogłoszenie, że potrzebny jest klawiszowiec na prywatnym przyjęciu. Miała swojego korga, pro toolsa, wszystko to, co jej kupiłaś na osiemnastkę.

– To działa z komputerem, prawda? – zagadnął Milo.

– I z kablem, i z wtyczką– prychnął Marc. – Oczywiście, że działa z komputerem.

– W jej mieszkaniu nie znaleźliśmy komputera.

– A cała reszta była?

– Najwyraźniej.

– Ciekawe.

– Ktoś to zrobił dla maca? – zdziwił się Chris Green.

– Albo chcieli mieć jej dane – zasugerował Marc Green.

– Jakie dane? – spytał Milo.

– Nie wiem, tak tylko mówię.

– Czyli co?

– Może robiła notatki z imprez. Pisała o tym, co widziała, a ktoś chciał

zachować prywatność.

– Zboczeńcy – wymamrotała Emily Green–Bass. – O Boże.

– Niech pan nam opowie o tych imprezach, Marc – poprosił Milo.

– Selena wspominała tylko, że to imprezy zboczeńców w prywatnych domach. Nie wchodziliśmy w szczegóły. Prawdę mówiąc, nawet nie chciałem wiedzieć.

– Całą prawdę, Marcus – wycedziła Emily.

– To cała prawda.

– Co chwila tak mówisz, cholera jasna, a potem dorzucasz nowe szczegóły! Zawsze byłeś przekorny.

Marc zgrzytnął zębami.

– Wiem tyle, że Selena grała dla ludzi uprawiających jawny seks w prywatnych domach. Powiedziała, że chcą mieć muzykę na żywo, kiedy się pieprzą, bo to ekshibicjoniści i bzykanie się przed żywym muzykiem ich podniecało.

– Nie bądź wulgarny... mój Boże, poruczniku, a jeśli ktoś ją namówił, żeby... nie tylko grała?

– Niczego takiego nawet nie sugerowała, mamó. Nigdy. Zajmowała się muzyką, to wszystko. Dobrze jej płacili, była bardzo zadowolona.

– Podała panu sumę? – spytał Milo.

– Nie, a mnie to nic nie obchodziło. – Marc wyciągnął swój łańcuch, zaczął się bawić kluczami. – Dobra, skoro już wzięliśmy Selenę pod mikroskop i odarliśmy ją z prywatności, możecie, koledzy, teraz zająć się śledztwem?

– Wyluzuj, bracie – mruknął Chris.

– Kiedy dokładnie powiedziała panu o tych imprezach? – zwrócił się Milo do Marca.

– Kiedy widzieliśmy się po raz drugi.

– Sześć miesięcy temu.

– Wiedziała, że tylko ja z całej rodziny nie będę jej osądzał. Generalnie śmiała się z tego. Nadzy starzy ludzie pieprzą się i liżą, a ona gra Air Supply. Potem dostała tę fuchę z lekcjami.

– Jak ją znalazła?

– Nie mówiła.



- Może któryś z tych zboczeńców zwariował – jęknęła Emily.
- Sprawdźmy to, proszę pani – zapewnił Milo. – Mówiła pani o swojej pracy z synem Vanderów?
- Powiedziała, że dostała pełny etat i uczy muzycznego geniusza.
- Napisała do mnie mail, a ja natychmiast odpowiedziałam. Poprosiłam, żeby zadzwoniła, i zadzwoniła. Ale tylko raz. Wydawała się szczęśliwa. –
- Pociągnięcie nosem. – Myślałam, że znów się odezwie. Powiedziała, że jestem z niej dumna. Chciałam, żeby przyjechała chociaż mnie odwiedzić.
- Miała się zastanowić, ale wcale się nie pokazała.
- Wydrukowała sobie pani e-mail – zauważył Milo. – Najwyraźniej dużo dla niej znaczył.
- Dziękuję. Odwrócił się do braci.
- Wiecie, panowie, jak spotkała Vanderów? Chris pokręcił głową.
- W branży muzycznej generalnie wszystko działa z polecenia –
- powiedział Marc. – Och, pan myśli, że ci zboczeńcy usłyszeli, jak Selena gra na którymś z maratonów ruchania, i potem ją wynajęli? To by miało sens.
- Dlaczego?
- Obłeśni bogacze robią, co chcą.
- O mój Boże – westchnęła Emily.
- Lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków – ostrzegł Milo. – O
- Vanderach wiemy tylko tyle, że zatrudnili Selenę jako nauczycielkę gry na pianinie. Ale tego właśnie nam potrzeba, wszelkich tropów prowadzących do ludzi obecnych w życiu Seleny. Dlatego jeśli ktoś z państwa ma jeszcze jakieś pomysły, proszę mówić.
- Ten układ z bogatymi gnojami całkowicie by się zgadzał – stwierdził
- Marc. – Selena spotyka ich na paradzie zboczeńców, a oni postanawiają ją wciągnąć...
- Nie słyszałeś? – przerwał mu brat. – Nie ma podstaw, żeby... Marc odwrócił się do niego gwałtownie.
- A ty miałeś coś do powiedzenia? Odwal się. Twarz Chrisa pociemniała do koloru buraka.
- Sam się odwal.

– Przestańcie! – zawołała Emily Green–Bass. – Nie mogę tego znieść; jakby wszystko zaczęło gnić.

Patrzyliśmy, jak matka i synowie odjeżdżają trzema różnymi samochodami z wypożyczalni.

– Nie ma to jak bliskość – sapnął Milo. – Najwyraźniej Selena nie trzymała się z żadnym z nich.

– Ludzie przyjeżdżają do LA, żeby się zgubić – powiedziałem.

– Mówisz o sobie, o mnie czy o wszystkich?

– Jeśli się poczuwasz?

Wróciliśmy do jego biura.

– Prywatne występy na orgiach tłumaczyłyby, dlaczego Selena trzymała seksualne gadżety. Zaczęła od grania, skończyła na rozrywkach innego rodzaju.

– Ładna dziewczyna, a poza panny cnotki mogłaby się podobać libertynom. – Milo się uśmiechnął. – Ostatni raz słyszałem to słowo od siostry Mary Patrick Okrutnej.

Wyłowił cygaro z szuflady, rozpakował, obrócił w palcach.

– Co sądzisz o gniewnym bracie?

– Tylko on miał bliższy kontakt z Seleną, ale porywczy temperament potrafi człowieka skłonić do różnych rzeczy.

Milo sprawdził Marca w bazie danych.

– Czysty. A więc może powinniśmy zaufać jego przeczuciom i Vanderowie bulili pięćdziesiąt kawałków rocznie za coś więcej niż lekcje pianina.

– Skoro dzieciak to geniusz, pomyślałby kto, że rodzina wynajmie sławnego nauczyciela, a nie przymierającą głodem pianistkę, która nie skończyła nauki. Z drugiej strony, trudno o lepsze wytłumaczenie tego, żeby Selena była pod ręką.

– Stuka w klawisze, a potem stuka tatę i mamę.

– To by tłumaczyło aktywność gruczołów potowych Tralisa Hucka. I kamienny mur, od którego odbił się Reed, kiedy próbował rozmawiać z księgowymi. A Vanderowie akurat przypadkiem są w podróży, kiedy Selena zostaje znaleziona martwa.

– Styl życia bogatych i lubieżnych – powiedział Milo. – Może Marc Green jest drażliwy na punkcie różnic społecznych, ale to jeszcze nie znaczy, że nie ma racji. – Potarł twarz. – Dom na końcu drogi, zamknięta brama, żadnych sąsiadów w zasięgu wzroku. Idealne miejsce na ciekawe spotkania. Selena wyznała bratu, że dostaje niezłe pieniądze. A może otrzymywała premie za występy pozamuzyczne, a

potem zobaczyła coś, co sprawiło, że jej się odechciało?

– Albo zagroziła komuś dosłownie.

– Szantaż?

– Wielkie sekrety, wielkie pieniądze.

– Zgadza się, tak to działa.

– Z drugiej strony – wtrąciłem – prawda może się okazać dużo bardziej dołująca.

– Czyli?

– Przekroczyła datę przydatności do spożycia i została wyrzucona. Co łączyłoby ją z Sheralyn Dawkins. I innymi Jane Doe, jeśli też zarabiała sprzedawaniem seksu.

– Zużyte i wyrzucone.

– W środowisku miłośników seksu grupowego ważne są nowinki –

powiedziałem. – Najgorsze to się znudzić. Przez jakiś czas zatrudniano profesjonalistki. Potem zjawiała się Selena, pozornie niewinna. To podkreśliło atmosferę.

– Niewinna nie tylko pozornie – sprostował Milo. – Dwadzieścia sześć lat i nic, aż wpadła w złe towarzystwo. Lata grania po klubach zrobiły swoje. Myślisz, że to możliwe?

– Wszystko jest możliwe – odparłem. – Dlatego właśnie nasza praca jest taka interesująca.

Telefon do krypty ujawnił, że autopsja Seleny Bass została wyznaczona za trzy dni. Skamlenia Mila, żeby przeskoczyć kolejkę, skończyły się niezobowiązującymi „może”. Kiedy tylko się rozłączył, zadzwonił do niego zastępca komendanta Henry Weinberg. Chciał wiedzieć, kiedy Milo zamierza upublicznić sprawę morderstw na mokradłach.

– Niedługo – odparł Milo i przez długą chwilę niewzruszenie słuchał.

– Niech zgadnę – powiedziałem, kiedy się rozłączył. – „Natychmiast” jest o wiele lepsze niż „niedługo”.

– Szefowie mają już gotowy scenariusz. Czekają, żeby go wygłosić z drewnianą szczerością. Cholerne gryzipiórki kochają konferencje prasowe.

Łatwiej im udawać, że coś robią.

– Przy dwóch niezidentyfikowanych ofiarach media mogłyby pomóc –

zaryzykowałem.

– Media są jak zastrzyk penicyliny, Alex. Przede wszystkim nic przyjemnego. Poza tym to zawsze miecz obosieczny: za mocno się sprawę nagłośni, ludzie pryskają. Zobaczą, czy panie od kości coś znalazły.

Eleanor Hargrove była na mokradłach. Wszystkie kości zostały wydobyte i oznaczone, przygotowywano je do transportu do laboratorium.

Hargrove uważała jednak, że dodatkowe badania nie dadzą już żadnych nowych informacji o danych ofiar. Chociaż Jane Doe Trzy miała „ciekawe uzębienie”.

– Jak to ciekawe? – zdziwił się Milo.

– Dwa mleczne kły wciąż na miejscu, do tego od urodzenia brak zębów mądrości. Jeśli dotrze pan do danych dentystycznych, ustalenie tożsamości zajmie chwilę.

Milo podziękował, zadzwonił do Moe Reeda, potwierdził jego wyprawę do San Diego następnego dnia, umówił drugi służbowy obiad w Cafe Moghul za godzinę.

– Lubi indyjską kuchnię? – spytałem.

– A kogo to obchodzi?

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, Reed pił herbatę. Ta sama marynarka i spodnie khaki, podobne koszula i krawat. Po wielu godzinach na słońcu wyglądał jak średnio wypieczony kotlet z grilla. Robił wrażenie znużonego.

Kobieta w sari przyniosła nam wszystko, co akurat tego dnia serwował szef kuchni.

Milo żarł. Reed nie tknął swojego dania.

– Nie lubisz indyjskich potraw? – spytał Milo.

– Jadłem późne śniadanie.

– Gdzie?

– W Międzynarodowym Domu Naleśników.

– Niemieckie naleśniki, sos jabłkowy?

– Tylko jajecznica.

– Chłopcze, musisz się nabić węglowodanami przed długą podróżą. –

Milo poklepał swój wydęty brzuch. – Masz się czym pochwalić?

– Rozmawiałem z Alną Reynolds, dziewczyną Duboffa. Wydaje się tak samo świrnięta jak on, ciągle powtarzała, że te moczary są święte, chociaż jest ateistką. Pomyślałem, że odcinanie dłoni może być religijnym rytuałem, ale sprawdziłem przeróżne religie i żadna nie ma nic takiego, nawet wicca i voodoo. Reynolds potwierdziła, że nie było jej w mieście, tak jak mówił Duboff. A ja nadal nie znalazłem w przeszłości faceta żadnych psychoz. Właściciel tej lewicowej księgarni, dawny szef, twierdzi, że Duboff nie cierpiał przemocy, wynosił robaki i pająki na dwór, żeby je wypuścić.

– Hitler był wegetarianinem – powiedział Milo.

Niebieskie oczy młodego detektywa przyjrzały mu się badawczo.

– Tak?

– Der Fuhrer und der Tofu. Reed się uśmiechnął.

– Co do Trávisa Hucka, też mam wielkie nic. Ale coś mi w nim ciągle nie pasuje, poruczniku. Jest nerwowy i kręci.

– Może dlatego, że chroni Vanderów. – Milo streścił to, czego się dowiedzieliśmy od Marca Greena.

– Imprezy dziwaków. – Reed pokręcił głową. – Musimy się o tych ludziach dowiedzieć więcej.

Otwarte drzwi wpuściły do środka jazgot ulicy. Do restauracji wszedł

przystojny czarnoskóry mężczyzna.

Tuż po trzydziestce, metr osiemdziesiąt wzrostu, krótko ostrzyżony, muskularna budowa ciała podkreślona eleganckim, grafitowym garniturem. Błękitna jedwabna koszula lśniła. Jak i mokasyny ze skóry aligatora.

Podeszła do niego kobieta w sari. Po kilkusekundowej rozmowie uśmiechnęła się. Mężczyzna ruszył do naszego stolika. Raczej sunął, niż szedł.

– Cień z przeszłości – mruknął Milo.

Moe Reed poruszył się na krześle. Wyraz jego twarzy się zmienił; zacisnął wargi, zmrużył oczy tak, że blade tęczołki ledwie wyzierały spod przymkniętych powiek. Mocniej chwycił szklankę z herbatą.

Nadejście mężczyzny zwiastowała chmurka lekkiej, świeżej wody kolońskiej. Miał regularne rysy twarzy i gładką skórę młodego Belafontego. Wyszczерzył się szeroko i wyciągnął rękę do Mila.

– Gratulacje, świeżo awansowany poruczniku Sturgis.

Jego garnitur miał ręcznie obszywane, spiczaste klapy i dziurki od guzików na mankietach. Na błękitnej koszuli – monogram ADF. Gadzie buty wyglądały na nowiutkie.

– Kopę lat, były detektywie Fox – odparł Milo. – To jest doktor Alex Delaware, nasz konsultant psycholog, a to...

– My się znamy. – Moe Reed się odwrócił.

Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę. Zaciśnął zęby. Potem się do mnie uśmiechnął.

– Aaron Fox, doktorze. Światu przydałoby się trochę więcej psychologów.

Uścisnąłem ciepłą, suchą dłoń.

Fox przysunął krzesło od sąsiedniego stolika, ustawił je tyłem i usiadł

okrakiem. Nalał sobie herbaty, upił łyk.

– Aaach, dobra i odświeżająca. Smakuje jak biała herbata z nutką jaśminu.

Reed gapił się w okno. Teraz obie dłonie miał zwinięte w pięści.

– A więc nie muszę was sobie przedstawiać – powiedział Milo. Aaron Fox się zaśmiał.

– Nie, o ile jeden z nas nie cierpi na alzheimera. – Położył dłoń na grubym ramieniu Reeda. – Jak tam twój mózg, Moses? O ile się orientuję, mój ciągle działa.

Reed siedział bez słowa.

– Taki mózg jak twój, Moses – ciągnął Fox – prawdopodobnie będzie dalej dobrze funkcjonował w przewidywalnej przyszłości.

Reed patrzył mu nad ramieniem.

– Zawsze skromny – stwierdził Fox. – Kiedy byliśmy mali, ja zgarniałem wszelkie pochwały nawet za najbardziej banalne, błahe osiągnięcia. Marketing i promocja, tak? Nie wystarczy mieć produkt, trzeba go jeszcze sprzedać. Młodszy braciszek w to nie wierzy. Jest mądrzejszy ode mnie. Ale nigdy się nie pchał na afisz.

Reed zdjął sobie z ramienia dłoń Foksa i bardzo ostrożnie przeniósł ją na stół.

– Zawsze to robię – oznajmił radośnie Fox. – Zawstydzam go.

Przywilej starszego brata.

– Jesteście braćmi? – Milo zamrugał gwałtownie.

– Nie wiedziałeś? O tak z jednej puli genów, ale tylko chromosom X.

Ta sama mama, różni tatusiowie. Zawsze podejrzewałem, że jego lubiła bardziej. On pewnie powie coś odwrotnego. Prawda, Moses?

Reed odepchnął się od stołu i poszedł do łazienki.

– Nie wiedziałem, że wciąż tak na niego działałam. – Fox wzruszył ramionami. Napił się jeszcze herbaty.

Milo wskazał jedzenie.

– Lubisz indyjską kuchnię?

– Nie mam nic przeciwko, Milo, ale wolę fusion. Chinois, medi–

Kalifornia, południowo–zachodnie sushi. Artystyczny melanz kultur wydobywa najlepsze z ludzkiej kreatywności. Byłeś w tym nowym lokalu na Montana? Wołowina wazy z Japonii. Masują krowy, zanim poderzną im gardła. Trochę jak w departamencie, co?

Milo się uśmiechnął.

– Jak długo już nie pracujesz, Aaron?

– Całe wieki. A dokładnie, w sierpniu miną trzy lata. Może powinienem urządzić imprezkę.

– Wygląda na to, że prywatna przedsiębiorczość ci służy.

– Ja jej służę, więc mi się odwzajemnia. – Fox pogładził jedwabny rękaw. – Tak, jest super, Milo. Inicjatywa i osiągnięcia premiują, dużo wolności, jedyni szefowie to ludzie, którzy wypisują czeki.

– Miło – powiedział Milo. – Dopóki masz wyniki.

– Jak dotąd nie narzekam.

Wrócił Moe Reed. Odsunął swoje krzesło od Foksa i usiadł.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że nie jesteś tu przypadkiem, Aaron? –

spytał Milo. – Ani że nie ściągnęło cię jedzenie?

– Na pewno nie jedzenie – potwierdził Fox. – Jadłem późne śniadanie.

W hotelu Bel–Air z przyszłym klientem.

– Naleśniki morelowe z sosem?

– Niezłe, ale za mało eleganckie na pierwszą randkę, Milo. Tylko jajecznicą ze szczypiorkiem.

– Zadzwoń do Food Network – mruknął Reed.

– Masz rację, bracie, dość tych pogaduszek. Moje intencje są poważne.



Przyszedłem w sprawie Seleny Bass.

– O, to ciekawe. – Milo ożywił się trochę.

– Mam dla was podejrzanego i nie chcę nic w zamian.

Reed prychnął.

– Kogo? – spytał Milo.

– Gościa nazwiskiem Huck. Travis Huck.

– Już go sprawdziliśmy – rzucił szybko Reed. – Nienotowany. Fox szeroko się wyszczerzył.

– Pod tym nazwiskiem.

– Ma inne? – Milo uniósł brwi.

– Zdarzyło mu się – odparł Fox. – Edward Travis Huckstadter. –

Przeliterował. – Nikt tego nie zapisze?

– Przed czym ucieka?

– A niby przed czym? Przed swoją przeszłością.

Aaron Fox odstawił herbatę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Na stół przed Milem spadł plik wycinków z gazet.

– Może nam streścisz, urzędnikom publicznym? – poprosił Milo.

– Z przyjemnością. Edward Travis Huckstadter wychował się w Ferris Ravine, jednym z pustynnych miasteczek na wschód od San Diego. Ojciec nieznany, matka alkoholiczka, wariatka. Kiedy Eddie miał czternaście lat, wdał się w przepychankę z kolegą z klasy i tamten dzieciak umarł. Eddie został skazany za morderstwo, przesiedział trochę w poprawczaku, potem zaliczył kilka rodzin zastępczych. To się nazywa historia psychologiczna, doktorze.

– Czternaście. – Moe Reed dokonał szybkich obliczeń w pamięci. –

Teraz ma trzydzieści siedem. Czyste akta przez dwadzieścia trzy lata...

– Brak aresztowań nie oznacza dobrego zachowania, Moses. Zabił

człowieka, a teraz jest powiązany z ofiarą zabójstwa. Do tego jego przeszłość od chwili, kiedy skończył osiemnaście lat. Wielka biała plama.

Nie ma numeru ubezpieczenia. Formularze podatkowe pojawiły się dopiero trzy lata temu, kiedy pod zmienionym nazwiskiem zaczął

pracować dla bogacza Simona Vandera. Najwyraźniej skłamał, żeby dostać tę robotę, bo nie wyobrażam sobie, żeby milioner zatrudnił gostka z odsiadką na koncie. Wy go spotkaliście. I co? Nic w nim was nie zaalarmowało?

– Skąd wiesz, że się z nim spotkaliśmy? – zaciekał się Milo.

– Dowiaduję się różnych rzeczy.

– A ty spotkałeś Trávisa, Aaron?

– Jeszcze nie miałem tej przyjemności, ale obserwuję go od dwudziestu czterech godzin.

– Dlaczego?

– Kiedy wasza sprawa trafiła do wiadomości, ktoś mnie wynajął, żebym to robił.

– O Selenie nie mówili w wiadomościach.

– W telewizji nie – przyznał Fox. – Ani w „Timesie”. Ale poświęcili jej akapit w „Evening Outlook”. Przynieść wam egzemplarz?

– Nie, dzięki. Ale wywęszyłeś coś?

– Jak dotąd wyszedł tylko na zakupy, ale dziwnie chodzi i krzywo się uśmiecha.

– Nie podoba ci się jego wygląd. To dopiero dowód – zadrwił Reed.

Huck był jego głównym kandydatem na podejrzanego, ale tutaj chodziło o coś innego.

Fox poklepał wycinki z gazet.

– Zabił człowieka, pacholęciem będąc.

– Dwadzieścia trzy lata temu.

– Macie kogoś lepszego? Reed nie odpowiedział.

– Tak właśnie myślałem. Podsuwam dobry trop. Co z nim zrobicie, to wasza sprawa.

– Akta młodocianych są zamknięte – zauważył Milo. – Skąd to wszystko wiesz?

Fox się uśmiechnął.

– To było bardzo pomocne – powiedział Reed.

Złotopiwne oczy Foksa rozbłyły. Strzelił mankietem, zerknął na patka philippe z błękitną tarczą.

– Wygląda na to, że bardzo ci zależy, żeby Huck został naszym zbrodniarzem – stwierdził Milo.

Aaron Fox przez nanosekundę zastanawiał się nad emocją. Wybrał

spokój.

– Nie, po prostu jestem świadom faktów.

– Kto cię wynajął, żebyś przyjrzał się temu gościowi?

– Żałuję, ale obowiązuje mnie tajemnica.

– Mamy poprosić o nakaz aresztowania na podstawie informacji sprzed dwudziestu trzech lat, zdobytej nielegalnie od informatora, który się boi ujawnić. – Reed pokręcił głową.

Obaj bracia napięli się jak lance. Na krótką chwilę znów zmienili się w zwaśnione dzieci. Fox pierwszy przerwał pojedynek spojrzeń, uśmiechnął

się i wzruszył ramionami.

– Moses, to, jak detektyw Sturgis postanowi spożytkować informacje, którymi go obdarowałem, to już nie moja sprawa. – Wstał. – Spełniłem swój obywatelski obowiązek. Miłego dnia, panowie.

– Skoro twój mózg tak świetnie działa, na pewno przypomnisz sobie, co grozi za utrudnianie

śledztwa – rzucił Reed.

Fox wygładził jedwabny kołnierz koszuli.

– Braciszku, jak wygadujesz takie rzeczy, to czacha dymi ci bardziej niż rura któregoś z tych strucli, którymi uparcie jeździsz. – Zwrócił się do Mila: – Chodzą słuchy, że na bagnie znaleziono więcej ofiar. I że na horyzoncie jest konferencja prasowa. Gdybym to ja stał przed mikrofonem, chciałbym znać parę faktów, kiedy zaczną wypluwać nieprzyjemne pytania.

Milo przewertował wycinki grubym kciukiem.

– Będziemy ślezczyć nad każdym słowem, Aaron. Powiedz nam, kto i dlaczego wynajął cię do śledzenia Hucka. To może doda wiarygodności tym tekstom.

– Tu nie chodzi o ich wiarygodność – odparł Fox. – Tylko o to, czy postanowicie je sprawdzić.

Wyłuskał dwudziestkę z portfela ze skóry aligatora, upuścił ją na stół.

– Nie trzeba – mruknął Milo.

– Dzięki, ale zawsze płacę za siebie. – Fox zasalutował nam sprężyscie i wyszedł.

Moe Reed dalej siedział nachylony do przodu.

– Twój brat, tak? – zagadnął Milo. Reed kiwnął głową.

– Obyczajówka nie ma absolutnie nic na Sheralyn Dawkins, ale lepiej się przejdę pod LAX. Może się czegoś dowiem przed podróżą do San Diego.

Wystrzelił z krzesła i wybiegł, zanim Milo zdążył otworzyć usta.

– Ach, radości życia rodzinnego – westchnął Milo.

– Huck też jest z okolic San Diego – zauważyłem.

– Zabawne, nie? Ale po co dawać Foksowi satysfakcję?

Przejrzeliśmy wycinki. Trzy artykuły z „Ferris Ravine Clarion” z miesiąca napisane przez Corę A. Brown, wydawcę i redaktor naczelną gazety. Pierwszy opisywał tragedię. Dwa kolejne nic nowego nie dodawały.

Fakty były takie, jak przedstawił je Aaron Fox: w upalne majowe popołudnie ósmoklasista Eddie Huckstadter, uważany przez nauczycieli za nieśmiałego samotnika, w końcu zareagował na ciągłe zaczepki wyrosniętego dziewięcioklasisty Jeffreya Chenure’a. Podczas konfrontacji na szkolnym dziedzińcu o wiele mniejszy Eddie pchnął swojego dręczyciela w pierś. Jeff Chenure zatoczył się do tyłu, złapał równowagę i skoczył na Eddiego, wymachując pięściami. Zanim zdążył zadać cios, krzyknął, padł na plecy nieżywy.

– To wygląda na wypadek albo w najlepszym razie działanie w obronie własnej – skomentował Milo. – Jestem zaskoczony, że Huck w ogóle trafił

do poprawczaka.

Zasześciłem wycinkami.

– To chciał ci pokazać Fox. Może jednak jest coś jeszcze.

W Internecie nie było nic na temat Eddiego Huckstadtera, jego nazwisko nie pojawiło się też w żadnej kryminalnej bazie danych.

– Nic dziwnego – stwierdził Milo. – Gdyby Fox znalazł coś jeszcze, na pewno by mnie tym obdarował. – Wstał. – Za dużo herbaty, muszę na chwilę zniknąć.

Pod jego nieobecność zadzwoniłem do „Ferris Ravine Clarion”.

Spodziewałem się, że numer jest już dawno nieaktualny. Usłyszałem damski głos.

– „Clarion”.

Przedstawiłem się, spytałem o nazwisko.

– Cora Brown, wydawca, naczelny, felietonistka i dziewczyna od ogłoszeń. I wynoszę śmieci. Policja z LA? Dlaczego?

– Interesuje mnie historia, którą pani opisała kilka lat temu. Chodzi o Eddiego Huckstadtera...

– Eddie? Ten biedny chłopak coś zrobił? Teraz to chyba już mężczyzna. .. Ma kłopoty?

– Pojawił się w dochodzeniu jako świadek. Kiedy go sprawdzaliśmy, trafiliśmy na pani artykuły.

– W dochodzeniu w sprawie czego?

– Zabójstwa.

– Zabójstwa? Nie mówi pan, że to z powodu...

– Nie, proszę pani, jest tylko świadkiem.

– Dobrze... ale czy został przestępcą? Bo to by była tragedia.

– Jak to?

– Gdyby zszedł na złą drogę przez złe traktowanie.

– Dom poprawczy i rodziny zastępcze?

– Tak, ale jeszcze przedtem – powiedziała Cora Brown. – Ta jego matka. Tyle w życiu zależy od szczęścia, prawda? Eddiemu zawsze wiatr wiał w oczy. Moim zdaniem od samego początku miał przechlapane.

Chłopak, którego popchnął, był synem bogatego ranczera. Cała ta rodzina to chamy przyzwyczajone, że jest tak, jak oni chcą, i bez dyskusji. Swoich sezonowych pracowników traktowali jak niewolników. Jak się wychowuje dziecko w takim otoczeniu, to co z niego wyrośnie?

– Chenure’owie wciąż tam mieszkają?

– W Oklahomie, z tego co ostatnio słyszałam. Sprzedali ranczo firmie rolniczej i zajęli się hodowlą black angusów.

– Ile lat temu?

– Zaraz po wypadku z Jeffem. Sandy, jego matka, nigdy już nie doszła do siebie.

– Bogata rodzina – podchwyciłem. – Z drugiej strony Eddie...

– Mieszkał w przyczepie kempingowej z matką wariatką. Tamtego dnia... to była zwykła przepychanka na boisku. Mnóstwo jest takich. –

Pauza. –A dzieci od tego nie umierają. Ot, nieszczęśliwy wypadek. Jeff, zły chłopak, musiał mieć jakiś problem z sercem, skoro nagle umarł.

– Eddie nie popchnął go aż tak mocno.

– Nie. Ale i tak trafił do poprawczaka i wszyscy o nim zapomnieli, dopóki nie został uwolniony.

– Przez kogo?

– Mówił pan, że czytał artykuły, myślałam, że wszystkie. Wymieniłem Corze Brown daty z trzech wycinków.

– Nie, to nie wszystko. Napisałam jeszcze jeden tekst rok później.

– O czym?

– O oczyszczeniu Eddiego z zarzutów. Publiczny obrońca z LA zainteresowała się sprawą. Jak ona się nazywała? Deborah coś tam...

chwileczkę, niech zajrzę do komputera, mój wnuk to geniusz techniczny; w ramach pracy rocznej zeskanował i skatalogował w internetowej bazie danych nasze numery z pięćdziesięciu lat, jeszcze z czasów, kiedy wydawcą był mój tata... dobra, mam. Debora bez „h” Wallenburg. –

Przeliterowała nazwisko. – Niech mi pan da swój adres mailowy, prześlę to panu.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Naprawdę mam nadzieję, że Eddie nie zszedł na złą drogę.

Kiedy Milo wrócił, pomachałem wydrukowanym załącznikiem.

– Oto część, którą Fox przemilczał. Publiczny obrońca zajmowała się apelacją innego chłopca z poprawczaka i jeden z wychowawców opowiedział jej o dzieciaku, którego wszyscy bili, przez co miał kilka wstrząśnień mózgu.

– Neurologiczne problemy Hucka.

– Całkiem prawdopodobne. Wychowawca stwierdził, że Eddie w ogóle nie powinien tam trafić. Debora Wallenburg zajrzała do wyroku, zgodziła się i złożyła wniosek o korektę. Miesiąc później Eddie został zwolniony, a wszystkie zarzuty wycofano. Wysłali go do rodziny zastępczej, bo matka nie była w stanie się nim zająć. Sprawdziłem tę Wallenburg na stronie palestry, teraz ma prywatną kancelarię w Santa Monica.

– Prawniczka–społeczniczka rzeczywiście zrobiła coś dobrego. –Milo z uznaniem pokiwał głową.

– Może Fox nie dotarł do tego artykułu. Albo postanowił go zataić. Co to za facet?

– Nie znam go zbyt dobrze. Pracował przez jakiś czas w Wilshire Division, miał opinię narwanego, bystrego i ambitnego. Przeniósł się do West LA jakieś cztery lata temu, ale niedługo potem odszedł.

– Sam czy go poproszono?

– Słyszałem, że sam.

– Niewiele rodzinnego podobieństwa do Reeda – powiedziałem. – I nie mówię o rasie.

– Żółw i zajac – odparł Milo. – Fox chyba bardzo lubi drażnić naszego Moe. A Reed reagował dokładnie tak, jak powinien.

– Utarcie nosa Reedowi było dla Foksa dodatkową korzyścią. Teraz może wrócić do swojego klienta i zameldować wykonanie zadania.

– Ktoś płaci, żebyśmy się skupili na Hucku.

– I to dobrze płaci– dodałem. – Fox nosi szyte na miarę ciuchy i zegarek za dziesięć tysięcy.

– Może ktoś w domu Vanderów wie, że wędzimy dookoła posiadłości, i chce mieć pewność, że spojrzemy we właściwym kierunku.

– Huck wydaje się dziwny, więc jest odpowiednim kandydatem. Z

drugiej strony, rzeczywiście może być tym, kogo szukasz. Pierwsze, o co spytała Cora Brown, to czy

biedny mały Eddie nie został kryminalistą. Po tym, co przeszedł.

Milo odgarnął czarne włosy z czoła i przeczytał artykuły.

– Wrobiony i zrehabilitowany, ale trafił do poprawczaka, a tam poważni przestępcy namieszcili mu w głowie.

– Dodaj do tego brak matczynej miłości i dryfowanie po rodzinach zastępczych.

– Kończy osiemnaście lat i znika, pokazuje się na radarze dopiero trzy lata temu... tak, to by się składało na to, co nazywacie wysokim ryzykiem dewiacji.

– A wy jak to nazywacie?

– Tropem.



Konferencja prasowa poszła w wiadomościach o jedenastej.

Milo stał sztywno obok, kiedy zastępca komendanta Weinberg uprawiał seks z kamerami, ze stalowym spojrzeniem prosząc obywateli o pomoc.

Podane publicznie fakty były skąpe: Selena Bass i trzy niezidentyfikowane ciała na Ptasich Moczarach, żadnej wzmianki o amputowanych dłoniach. Wszystkie cztery sieci zwieńczyły piętnaście sekund drętwej gadki przemontowanymi, archiwalnymi materiałami o próbie wykupienia mokradała przez postępowych miliarderów oraz fotkami czapli i kaczek.

Milo wiedział, co się potem stanie, i ściągnął Moe Reeda z wycieczki do San Diego. Podzielili się obowiązkami przy telefonie. Do pierwszej w nocy przyszły sześćdziesiąt trzy podpowiedzi. Przez następne pół godziny podano jeszcze pięć. O trzeciej nad ranem wszystkie telefony oprócz jednego, gdzie padło nazwisko alfonsa Sheralyn Dawkins, zostały zaklasyfikowane jako bzdury.

Prośba Reeda o obserwację Trávisa Hucka została przesłana do Pacific Patrol. Jak dotąd odpowiedzi nie było.

– Chyba powinniśmy się zabrać do Duchesnego.

– Spotkanie z alfonsiem o poranku – powiedział Milo. – Dla cze-goś takiego warto wstawać – zadrwił.

Joe Otto Duchesne nie pasował do stereotypu swojego zawodu.

– Możecie mnie traktować jak menedżera zasobów ludzkich. Według danych policji Duchesne w marcu skończył czterdzieści trzy lata.

Wychudzony, poszarzały, siwy i szczerbaty wyglądał raczej na własnego ojca. Według obyczajówki miał cztery albo pięć kobiet na deptaku pod LAX i dużą rotację.

Siedział wygodnie rozparty na krześle w sali przesłuchań. Mówił

zaskakująco składnie, wyglądał niechlujnie. Policyjne notowania tworzyły banalną historię dwudziestu lat uzależnienia od heroiny, choć twierdził, że od siedmiu miesięcy jest „całkowicie czysty”. Mimo upału mankiety koszuli miał pozapinane.

Przyszedł dobrowolnie, a Milo dał mu dużo przestrzeni i swobody–

odsunął stół do kąta, zachowywał się spokojnie. Moe Reed i ja obserwowaliśmy ich przez kamerę przemysłową z sąsiedniego pokoju.

Młody detektyw śledził każde słowo, jak opłacany słuchacz na seminarium

„jak zostać bogatym”.

To Reed znalazł Duchesnego po sześciu godzinach mozolnej harówki: przepytawał miejscowe patrole, dziwki pracujące wokół lotniska, innych drobnych alfonsów kręcących się wokół moteli na godziny.

Jedna z pań pamiętała SHERALYN DAWKINS: „Pracowała dla tego chudego białasa, Joego Ottona, znajdziecie go na Centinela”.

Reed pokazał jej zdjęcie z San Diego.

– Aha, Sheri, kulawa – potwierdziła dziewczyna. – Dobrze na tym wychodziła.

– Na utykaniu?

– Są goście, co to lubią. Może ja też powinnam sobie załatwić jakiś defekt.

Duchesne nie krył swojego „nowego biznesplanu”.

– Ostatnio umawiałem spotkania przez Internet.

– Skoro tak, to na pewno ma pan wszystkie maile i numery telefonów?

– zgadywał Milo.

Duchesne błysnął nierównymi zębami i czarnymi szczerbami.

– Jak powiedziałem, ostatnio, od paru tygodni.

– Jak pan wypełnia okienka? Wahanie.

– Metodą tradycyjną.

– Reklama na ulicy – domyślił się Milo. Duchesne wetknął palce w dziurę po zębie.

– Nazywam to marketingiem w czasie rzeczywistym.

Oprócz aresztowań za narkotyki, siedem razy zamknięto go za strę-

czycielstwo. Odsiadkę i grzywny traktował jako zwiększone „koszty przychodu”.

– Radości świata biznesu – podsumował Milo.

– Skończyłem administrację i zarządzanie, poruczniku. Uniwersytet Stanu Utah, obroniłem się dwadzieścia jeden lat temu i pracowałem dla IBM. Zresztą, zadzwońcie i sprawdźcie.

– Wierzę panu, Joe. Niech mi pan opowie o SHERALYN.

– Naprawdę uważacie, że to ona?

– Nie mamy pewności, ale wiele na to wskazuje. Duchesne pokiwał głową.

– Poznałem ją zimą, chyba w lutym. Może w styczniu... Nie, w lutym.

Dopiero co przyjechała do miasta, włóczyła się, zmarznięta, samotna.

Przygarnąłem ją, bo nikt inny nie chciał.

– Dlaczego nie?

– Przez tę nogę. Biedactwo miało problem ze staniem przez dłuższy czas, a to ograniczało wydajność. Załatwiałem jej najróżniejsze buty.

Wkładki ortopedyczne, filcowe, żelowe, wszystko. Nic nie pomagało, ale ona się nie poddawała. Ciężko pracowała, porządna dziewczyna.

– Lubił ją pan.

– Porządna dziewczyna – powtórzył Duchesne. – Nie najostrzejszy kindżał w pochwie, ale miała... Takie osobiste ciepło. Przyjąłem ją z litości, ale potem się okazało, że ta noga przynosi korzyści.

– Jak to?

– Przyciągała pewien segment klienteli.

– Gości, którzy lubią kulawe – dopowiedział Milo.

– Gości, którzy lubią słabość.

– Ktoś kiedyś wykorzystał jej słabość, Joe?

– Nie, proszę pana. Od tego jestem ja. Chronię dziewczyny. – Wypiął zapadniętą pierś i zwinął chudą dłoń w pięść.

Pretensjonalny gest.

Moe Reed pokręcił głową, patrząc na monitor.

– Nikt nigdy jej nie poturbował? – dążył Milo.

– Nigdy.

– Jest pan pewien.

– Poruczniku, pracowała dla mnie tylko przez miesiąc i to był

bezproblemowy miesiąc.

– Co panu mówiła o sobie?

– Że przyjechała właśnie z Oceanside. Manewry wojskowe, che, che.

Żandarmeria postanowiła ukrócić zabawę, sytuacja zrobiła się napięta. To raczej nie w porządku, prawda? Wysyłamy chłopców, żeby walczyli za wolność, a oni nawet nie mogą się nacieszyć kilkoma chwilami na przepustce?

– A więc przyjechała do LA.

– Na wyżniejsze pastwisko – dodał Duchesne.

– Wspominała coś o swoim życiu w Oceanside?

– Tak, że ma dziecko i że zajmuje się nim jej matka.

– W Oceanside?

– Nie wiem. Nie mówiła, czy to chłopiec, czy dziewczynka, a ja nie dopytywałem. – Wodniste spojrzenie Duchesnego stwardniało. – To był

biznes, rozumie pan?

Milo kiwnął głową.

– Niech mi pan da jakiś konkret, Joe.

– To wszystko... aha, mówiła, że była żoną marynarza, ale on ją porzucił niedługo po ślubie. Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale po co kłamałaby w sprawie takich szczegółów? – Duchesne poruszył

obluzowanym zębem. – Poruczniku, jeśli to ją znaleźliście, to bardzo mi przykro. Już myślałem, że mnie zostawiła. Powinienem wiedzieć, że ona by tego nie zrobiła.

– Po prostu zniknęła?

– Uhm: Z dnia na dzień – powiedział Duchesne. – Ostatni raz, kiedy ją widziałem, była zadowolona. Wracam, a tu pusto. Nie ma jej rzeczy, żadnej kartki, żadnego telefonu. – Zmarszczył czoło. – Dziwna sprawa.

– Dlaczego by pana nie zostawiła?

– Bo traktowałem ją lepiej niż wszyscy, których znała. Chociaż...

– Tak?

– Z dziewczynami nigdy nic nie wiadomo. Czy sprawiłbym kłopot, gdybym poprosił o colę?

– Proszę.

Moe Reed wstał. Kilka chwil później wrócił do pokoju, a Duchesne złapał napój z puszki.

– Joe, jak pan sądzi, co odciągnęło od pana Sheralyn?

– Sam zadawałem sobie to pytanie, poruczniku. Może chodziło o dziecko albo matkę.

– Albo trafiła się jej lepsza fucha. Duchesne zacisnął usta.

– To możliwe, Joe?

– Lepsza, czyli jaka?

– Pan mi powie.

– Jestem uczciwym człowiekiem, a ona była zadowolona. Miło patrzył, jak Duchesne pije colę.

Alfons odstawił puszkę, beknął.

– Przygarnąłem ją, kiedy została na lodzie.

– Domyśla się pan, kto mógł chcieć ją skrzywdzić?

– Och, na pewno mnóstwo ludzi. Świat jest, jaki jest. Czy wskazałbym kogoś konkretnego? Niestety nie. Kiedy pracowała dla mnie, nie było żadnych problemów.

– Miała regularnych klientów? Duchesne wolno pokręcił głową.

– Na takich trzeba czasu. Prawdę mówiąc, pracowała dla mnie może...

Dwadzieścia nocy.

– Gdzie mieszkała przez ten czas?

– Ze mną.

– Czyli?

– Różnie – odparł Duchesne. – Nie lubię być przywiązany do jednego miejsca.

– W motelach.

– I tym podobnych.

Milo przycisnął go o nazwy. Duchesne się zawahał, wymienił kilka, poprosił o jeszcze jedną colę. Kiedy ją wypił, Milo podsunął mu sześć zdjęć ogolonych na łyso mężczyzn. Ułożył fotki w dwa rzędy, Travis Huck na dole po prawej.

– Zrobił to jeden z tych facetów? – spytał Duchesne.

– Poznaje pan któregoś?

Przyjrzał się zdjęciom, jednemu po drugim. Nad każdym spędził takie same szkliskooke dziesięć sekund. Pokręcił głową.

– Przykro mi.

– A przypomina pan sobie jakichś innych łysości z listy klientów Sheralyn?

– łysości. – Duchesnego to ubawiło. – Nie.

– Joe – odezwał się Milo po chwili ciszy. – Lubił ją pan, przygarnął do siebie. A ktoś ją bardzo paskudnie załatwił.

– Wiem, wiem... cóż, Sheralyn pracowała zawsze po zmroku, a ja miałem inne dziewczyny działające w tym samym czasie.

– Nie widział pan jej kochasiów.

– Nie zawsze. W razie problemów mogła dzwonić do mnie na pager. –

Znów wypchnął pierś. – Ale nie było żadnego.

Jego lewa noga zaczęła podskakiwać. Przestała.

– Joe, coś panu właśnie chodzi po głowie – zauważył Milo. – Może coś na temat łysego faceta?

W oczach Duchesnego zalśnił niepokój.

– Czyta pan w myślach?

– Wiem, kiedy ktoś się martwi.

– A czemu miałbym się martwić?

– Bo lubił pan Sheralyn, wiedział, że by pana nie zostawiła, czyli ktoś ją porwał i wyrzucił jak śmieć.

Alfons zacisnął pajęcze palce na pustej puszcze, usiłując zgnieść cienki metal; udało mu się tylko zrobić małe wgłębienie. Odstawił ją na bok, znów podłubał w dziurze po zębie.

– Joe?

- Był jeden facet. Ale nie z Sheralyn, przed Sheralyn.
- Z inną dziewczyną. Kiwnięcie głową.
- Dała mi sygnał, bo mu odbiło. Jak pan mówił, łysol, a ona zdyszana każe mi uważać na skinheada. Wpadam do pokoju, ale po facecie już ani śladu.
- Zrobił krzywdę twojej podopiecznej?
- Mały siniak. To była duża dziewczyna, umiała sobie poradzić.
- Jak temu facetowi odbiło, Joe?
- Chciał ją związać, ciągle ktoś chce, ale my się nie godzimy. Kiedy odmówiła, wyciągnął nóż. Nie taki zwykły, tylko lekarski. Tak ona go nazwała.
- Skalpel.
- Chciał ją przestraszyć. Pokazał, jak tnę papier. – Duchesne pchnął rękę w górę.
- Zrobił jej siniaka, ale nie skaleczył? – spytał Milo.
- Na szczęście. Tknęło ją dziwne przecucie, wybiegła z pokoju. On za nią, uderzył dziewczynę, dzięki Bogu po stokroć, że nie nożem. Tu trafił. –
- Potarł skroń. – Walnął kłykciami, widać było ślady, następnego dnia cała spuchła. Olbrzymi siniak. Widoczny nawet na jej skórze.
- Ciemna dziewczyna – domyślił się Milo.
- Wielka, piękna siostra.
- Nazwisko?
- Mówiliśmy na nią Duża Laura.
- A wydział komunikacji mówił na nią...
- Nie wiem. – Duchesne wzruszył ramionami. – Nam wystarczało Duża Laura.
- Wysoka.
- I gruba. Dwie tony zabawy.
- Gdzie mogę ją znaleźć? Długa chwila milczenia.

– Nie mam pojęcia, poruczniku.

– Jeszcze jedna uciekiniarka, Joe? Duchesne pobożnie złożył dłonie.

– Tacy ludzie prowadzą niestabilne życie.

Milo przeszukiwał go przez trzecią colę i dwa batoniki Hershey, zapytał o prostytutki w zaawansowanym wieku.

– Nie u mnie – odparł Duchesne. – U mnie liczy się urok. Mogę iść?

– Jasne, dzięki. Niech pan da znać, jeśli się czegoś dowie.

– Oczywiście, poruczniku. Takie sprawy źle wpływają na interesy.

Moe Reed i ja weszliśmy do sali przesłuchań.

– Duża dziewczyna imieniem Laura – powtórzył Milo.

– Pasuje do Jane Numer Dwa – stwierdził Reed. – Ciekawe, że dwie ofiary są ze stajni Duchesnego.

– Wyczułeś coś od niego? Reed się zastanowił.

– Trudno powiedzieć. Nie musiał przychodzić, a co dopiero zeznawać.

Chyba że według ciebie jest na tyle chytry, że się z nami bawi.

– Może ktoś wyczuł słabość faceta – zasugerowałem. – Uznał, że te dziewczyny da się wykorzystać.

– Samiec beta. – Milo zamyślił się na chwilę. – Brzmi rozsądnie. Moim zdaniem Duchesne powiedział nam wszystko, co wie. Dobrze się spisaleś, Moses. Pora wracać na deptak i dowiedzieć się więcej. Ja biorę na siebie znalezienie krewnych Sheralyn. W świecie doskonałym jeden z nas trafiłby na obiecujący trop. W najgorszym razie pobierzemy DNA od jej matki albo dziecka, porównamy z kośćmi. Nie żebym się spodziewał, że Jane Jeden okaże się kimś innym niż Sheralyn.

– Co z Dużą Laurą?

– Popytam, zobaczę, co mi ta ksywa powie. Co do Jane Trzy, ta nie żyje prawdopodobnie najdłużej, a ulica szybko zapomina. Ale może starsza biała kobieta zapadła komuś w pamięć.

– Jeśli jest z tej okolicy, niewykluczone że nasz zły przez jakiś czas koncentrował się geograficznie – snuł domysły Reed. – A potem zapragnął

nowych doznań i przeszedł z profesjonalistek do Seleny. Jej mieszkanie znajduje się niedaleko lotniska. Bagna też.

– Psychospołecznie Selena to wielki przeskok od tamtych –



powiedziałem. – Możliwe, że były jeszcze ofiary pośrednie.

– Na przykład? – spytał Milo.

– Nieprostytutki postrzegane jako niższa warstwa.

– Wspinamy się po drabinie społecznej.

– Pies nie znalazł na bagnie nic więcej, ale szukali tylko na wschodnim brzegu – przypomniał Reed.

– Radosna myśl – stwierdził Milo. – Normalnie dostalibyśmy nakaz.

Ściągamy koparkę i po problemie. A tutaj trafiło się nam święte bagno.

– Może morderca też tak to widzi – podsunąłem.

Kiedy Milo wyjął cygaro z kieszeni, Reed uniósł jasne brwi.

– Nie bój się, młody, nie zanieczyszczę ci powietrza... Co do męczarni z załatwieniem pozwolenia na przekopanie innych rejonów bagna, najpierw obróbmy się ze zwłokami, które już mamy. Pora uderzyć na ulicę.

– Szkoda że Duchesne nie rozpoznał Hucka – odezwał się Reed, kiedy szliśmy do drzwi.

– Idiota twierdzi, że nie widzi klientów, o ile nie ma problemów, a ja mu wierzę – powiedział Milo.

– Nie przydał się zbytnio Dużej Laurze, kiedy wpadła w kłopoty ze skinheadem. Też mi kierownik.

– Łysy człowiek ze skalpelem – rozważał głośno Reed. – Trzeba czegoś więcej, żeby odciąć dłoń, prawda, doktorze?

– Nadałaby się piła do kości – przyznałem.

– Każde narzędzie, byle ostre – poprawił Milo. – Nawet cholerny tasak kuchenny. Wystarczy odrobina siły i koordynacji.

– Może mamy tu do czynienia z kimś z wykształceniem medycznym –

ciągnął Reed.

– Dwadzieścia lat temu też bym tak myślał – odparł Milo. – Ale teraz w Internecie znajdziesz wszystko.

– Wolność – mruknął ponuro Reed.

– Tylko dla niej warto żyć, młody, ale to skomplikowana koncepcja. –

Milo odwinął cygaro i wsadził je sobie w kącik ust. – Zaraz zapalę, młody.

Czuj się ostrzeżony.

Odprowadziliśmy Reeda na służbowy parking, do samochodu–

Isniącego czarnego camaro.

– To nie strudel – stwierdził Milo.

– Słucham?

– Nie zgadzam się z twoim bratem.

– Jemu się zdaje, że wszystko wie – burknął Reed. Wsiadł, zawarczał

głośno silnikiem i odjechał z piskiem opon.

Milo i ja poszliśmy na południe Butler Avenue. Zimna niewzruszoność rządowej architektury ustąpiła powojennym bungalowom i apartamen-

towcom, a niebo zrobiło się bardziej niebieskie, jakby ze współczucia.

– Jakież nowe wnioski na temat Hucka? – spytał Milo. – Albo czegokolwiek innego?

– Teraz mamy już dwóch łysych, tego, którego Luz Ramos widziała z Seleną, i Pana Skalpela, więc Huck podoba mi się coraz bardziej. Ale na tym etapie nie bardzo widzę, co mógłbyś zrobić, oprócz obserwowania faceta.

– Za wcześnie, żeby zaprosić go na rozmowę?

– Przy tak wyrachowanych zbrodniach najpewniej zasłoni się prawnikiem. Ja wolałbym mieć więcej amunicji, zanim zacząłbym strzelać.

– Ten camaro, którym właśnie śmignął Reed, był pożyczony albo wypożyczony – oznajmił Milo pół przecznicy dalej. – Według Auto-Track wóz zarejestrowany na faceta to faktycznie gruchot. Dodge colt '79

hatchback, kupiony używany dziesięć lat temu. Przedtem nasz kolega woził się datsunem kombi z '73.

– Sprawdzasz personel? – zdziwiłem się.

– Odrzuć tę myśl. – Od chwili aresztowania skorumpowanego prywatnego detektywa i kilku policjantów za wynoszenie tajnych informacji przepisy zabraniały sprawdzania kogokolwiek oprócz podejrzanych.

– Dlaczego zaciekał cię wóz Reeda?

– Odniosłem wrażenie, że to nieco drażliwa kwestia między nim a Foksem.

– Jedna z wielu.

– Otóż to. Ostatnie, czego mi trzeba, to osobiste dramaty wpływające na bieg śledztwa. – Drobnym uśmiechem. – Chociaż co to za śledztwo.

– Czym jeździ Fox?

– Nowiutkim porsche C4S.

– Żółw i zajac – powtórzyłem.

Milo zapalił, wydmuchnął w niebo kółko z dymu. Udawał

beztroskiego, ale gra mięśni szczęk zdradzała, że to poza.

– Fox i Reed cię martwią– stwierdziłem.

– Rozpytałem się. Ojciec Foksa był policjantem z patrolu w Southwest, nazywał się Darius Fox, został zamordowany na służbie trzydzieści lat temu. Przede mną, ale znam tę sprawę. Wszyscy znają, bo mówią o tym na szkoleniu. Dają jako przykład, co może pójść źle.

– Przemoc domowa czy kontrola drogowa? – spytałem. Milo wyjął

cygaro z ust.

– Ty też wróżysz z fusów?

– Tylko strzelałem.

– Rutynowa poranna kontrola drogowa, cadillac z zepsutym tylnym światłem, Trzydziesta Siódma tuż przy Hoover. Samochód okazał się kradziony, ale dopiero po tym, jak Darius i jego partner popełnili durny błąd. Tamten poszedł sprawdzić numery, a Darius zamiast poczekać na wyniki, ruszył do kierowcy. To działo się na długo przed terminalami, wszystko ustalało się przez radio, archiwa nie były skomputeryzowane, weryfikacja mogła potrwać. Tym bardziej należało uważać.

– Żółtodzioby? – spytałem.

– Wręcz przeciwnie, Darius po ośmiu latach, jego partner po sześciu, prawie bez przerwy pracował z Foksem. Może to był po części powód: udane małżeństwo, za dużo rzeczy brali za pewnik. Zbliżał się koniec zmiany, pewnie spieszyło im się do domu, poszli na skróty. Tak czy inaczej, Darius podchodzi do cadillaca, stuka w szybę, szyba się opuszcza, wysuwa się lufa i...

Klasnął trzy razy.

Dźwięk rozbrzmiał natarczywie głośno. Starsza kobieta pielęgnująca kwiaty podniosła wzrok. Na widok uśmiechu Mila ścisnęła swój sekator.

– Trzy trafienia prawie z przyłożenia – ciągnął Milo. – Darius zostawił

wdowę i dzieciaka. Aaron miał trzy lata. Drugi policjant wezwał posiłki, schował się za drzwiami, zaczął strzelać. Udało mu się trafić w tylną szybę, ale nie zatrzymał cadillaca. Podbiegł pomóc Dariusowi, ale ten nie żył, zanim jeszcze upadł na ziemię. Policja przetrząsnęła całe miasto w poszukiwaniu samochodu. Wszyscy sprawdzali szpitale, przesłuchiwali lekarzy, licząc na to, że partner Dariusza zranił bandziora. Nic. Dwa tygodnie później cadillac znalazł się na szrocie niedaleko doków w Wilmington. Powybijane szyby, podarte siedzenia, zdjęte zderzaki, żadnych odcisków palców. Dariusowi urządzili pogrzeb z honorami, a jego partner dostał naganę i został zdegradowany. Niedługo potem odszedł

z departamentu. Słyszałem, że pracował jakiś czas na budowach, miał

wypadek, przez pięć lat żył z renty, a potem zmarł na wątrobę.

– Zaczął pić?

– Może miał ten problem już wcześniej, nie wiem, Alex. – Milo zaciągnął się głęboko, spalając centymetr cygara. – Siedem miesięcy po pogrzebie Dariusza Foksa jego partner ożenił się z wdową w Vegas. Dwa miesiące później urodziła chłopaka. – Upuścił cygaro, rozdeptał je na chodniku, podniósł. – Domyślasz się puenty, panie Czarodzieju?

– Partner Dariusza był ojcem Moe Reeda.

– Nazywał się John „Jack” Reed. Ludzie mówili, że bardzo się starał być dobrym ojcem dla obu chłopców.

– Kilka lat później też już nie żył – powiedziałem.

– A matka wyszła za mąż jeszcze dwa razy. Właśnie pochowała numer cztery.

– To się nazywa bagaż.

– Cały wagon, amigo. Miejmy nadzieję, że nas nie przejedzie.

Kiedy wróciliśmy do gabinetu, Milo znalazł kilka kolejnych donosów.

Zaczął oddzwaniać. Wyprostował się przy piątej rozmowie.

– Świetnie, jestem bardzo wdzięczny, że poświęciła pani swój czas. A teraz gdyby była pani tak uprzejma i podała...

Sygnał.

Odsunął telefon na długość ramienia.

– To pewnie przez mój oddech.

Spróbował połączyć się ponownie, bez skutku. Jeszcze raz, i nic.

– Ktoś, kogo warto posłuchać? – spytałem.

– Kobieta, która nie podała nazwiska, ale chciała, żebym wiedział, że jedną z Jane Doe na bagnie może być Lurlene Chenoweth alias Duża Laura.

Sprawdził numer dzwoniącego, trafił do ślepego zaułka komórki na kartę.

– Kobieta z pre-paidem... Profesjonalistka z okolicy? – zgadywałem. –

Wieści szybko się rozchodzą, dziewczyny wiedzą, że był tu Duchesne, kojarzą fakty.

Wpisanie hasła „Lurlene Chenoweth” wywołało skrzywioną, hebanową twarz jak księżyc w pełni, okoloną cumulusem pomarańczowych włosów.

Trzydzieści trzy lata, metr siedemdziesiąt pięć, sto trzydzieści kilo, żadnych blizn ani tatuaży. Cztery aresztowania za prostytutkę, jedno za posiadanie kokainy, dwa za zakłócanie spokoju pod wpływem, trzy naruszenia nietykalności – bójki w barze zakończone ugodą.

– Wielka i zadziorna – skwitował Milo.

– Udało się jej uciec przed nożem skinheada, bo szybko pobiegła do drzwi. Może coś w nim ją ostrzegło.

– Oczywiście świr? Szkoda że znalazł ją później. – Milo zarzucił stopy na biurko, rozsznurował buty, rozruszał palce. – Dwie dziewczyny Duchesnego nie żyją. A jeśli to po prostu jakaś głupia wojna między alfonsami, a skinhead jest tylko wynajętym człowiekiem?

– I co, Duchesne ciągle by działał? – Wątpiłem w tę wersję. – I jak by się do tego miała Selena?

– Trzy ulicznice i nauczycielka gry na pianinie. Słuszna uwaga.

– Nauczycielka, która grała na orgiach.

– Jak sam mówiłeś, bogacze wymieniają czerstwe na świeże.

– Bogacze z sekretami... To tłumaczyłoby zatrudnienie Trávisa Hucka.

– On też się brzydko bawi?

– Albo to po prostu facet z przeszłością.

– Udręczona dusza w końcu znajduje legalne zatrudnienie. W domu z widokiem na ocean. Tak, na tym podłożu mogłaby się zrodzić lojalność.

„Zarządca posiadłości” w slangu bogaczy oznacza chłopca na posyłki, prawda? Huck to generalnie człowiek od załatwiania spraw. Wysyłają go, żeby przywoził dobre rzeczy.

– Kwiaty, jedzenie, ofiarę dnia – dodałem. Śmiech Mila zabrzmiał

metalicznie.

– Joe nie ma pojęcia, jaka z niego płotka.

Beatrix Chenoweth, matka Dużej Laury, mieszkała w ślicznie zadbanym domu w dzielnicy Crenshaw. Wysoka, jak córka, ale chuda jak szczapa.

Miała na sobie miętowozieloną bluzkę, luźne czarne spodnie i baletki.

Jej salon urządzony na błękitno z białymi wykończeniami był zastawiony kanapami w kwiaty, prostymi krzesłami i ozdobiony reprodukcjami dzieł

mistrzów impresjonizmu.

Na naszą obecność zareagowała cichą rezygnacją.

– Wiedziałam...

– Proszę pani, nie mamy pewności...

– Ja mam, poruczniku. Ile dziewczyn tak wygląda? I wybrało tę drogę?

Milo milczał.

– Mam cztery córki – podjęła Beatrix Chenoweth. – Dwie są nauczycielkami jak ja, najmłodsza jest stewardesą w liniach Southwest.

Lurlene była trzecia. Zawsze o wszystko walczyłyśmy i...

– Proszę pani – przerwał jej Milo. – Nie przyjechałem z całą pewnością oznajmić, że Lurlene coś się stało. Oby nie. Ale jeśli pozwoliłaby pani pobrać próbkę DNA z policzka, możemy się dowiedzieć...

– Och, oczywiście, że coś się stało, poruczniku. Bałam się tej chwili od roku. Bo tyle czasu minęło, odkąd Lurlene się do mnie ostatnio odezwała.

A wcześniej zawsze dzwoniła. Zawsze. Rozmowa zaczynała się normalnie. „Co u ciebie, mamoo?” Ale koniec za każdym razem był taki sam. Potrzebowała pieniędzy. To przez pieniądze zeszła na złą drogę. A raczej przez coś, co dużo kosztowało. – Mówiła coraz głośniejsze, ale twarz miała nieporuszoną. – Zaczęło się w liceum, poruczniku. Ktoś dał jej amfetaminy, żeby straciła na wadze. Nie podziałało, nie zrzuciła ani kilograma. Ale się uzależniła, i to był początek końca.

– Przykro mi, proszę pani.

– Lurlene była moim jedynym grubym dzieckiem. To po ojcu. My nigdy nie miałyśmy z tym problemów. Moja druga córka pracowała nawet jako modelka.

– Lurlene musiało być ciężko – powiedziałem.

Beatrix zwiesiła głowę, jakby nagle nie mogła unieść jej ciężaru.

– Dla Lurlene wszystko było trudne. Najbystrzejsza z całej czwórki, ale nadwaga zrujnowała jej życie. Śmiali się z niej.

Zaczęła cicho płakać. Milo wygrzebał swój zapas chusteczek i podał

jedną zrozpaczonej matce.

– Dziękuję... Dopiero potem zrozumiałam, jakie brzemień dźwigała. Te wszystkie kłótnie, że na chlebie jest za dużo masła... jako noworodek ważyła pięć kilo. Żadna z moich pozostałych córek nie przekroczyła trzech i pół.

– Zaczęła od amfetaminy – podjął wątek Milo.

– Tak – potwierdziła Beatrix Chenoweth. – A jeśli chodzi o to, w co potem jeszcze weszła, pewnie pan może mi powiedzieć więcej niż ja panu.

Milo się nie odzywał.

– Chcę wiedzieć, poruczniku.

– Z wpisów w policyjne akta wynika, że problemy z kokainą i alkoholem.

– Alkohol, tak. O tym wiedziałam. Lurlene została raz aresztowana za to, że była pijana.

Dwa razy; Milo jej nie poprawił.

– Czy kontaktowała się z panią po aresztowaniu?

– Żeby jej pomóc z kaucją? Nie, później mi o tym powiedziała.

– Ktoś inny zapłacił kaucję.

– Podobno sama zapłaciła, poruczniku. Chwaliła się przez telefon.

Spytałam, skąd wzięła pieniądze, a ona się roześmiała, i wdałyśmy się w...

dyskusję. Domyślałam się, jak zarabiała. Ale wolałam udawać, że nie wiem.

Odchrząknęła.

– Podać pani wody? – spytał Milo.

– Nie, dziękuję. – Dotknęła gardła. – To nie pragnienie mnie tu ścisnęło.

– Co może nam pani powiedzieć o przyjaciółach Lurlene?

– Nic – odparła Beatrix Chenoweth. – Nie wtajemniczała mnie w swoje życie osobiste, a ja... nie chciałam wiedzieć. Pan pewnie myśli, że to brak troski.

– Oczywiście, że nie...

– Proszę zrozumieć, mam trzy inne córki i pięcioro wnucząt, które mnie potrzebują. Nie mogę... nie mogłam... – Znów pochyliła głowę. – Każdy psycholog, z którym rozmawiałam, mówił, że Lurlene będzie musiała ponieść konsekwencje swoich czynów.



– Dużo było tych psychologów? – zaciekałem się.

– O tak. Najpierw ze szkoły. Potem poszliśmy do kliniki poleconej przez dyrektora. Miły Hindus, doktor Singh. Powiedział to samo. Lurlene musiała chcieć się zmienić. Zasugerował, żebyśmy wzięli kilka sesji, Horace i ja, żeby się nauczyć, jak sobie z tym radzić. Zrobiliśmy tak.

Pomogło. A potem on umarł. To znaczy Horace. Wylew. Miesiąc później znów próbowałam się skontaktować z doktorem Singlem. Okazało się, że wrócił do Indii. – Zmarszczyła brwi. – Najwyraźniej był tu na stażu.

– Może przynajmniej wie pani, z kim córka się zadawała? – dociekał

Milo.

– Nie, odkąd wybrała tę drogę.

– Ile miała lat, kiedy...

– Szesnaście. Wyleciała ze szkoły, uciekła z domu, dzwoniła, kiedy potrzebowała pieniędzy... Była wojownicza, poruczniku. Miała nadzieję, że zwalczy te cholerne narkotyki.

– To bardzo trudne, proszę pani.

– Wiem, wiem. – Długie, kościste palce Beatrix Chenoweth zgarnęły czarny materiał spodni. – Użyłam słowa „wojownicza” w dosłownym znaczeniu. Lurlene zwalczała wszelkie autorytety dla zasady. Czasami jej ojciec musiał wychodzić z domu, żeby ochłonać. Raz uderzyła swoją młodszą siostrę tak mocno, że Charmayne się zatoczyła, a twarz bolała ją przez kilka dni. Doszło do tego, że... Boże, wybacz, że to mówię, byliśmy wdzięczni, że przestała się pojawiać.

– Potrafię to zrozumieć, proszę pani.

– A teraz ktoś ją skrzywdził. – Wstała, wygładziła spodnie. –

Przepraszam, wolałabym już zostać sama. Potem zadzwonię do sióstr Lurlene; niech wymyślają, co powiedzieć dzieciom. To ich obowiązek, ja chcę się z wnukami tylko bawić... Czy możecie panowie już iść?

Tyle w temacie Duchesnego jako sprawcy – oznajmił Moe Reed, kiedy czekaliśmy, aż kobieta wróci z łazienki.

On, Milo i ja siedzieliśmy w pomarańczowej, plastikowej wnęce w barze z kurczakami i naleśnikami przy Aviation niedaleko Century. W

restauracji pachniało spalonym pierzem i gorącym tłuszczem. W losowych odstępach czasu salą wstrząsał grzmot jumbo-jetów, wprawiając w dygot brudne szyby i grożąc osypaniem azbestu z nierównego sufitu.

Przed nami stały trzy filiżanki z kawą; na nietkniętych brązowych powierzchniach rozlewały się tęcze plamy tłuszczu. Kobieta zamówiła ekstrastodkie, ekstrakruche udka i skrzydełka, podwójną porcję gofrów z cynamonem i duży gazowany napój pomarańczowy. Skończyła talerz kurczaka, poprosiła o następny, pochłonęła większość pa-nierki, zanim oznajmiła, że potrzebuje „damskiej przerwy”.

Nazywała się Sondra Cindy Jackson, mówiła na siebie Sin – Grzech.

Dwadzieścia trzy lata, czarnoskóra ładna twarz, zranione spojrzenie, gigantyczne niebieskie paznokcie, połowa wyklejona kryształkami górskimi. Zęby miała proste, ale na lewym siekaczu tkwiła złota koronka.

Złożony misterny warkocz nagiął granice teorii strun.

Była osiemnastą prostytutką, z którą Moe Reed rozmawiał przez ostatnie dwa dni przeczesywania okolic lotniska, i pierwszą, która zdecydowanie twierdziła, że zna tożsamość Jane Doe Trzy.

Mimo budowy tancerki apetyt miała oszałamiający. Jak dotąd flirtowała, pochłaniała jedzenie, udawała nieśmiałą.

Reed zachowywał się nerwowo. Milo emanował dziwnym buddyjskim spokojem.

Przez ostatnich czterdzieści osiem godzin przyjmował kolejne bezwartościowe telefony, nie dowiedział się niczego więcej o Dużej Laurze Chenoweth, nie zdołał zlokalizować rodziny Sheralyn Dawkins nigdzie w hrabstwach San Diego, Orange i Los Angeles. Tyle rozrywek często nadweręża jego cierpliwość, ale czasami bywa odwrotnie.

Reed zerknął w kierunku damskiej toalety. Wybraliśmy taki stolik, że Sin nie mogła wyjść, nie przechodząc bezpośrednio przed nami.

– Kiedy wróci, przycisnę ją mocniej.

– Jasne – mruknął Milo. – Albo daj jej się jeszcze trochę pobawić.

Młody detektyw zmienił marynarkę i krawat na szarą koszulkę polo, przedzieloną szerokim czerwonym pasem, świeże džinsy, śnieżnobiałe niki. Oczywiście miał jasną, rumianą twarz wygoloną do połysku. Bycza klatka piersiowa i potężne bary napinały materiał koszulki.

Usiłował się jakoś wtopić w tłum, ale równie dobrze mógł włożyć mundur.

Sondra Cindy Jackson od razu się zorientowała, kim facet jest.

Sześćdziesiąt dolarów i obietnica obiadu skłoniły ją, żeby wsiadła do camaro.

– Pamiętaj, złóż wniosek o zwrot kosztów – doradził Milo.

– W końcu.

– Jestem! – oznajmił wesoły głos.

Różowy, aksamitny biustonosz Sin i jej białe, koronkowe obcisłe spodenki podkreślały odcień skóry. Była szczupła, nie licząc piersi powiększonych do komiksowych rozmiarów. Jakoś zdobyła na to pieniądze.

– Witamy z powrotem – zagadnął Milo. – Smacznego.

Rzuciła mu złoty uśmiech, wsunęła się za stolik, zabrała do drugiego talerza kurczaka.

– Co tak cicho? – spytała po czterech kęsach.

– Czekamy na ciebie – powiedział Reed.

– Żebyś co zrobiła? – Trzepotanie rzęs. Reed zamrugał.

– Żebyś zaczęła mówić – odparł Milo.

– O... A tak, Mantooth.

– Mantooth? – powtórzył Reed.

– Tak się nazywała, detektywie Reed.

– Mantooth.

– Aha.

Reed otworzył notes.

– To imię?

– Nazwisko – wyjaśniła. – Dolores Mantooth, ale mówiliśmy na nią tylko Mantooth, bo to do niej pasowało. – Mrug, mrug.

Reed patrzył na nią wielkimi oczami.

– Tooth. Żab. Żuć. Jak w tej piosence? – rzuciła Sin między kolejnymi kęsami. – „Żujemy to...” Co? Nie słuchacie bluesa?

– Tego chyba nie znam – stwierdził Milo.

– „Żujemy to cały dzień”.

– Bonnie Raitt – zgadłem.

– Aha – przytaknęła. – Fajna, świńska piosenka. Taka była Mantooth.

Miała niezłe usta.

– W sensie...? – zaczął Reed.

– Tak?

– Kto był jej alfonsem? – wtrącił się Milo.

– Jerome.

– Jerome jaki?

– Jerome Jerome – zaszczebiotał. – Nie żartuję, identyczne imię i nazwisko. Nie mówię, że tak mu dała mama, ale tak się nazywał. Jerome Jerome. Nie pytajcie o niego. Nie żyje.

– Jak umarł?

– Przedawkował. – Delikatnie złapała skrzydełko dwoma palcami i wgrzyła się żarłocznie aż do kości.

– Kiedy? – spytał Reed. Wzruszyła ramionami.

– Słyszałam tylko, że nie żyje.

– Bo przedawkował.

– A co by innego?

– Założyłaś, że przedawkował.

Sin rzuciła mu pełne politowania spojrzenie.

– Detektywie Reed, detektywie Reed. Jerome cały dzień dawał w kanał, a potem wykitował. Pewnie ze starości?

– Dolores nigdy nie pracowała dla Joego Duchesnego – zmienił temat Milo.

– Nigdy w życiu. Joe ma czarne, inne są dla niego kiepskie.

– Opowiedz nam o Dolores. Sin pomachała kurzą kostką.

– Stara. Biała. Brzydka.

– Kiedy ostatni raz ją widziałś?

– Hm... Rok temu?

– Co to znaczy „stara”?

– Sto lat. – Zachichotała. – Może sto pięćdziesiąt, wyglądała naprawdę na nieźle przechodzoną.

Brzoskwiniowe lody znikwały w jej ustach. Żadne nowe informacje nie pokonywały odwrotnej trasy. Reed dał Sin swoją wizytówkę, a ona popatrzyła na nią jak na egzotycznego owada.

Kiedy opuściła restaurację, poszliśmy na parking i popatrzyliśmy, jak kołysząc biodrami, idzie na południe Aviation. W camaro Reeda nie było komputera, więc Milo przyprowadził ze służbowego parkingu nowszego chevy sedana, w pełni wyposażonego.

W systemie nie znaleźli Dolores ani Delores Mantooth. Małe policyjne Scrabble pozwoliło w końcu dotrzeć do jej danych.

DeMaura Jean Montouth. Blond i zielone, metr sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt kilo, urodzona pięćdziesiąt jeden lat temu, przez trzydzieści lat liczne aresztowania za drobiazgi.

Żadnych wzmianek o anomaliach w uzębieniu, ale policja LA nie interesowała się detalami dentystycznymi.

Milo zadzwonił do obyczajówki i w kilka chwil zdobył nazwisko alfonsa kobiety.

Jerome Lamar McReynolds. Krypta potwierdziła jego śmierć czternaście miesięcy temu. Przedawkowanie heroiny–kokainy, przyczyna zgonu ustalona na podstawie śladów po igłach i badania krwi, nie robiono autopsji.

– Facet daje sobie złoty strzał – wywodził Milo. – DeMaura pracuje jako wolny strzelec, bez opieki. Nasz zły człowiek to wyczuwa, atakuje.

– Doskonała dla bogatych drapieżników – powiedział Reed, masując nabrzmiały biceps.

– Klucz – oznajmił Milo – to zmieniać kobiety w zwierzyne.

Trzy dni niezbyt szczęśliwych łowów.

Milo i Reed rozpytywali pod lotniskiem, ale nie trafili już na żadne prostytutki, które spotkałyby łysego kochasia z nożem. Detektyw z obyczajówki Diane Salazar aresztowała DeMaurę Montouthe kilka razy.

Przypuszczała, że rodzina kobiety pochodziła z Alabamy, ale to nic pewnego. W stanowych zeznaniach podatkowych nie występował nikt o takim nazwisku.

– Nie znasz przypadkiem jej dentysty, Diane?

– Jasne, Milo. I fryzjera, i osobistego trenera.

– Jaka ona była?

– Miła, niezbyt bystra, nigdy się nie stawiała, kiedy ją zgarnialiśmy.

Dawniej nawet ładna.

– Jedyne zdjęcie, jakie mam, jest sprzed dwóch lat.

– Jak zwykle – skwitowała Salazar.

Nikt nie słyszał, żeby DeMaura, Sheralyn Dawkins czy Duża Laura Chenoweth pracowały na prywatnych imprezach.

– Jakby to zrobiły, toby się pochwały – oświadczył jeden alfons. –

Zwłaszcza Duża L, ona lubiła się stawiać. Nie zgadzałeś się z nią, od razu się dowalała.

– Zdarzyło ci się to? – spytał Reed.

– Co?

– Konfrontacja z Dużą Laurą.

– Gdzie tam. Wtedy by oberwała.

– I oberwała.

– Może. Muszę lecieć.

Dziwka o imieniu Charvay, młoda, wciąż smukła, gładka i przekonana, że ma przed sobą całe życie, popieściła swoje piersi, zaśmiała się i wyraziła najczęstszy pogląd:

– One? Z bogaczami? A na której imprezce w Westside chcieliby taką starą rurę?

W drodze powrotnej do biura Milo był ponury. Moe Reed chyba to wyczuł, bo jechał bardzo szybko.

– Może Vanderowie nie mają z tym nic wspólnego i tylko Huck jest samotnym psycholem.

Obserwacja zarządcy posiadłości nie szła najlepiej. Z powodu braków kadrowych i lokalizacji domu na szczycie wzgórza na końcu ulicy liczba punktów obserwacyjnych była ograniczona. Poza tym Huck ani razu nie wyszedł z domu.

Milo postanowił przyglądać się okolicy wyłącznie po zmroku. Mieli siedzieć z Reedem na zmianę.

– W porządku, mogę dyżurować cały czas – zaoferował się Reed. –

Naprawdę chciałbym tego gościa sprawdzić.

– Jak tak dalej pójdzie, młody, będę pracował z żywymi trupami.

– Zaufaj mi – odparł Reed. – Z całym szacunkiem.

– Nie wierzysz w sen?

– Niewiele go potrzebuję. Będę się przemieszczał, nikt mnie nie zauważy. Jestem dobry w znikaniu w tle.

– Dlaczego? – zdziwił się Milo.

– Syndrom drugiego dziecka.

Większość dorosłego życia Hucka była białą plamą i tylko Debora Wallenburg mogła zdradzić nam jakieś szczegóły. W końcu to ona wyciągnęła go z poprawczaka. Ale nie widzieliśmy sensu, żeby prosić ją o współpracę. W najlepszym przypadku zasłoniłaby się tajemnicą zawodową.

W najgorszym, ostrzegłaby Hucka, i jeśli rzeczywiście miał brudne ręce, dałby nogę.

Ponieważ na razie detektywi nie potrzebowali mojej pomocy, przyjąłem konsultację w sprawie opieki nad dzieckiem. Spokojna praca, miałem więc sporo czasu na miłe spacery z Blanche, przyjemne kolacje z Robin.

W samym środku tego wszystkiego zadzwoniła do mnie z Long Island Emily Green–Bass.

– Wzięłam pana numer ze strony stanowej rady psychologicznej, doktorze. Chyba nie ma pan nic przeciwko.

– Ani trochę. Co mogę dla pani zrobić?

– Dzwonię do pana, a nie do porucznika Sturgisa, bo... Tu właściwie nie chodzi o sprawę Seleny... –

Głos się jej załamał.

Czekałem.

– Już rozmawiałam z porucznikiem Sturgisem – podjęła znów po chwili. – Mówił, że nie ma żadnych postępów. Dzwonię do pana, bo...

Właściwie nie wiem dlaczego... Chyba jest mi przykro, że marnuję panu czas, doktorze.

– Nie marnuje pani.

– Och, naprawdę przepraszam. Sama nie wiem, co robię.

– Przeszła pani przez coś, czego większość ludzi nie potrafi nawet pojąć.

Cisza; kiedy w końcu się odezwała, głos miała cichy i ochryply.

– Ja chyba... Chodzi mi o to... Doktorze Delaware, cały czas myślę o tym spotkaniu. Na policji. Moi chłopcy... Na pewno wyszliśmy na zwariowaną zepsutą rodzinę. A tak nie jest.

– Wszystko było w porządku – próbowałem ją uspokoić.

– Tak?

– Tak.

– Widywał pan innych ludzi w mojej... sytuacji.

– Bardzo wielu. Nie ma żadnych reguł. Długa pauza.

– Dziękuję. Po prostu... zależało mi, żeby pan zrozumiał, że jesteśmy zupełnie normalnymi, zwykłymi ludźmi. Wiem, że to brzmi absurdalnie.

Dlaczego miałabym pana o czymś przekonywać?

– Stara się pani zapanować nad sytuacją.

– Co jest niemożliwe.

– Mimo wszystko czasem dobrze spróbować. U synów widziałem przywiązanie i miłość. Do pani i do Seleny.

Szloch jak grom wstrząsnął głośnikiem słuchawki. Zaczekałem, aż ucichnie.

– Naprawdę nie wiem, co mogłam zrobić inaczej – załkała. – To znaczy z Seleną. Może gdyby Dan nie umarł. Był takim dobrym ojcem. Dostał

guza mózgu. Nie ze swojej winy, nie palił, nie pił, nie... To się po prostu stało. Powinnam to chyba



jakoś wytłumaczyć Selenie. Była taka młoda, myślałam... – Syczący wdech. – Ona straciła ojca, a ja miłość swojego życia. Potem wszystko się posypało.

– Bardzo mi przykro. Cisza.

– Pani Green–Bass, śmierć Seleny nie miała związku z utratą ojca. –

Może to i kłamstwo, ale kogo to obchodzi?

– A więc z czym?

– Cóż, jeszcze jedna z tych rzeczy, których nie da się wytłumaczyć.

– Ale gdyby się nie przeprowadziła do LA. – Ochrypli śmiech. –Gdyby to, gdyby tamto, gdyby tylko, powinnam, mogłam... Zupełnie mnie od siebie odsunęła.

– W ten czy inny sposób dzieci od nas odchodzą– powiedziałem. –Jeśli nie geograficznie, to psychologicznie.

W głowie błysnęły mi wspomnienia własnej podróży przez kraj, kiedy miałem szesnaście lat.

Długie myślniki pustyni i torów. Budki z hamburgerami. Wytrącający z uśpienia zarys miasta. Perspektywy nowego życia, ekscytujące i przerażające.

– Prawda – szepnęła Emily Green–Bass. – To chyba konieczne.

– Tak. Ludzie, którzy zostają w miejscu, często karłowacieją.

– Tak, tak. Selena robiła dokładnie to, co chciała. Zawsze. Uparte dziecko. Wyznaczała sobie cel i do niego dążyła. Dlatego tak trudno mi myśleć, że ktoś ją... pokonał. Mała osóbką z wielką osobowością.

Pięćdziesiąt pięć kilo. – Łzy. – To było moje małeństwo, doktorze.

– Tak mi przykro.

– Wiem... wydaje się pan dobrym człowiekiem. Jeśli czegoś się dowiecie, czegokolwiek, zadzwoni pan do mnie?

– Oczywiście.

– Tak, przepraszam, głupie pytanie. Ale mam ich strasznie dużo.

Skończyłem konsultację, pisałem właśnie podsumowanie, kiedy zadzwonił Milo.

– Gotowy na wykwinny obiad? Piętnasta.

– Pora trochę nieodpowiednia.

– Nazwijmy to przekąską. Umówiłem się z Reedem za pół godziny, na jego prośbę.

– Co jest?

– Nagrał mi się na pocztę, nie powiedział. Chłopak wydaje się trochę podekscytowany.

– Będę – obiecałem. – Curry i jakieś tandoori?

– Nie, pizza. Młody potrzebuje różnorodności. I miejsca, gdzie nie znajdzie go brat.

„Różnorodnością” była wielka jak stodoła pizzeria Pizza Palazzo na Venice przy Sawtelle. Siedziało się przy piknikowych stołach, na ławach.

Sala prawie pusta, nabrzmiała wspomnieniami nieświeżego sera. Prócz nas tylko kierowcy ciężarówki zajmującej pół parkingu. Dwie wielkie pizze dla dwóch wielkich facetów.

Ciszę przerywały popiskiwanie rzędu gier wideo pod przeciwległą ścianą. Nieużywane maszyny domagały się uwagi.

Milo i ja przyjechaliśmy o tej samej porze. Na parkingu nie zauważyliśmy czarnego camaro, ale Moe Reed był w środku, znów w marynarce i krawacie. Z kiepsko udawanym spokojem siedział nad szklanką piwa korzennego.

– Nowa fura, młody? – spytał Milo.

– Słucham?

– Nie widziałem nic czarnego, lśniącego i chevy.

– A, był z wypożyczalni, musiałem go wymienić.

– Strucel u mechanika? Reed się zaczerwienił.

– Niech zgadnę – ciągnął Milo. – Wypożyczałeś samochody, żeby śledzić brata. Wypełniłeś chociaż formularze o zwrot kosztów?

Reed pokręcił głową.

– Masz fundusz powierniczy, młody?

– Po prostu nie obchodzą mnie takie rzeczy.

– No, no. Wujek Milo jest zdruzgotany. Dobra, od jak dawna go śledzisz?

– Ee... od tego dnia, kiedy do nas wpadł. Nie zaniedbywałem obowiązków, poruczniku, przysięgam. Obserwowałem brata w wolnym czasie. Spodziewa się, że jeżdżę jakimś trupem, więc w ogóle nie zwrócił

uwagi na camaro. Ale tak dla pewności wczoraj go wymieniłem.

– Na ferrari? – spytał Milo.

– Graitowy cadillac – odparł Reed. – Przyciemniane szyby, na wszelki wypadek. Pomyślałem, że skoro Huck nigdy nigdzie nie chodzi, to przynajmniej sprawdzę, kto zapłacił, żeby rzucić na niego podejrzenia.

Może ten ktoś powiedziałby nam coś jeszcze. – Przerwał i wbił wzrok w drewniany blat. Zachowywał się jak dziecko, które właśnie wyrecytowało długą wymówkę zirytowanemu rodzicowi.

– Brzmi rozsądnie – pochwalił Milo. – I dowiedziałeś się czegoś?

– Właśnie tak.

Reed śledził Foksa, który odbywał liczne spotkania biznesowe – „Ivy, Grill on the Alley, Jean–Paul, to jego klimaty”. Odpowiedź przyniosło sprawdzenie tablic rejestracyjnych znajomych Foksa – rzecz zupełnie podstawowa.

– Nowe bmw 3 zarejestrowane na Simone Vander, adres przy Breakthorne Wood. To na wzgórzach, kod pocztowy Beverly Hills.

Nazwisko prowadzi do trzydziestojednoletniej białej kobiety, nienotowanej teraz ani w przeszłości, a rysopis pasuje do osoby, z którą widziałem go w Geoffrey’s.

– W Malibu?

– Aha.

– Mieszka w Beverly Hills, ale jada na plaży – zastanowił się głośno Milo. – Kto to jest, kolejna była żona?

– Córka. Znalazłem jej metrykę. Urodziła się tutaj, w Cedars–Sinai, ojciec Simon Vander, matka Kelly. Sprawdziłem też tę Kelly. Pięcioletnie volvo, adres w Sherman Oaks z numerem mieszkania.

– Tata i druga żona żyją w luksusie, pierwsza dostaje mieszkanie.

– Ale córka, Simone, ma ładny domek – ciągnął Reed. – Ogrodzony, na uboczu, w lesie.

– Przejechałeś tamtędy.

– Dzisiaj rano. Miałem czas.

– Simon i Simone. Słodkie. Co ty na to? – zwrócił się do mnie Milo. –

Emocjonalne utożsamienie?

– Jeszcze kilka takich diagnoz i zasłużysz na własny gabinet z kozetką

– odparłem.

Milo odwrócił się do Reeda.

– Jaką chcesz pizzę? Ja bym wziął XXXL na grubachnym cieście, pół z kielbasą pół anchois, pół klopsiki, pół łeb łosia.

Reed zrobił zrozpaczoną minę.

– Traciłem czas?

– Wręcz przeciwnie, ale najpierw zjemy. Wybieraj pizzę, detektywie Reed.

– Ee... zwykła z serem. Dwa kawałki.

– Zaszalej, młody. Ja biorę średnią z kielbasą, z dodatkowym czosnkiem i chili. Idź zamówić, a potem zahacz o automat z gumą do żucia i przynieś nam miętową bez cukru. Nie chciałbym niepotrzebnie zrażać panny Simone.

Reed zostawił cadillaca pod pizzerią i zapakowaliśmy się do nieoznakowanego wozu Mila.

Breakthorne Wood było stromą, niedbale wybrukowaną ulicą nad Benedict Canyon. Zakręty, szerokość i klimat starej konnej ścieżki; czułem się jak w domu.

Simone Vander dzieliła z ojcem zamiłowanie do ślepych uliczek. Prosta brama tkwiła na słupkach z rozbiórkowej cegły. Taka sama cegła dekorowała fasadę chatki z łupkowym dachem, widocznej między prętami.

Tam, gdzie nie położono cegły, przymocowano ciemne sosnowe deski.

Frezowane szyby w oknach, ręcznie rzeźbione dębowe drzwi, wiatrowskaz w kształcie wiedźmy na miotle – neorustykalny urok.

Pomidorowy 335i cabrio stał na podjeździe z kamiennych płyt.

Samochód i podjazd przykrywała warstwa sosnowych igieł. Olbrzymie sosny jerozolimskie ocieniały działkę i większą część dachu. Między gałęziami widać było łąty jaśniejszej zieleni i beżu: wzgórza w kolorze kości słoniowej.

Podczas jazdy Reed był nerwowy. Co chwila tłumaczył się ze śledzenia brata, chociaż Milo ani razu nie miał o to do niego pretensji.

„Może przynajmniej dowiemy się czegoś więcej o Hucku”.

„Może kiedyś mieszkała w dużym domu. Albo odwiedza ojca – nawet jeśli nie powie nam wprost o Hucku albo imprezach, to niewykluczone że wyczujemy jakoś, czy działy się tam dziwne rzeczy”.

„W najgorszym razie dowiemy się, że nie ma się czego dowiadywać, i nie będziemy więcej buksować w miejscu. Nie żebym twierdził, że Huck jest czysty, cały czas wydaje mi się podejrzany. Inaczej nie płaciłaby przecież, żeby go zrobić, prawda?”

Teraz, stojąc przed dzwonkiem przy bramie Simone Vander, młody detektyw wepchnął ręce w kieszenie i gryzł wnętrze policzka.

– Dalej, twoja kolej zabłysnąć. – Milo dźgnął palcem powietrze.

– Mam się skupić na czymś konkretnym?

– Słuchaj instynktu. Reed zmarszczył czoło.

– To nagroda, nie kara, Moses. Reed wcisnął guzik dzwonka.

– Jak zaczniesz przynosić dobre stopnie, pozwolę ci pokręcić kierownicą– dodał żartobliwie Milo. –

Ale tylko, kiedy samochód będzie stał na podjeździe.

– Tak? – odezwał się młody damski głos. W tle melodyjnie śpiewał

inny.

– Panna Vander? Detektyw Reed, policja Los Angeles.

– Coś się stało?

– Chcielibyśmy, żeby poświęciła nam pani kilka minut. Chodzi o Trávisa Hucka.

– Och. – Muzyka przycichła. – Dobrze, chwileczkę.

Minęło kilka minut, zanim otworzyły się rzeźbione drzwi. W progu stanęła kobieta średniego wzrostu, blada, chuda jak patyk i długonoga, z owalną twarzą okoloną burzą długich czarnych włosów. Miała na sobie biało-różową, pasiastą bluzkę, białe bojówki do kolan z nogawkami zawiązanymi na kokardki, różowe klapki na szpileczkach. Słońce odbijało się na złotych kolczykach – kółkach, tak dużych, że było je widać spod bramy.

Przyjrzała się nam. Pomachała.

Moe Reed też pomachał. Otworzyła pilotem bramę.

– Jestem Simone. Co się dzieje? – Cichy, śpiewny głos. Z wibra-tem, przez co każde słowo brzmiało niepewnie. Należała do tych ludzi, którzy wyglądają lepiej po bliższym przyjrzeniu. Porcelanowa cera, szaro-

niebieska siateczka żyłek na skroniach, subtelne rysy, wdzięczna sylwetka.

Oczy miała piwne i okrągłe, z olbrzymimi tęczęwkami. Rozszerzone źrenice zdradzały zaciekawienie. Brwi elegancko wyregulowane.

Alabastrowa dłoń trzymała pilota od bramy. Simone uśmiechnęła się; od razu wydała się młodsza.

Moe Reed przedstawił się jeszcze raz, potem Mila, mnie. Nie wspomniał o moim tytule. Po co komplikować sprawę.

– Tyle osób... – Simone Vander uniosła brwi. – To musi być coś ważnego.

Zanim Reed zdążył odpowiedzieć, za nami zawarczał silnik.

Pod bramą stał srebrny porsche kabriolet. Złożony dach ukazywał

czerwono-brązową tapicerkę. Za kierownicą siedział Aaron Fox, w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych, beżowej lnianej marynarce i czarnej koszuli.

– O, świetnie. – Simone Vander otworzyła mu bramę.

Fox wysiadł z samochodu i zapiął marynarkę. Doskonale skrojone spodnie. Czarne mokasyny z wężowej skóry.

– O, prywatny detektyw Fox! – zawołał Milo.

– Porucznik Sturgis. Byłem akurat w okolicy, więc pomyślałem, że wpadnę.

Ruszył w stronę Simone Vander. Moe Reed zastąpił mu drogę.

– Przepraszam – powiedział stanowczo Fox.

– To niewłaściwa pora.

– To ja zadzwoniłam po Aarona – wyjaśniła Simone. – Zaraz po tym, jak panowie się zjawiliście. Rany, ale szybko przyjechałeś.

– Dlaczego go pani wezwała? – spytał Milo.

– Nie wiem... chyba pomyślałam, że powinien tu być. Wie wszystko o Travisie.

Reed odwrócił się do niej bokiem. Przy jego zwalistej masie ciężarowca Simone wyglądała jak ludzik z patyczków.

– Zapłaciła mu pani, żeby się dowiedział. Przygryzła dolną wargę.

– W czym problem? – spytał Aaron Fox. – Panna Vander ma prawo zatrudniać mnie, żebym robił wszystko, co jest legalne. I jak właśnie oświadczyła, ja posiadam wszelkie informacje o Hucku. Więc może...

– Zrobimy, co trzeba – przerwał mu Reed, napinając ramiona. Był

masywniejszy od brata, ale niższy o kilka centymetrów. Fox się wyprostował, chcąc zwiększyć tę różnicę.

Simone Vander patrzyła na nich obu. Mocniej przygryzła wargę.

Walka o dominację.

Remis.

– Aaron, doceniamy twoją lojalność wobec klientki... – zaczął Milo.

– Na pewno dobrze opłacaną... – wtrącił Reed.

– ...ale w tej chwili musimy porozmawiać z nią sam na sam.

Gładka, brązowa twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Sam na sam – powtórzył Reed.

Uśmiech Foksa był zbyt nagły i szeroki, by wskazywał na wesołość.

Aaron poprawił lniane klapy marynarki, wzruszył ramionami. Wycofał się.

– Będę w pobliżu, Simone. Zadzwoń, kiedy skończycie.

– Jasne, dzięki.

Wciąż uśmiechnięty Fox klepnął swojego brata po ramieniu, na tyle mocno, że aż zadudniło. Mięiste dłonie Reeda zwinęły się w pięści.

Ciemnoskóry detektyw wycofał się kawałek dalej.

– Zawsze fajnie cię widzieć, braciszku.

Wsiadł z powrotem do porsche, zapalił, wrzucił bieg. Wychylił się zza szyby. Pokazał Reedowi uniesiony kciuk.

– Niezły pomysł, ten cadillac.

Salon Simone Vander był wesoły, przytulny i zagracony. Krzesła z tapicerką z chintzu, dębowe meble, może antyki, kwiatowe sztychy w białych ramkach z przeceny. W gablotce przy wyłożonej jasnoczerwonymi płytkami kuchni stała kolekcja porcelanowych lalek. Nasze stopy grzała

lawendowo–kremowy dywan Aubusson. Z wieży Bang & Olufsen dobiegał śpiew Tori Amos o czarnej gołębicy.

Chiński kufer z drzewa kamforowego służył za stolik do kawy. Stały na nim trzy zdjęcia w połączonych ramkach, kwiaty i świece.

Dwie fotki przedstawiały Simone Vander: siedząca na pięknym kasztanowatym koniu i zbliżenie z filiżanką kawy na tle oceanu.

Największe zdjęcie, ustawione na samym środku, przedstawiało wysokiego, zgarbionego, brodatego mężczyznę pod sześćdziesiątkę o siwych, przeredzonych włosach ułożonych w niezgrabną zaczeskę; drobną, ładną Azjatkę, co najmniej dwadzieścia lat od niego młodszą, i skośnookiego chłopca około ośmiu lat, trzymającego ich oboje za ręce.

Chłopiec i mężczyzna mieli na sobie smokingi, kobieta – długą czerwoną suknię. Oboje dorośli się uśmiechali. Dziecko zaciskało małe usta.

Simone Vander dotknęła zdjęcia palcem z francuskim manikiurem i się uśmiechnęła.



– To mój brat Kelvin. Jest geniuszem.

Wyłączyła muzykę, a Milo, Reed i ja zajęliśmy miejsca na najdłuższej kanapie. Nasza połączona waga skompresowała puchate poduszki o jakieś trzydzieści centymetrów. Simone zaproponowała coś do picia, a kiedy odmówiliśmy, usiadła na krześle i założyła nogę na nogę. Krzesło było wysokie, musieliśmy patrzeć w górę, żeby nawiązać kontakt wzrokowy.

Wygladziła rękaw. Różowy kłapek huśtał się jej na nodze.

– Przepraszam, że zadzwoniłam po Aarona. Po prostu bardzo mi pomógł.

– W śledzeniu Tralisa Hucka – powiedział Reed.

– Aha. – Założyła gęste czarne włosy za delikatne ucho. Miejsce połączenia ucha i szczęki pokrywała kolejna siateczka żyłek. – Objęła się ramionami. – Pewnie chcielibyście panowie wiedzieć, dlaczego w ogóle go wynajęłam.

– Owszem – przyznał szybko Reed.

– Gorąco mi go polecano – odparła. Wypatrywała na naszych twarzach potwierdzenia albo sprzeciwu.

– Kto go pani polecił?

– Człowiek, który pracował z moim ojcem, handlował

nieruchomościami, korzystał wcześniej z usług Aarona. Twierdził, że Aaron jest najlepszy. Wahałam się, wszystko to było dla mnie trochę obce.

To znaczy, wynajmowanie detektywa. Ale po prostu musiałam. Kiedy się dowiedziałam o Selenie.

– Znała pani Selenę – podchwycił natychmiast Reed.

– Uczyła grać na pianinie mojego brata. Czasami przychodziła do domu, kiedy ja tam byłam, i rozmawiałyśmy. Wydawała się bardzo miła.

Tak się zdenerwowałam, kiedy usłyszałam, co się z nią stało.

– O czym panie rozmawiały? – spytał Reed. Simone się uśmiechnęła.

– O różnych rzeczach. Przemiała osoba. Kelvin, mój brat, bardzo ją lubił. Miał przedtem innych nauczycieli, surowych, poważnych profesorów z konserwatoriów. Mocno naciskali i chłopak miał dość. Gra, odkąd skończył trzy lata, zmęczyło go ćwiczenie po sześć godzin dziennie.

To, że ktoś jest geniuszem, jeszcze nie znaczy, że musi być niewolnikiem, prawda? Nie mógł już ścierpieć muzyki klasycznej, chciał pisać własne utwory. Tata i Nadine, mama Kelvina, nie mieli nic przeciwko temu. Nie są tacy, jak inni rodzice w ich sytuacji.

– Jaka to sytuacja?

– Syn geniusz. Cudowne dziecko. Z tego, co widziałam, Selena świetnie do niego pasowała. Opowiadała mi, że przechodziła przez to samo. Miała wielki talent, więc oczekiwano, że będzie bez przerwy ćwiczyć. – Zmarszczyła czoło. – To okropne. Kelvin zwariuje.

Reed zerknął na Mila.

– A więc lubiła pani Selenę – wtrącił się Milo.

– Jasne. – Dłoń przyciśnięta do policzka zostawiła słaby, różowy ślad.

– Kiedy się dowiedziałam.. Coś okropnego. Wychodziłam właśnie i mówili o tym w wiadomościach. Usłyszałam nazwisko Seleny, ale pomyślałam, nie, to jakaś pomyłka. Więc zajrzałam do Internetu, nic nie znalazłam na ten temat, więc szybko zapomniałam o sprawie. Ale następnego dnia już zamieścili informację. Nie mogłam uwierzyć.

– Dlaczego podejrzewa pani Hucka? – spytał Moe Reed.

– Trudno powiedzieć, że go podejrzewam. To nic konkretnego. Po prostu... kiedy się dowiedziałam o zabójstwie Seleny, od razu zadzwoniłam do ojca. Jego zwykła komórka nie działała, więc przekierowało mnie do międzynarodowej, do Hongkongu. Miał tam spotkanie, ale mu przekazałam wieści. Był wstrząśnięty, powiedział, że zadzwoni do Nadine i Kelvina.

– Nie są z nim?

– Nie, odwiedzają rodzinę Nadine na Tajwanie. Tata ogląda jakieś nieruchomości w Hongkongu.

– Co do Hucka... – przypomniał Moe Reed.

– Tak. Nie mówię, że go podejrzewałam, ale zawsze czułam się przy nim... dziwnie. – Pauza. – I wiem na pewno, że interesował się Seleną.

– Jak to interesował się, proszę pani?

– Nie musi pan do mnie mówić per pani.

– Więc Huck był zainteresowany Seleną...

– Fizycznie. Nie robił niczego takiego wprost, ale kobiety widzą pewne rzeczy. – Półuśmiech. – A przynajmniej wydaje mi się, że ja zauważam.

– Czyli?

– Ciągle się w nią wpatrywał – wyjaśniła Simone. Zaczęła się bawić włosami. – Nie chciałabym wpakować nikogo w kłopoty... Prawdę mówiąc, czasami odnosiłam wrażenie, że na mnie też tak się gapi. Nic poważnego, nigdy nie przesadził. Normalnie w ogóle bym nie zareagowała. Ale... kiedy się

dowiedziałam o Selenie... Nie powiecie mu, prawda? Że wynajęłam Aarona?

– Oczywiście że nie – zapewnił Reed. – Gość zachowywał się podejrzanie, miała pani prawo.

Odetchnęła.

– Nie chcę rzucać oskarżeń, ale Travis ma tak, że wszystko u niego wydaje się... nie, nie pokrętne, hm... tajne? Jak u szpiega? – Zmarszczyła brwi niezadowolona z doboru słów.

– Ukradkowe – podpowiedział Milo.

– Doskonale! Tak, ukradkowe. Jakby bez przerwy oglądał się przez ramię, podpatrywał. Jestem osobą bardzo bezpośrednią, więc... Ale mój tata go lubi, a tata to bardzo bystry facet, więc co ja mogę powiedzieć?

– Co w Hucku podoba się pani ojcu?

– Nigdy nie mówił, ale wyczuwa się sympatię. Tata zna się na ludziach.

Dlatego między innymi odniósł sukces. – Zaśmiała się. – Jak pan myśli, kto kupił ten dom? Na pewno nie ja ze swojej pensji.

– Czym się pani zajmuje?

– Pracuję z dziećmi. Jestem opiekunką, przedszkolanką; prowadziłam trochę lekcji wyrównawczych. I... pewnie nie powinnam się do tego przyznawać, ale... tak jak wszyscy chciałam grać w filmach. Ale samo chcenie nie wystarczy. W tej chwili zrobiłam sobie przerwę, może zajmę się czymś zupełnie innym. W każdym razie tata nie jest taki, jak panowie moglibyście sobie wyobrażać człowieka o jego statusie. To towarzyski facet i instynktownie ufa ludziom. Zawsze mówi, że woli zaufać i się rozczarować niż przeżyć całe życie jak cynik. „Cynik zna cenę wszystkiego, ale nie zna wartości niczego”. To jego ulubione powiedzenie.

– Travis Huck jeszcze go nie rozczarował – wywnioskował Reed.

– Najwyraźniej – odparła Simone Vander. – Może dlatego, że nie ma własnego życia. Pomaga tacie i Nadine, ale chyba właśnie to mi się w nim nie podoba. Że jest z nimi związany aż za bardzo. – Pochyliła się do przodu, składając się jak origami. – Bycie asystentem to coś więcej niż praca. On mieszka w tamtym domu. – Wydech. – Dlatego wynajęłam Aarona. Żeby sprawdzić, czy jest jakiś powód do zmartwienia. A panowie wiecie, co Aaron odkrył. Travis kogoś zabił. – Objęła się ramionami.

– Czy detektyw Fox podał pani szczegóły? – spytał Moe Reed.

– Chodziło o jakąś dziecięcą przepychankę. Ale mimo wszystko. Ktoś zginął, a Travis poszedł do więzienia. Myślałam o tym wczoraj w nocy, nie spałam za dobrze. – Piwne oczy przesunęły się na Mila. – Aaron powiedział, że pan to sprawdzi, poruczniku. Że nigdy nie odpuszcza pan żadnego tropu.

Zostawiliśmy Simone Vander stojącą pod bramą. Milo wolno ruszył

wzdłuż Benedict Canyon.

– Zna Hucka – powiedział Moe Reed. – To chyba powód, żeby skoncentrować się na nim bardziej jako na samotnym psychopacie.

Chrząknięcie.

Przy Lexington Road Reed spróbował jeszcze raz.

– To nie będzie problem, poruczniku.

– Co nie będzie?

– Aaron i ja.

– Nigdy niczego takiego nie zakładałem.

– Jedno wynika z rozmowy z Simone: nie wygląda na to, żeby Vanderowie przed czymś uciekali. Co sądzimy o tych orgiach, na których grywała Selena?

– Dobre pytanie.

– A więc wciąż są potencjalnie w to zamieszani?

– Nie ma powodu ich wykluczać. Ani nikogo innego. – Milo się uśmiechnął i dodał: – Kto prowadzi alternatywny styl życia. Czy przez to ona i te inne kobiety zginęły? A kto to może wiedzieć?

– Brak komputera Seleny wskazuje, że istnieją tajemnice, które zabójca chce zachować w ukryciu – powiedziałem.

– Albo po prostu pozbywał się wszystkiego, co mogło go łączyć z Seleną – zauważył Reed. – Co by znaczyło, że mordercą jest ktoś, kogo znała. Na przykład Huck. Wiemy, że był na nią napalony. A Ramos widziała łysego faceta. Huck pasuje coraz lepiej.

– Podejrzany gość – przyznał Milo. – Ale nie dla Vanderów. Simon to bystry biznesmen. Ufny, ale nie naiwniak. Dlaczego dał Huckowi posadę z mieszkaniem na miejscu?

– A więc Vanderowie są w to zamieszani? Dziwny alternatywny styl życia?

Milo odpowiedział dopiero kilometr dalej na Sunset.

– Dobrze, zaprosimy pana Hucka na rozmowę, na spokojnie, może od razu się nie zasłoni prawnikiem. Ale nie dzisiaj, poobserwujmy go jeszcze kilka nocy. Jak los się do nas uśmiechnie,

facet w końcu wyjdzie z domu, pojedzie prosto na Century Boulevard, wynajmie dziewczynę pod twoim czujnym okiem, detektywie Reed. W najlepszym wypadku spróbuje zachować się paskudnie, a wtedy ty go bohatercko zgarniesz. Jak tak się stanie, pójdziesz na konferencję prasową, a ja się zajmę papierami.

– Myślisz, że będzie taki głupi? – prychnął Reed. – Znaleźliśmy tyle trupów, a on tam wróci?

– To ciebie świerzbi, żeby go obserwować, młody. Cisza.

– Tak, postąpiłby głupio – podjął Milo – Ale bez głupich przestępców ta robota byłaby wesoła jak rak płuc. A z perspektywy Hucka nie jest tak znów gorąco. Rozmawialiśmy z nim dwie minuty, nie wróciliśmy, na konferencji prasowej szef jasno się wyraził, że nie wpadliśmy na żaden trop. Huck musi wiedzieć, że nic nie mamy. Co nie jest takie znów odległe od prawdy.

– Czuje się pewnie, więc uderza – powiedział Reed.

– Schemat morderstw sugeruje wzrastającą pewność siebie – dodałem.

– Zaczyna od kobiet z marginesu i chowa je na uboczu. Nikt nic nie zauważa, morderca przechodzi do kogoś, czyja nieobecność zostanie dostrzeżona, zostawia zwłoki na widoku, ale dla pewności zgłasza przestępstwo.

– Pan Syczący – wtrącił Reed. – Zawsze na bagnie. Czy tam czuje się bezpiecznie?

– Bagno też może go podniecać – zasugerowałem.

– Podniecać? Jak?

– Doktor Hargrove nazwała je świętą ziemią. Przyczyną morderstw na tle seksualnym często jest pragnienie kontroli przez niszczenie. Gdzie lepiej wystawić swoje dzieło? Mógł być też powód praktyczny. Dostęp do bagna jest ograniczony. Gdyby dalej zakopywał zwłoki w mule, jego zbrodnie pewnie pozostawałyby niewykryte przez lata.

– Więc postanawia się zareklamować. – Reed cicho zagwizdał. – Życie bywa pokręcone.

– To pierwszy krok do zostania asem wśród detektywów, młody –

oznajmił Milo.

– Co takiego?

– Zrozumienie, że żyjesz w innym świecie.

Na dachu wynajętego cadillaca Reeda gołębie urządziły sobie imprezę.

– No pewnie, zawsze mi się coś takiego trafia – mruknął tonem dziwnie podobnym do Milowego. Zadzwoniła komórka. – Reed... Tak mi przykro, proszę pani... tak, oczywiście. – Wyjął notes, zapisał

coś, rozłączył się. –

Mary Lewis, matka Sheralyn Dawkins. Mieszka w Fall–brook. Co jest ważniejsze, obserwacja Hucka czy rozmowa z nią?

– Ona – zdecydował Milo. – Weź zestaw do próbek. W najgorszym przypadku zidentyfikujemy na sto procent Sheralyn. Ja zajmę się Huckiem.

– Zależnie od tego, co kobieta ma do powiedzenia, poruczniku, mogę pojechać teraz, zrobić kółko i wrócić pod dom Vanderów za osiem, dziewięć godzin.

– Jak wystartujesz teraz, ugrzęzniesz w korku. Weź zestaw do DNA, spakuj sobie rzeczy na noc. Ruszysz, jak się rozluźni. Jedź wzdłuż wybrzeża, prześpij się w Capistrano czy gdzieś tam. Zjedz owoce morza na kolację, pooglądaj kablówkę, przygotuj się na spotkanie z panią Lewis rano.

– Jakies sugestie, gdzie się zatrzymać?

– Departament nie zapłaci za Ritza–Carltona. Najwyżej za materac i chrupki serowe z automatu. I na Boga, wypełnij formularze. Nie, zapomnij, ja to zrobię za ciebie.

– Wypełnię – obiecał Reed.

– Bla, bla, bla.

Obaj odjechali z parkingu Pizza Palazzo. Ja skierowałem się do domu.

Zadzwoiłem do Robin, spytać, czy kupić coś na kolację.

– Byłam szybsza – odparła. – Antrykot wołowy.

– Co to za okazja?

– Antrykot wołowy. Moglibyśmy zaprosić Mila i Ricka. O ile Rick jest wolny.

– Napad gościnności?

– Wyciągnęłam kostium hostessy, shaker do martini i kupiłam wołowiny dla ośmiu osób, co powinno akurat wystarczyć dla Mila.

Przyszło mi to do głowy, kiedy zadzwonił do ciebie rano. Nie rozmawiałam z nim od wieków, a ich dwóch nie widzieliśmy razem jeszcze dłużej.

– Dobry pomysł, ale Milo jest dzisiaj wieczorem na obserwacji.

– Och. Od której?

– Po zmroku.

– Zjedźmy wcześniej.

– Wszystko w porządku?

– O co chodzi?

– O ostry atak towarzyskości.

– Brakowało mi kontaktu z ludźmi, kochanie. Ty przynajmniej wychodzisz. Ja rozmawiam z Blanche i kawałkami drewna.

– Zadzwoń do Miła.

– A ja do Ricka. Nie umie mi odmówić.

Miła niespodzianka dla obu zaproszonych. Doktor Rick Silverman nie miał dyżuru.

– Czerwone mięso – mruknął Milo. – Bezpieczeństwo publiczne będzie musiało się ustawić w kolejce.

Rick przyjechał pierwszy, w bordowej jedwabnej koszuli, wyprasowanych dżinsach i siatkowych mokasynach, z olbrzymim bukietem orchidei dla Robin. Siwe włosy miał dłuższe niż zwykle, wąsy przystrzyżone z chirurgiczną dokładnością. Robin wzięła kwiaty i go pocałowała. Blanche otarła mu się łebkiem o nogawki.

Rick przyklęknął, pogłaskał słodką suczkę.

– Cudowna. Mogę ją sobie zabrać jako upominek?

– Kocham cię, Richard, ale nie aż tak – odparła Robin.

Rick jeszcze trochę pobawił się z psem, zerknął na skwierczącą pieczeń.

– Pachnie fantastycznie, dobrze, że wziąłem dodatkową dawkę li-

pitoru. Pomóc?

– Nie ma z czym. Manhattan z lodem, Maker's Mark, nakrętka czerwonego wermutu, odrobina pomarańczowego bitteru, bez wiśni?

– Jestem pod wrażeniem – powiedział Rick. – Chociaż w sumie zawsze piję to samo.

Usiadł. Blanche ułożyła się u jego stóp. Zwiesił długie ramię, zręczne palce ugniotły jej fąfle.

– Wielkolud powinien tu być lada chwila.

– Dzwonił pół godziny temu – powiedziała Robin. – Mówił, że ściągnęli go do Śródmieścia, miał dać znać, gdyby się nie wyrobił. Od tamtej pory się nie odzywał.

– Śródmieście. Znowu.

– Co „znowu”?

– Nowy komendant obsesyjnie wszystko kontroluje, Milo nie miał

nigdy z czymś takim do czynienia. To pewnie i tak lepiej niż dawne czasy, Syberia. Ale pozostawanie w centrum uwagi działa w obie strony, prawda, Alex?

– Presja na wyniki – powiedziałem.

– Właśnie.

Rick zadzwonił do Mila na komórkę, usłyszał nagranie, nie zostawił wiadomości.

Robin przyniosła drinka, spojrzała na mnie.

– Chivas, skarbie?

– Dzięki.

Kiedy nalewała, Rick podszedł z drinkiem do kuchennego okna, zapatrzył się w drzewa i niebo.

– Zapomniałem, jak tu ładnie. – Napił się. – Wygląda na to, że sprawa z bagnem szybko się nie rozwikła, Alex.

Kiwnąłem głową.

– Okropność. – Aż zadyszał. – Biedne kobiety. Chociaż myślę samolubnie. A nawet obrzydliwie narcystycznie. Zaproszono mnie, żebym wygłosił mowę na zjeździe absolwentów. Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać obaj. Potem pozwiedzać Nową Anglię. Milo nigdy tam nie był.

– Brown czy podyplomowe na Yale? – spytała Robin.

– Yale. – Rick się zaśmiał. – Nic wielkiego, takie imprezy zawsze są nudne.

Trzasnęły frontowe drzwi.

– Czuję padlinę! – ryknął jakiś głos.

Głośno tupiąc, Milo wmaszerował do kuchni. Wyściskał wszystkich, wyssał cały tlen z pomieszczenia. Na twarzy Ricka odmalowała się czysta ulga.

W ciągu trzech minut Milo wyżłopał sok z lodówki, wypił piwo, obejrzał pieczeń, jakby to był dowód z miejsca zbrodni, wsadził palec w sos na stole i posmakował.



– Och, zapowiada się dobrze. Co mamy w temacie wina? Wszyscy czworo zjedliśmy z apetytem i opróżniliśmy butelkę nowozelandzkiego pinota.

Kiedy Robin spytała, co słyhać, Milo potraktował to dosłownie i przedstawił w skrócie sprawę morderstw z bagien.

– Smacznego – rzucił kwaśno Rick. Milo przesunął palcem po ustach.

– Nie, to ciekawe – powiedziała Robin.

– Dla ciebie może tak – odparł Milo – ale doktor Rick jest zniesmaczony, a doktor Alex ziewa z nudów. Ktokolwiek trzyma pieczę nad ziemniakami, proszę podać.

Zaczęły się niezobowiązujące rozmowy. Milo niewiele mówił, pakował

w siebie jedzenie jak kombajn. Rick ostentacyjnie starał się nie zwracać na to uwagi; wciąż bezskutecznie próbuje zaciągnąć Mila na badania.

Blanche przebudziła się z drzemki. To jedyny pies, którego Milo przyznał, że lubi, ale nawet nie drgnął, kiedy otarła mu się o nogę. Rick wziął suczkę na kolana, potarł jej uszy.

– Hau – szczeknął Milo i zapatrzył się w przestrzeń.

– Deser? – spytała Robin.

– Ja już nie mogę, dziękuję – odparł Rick.

– Gratuluję – powiedział Milo.

– Czego?

– Mówienia w swoim imieniu.

Wyszliśmy na zewnątrz, nad stawik, jedliśmy owoce, piliśmy kawę, obserwowaliśmy ryby, usiłowaliśmy nazywać gwiazdozbiory na niebie.

– Mryg, mryg – powiedział Milo i zapalił cygaro.

– Przynajmniej jesteśmy na dworze, nie będziesz truć gospodarzy –  
stwierdził Rick.

Milo zmierzwił mu włosy.

– Popatrz, jaki jestem troskliwy.

– O tym, co robisz ze swoimi płucami, nie będziemy w tej chwili rozmawiać.

Milo przyłożył dłoń do ucha.

– Ee, co tam mówisz, synku? Rick westchnął.

– Chemia mnie nie dotyczy – oznajmił Milo.

– Ach, twoja teoria. Dzwońmy do komitetu noblowskiego.

– Jaka teoria? – zaciekawiała się Robin.

– Pracuje w policji już tak długo, że jego narządy wewnętrzne skamieniały i są odporne na toksyny.

– Człowiek z granitu – wyrecytował Milo, paląc łapczywie. Nachylił

się z zegarkiem do energooszczędnej lampy ogrodowej. – No, już pora. –

Wstał, zgasił cygaro na kamieniu, uściskał wszystkich i wyszedł.

Rick z obrzydzeniem podniósł niedopałek dwoma palcami.

– Gdzie to wyrzucić?

O północy Robin i ja leżeliśmy w łóżku, w świeżej, czystej pościeli.

Robin szybko zasnęła. Ja jak zwykle myślałem, uspokajając głowę.

Byłem znów w Missouri, strzelałem mistrzowsko z remingtona ojca, czułem się większy od niego – większy od niedźwiedzia – kiedy zadzwonił telefon.

– Hej, Al – powiedział tata. – Nieźle to załapałeś.

Dryń, dryń, dryń, dryń, dryń.

Bzdura; w lesie nie ma telefonów. Naciągnąłem kołdrę na głowę.

Wciąż olbrzymi.

Robin wstała o szóstej, niedługo potem pracowała już w warsztacie.

Heblowała ostrym jak brzytwa małym strugiem idealnie gładki świerkowy prostokąt. Sądząc po rozmiarach i grubości drewna, miała to być płyta wierzchnia gibsonki.

– Kopia stromberga. Spróbuję dać ukośną rozpórkę, zobaczę, czy uda mi się wyciągnąć jakieś ciekawe niuanse.

– Przyniosłem ci kawę – powiedziałem.

– Dzięki... masz śpiocha w oku... już, nie ma. Wypocząłeś?

– Kręciłem się?

– Trochę. Odsłuchiwałeś wiadomości z poczty?

– Jeszcze nie. – Ziewnąłem. – Kiedy przyszły?

– Dwunasta czterdzieści, a potem o piątej, obie od Mila. Masz zadzwonić, jak tylko wstaniesz.

Zastałem go przy biurku.

– Huck coś zrobił?

– Nic, jak zwykle nic. Ale na moczarach jest nowy trup.

– O nie. Biedaczka.

– Niezupełnie.

Od dziewiętnastej trzydzieści do dwudziestej pierwszej poprzedniego wieczoru Silford Duboff i jego dziewczyna, Alma Reynolds, rozkoszowali się wegańską kolacją w Real Food Daily na La Cienega.

– Czy raczej ja się rozkoszowałam – powiedziała Reynolds po drugiej stronie weneckiej szyby. – Sil cały czas był mrukliwy. Zamyślony. Nie mogłam z niego wydobyć, co go dręczy. W ogóle kiepski wieczór, ale zachowałam spokój. Sil zamówił swoją ulubioną pozycję z menu: kolację telewizyjną. Zwykle to go rozwesela. Tym razem nie. Zupełnie się zamknął. Dlatego po jakimś czasie przestałam się odzywać i oboje po prostu zjedliśmy.

Opowiadała tę historię Milowi z pewnością siebie, ale i ciekawym dystansem, jakby prowadziła wykład.

Wysoka, mocno zbudowana kobieta po pięćdziesiątce. Miała orli nos, wysuniętą dolną szczękę, przeszywające niebieskie oczy i długie do pasa siwe włosy, zaplecione w ciasny warkocz. Ton wykładowcy przybierała nie bez powodu: przez piętnaście lat prowadziła zajęcia w college'u w

Oregonie, ucząc nauk politycznych i historii ekonomii, zanim przeszła na emeryturę przez „ciąć budżetowe, niezainteresowanych studentów i faszystowską biurokrację”.

Teraz siedziała naprzeciwko Mila, wyprostowana, z suchymi oczami, we wczorajszej niebieskiej koszuli roboczej wpuszczonej w szare flanelowe spodnie i konopnych sandałach. Na łańcuszku na szyi wisiały okulary do czytania w rogowych oprawkach. Kolczyki z turkusami w srebrze zdobiły uszy.

– Nie domyśla się pani, co go tak zaprzętało? – spytał Milo.

– Nie mam pojęcia. Czasami taki bywa. Niekomunikatywny, jak większość mężczyzn.

Milo nie protestował. Alma Reynolds i tak by się tym nie przejęła.

– Zjedliśmy deser i wyszliśmy – ciągnęła. – Po tej nieudanej kolacji postanowiłam uratować sobie wieczór dobrą książką. Poprosiłam Sila, żeby odwiózł mnie do domu, dałam jasno do zrozumienia, że on ma jechać do swojego.

– Oboje państwo mieszkacie w Santa Monica.

– Dwie przecznice od siebie, ale każda odległość może być kosmosem, jeśli się chce. To był jeden z tych razów, kiedy chciałam.

– Często się tak zdarzało w państwa związku?

– Nierzadko, ale i nierzadko – odparła Alma Reynolds. – Sil potrafił być trudny.

– Jak większość mężczyzn.

– Znosiłam to, bo był dobrym człowiekiem. – Wzięła głęboki oddech przez usta. – Och, co tam – wymamrotała. – Nie ma sensu z tym walczyć.

– Z czym, proszę pani?

– Z tym.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Wplotła dłonie w gęste, siwe włosy i zaczęła zawodzić.

Milo nie spieszył się, kazał jej powtórzyć całą historię.

Zamiast odwieźć Almę do domu, Duboff skręcił na południe, w stronę Ptasich Moczarów. Zaprotestowała, ale puścił to mimo uszu. Wywiązała się „dyskusja”. Alma kazała mu skończyć z obsesją na punkcie bagna.

Powiedział, że jest za nie odpowiedzialny. Ona, że to cholerne bajoro ma się dobrze. On: nie mów tak na nie. Ona: zachowujesz się irracjonalnie, policja nic poważnego tam nie zrobiła, pora o tym zapomnieć, Sil.

Zignorował ją.

Czara się przepełniła; Alma wybuchła.

Podniosła głos jak nigdy od czasu rozwodu. Powiedziała mu, że jest tak samo dobrym ekologiem jak on, że Sil myli troskę o środowisko z neurozą obsesyjno–kompulsywną.

Jak grochem o ścianę.

Kazała mu zatrzymać samochód.

Jechał dalej.

Gdyby miała telefon... Ale ani ona, ani Sil nie korzystali z komórek. Te wieże, nieważne, co ludziom się wmawia, powodują raka i są niebezpieczne dla ptaków i owadów; wolałaby raczej zamieszkać w Timbaktu niż skapitulować przed toksycznym stylem życia.

Znów kazała mu się zatrzymać.

Przyspieszył.

– Co w ciebie wstąpiło? Udawał, że nie słyszy.

– Cholera, Sil! Odezwij się...

– Muszę coś zobaczyć.

– Co?

– Coś.

– To żadna odpowiedź!

– To nie potrwa długo, maleńka...

– Nie maleńkuj mi tu, wiesz, że nienawidzę te...

– Potem pojedziemy do domu i zrobimy sobie herbaty...

– Ty pojedziesz do swojego domu, a ja do swojego, a jeśli napiję się herbaty, to będzie moja własna cholerna herbata.

– Jak chcesz.

– Nie obchodzi cię, czego chcę, prawda?

– Nie dramatyzuj, Alma. Muszę coś zobaczyć.

- Porwałś mnie, to psychologicznie toksyczne zachow...
- To nie potrwa długo.
- Co nie potrwa?
- Nieważne.
- To dlaczego musisz to zobaczyć?
- Ktoś do mnie dzwonił. Powiedział, że tam jest odpowiedź.
- Na co?
- Na to, co się stało.
- Z kim?
- Z tymi kobietami.
- Tymi kobietami z...
- Tak.
- Kto? Kto dzwonił? Cisza.
- Kto, Sil?
- Nie przedstawił się.
- Kłamiesz, zawsze poznaję. Cisza.
- Ktoś dzwoni ni z tego, ni z owego, a ty słuchasz go jak robot? Cisza.
- To absurd, Sil, nalegam... Cisza.
- Ślepe posłuszeństwo zabija duszę...
- Najważniejsze są moczary.
- To cholerne bajoro ma się dobrze, nie dociera to do tego twojego pustego łba?
- Najwyraźniej nie.
- Nie do wiary. Ktoś dzwoni, a ty lecisz jak piesek.
- Może tego właśnie trzeba, Alma.

– Co?

– Psa. Tak znaleźli te kobiety.

– Ach, więc teraz jesteś detektywem. Tak, Sil? Chcesz być robotem w mundurze?

– To nie potrwa długo.

– A co ja mam robić, kiedy ty będziesz węszył?

– Posiedzisz przez chwilę. To nie potrwa długo. Ale potrwało.

Siedząc w samochodzie na Jefferson, niedaleko wschodniego wejścia, najpierw zaczęła się denerwować, potem bać. Wyznała to bez wstydu. Bo prawdę mówiąc, moczary zawsze ją przerażały, zwłaszcza nocą, a w tę noc

– bezksiężycową, czarną jak smoła – były upiorne.

Nikogo w pobliżu. Ani żywej duszy.

Tylko te głupie bloki, wyniosłe ohydy humanocentrycznego narcyzmu; gdzieniegdzie paliły się światła, ale niewiele pomagały, dalekie, jakby na innej planecie.

Czekała na Sila.

Pięć minut. Sześć, siedem, dziesięć, piętnaście, osiemnaście.

Gdzie on się podziewał, do diabła?

Pokonała zdenerwowanie gniewem – nauczyła się tej techniki od kolegi z uczelni w Oregonie wykładającego psychologię kognitywną. Zastęp uczucie bezradności uczuciem dającym siłę.

Podziałało. Myślała o Silu i robiło się jej coraz goręcej – był taki chamski, arogancki, irytujący, cholernie bezmyślny.

Zostawił ją w tym pieprzonym samochodzie.

Kiedy by już wrócił, miał za to słono zapłacić.

Dwadzieścia pięć minut, a jego wciąż ani śladu, gniew zaczął się przeistaczać z powrotem w zdenerwowanie.

Gorzej. W strach, nie wstydziła się tego przyznać.

Pora na kolejną strategię. Skontruj bezradność działaniem.

Wysiadła z samochodu, ruszyła w stronę moczarów.

Napotkała czystą czerń i się zatrzymała.

Zawołała Sila.

Tylko echo.

Krzyknęła głośniej.

Nic.

Dała jeszcze krok do przodu, natknęła się na ciemność o wiele gęstsza i stanęła – gdzie latarka Sila?

– Chodź tutaj i zabierz mnie do domu, do cholery! – zawołała.

Uderzenie oderwało ją od ziemi.

Mocny, bolesny cios w brzuch, tak straszny, że miała wrażenie, jakby pięść wbiła się jej we wnętrzności.

Elektryczny ból w całym ciele, oddech uwiązł w płucach.

Drugi cios trafił ją w bok głowy. Padła.

Kopnięcie w krzyż.

Zwinęła się w kłębek i modliła, żeby to był już koniec.

Równie szybko, jak się rozpoczął, atak się skończył.

Tupot stóp, cichnący w ciemności.

Nie usłyszała warkotu silnika samochodu, więc leżała i myślała: On patrzy. Czekala długo, zanim mogła zmierzyć się z najważniejszym pytaniem: Czy to Sil? Jeśli nie, gdzie on jest?

Duboff leżał zadźgany na ścieżce. Plama krwi rozpościerała się na ziemi cztery metry od miejsca znalezienia Seleny Bass. Ktoś zamiótł

ścieżkę stamtąd aż do chodnika, zacierając wszelkie ślady. Żadnych włosów ani płynów ustrojowych nienależących do Duboffa.

Głęboka rana na plecach, przebite lewe płuco. Cios zadano z taką siłą, że ofierze pękło żebro. Potem poderżnięto Duboffowi gardło od ucha do ucha, kiedy leżał twarzą w dół.

– Pewnie podniósł go za głowę – stwierdził Milo. – Sięgnął pod brodę i ciach.

Atak z zaskoczenia w ciemności, nie musiało to trwać dłużej niż kilka sekund. Alma Reynolds siedziała w samochodzie prawie pół godziny, wystarczająco długo, żeby morderca zdążył po sobie posprzątać.



Wołając Duboffa, zdradziła swoją obecność. Kolejne słowa pozwoliły napastnikowi dokładnie ją zlokalizować.

Zaatakował potencjalnego świadka, ale nie próbował jej zabić.

Za bardzo zależało mu na ucieczce.

Spodziewał się spotkania jeden na jednego, ale Duboff, zawsze przekorny, przywiózł ze sobą Alnę Reynolds, naraził ją na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Wciąż dobrze się pani czuje? – spytał Milo. – Po obrażeniach?

– Jak już panu mówiłam za pierwszym razem, nie mam żadnych obrażeń – oburzyła się. – Nie licząc mojego ego. – Wstała, powstrzymała grymas bólu. – Bydlak – rzuciła, sztywno wychodząc z sali przesłuchań. –

Będzie mi go niewiarygodnie brakować.

Milo i ja przeszliśmy do gabinetu.

– Duboff był czubkiem i mizantropem, ale zaufałam komuś na tyle, żeby spotkać się z nim po ciemku – powiedziałem. – Alma Reynolds wiedziała, że kłamał, kiedy mówił, że nie wie, kto dzwonił. Przynęta było rozwiązanie zagadki morderstw.

– Grubymi nićmi szyte. – Milo skrzywił się i pokręcił głową. – Czemu dał się oszukać?

– Oddany aktywista uciera nosa glinom i zachowuje święte miejsce nietknięte?

– Pewnie tak.

– Nie bał się iść na moczary po zmroku. Zaglądał tam regularnie, w tym w noc, kiedy znaleziono Selenę i o mało co nie wpadł na mordercę.

– A może jednak wpadł, Alex.

– Brał w tym udział?

– Sam powiedziałaś, że we dwóch byłoby im łatwiej. No i to ktoś bardzo przywiązany do bagna. Do tego dziwny. Braliśmy go pod uwagę na początku, skreśliliśmy z listy, kiedy nie znaleźliśmy żadnych jego notowań ani powiązań z Huckiem. Może popełniliśmy duży błąd.

– Pojechał porozmawiać ze współnikiem? To po co brał ze sobą Reynolds?

– Myślał, że to będzie krótka rozmowa. Zdziwił się.

– Ciekawe, czy nazwisko Hucka pojawi się na którejś z list mailin-

gowych Ocalić Moczary.

– Ciekawe, gdzie Huck się podziewał wczoraj w nocy. Twardo siedziałem na swoim rozłożystym zadzie w krzakach, ale nie widziałem, żeby wychodził czy wchodził do domu, chociaż to jeszcze o niczym nie świadczy. Mógł wyjechać, zanim się pojawiłem. Wrócił, kiedy ja się wybrałem do Duboffa.

– Kiedy przyszło zgłoszenie?

– Tuż po północy. Ale to było bardzo długo po morderstwie. Droga Alma nie miała zegarka, ale wie, że wyszli z restauracji tuż po dziewiątej.

Uważa, że dostała w głowę gdzieś o wpół do jedenastej. Czyli Duboff zostałby wypatroszony około dziesiątej. Leżała tam przez jeszcze około pół godziny, w końcu wstała i poszła go szukać. Wielka głupota, ale adrenalina nie takie rzeczy z ludźmi robi. Kiedy znalazła zwłoki, wybiegła z wrzaskiem na ulicę. Nie było nikogo, kto by ją usłyszał; o tej porze to wymarła okolica. Wsiadła więc do samochodu Duboffa, pojechała do Pacific Division i zgłosiła morderstwo. Pacific spisał ją o jedenastej trzydzieści dwie, potem wysłał radiowóz na moczary. Tam potwierdzili obecność trupa i skontaktowali się z Reedem. Był w Solana Beach, zadzwonił do mnie. Ja akurat załatwiałem potrzebę na stronie, zobaczyłem wiadomość, oddzwoniłem, pogalopowałem na bagno. Huck miał mnóstwo czasu i sposobności, żeby wrócić do domu. – Milo potarł twarz. – Tracę formę, Alex. Powinienem iść do domu Vanderów, położyć się na dzwonku. Gdyby Hucka nie było, może zastałbym kogoś innego, pokojówkę, kogokolwiek i bym sprawdził.

– Wezwano cię na miejsce zbrodni, więc pojechałeś.

– Facet i tak nie żył, po co się spieszyć? – Zaklął. – Tak, to była logiczna reakcja. I całkowity brak kreatywnego myślenia.

– Niesłychane – powiedziałem.

– Co takiego?

– Samokrytyka u człowieka z granitu.

– Słusznie. Zastanawiam się nad piaskowcem.

Przeszukanie mieszkania Silforda Duboffa nic nie dało. Jedyną niespodzianką była natury filozoficznej: wymiętoszone dzieła zebrane Ayn Rand ukryte pod materacem jak pornografia.

– Żadnych noży, broni palnej, garot, gadżetów seksualnych, płynów ustrojowych, obciążających notatek – wyliczał Milo. – Ani śladu komputera, ale Reynolds mówiła, że nigdy go nie miała. W lodówce same owoce i warzywa. Niech żyje zdrowy tryb życia.

Moe Reed wrócił z Fallbrook z próbkami DNA matki Sheralyn Dawkins i wstrząśniętego piętnastoletniego syna zabitej. Matka pracowała jako gospodyni na farmie awokado pewnego bogacza. Devon Dawkins, wzorowy uczeń, w wolnym czasie pomagał babci.

– Miła kobieta – stwierdził Reed. – Potwierdziła, że Sheralyn miała kiedyś złamaną nogę. Wszystko co do joty pasuje do Jane Jeden. Nie chciała rozmawiać przy Devonie, ale kiedy go odesłała, wyrzuciła z siebie cały żal. Sheralyn sprawiała problemy od liceum. Niska samoocena, narkotyki, alkohol, źli mężczyźni.

– To samo opowiedziała nam mama Dużej Laury – zauważył Milo. –

Jacyś konkretni źli mężczyźni?

– Mówiła o czasach, kiedy Sheralyn była nastolatką ale nawet wtedy nie znała żadnych nazwisk. W tym tkwił problem. Sheralyn zachowywała swoje życie prywatne dla siebie. Nie miały ze sobą kontaktu od lat.

Odniosłem wrażenie, że matka jest zadowolona z takiego układu, chciała mieć szansę wychować Devona jak należy. Fajny dzieciak, ciężko było przekazać mu złe wieści.

– Jak długo ich rodzina tam mieszka? – spytałem.

– Przenieśli się do San Diego zaraz po tym, jak ojciec Sheralyn wyszedł

z wojska. W cywilu został kuratorem okręgu szkolnego, zmarł dwanaście lat temu. Sheralyn urodziła się w San Diego, zaliczyła dwa lata liceum, wyleciała. Jej matka nigdy nie słyszała o Travisie Hucku, nie rozpoznała go też na zdjęciach.

– Dlaczego życie miałyby być proste? – mruknął Milo.

– Powiedziała mi jedną interesującą rzecz. Sheralyn lubiła ból. Nie sprawianie go, tylko doznawanie. Jako nastolatka cięła sobie ręce, wrywała rzęsy, co jakiś czas przypalała się papierosami. Czasami wracała do domu od chłopaków i miała siniaki na ramionach i szyi. Matka groziła, że zabierze ją do psychiatry. No to usłyszała, żeby nie wtrącała się w nie swoje sprawy. Sheralyn wybiegała z domu, nie wracała przez kilka dni. W

wieku szesnastu lat zaszła w ciążę i nie chciała powiedzieć, kim jest ojciec. Już brała prochy, więc

rodzice bali się, że coś się stanie dziecku.

Kiedy Devon urodził się zdrowy, prosili, żeby pozwoliła im adoptować wnuka. Sheralyn dostała szau, zabrała dziecko i uciekła. Zero kontaktu przez trzy lata, potem nagle pojawia się bez ostrzeżenia, zostaje dwa dni, wszystko zaczyna iść dobrze. Niespodziewanie wymyka się w środku nocy, zostawia Devona.

– Lubi ból – powtórzył Milo.

– I ściskanie za szyję – dodał Reed. – Łatwy cel dla sadysty, prawda?

Zaczynają od zabawy w podduszanie, dla niej to pieniądze i frajda, on jednak nie przerywa, zaskakuje dziewczynę. Brzmi logicznie, doktorze?

– Bardzo – przyznałem. – To może być także nasze ogniwo łączące z Seleną. Orgie, na których grała, zrobiły się brutalne, a ona się przyłączyła.

– Myślała, że nad wszystkim panuje, ale się przeliczyła.

– Sytuacja rodzinna Sheralyn też przypomina mi Selenę – powiedział

Milo. – Awantury między matką a córką, ucieczka z domu.

– I co teraz? – spytał Reed.

– Dostałem telefon od szefa – oznajmił Milo. – Caitlin Frostig. Reed oklapł.

– Wpadłem w jakieś gówno?

– Nie, wszystko w porządku. Pytał, jak sobie radzisz z morderstwami z bagna. Udzieliłem mu uczciwej odpowiedzi, a on udawał cierpliwość i zrozumienie. Potem wspomniał Frostig.

– Sprawdza mnie.

– Jego Srogość interesuje się swoimi żołnierzami.

– Czy sugerował, że powinienem jeszcze czymś się zająć w sprawie Caitlin? Bo zrobiłem wszystko, co przyszło mi do głowy.

– Pragnął się upewnić, że zostawisz Caitlin, dopóki nie zamkniemy sprawy bagna.

– Dobrze... Wspominał coś o grupie operacyjnej, poruczniku?

– A co, chciałbyś?

– Pewnie, że nie – odparł Reed. – Tak tylko myślałem, jeszcze jeden trup i tak dalej. Jestem zielony, nie palę opon, jeśli chodzi o wyniki...

Milo klepnął go w ramię.

– To sprawa o morderstwo, młody. Czyli nikt nic nie pali, wolno bulgoczemy i modlimy się, żeby coś upichcić. Nikt, kto posiada chociaż pół mózgu, a Król Słońce ma co najmniej tyle, nie spodziewa się rozwiązania przed czwartą przerwą na reklamy.

– W porządku – powiedział Reed. – Wspomniał Caitlin z imienia?

– Z imienia i nazwiska.

– Pewnie do niego dzwonili. Jej ojciec pracuje dla magnata przemysłowego.

– Caitlin to twoja osoba zaginiona? – spytałem. Reed kiwnął głową.

– Studentka college’u, wyszła z pracy trzynaście miesięcy temu, od tamtej pory nikt jej nie widział. Sprawa zimna jak mrożone paluszki rybne i dają ją mnie, jako moją drugą w życiu. Może kogoś wkurzyłem i to ma być kara.

– Rozwiązałeś swoją pierwszą – przypomniał Milo. – To jakbyś przyjął

połowę piłek.

– Niestety, to nie bejsbol. – Reed mocniej zacisnął węzeł krawata. – No to kiedy pogadamy z Huckiem?

Jazda do domu Vanderów była szybka i przyjemna. Pod aston mar-

tinem, lincolnem town car i mercedesem Simona Vandera stały kałuże wody. Na łupkowanym podjeździe widniały ciemne plamy wilgoci.

– Dzień mycia samochodów – oznajmił Reed. – Zamawiają ekipę z myjni albo Huck robi to sam. Lexusa nie ma, może go tankuje. Albo facet od mycia.

Wcisnął guzik domofonu. Nikt nie odpowiedział. Tak samo po dwóch kolejnych próbach.

Milo wstukał domowy numer telefonu Vanderów i usłyszał pocztę głosową. Spokojnym głosem zostawił wiadomość dla Trávisa Hucka.

Poprosił o kontakt. Serdecznie, jakby zapraszał go na partyjkę pokera.

Pokręciliśmy się przy bramie w ośmiornice. Dwadzieścia minut później przyjechał listonosz, wrzucił do szpary w słupku ulotki i rachunki.

Reed do niego podszedł.

– Zna pan tych ludzi? Mężczyzna pokręcił głową.

– Nigdy tu nikogo nie widziałem. – Przesunął palcami po bramie. – Jak są paczki, po prostu je tu zostawiam, bez pokwitowania odbioru.

– Skryci, co?

– Bogaci – sprostował listonosz. – Tacy trzymają innych na dystans.

– Jakie paczki?

– Wino, owoce, wykwintne jedzenie. Dobre życie, co? Dźwignął torbę i poszedł dalej drogą.

Milo zaczekał, ruszył w dół Calle Maritimo, sam, zniknął za zakrętem.

Wrócił kilka minut później.

– Nic plus nic, pora się zbierać. Zostaw wizytówkę, Moses. Reed wrzucił wizytówkę na stos listów, drugą wcisnął między bramę a słupek.

– Myślisz, że Huck dał nogę?

– Zawsze istnieje taka możliwość.

Pojechaliśmy do PCH. Słońce miało kolor sosu mlecznego, ocean wyglądał jak płynna układanka zielonych i niebieskich elementów. Przed domem plażowym Vanderów nadal nie było lexusa, dzwonienie do drzwi też nic nie dało.

Moe Reed postukał w wysoki, drewniany płot odgradzający plażę.

– Prywatne kąpielisko?

– Takie rzeczy daje ci forsa – wyjaśnił Milo.

Przejechaliśmy się w obie strony autostradą sprawdziliśmy wszystkie stacje benzynowe aż do Broad Beach w poszukiwaniu lexusa. Benzyna w Palisades kosztowała drożej niż w całym okręgu. Nie przeszkadzało to kierowcom ustawiać się w kolejki do petrochemicznej kroplówki. Hucka wśród nich nie było.

– Wracamy – zdecydował Milo. – Zadzwonimy do krypty, dowiemy się, kiedy zrobią sekcję Duboffa, czy ustalili coś na podstawie wstępnych oględzin. Potem musimy potwierdzić, że Jane Trzy to DeMaura Montouthe. Identyfikacja w tym wypadku raczej nie będzie trudna, ale nie możemy sobie pozwolić, żeby coś spieprzyć i pokręcić. Koleżanka z branży mówiła, że DeMaura pochodziła z Alabamy, ale to mogło być Arkansas albo jeszcze inne miejsce. Cholera, nawet Arizona, a może Albany. Jeśli zdołamy zlokalizować jakichś krewnych, może dopisze nam szczęście i dowiemy się, że DeMaura rozmawiała z kimś o wyjątkowo podejrzanym kochasiu.

– Jak ten, przed którym uciekła Duża Laura.

– Jak on – powiedział Milo. – W idealnym świecie.

Wróciliśmy na komisariat.

– Próbowałem się do pana dodzwonić, poruczniku – zagadnął cywilny recepcjonista, którego nigdy wcześniej nie widziałem.

– Nie dostałem żadnej wiadomości – odparł Milo.

– No, ale próbowałem.

– Na jaki numer pan dzwonił?

Recepcjonista odczytał numer. Ostatnia cyfra różniła się o dwa.

– No, taki dostałem – poinformował recepcjonista bez skruchy. – W

każdym razie ktoś do pana przyszedł, jest na górze. Nadal czeka. Czyli nic się nie stało.

James Robert „Bob” Hernandez – niebieskooki, muskularny dwumetrowiec z zaczesanymi do tyłu włosami koloru mosiądzu i dziesięciocentymetrową hiszpańską bródką w tym samym kolorze. Miał na sobie dzinsy z podwiniętymi mankietami, motocyklowe buty i kraciastą koszulę z wysoko wywiniętymi rękawami. Od grubych nadgarstków po żylaste bicepsy widniały tatuaże koloru wody w basenie. Ptaszek Tweety, Popeye, całujące się amorki. Na prawym ręku wykaligrafowano miłość do Kathy. Zawodowa robota, nie więzienne dziary. Hernandez był notowany za drobiazgi. Jazda pod wpływem, mandaty drogowe, niestawianie się w sądzie.

Milo sprawdził faceta w bazie danych, wrócił do sali przesłuchań i usiadł. Podczas tej krótkiej przerwy z Hernandezem siedziałem ja, rozmawialiśmy o sporcie.

Moe Reed badał ładne, drewniane pudełko, które Hernandez chciał nam pokazać. Zadzwonił do krypty i dostał pozwolenie, by zawieźć je osobiście do laboratorium doktor Hargrove.

– Ludzkie kości – powiedział Milo.

– Na to mi wyglądają. – Hernandez kiwnął głową. – Nie jestem naukowcem, ale sprawdziłem w Internecie i pasują do ludzkich palców.

Wystarczy ich na trzy dłonie.

– Zrobił pan wywiad?

– Nie chciałem marnować wam czasu.

– Jesteśmy wdzięczni. Niech pan opowie jeszcze raz, jak je pan znalazł.

– Nie znalazłem, tylko kupiłem – wyjaśnił Hernandez. – To znaczy nie kości konkretnie. Dużo

różnych rzeczy. Porzucona zawartość schowka, urządzają aukcje, bo ludzie nie płacą czynszu. Tak jak wy robicie ze skonfiskowanymi samochodami. – Hernandez się uśmiechnął. – Straciłem tak swoją bryczkę.

– Co jeszcze było w schowku?

– Worki na śmieci ze śmieciami. Rower, myślałem, że coś za niego dostanę, okazał się złomem, jakieś stare gry planszowe, gazety.

Wywaliłem wszystko oprócz szkatułki. Bo była z ładnego drewna. Potem odkryłem, co jest w środku. Ustaliłem, że to kości palców. Dlatego zadzwoniłem do Pacific Division, oni skierowali mnie do detektywa Reeda, a ten kazał przyjechać tutaj. No to jestem.

– Czy pudełko było zapakowane?

– Tak, w worek na śmieci. Brazylijski palisander, rzadki, zagrożony wyginięciem. Szkoda że nie znalazłem tam biżuterii albo monet.

– Kiedy to było, panie Hernandez?

– Dwa tygodnie temu. Próbowałem się dowiedzieć, czy to mogłyby być kości zwierzęcia, ale nie, na pewno ludzkie. Dlatego nie wystawiłem ich na eBayu.

– Czy eBay pozwala na takie rzeczy?

– Nigdy do tego nie doszedłem – powiedział Hernandez. – Nawet nie próbowałem. Pewnie zdołałbym je sprzedać, ale potem usłyszałem o tych morderstwach. W telewizji. – Przyjrzał się Milowi. – Cztery kobiety, a bagno jest niedaleko magazynu. Wiem, że to trzy ręce, nie cztery... po prostu pomyślałem, że powinienem się zgłosić.

– Słusznie pan postąpił, panie Hernandez. Gdzie znajduje się ten magazyn?

– Pacific Public Storage, Culver Boulevard tuż przed skrzyżowaniem z Jefferson.

– Mieszka pan w Alhambrze.

– Tak.

– Kawalek drogi na aukcję.

– Nie tak daleko w porównaniu z innymi. – Hernandez wzruszył

ramionami. – Byłem na jednej w San Luis Obispo. – Żółty uśmiech. – Co tam, pojechałbym do Lodi, gdyby mi pan powiedział, że można zrobić interes.

– Aukcje to pana główne zajęcie.



– Nie, jestem z zawodu architektem krajobrazu, szukam pracy.

– Długo już pan szuka?

– Za długo. – Hernandez odchylił się do tyłu i roześmiał. – Moi bracia uprzedzali, że tak to będzie wyglądało.

– Jak?

– Osobiste pytania. „Zgłoś się, bądź dobrym obywatelem, Bobby, ale potraktuj cię jak podejrzanego, bo tak to jest w tej robocie. Nie ufamy nikomu”.

– Pana bracia służą w policji?

– Gene jest obrońcą publicznym w Covina, Craig w South Pasade–na.

Tata to emerytowany strażak. Nawet mama w tym siedzi, dyżuruje w West Covina.

Milo się uśmiechnął.

– A pan jest nonkonformistą.

– Bez urazy, poruczniku, ale za żadne pieniądze nie pozwoliłbym się zamknąć w samochodzie czy biurze. Dajcie mi koparkę i dwa hektary, to pogadamy. Skoro o tym mowa, muszę lecieć. Mam rozmowę w sprawie pracy w Canoga Park. Przenoszą wielkie palmy, a ja wiem, jak to się robi.

Milo go spisał, podziękował raz jeszcze, uściśnął mu dłoń. Hernandez odwrócił się przy drzwiach.

– Aha, jeszcze jedno. Przyszedłem tu też dlatego, że mam rozprawę w sprawie mandatów, więc gdyby zechciał pan łaskawie szepnąć słowo...

– Prawnik poradził panu się zgłosić?

– Nie, to był mój pomysł. Ale stwierdził, że to może pomóc. Tak samo bracia. Ale jeśli przeginam, niech mi pan powie i zapominamy o sprawie.

– Kim jest pana prawnik?

– Obrońca publiczny świeżo po szkole, i to mnie boli – odparł

Hernandez. – Mason Soto, bardziej interesuje go zakończenie wojny w Iraku.

Milo zapisał nazwisko i numer Sota.

– Przekażę mu, że bardzo pan pomógł policji, Bob. Hernandez się rozpromienił.

– Bardzo dziękuję, naprawdę jestem wdzięczny. Te kości... z początku myślałem, że są z modelu anatomicznego. Wie pan, na takich uczą się lekarze. Ale te tutaj nie mają nawierconych dziurek na

druty.

Czyli to zwykle luźne kości. – Szarpnął za bródkę. – Nie wiem, po co to komu o zdrowych zmysłach.

Pacific Public Storage był kwartałem beżowych bunkrów otoczonych sześciometrowym ogrodzeniem z siatki. Jaskrawopomarańczowy, trzymetrowej wysokości szyld ogłaszał promocję. Logo firmy przedstawiało stos walizek.

Minęliśmy magazyn i zmierzaliśmy czas jazdy na mokradło, potem zawróciliśmy. Sześć minut w obie strony ze średnią prędkością.

Nad wjazdem na parking była zainstalowana kamera przemysłowa. Za biuro służył barak z prefabrykowanej blachy falistej. Za biurkiem siedział

samotny mężczyzna, młody, puciołowaty, znudzony. Na pomarańczowej koszulce polo miał logo firmy. Według identyfikatora nazywał się Philip.

Na blacie leżała grzbietem do góry otwarta biografia Thomasa Jeffersona.

Radio ryczało na cały regulator.

Milo zerknął na książkę.

– Miłośnik historii?

– Szkoła. W czym mogę pomóc?

– Policja.

Na widok odznaki Philip zamrugał.

– W jednym z waszych schowków znaleziono kontrabandę –

powiedział Milo. – Numer czternaście pięćdziesiąt pięć.

– Kontrabandę? W sensie prochy?

– Powiedzmy po prostu, że jest to coś nielegalnego. Co to za schowek?

Philip przekartkował książkę przychodów.

– Jeden cztery pięć pięć... jest wolny.

– To wiemy, panie...

– Phil Stillway.

– Zawartość schowka sprzedano na aukcji dwa tygodnie temu, panie Stillway.

– Jestem tu dopiero od tygodnia. Milo postukał w książkę.

– Mógłby pan sprawdzić, kto wynajmował ten schowek?

– Tutaj tego nie ma, są tylko zajęte.

– Zajęte? Najemcy w nich mieszkają? Philip rozdziawił usta.

– Nie, proszę pana, chodziło mi o przedmioty. Rzeczy. Nikt tam nie mieszka, to wbrew regulaminowi.

Milo puścił do niego oko i się wyszczerzył.

– Och, pan żartował – mruknął Philip.

– Kto wynajął czternaście pięćdziesiąt pięć i kiedy? Młodzieniec przeszedł dwa kroki do komputera, usiadł, postukał

w klawisze.

– Mam tu, że zalegano z opłatami przez sześćdziesiąt dni i to było...

dwa tygodnie temu... ee, tak, wszystko poszło na aukcji. – Stuk, stuk. –

Umowę najmu podpisano... czternaście miesięcy temu. Na rok, płatne z góry, sześćdziesiąt dni zaległości.

– Jak zapłacono? Stuk, stuk.

– Gotówką.

– Kto wynajmował?

– T. Sawyer.

– Adres?

– Skrytka pocztowa 3489, Malibu, Kalifornia, 90156.

Malibu miało kod pocztowy 90265. Milo skrzywił się, spisując dane.

– Jakie jeszcze informacje podał T. Sawyer? Philip wyrecytował numer na 818.

Do Malibu kierunkowy był 310, ale odkąd wszyscy przeszli na komórki, logika już się nie sprawdziła.

– Dobrze, obejrzyjmy nagrania z kamery – powiedział Milo.

- Słucham?
- Z kamery przed wejściem.
- A, tej. Uruchamiamy ją, kiedy zamykamy bramę po ósmej, a najemcy chcą się dostać.
- Zamykacie po ósmej?

– Tak, ale mogą zapłacić kaucję i złożyć wniosek o całodobowy klucz–  
kartę.

– Kiedy włącza się kamerę?

– Kiedy nikogo nie ma w biurze.

– Czyli?

– W nocy – odparł Philip. – Po ósmej.

– Czy T. Sawyer składał wniosek o całodobowy klucz? Philip odwrócił  
się do klawiatury.

– Okienko jest zaznaczone. Tak... wygląda na to, że nie dostaliśmy klucza z powrotem, więc kaucja  
przepadła. Dwieście dolarów.

– W porządku. Obejrzymy te nagrania. Najlepiej całość sprzed dwóch tygodni.

– Może i najlepiej, ale to niemożliwe – oznajmił Philip. – Po czterdziestu ośmiu godzinach wszystko  
jest zagrywane.

– Dwa dni i już? Niezły tu macie system bezpieczeństwa.

– A ta kontrabanda była niebezpieczna? Jakies toksyczne odpady, coś groźnego? Moim rodzicom nie  
za bardzo się podoba, że tu pracuję. Boją się rzeczy, które ludzie mogą składować.

– Nic toksycznego ani radioaktywnego–uspokoił chłopaka Milo. – Czy ktoś w tej firmie znałby pana  
Sawyera?

– Popytam, ale nie sądzę. Wszystko, co musimy wiedzieć, jest tutaj. –

Postukał w komputer.

– Popatrzmy więc przynajmniej na nagrania z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

– Jasne.

Philip sięgnął w lewo i włączył magnetowid. Urządzenie było podłączone bezpośrednio do komputera, ekran monitora poszarzał. I taki został.

– Hm... – Philip postukał w klawiaturę, nic się nie zmieniło. – Niewiele tu widać, nie wiem...

– Niech pan próbuje, Phil.

Po przejrzaniu menu „Pomoc” i kilku falstartach zobaczyliśmy ziarniste, czarno–białe zbliżenie bramy wjazdowej. Nieruchome ujęcie, ale na razie odtwarzacz działał. Kamera ukazywała okrojony fragment parkingu, z pięć metrów kwadratowych asfaltu, bez miejsc postojowych.

– Wszystko, co chcieliście wiedzieć o podjeździe, ale baliście się zapytać – skomentowałem.

Phil zaczął się uśmiechać, zobaczył minę Milo, zmienił zdanie. Ekran zrobił się szary. Komunikat błędu.

– Chyba się zepsuło – wymamrotał Philip. – Lepiej to zgłoszę.

– Niech pan przewinie do przodu – polecił Milo. – Sprawdzimy, czy na pewno nic tam nie ma.

Philip posłuchał. Do końca taśmy nic.

– Poproszę klucz do czternaście pięćdziesiąt pięć – burknął Milo.

– Chyba mogę.

– Niech pan pomyśli w ten sposób – zaproponował Milo. – Jeśli jest tam coś niebezpiecznego, to porazi nas, a nie pana.

– Ja i tak muszę tu zostać. – Philip pogrzebał w szufladzie. – Ten powinien pasować. Jeśli nie, to nie wiem.

– T. Sawyer – powiedziałem, kiedy szliśmy do schowka.

– Kolega Hucka. Bardzo śmieszne, cha, cha.

W budynku zagłębiliśmy się w ciąg ciemnych, wąskich korytarzy, skręcających co chwila pod kątem prostym, jak połamany wąż w tunelu z betonowych pustaków. Szeregi sklejkowych drzwi, najróżniejsze kłódki, niektóre całkiem solidne.

Firmowa kłódka w uchu numeru czternaście pięćdziesiąt pięć. Milo założył rękawiczki, otworzył ją, odemknął drzwi, ukazując pięć metrów kwadratowych nieoświetlonej pustki.

Zamiecione podłogi, ani drobiny kurzu. Na korytarz wypłynął zapach wybielacza.

Milo potarł oczy, oświetlił wnętrze kieszonkową latarką.

– Mam marnować czas technikom?

– To zależy, na ile chcesz być kryty.

– Każę im opryskać to luminolem, może nam się poszczęści.

Wróciliśmy do biura. Philip grał na firmowym komputerze w jakąś kolorową grę z ninjami, kosmitami i skośnookimi kobietami o biustach zaprzeczających prawo grawitacji.

– I co? – mruknął, nie przerywając klikania myszą.

– Czy puste schowki są rutynowo sprzątane przez firmę? – spytał Milo.

– Aha.

– Wybielaczem?

– Dostajemy specjalny roztwór z centrali. Zabija wszystko. Żeby następna osoba nie musiała się martwić.

– Troska o klientów.

– Aha.

Philip natknął się na dzierzącego włócznie demona, który zmaterializował się z wielkiej fioletowej chmury dymu. Zmrużył oczy, zgarbił się i przygotował do bitwy.

Milo odpalił wóz i urządził rajd bocznymi uliczkami aż na komisariat.

Spieszył się, by zdobyć nakaz przeszukania kwatery Tralisa Hucka w domu Vanderów.

Prokuratorzy, z którymi do tej pory rozmawiał, nie dawali mu wielkich nadziei, ale zostało jeszcze dwóch.

– John Nguyen czasami pomaga.

– Surfujesz po prawnikach? – spytałem.

– A mowa była o toksycznych odpadach.

Zostawiłem go na pastwę systemu prawnego i pojechałem do domu, myśląc o trzonowcach i siekaczach.

DeMaura Montouthe, główna kandydatka na Jane Doe Trzy, miała pięćdziesiąt cztery lata, jak na uliczne standardy – dinozaur. Fotka sprzed dziesięciu lat, którą zdobył gdzieś Moe Reed, ukazywała kanciastą, pomarszczoną twarz z zapuchniętymi oczami, zwieńczoną platynowym tapirem w „ptasie gniazdo”. Życie, jakie prowadziła, było mapą drogową do umysłowego i fizycznego załamania;

wyglądała na dobrze po sześćdziesiątce.

Ale zęby miała wszystkie.

Dobre geny? A może pełne uzębienie było resztką próżności, wynikiem specjalnej troski?

Zacząłem obdzwaniać placówki oferujące darmową opiekę dentystyczną w hrabstwie Los Angeles.

Sukces pod numerem cztery, dzielnicowa przychodnia prowadzona przez wydział stomatologiczny uniwerka.

Rose Avenue, na południe od Lincoln. Kawałek na piechotę do garażowego mieszkania Seleny Bass.

Kawałek samochodem do Ptasich Moczarów.

Spytałem recepcjonistkę, kiedy ostatni raz była u nich panna Montouthe. Tutaj mój tytuł przestał działać.

– Mamą kartę tej pani, tylko tyle mogę panu powiedzieć.

– Kto ją leczył?

– Doktor Martin. Teraz przyjmuje pacjenta.

– Kiedy będzie wolna?

– Jest zajęta całe popołudnie, może pan chwilę poczekać?

– Nie trzeba.

Spółeczne Stomatologiczne Centrum Zdrowia Western District było przerobionym sklepem wciśniętym między lodziarnię a sklep z używaną markową odzieżą. Przy obu sąsiadach kręcili się ładni ludzie. Pod szeroko otwartymi drzwiami przychodni stało dwóch bezdomnych, paląc papierosy i się śmiejąc. Dobytek jednego leżał usypany w stos na chodniku. Drugi trzymał sztuczną szczękę.

– Ładnie mnie urządzili, panie Lemon! – wymamrotał bezzębną paszczą.

– Daj pan spróbować! – powiedział drugi.

– Za puszkę zupy!

– Jasne!

Kiedy się zbliżyłem, przerwali wymianę zdań. Dwie spękane dłonie zagroziły mi drogę; wyciągnęli je jednocześnie.

– Drobne na śniadanie, profesorze?



– Jest popołudnie, panie Lemon. Naleśniki dla ludu!

– Władzia dla ludu!

Przybili sobie piątkę, zaśmiali się głośno, chrapliwie.

Dałem każdemu z nich po piątce; wykrzyknęli z podziwem i się odsunęli. Spróbowali tej samej sztuczki z kobietą w baletowych rajtuzach, która wyszła z lodziarni z podwójnym różkiem z posypką.

– Wypierdzielać – syknęła.

W poczekalni przychodni w kolorze morskiej zieleni gruba kobieta z przestraszonymi oczami przyciskała zawadzące dziecko i zerknęła ukradkiem na dziadka o zapadniętej twarzy, rozwalonego na krześle i na wpół śpiącego. Jego ubranie było brudne; z powodzeniem mógłby dołączyć do dwóch amigos pod wejściem. W rogu siedział wyprostowany chudo-obwisły chłopak z irokezem, około dwudziestki, z poprżypalanymi ramionami, szczerbą zamiast siekacza i mściwym spojrzeniem.

Recepcjonistka była śliczna, piersiasta i jasnowłosa. Czarna bluzeczka zasłaniała tylko niedużą część gładkiego opalonego ciała. Kobieta przypomniała sobie moje nazwisko i przestała się uśmiechać.

– Doktor Martin jest wciąż zajęta, proszę pana.

– Zaczekam.

– To może trochę potrwać.

– Kiedy będzie miała przerwę, proszę jej przekazać, że DeMaura Montouthe być może nie żyje.

– Nie ży... – Uniosła dłoń do ust. – Jakim pan jest doktorem?

Pokazałem jej swoją legitymację konsultanta policyjnego. Poruszyła ustami. Wyglądała, jakby zrobiło się jej niedobrze.

– O mój Boże. Chwileczkę. – Wybiegła przez tylne drzwi.

– Wszyscy umierają– warknął chłopak z irokezem.

Doktor Faye M. Martin miała około trzydziestu lat i była piękna; skóra jak kość słoniowa, owalna twarz okolona lśniącymi, ciemnoru-dymi włosami, ciemne, wilgotne oczy.

Oszałamiające podobieństwo do Robin – mogłaby być jej młodszą siostrą– i, Boże dopomóż, poczułem drgnięcie poniżej pasa.

Kiedy podaliśmy sobie ręce, z wysiłkiem zachowałem chłodny profesjonalizm. Jej rzeczowe podejście i myślenie o DeMaurze Montouthe pomogły.

Prowadząc mnie do wolnego pokoju zabiegowego, spytała, dlaczego psycholog pracuje dla policji.

Przedstawiłem jej krótszą wersję całej historii i to chyba wystarczyło.

W pokoju pachniało surowym mięsem i miętą. Ściany pokryte były plakatami zachęcającymi do dbania o zęby i złowróżbnymi zdjęciami przedstawiającymi, co się dzieje, kiedy się tego nie robi. Obok pojemników z darmowymi szczotkami do zębów i pastą znajdowały się chromowane narzędzia i buteleczki bawełnianych wacików. Z boku stał

jasnoczerwony fotel dentystyczny.

Faye Martin przysiadła na stołku na kółkach i położyła dłonie na karcie.

Założyła nogę na nogę, rozpięła kitel, ukazując czarną bluzkę, czarne spodnie i złoty łańcuszek, na którym wisiał spory, bezkształtny ametyst.

Figurę miała pełniejszą niż na pierwszy rzut oka. Wydawała się nieświadoma swojej urody.

Jedynym pozostałym miejscem do siedzenia był fotel dentystyczny, wciąż rozłożony.

– Och, przepraszam. Wstała i wyprostowała oparcie. Usiadłem. – Skoro już pan tu jest, proszę otworzyć usta, sprawdzimy pana zgryz...

Przepraszam, to okropne, co się stało z DeMaurą, nie powinnam żartować.

– Nie ma lepszego powodu do żartów – powiedziałem.

– Może i tak... Zakładam, że to była gwałtowna śmierć?

– Jeśli to jej zwłoki, to tak.

– Zwłoki. – Usiadła. – Biedna DeMaura... Domyślcie się, kto ją zabił?

– Jeszcze nie. Potwierdzenie tożsamości bardzo by nam pomogło.

Opisałem anomalia zębowe, wymienione przez doktor Hargrove.

– To ona – oświadczyła Faye Martin. – A niech to.

– Nie musi pani patrzeć na rentgeny?

– Zanim cokolwiek przysięgnę, tak, ale to ona. Taka kombinacja anomalii jest rzadka. Żartowałyśmy z DeMaurą. Mleczne zęby. „Widać nigdy nie wydorostałam, pani doktor”.

Wzięła kartę, czytała ją przez kilka chwil, odłożyła.

– Miała przyjemny śmiech. Generalnie wyglądała tak... jak można by się spodziewać po jej stylu życia. Ale zęby mogły należeć do zdrowej kobiety. – Nielakierowany paznokieć skubnął guzik kitla. – Była miła, doktorze Delaware. Prawie zawsze wesoła. Biorąc pod uwagę sytuację DeMaury, to dość

wyjatkowe.

– Brzmi to, jakby znała ją pani dość dobrze.

– Na tyle, na ile można znać kogoś w takim układzie – odparła. – Nie licząc dzieci, leczymy głównie ludzi bez stałego miejsca zamieszkania.

Ale DeMaura przychodziła dość regularnie. – Jeszcze raz zajrzała w kartę.

– Przez trzy lata. Przez pierwsze pół roku leczyła zęby u doktora Chana.

Przeszedł na emeryturę i wtedy ja przejąłem DeMaurę.

– Pacjenci mają stałych dentystów?

– Kiedy tylko czas nam na to pozwala, staramy się, żeby nasza placówka jak najbardziej przypominała prywatną praktykę. Z DeMaurą było łatwo, bo potrzebowała tylko usunąć kamień... A tak, i jedna wymiana plomby na samym początku.

– Dlaczego była regularną pacjentką, skoro przychodziła tylko na czyszczenie?

– Robił się jej kamień, ale nic poważnego. – Martin przesunęła kartę po stole. – Doktor Chan przyjmował ją dwa razy do roku, ale ja zapisywałam co trzy miesiące. Żeby mieć na nią oko, nie tylko na zęby, ale ogólnie na zdrowie. Odnosiłam wrażenie, że chodziła do lekarza tylko wtedy, kiedy ja ją skierowałam.

– Ufała pani.

– Słuchałam jej. Lubiłam z nią rozmawiać. Potrafiła być zabawna.

Niestety, przestała przychodzić... – Przerzuciła stronę – Piętnaście miesięcy temu. Kiedy zginęła?

– Być może wtedy.

– Powinnam się domyślić, że coś się stało, nigdy nie opuszczała wizyt.

Ale numer telefonu, który zostawiła, nie działał.

– Zaskakujące, że zachowała wszystkie zęby.

– Miała bardzo długie korzenie – wyjaśniła Martin. – Powiedział jej to kiedyś inny dentysta, wiele lat temu, i stało się to dla niej powodem do dumy. Tak samo jak nazwisko, „Montouthe, to karma, pani doktor, jestem Królową Zębów”. Ale już ze zdrowiem było gorzej.

– Co jej dolegało?

– A co nie dolegało – odparła Martin. – Reumatyzm, zapalenia stawów, ostre zapalenia trzustki,

problemy z wątrobą, przynajmniej jeden epizod zapalenia wątroby typu A, o którym wiem, choroby weneryczne, jak zwykle. Nie była seropozytywna, przynajmniej tyle. Nie żeby to miało teraz jakieś znaczenie.

– Gdzie ją pani kierowała z tymi problemami?

– Do Darmowej Kliniki Marina. Dzwoniłam tam raz, żeby sprawdzić, czy się pojawiła. Owszem, tylko po recepty, na kontrolę już nie przyszła.

– Nie znalazła tam nikogo zaufanego – powiedziałem.

Oczy Faye Martin spod długich rzęs zajrzały w moje. Policzki miała zaróżowione.

– Chyba praktykowałam pana zawód bez licencji.

– I bardzo dobrze. Jest pani pierwszą znaną nam osobą, która coś więcej o niej wie. Nie dotarliśmy do żadnych przyjaciół ani krewnych.

– To dlatego, że nie miała żadnych przyjaciół, a przynajmniej tak twierdziła. Mówiła, że nie lubi ludzi, była najszcześliwsza w samotności.

„Samotna zła dziewczyna”, tak siebie określała. Rodzina się jej wyrzekła, kiedy jeszcze mieszkała w Kanadzie.

– Gdzie w Kanadzie?

– W Albercie. Zaśmiałem się.

– Powiedziano nam, że w Alabamie.

– Jedno i drugie na A.

– Dlaczego się jej wyrzekli?

– To byli farmerzy, religijni fundamentaliści. DeMaura nie wdawała się w szczegóły. Przychodziła na czyszczenie zębów, mówiła, a ja słuchałam.

To się zdarza częściej, niż się panu wydaje. – Odgarnęła włosy z twarzy. –

Na stomatologii nie prowadzili dużo zajęć z psychologii, a przydałoby się.

– Czy w karcie jest coś, co mogłoby nam jakoś pomóc lepiej ją poznać?

– Tylko dane o zębach i dziąsłach, cała reszta była wyłącznie między nami. Ale zrobię panu kopię. Jeśli wasz sądowy odontolog ma czas, niech przeprowadzi oficjalne porównanie. Jeśli nie, przyslijcie mi, co macie, i ja to zrobię.

– Byłbym wdzięczny. Co zostało między wami?

– To, jak zarabiała na życie. Od razu chciała, żebym wiedziała, że jest

„złą dziewczyną”. Uprawiała miłość za pieniądze. Ale nie rozmawialiśmy o tym często. W większości to były pogaduszki o głupotach. Wchodziła, trochę niezdarnie, zaczynała się śmiać z jakiegoś dowcipu, który usłyszała na ulicy, próbowała go opowiedzieć, obie się śmiałyśmy. Przez chwilę czułam się jak z koleżanką. Ale jej ostatnia wizyta, piętnaście miesięcy temu, była inna. Po pierwsze, DeMaura wyglądała lepiej. Miała ładny makijaż, nie taki wariacki, jaki zwykle robiła sobie do pracy. Porządne ubranie, włosy czyste i uczesane. Nic nie mogło zatrzeć lat ciężkiego życia, ale tamtego dnia dostrzegłam, jak mogłaby wyglądać, gdyby rzeczy potoczyły się inaczej.

– Ja widziałam tylko policyjną fotkę – powiedziałem. Faye Martin zmarszczyła brwi.

– DeMaura miała proporcjonalną i symetryczną twarz. Posiadała zadatki na ładną kobietę, doktorze Delaware. Tamtego dnia było to widać.

Powiedziałam jej, że dobrze wygląda, spytałam, czy wybiera się w jakieś specjalne miejsce. Twierdziła, że na randkę z chłopakiem. To mnie zaskoczyło, nigdy nie mówiła o mężczyznach inaczej niż jako o klientach.

– Twierdziła. Pani w to wątpiła?

– Nawet ze swoimi zębami i odszykowana, DeMaura nie wyglądała olśniewająco. A mężczyzna, którego opisała, był młodszy i przystojny.

– O ile młodszy?

– Nie powiedziała konkretnie, ale mówiła o nim „chłopak”. „Śliczny chłopak, mogłabym być jego matką, ale on lubi dojrzałe”. Szczerze mówiąc, uważałam, że zmyśla. A przynajmniej przesadza. Kiedy skończyłam robić jej zęby i asystentka wyszła z pokoju, DeMaura zaczęła mówić o seksualnej stronie ich związku i po raz pierwszy zobaczyłam ślad... chyba podniecenia. Jakby wciąż mogła czuć. A więc ten facet, o ile istniał, może ją kręcił. Chociaż przyszło mi też do głowy, czy DeMaura nie padła ofiarą jakiegoś okrutnego żartu. Że mylnie bierze jedną ze swoich zawodowych relacji za osobistą.

– Zakochała się w kliencie.

– Z tego, co mi powiedziała później, niewłaściwym kliencie. Wyznała, że lubił sprawiać jej ból.

– W jaki sposób?

– Nie pytałam. Pikantne szczegóły mnie nie interesowały, wręcz przeciwnie, odrzucało mnie to. Ostrzegłam ją, żeby była ostrożna, ale powiedziała, że tylko się bawią.

– Użyła tego słowa?

– Tak, że się bawia. Potem objęła dłońmi szyję, wystawiła język i pokiwała głową na boki. Jakby ktoś ją dusił. – Zmrużyła ciemne oczy. –

Tak zginęła?

– Są ślady duszenia, ale zostały tylko kości.

– Mój Boże – westchnęła. – To nie były jej fantazje, to się zdarzyło naprawdę.

– Co jeszcze mówiła o tym chłopaku?

– Niech sobie przypomnę. – Doktor Martin pomasaowała gładkie czoło między ładnie zarysowanymi brwiami. – Teraz żałuję, że nie przycisnęłam jej o szczegóły... dobrze, powiedziała, że lubi pocierać jego głowę, że to jej talizman na szczęście. Między innymi tak się bawili, ona tarła jego głowę, a on robił, co chciał. To jej słowa: „robi wszystko, co chce”.

Uwielbiała jego głowę, gładką Jak dupcia niemowlaka”. Więc chyba był

łysy. – Zmarszczyła brwi. – Dałam jej nową szczoteczkę, wykałaczkę i tubkę colgate total. – Zerwała się. – Skseruję dla pana kartę.

– Bardzo pani pomogła – powiedziałem. – Nie ma pani czego żałować.

Odwróciła się, uśmiechnęła.

– Przynajmniej ktoś studiował psychologię.

Zastępca prokuratora okręgowego John Nguyen obracał w dłoniach piłkę bejsbolową Dodgerów idealnie zachowaną, ozdobioną mnóstwem podpisów. Trzy inne piłki w plastikowych gablotkach dzieliły miejsce na półce z książkami prawniczymi i aktami spraw. Nguyen był na tyle ważny, że dostał narożny gabinet na szesnastym piętrze Centrum Sądownictwa Karnego imienia Clary Shortridge Foltz. Była to pierwsza kobieta prawnik na Zachodnim Wybrzeżu. Zastanawiałem się, co by pomyślała o bezdusznej, dwudziestopiętrowej lodówce noszącej jej imię.

Za oknem rozciągały się dachy śródmieścia i zimne parkingi; gabinet był bardzo mały. Milo, Moe Reed i ja stłoczyliśmy się przy przydziałowym biurku Nguyena, zajmując całą wolną przestrzeń.

– To wszystko? – spytał, pocierając mocno ściągnięty szew. –

Prawdopodobna ofiara ma kochasia, ale równie możliwe, że to wymyślony chłopak bez włosów?

– Do tego dochodzi Duża Laura Chenoweth, która uciekła przed zabójcą skinheadem, i Selena Bass wsiadająca do samochodu z łysiem –

dodał Reed.

– Obie te historie pochodzą ze wspominków osób trzecich, czyli to siódma woda po zasłyszanych plotkach. Nie jesteście na bieżąco z popkulturą? Łysina to nowy bajer. – Nguyen przesunął dłonią po własnych gęstych, czarnych, ostrzyżonych na jeża włosach. – Przykro mi, nikt wam nie wypisze papieru na podstawie czegoś takiego.

– Daj spokój, John, to coś więcej – powiedział Milo. – Travis Huck wyraźnie nas unikał.

– Nieobecność w domu, kiedy wpadacie, to unikanie? Do tego nosił

czapkę, nie macie pewności, czy jest łysy.

– Spod czapki wyglądała łysina.

– A jeśli goli boki głowy, a na czubku ma pędzel do golenia? Jak ten świr z filmu Davida Lyncha... wiecie, o kogo mi chodzi?

Cisza.

– „Głowa do wycierania” – wyjaśnił Nguyen. – Cholera, a jak ściągnie czapkę i wyskoczy mu półmetrowe afro? Opieracie się na jakimś badziwnym rysopisie, niewartym splunięcia. Ale nie będę was powstrzymywał, szukajcie sobie sędziego. Po prostu nie mogę nikomu szepnąć za wami słówka, to za słabe. – Spojrzał na ostatnie zdjęcie Trávisa Hucka z wydziału komunikacji. – Tutaj ma fryzury pod dostatkiem. Ale powiedzmy, że ogolił czaszkę. Musielibyście udowodnić, że nastąpiło to w czasie, kiedy mógł być facetem widzianym z Seleną. Nie, jeszcze dawniej.

Kiedy opowiadała o nim Montouthe? Dwa lata temu?

– Piętnaście miesięcy – podsunął Milo. Nguyen dalej bawił się piłką.

– Jestem pewien, że instynkt dobrze wam podpowiada co do tego gościa, ale brakuje konkretów. Założmy, że zdobędziecie dość informacji, żeby pan Huck został ewentualnym podejrzanym. I tak wciąż będzie problem z dostaniem się do domu. To nie jego dom, należy do pracodawcy. Który nie jest podejrzanym.

– Jeszcze nie – rzucił Moe Reed. Nguyen obrócił piłkę w palcach.

– Chcecie mi coś powiedzieć? O całej sytuacji?

Milo przedstawił historię o orgiach, które Selena Bass opisała bratu, o jej zatrudnieniu w charakterze nauczycielki gry na pianinie Kelvi–na Vandera. Dodał fakt, że rodzina Vanderów wyjechała z miasta.

– Dobrze, niegrzeczna dziewczynka zajęła się Bachem – podsumował

Nguyen. – I co z tego?

– Albo Bach był pretekstem, żeby mogła regularnie przychodzić do domu – zasugerował Reed.

– Zboczeni bogacze. Jejku, też mi nowość. Powtarzam pytanie, panowie: kto powiedział, że „orgie” to coś więcej niż porządna, legalna, cudzołożna zabawa? Nie macie absolutnie nic, co by wskazywało na sado–

maso, które podobno uprawiały dwie wasze dziwki. A szczerze mówiąc, ta trzecia... Chenoweth, nie wygląda mi na kogoś, kto pozwoliłby się związać. Wręcz przeciwnie.

– U Seleny znaleźliśmy pejcz w...

– No to lubiła konie. Jak mnóstwo dziewczyn. – Nguyen obrócił się na fotelu, położył piłkę na plastikowej podstawce, starannie przykrył ją kloszem. – Wiem, że zachowuję się jak dupek, ale druga strona zareaguje jeszcze gorzej, więc lepiej być przygotowanym.

– To znaczy?

– Zdobyć lepsze dowody.

– Gdyby Vanderowie wydali zgodę na przeszukanie, czy obejmowałyby kwaterę Hucka? – spytałem.

Nguyen odchylił się do tyłu.

– No tak... zależałoby od umowy Hucka z Vanderami. Czy mieszka tam w ramach wynagrodzenia. Jeśli tak, to jego pokój niczym nie różniłby się od każdej innej wynajętej przestrzeni i tylko mieszkaniowiec może wyrazić zgodę.



– Jeśli akurat przebywa w tym pomieszczeniu. Nguyen się uśmiechnął.

– Mógłby pan być prawnikiem, doktorze. Tak, jeśli go nie ma, a Vanderowie wyraziliby zgodę, wchodzicie. A jeśli nie było żadnej oficjalnej umowy i po prostu się wprowadził, to... jest gościem. Jak długo tam mieszkał?

– Trzy lata – odparł Reed.

– Nie, nie ma mowy, żeby był gościem. Jeszcze jedno, o czym trzeba pamiętać: nawet jeśli ktoś podpisze wam nakaz na przeszukanie pokoju, nie obejmie to rzeczy osobistych Hucka, chyba że je porzucił. I nie da się tu nic naciągać, to muszą być wyraźnie porzucone rzeczy. Sądy bardzo pilnują tego typu kwestii prywatności... chociaż zewnętrzne powierzchnie stałego wyposażenia wnętrza, należącego uprzednio do Vanderów... chyba moglibyście zdjąć odciski palców z mebli. – Podrapał się po głowie. –

Szczerze mówiąc, musiałbym to sprawdzić. Takie rzeczy rzadko się zdarzają. – Uśmiech. – Możecie ustanowić precedens, ale stracić swojego bandziora.

– Jeśli dostaniemy pozwolenie od Vanderów i zobaczymy coś podejrzanego na widoku... – zaczął Milo.

Nguyen zasłonił uszy.

– No co?

– Taka sztuczka udałaby się z bezmózgim pajacem po bójce w barze.

Na widoku, jasne. Huck nie odpowiadał na wasze telefony, więc wyraźnie nie chce współpracować. Kto uwierzy, że zostawił dowody na wierzchu?

– Głupi przestępcy – rzucił bez troski Moe Reed. – Bez nich ta robota byłaby wesoła jak atak serca.

Milo spiorunował go spojrzeniem, potem się uśmiechnął.

– Detektyw Reed ma rację, John – zwrócił się do Nguyena. – A jeśli Huck uważa, że jest zabezpieczony ze wszystkich stron i robi się zuchwały? Jeśli wejdziemy z zaskoczenia, nigdy nic nie wiadomo.

– O ile w ogóle tam siedzi, Milo. Od dwóch dni nikt z was go nie widział, a lexusa nie ma. Wy jesteście detektywami. Czy to nie zalatuje pryśnięciem?

– Kandydujesz na prezesa Klubu Pesymisty, John?

– Myślałem o tym – przyznał Nguyen. – Ale za bardzo wesoła z nich zgraja.

– Ha! Facet pryska bez zamiaru powrotu, czyli to, co zostawił, jest porzucone, tak? – zawołał radośnie Reed.

Nguyen przyjrzał się młodemu detektywowi.

– Departament hoduje sobie cwanych, co? Owszem, może tak być, jeśli to bezdyskusyjnie oczywiste, że wyprowadził się na stałe. A wiercie mi, będą to podważać, stwierdzą, że wyjechał na urlop, oczekując poszanowania prywatności.

– Na urlop od nas? To wskazuje na winę – skomentował Reed.

– Na urlop od pracy, nudy, otoczenia, detektywie. Chodzi o to, że Ojcowie Założyciele chcieli, żeby ludzie mogli pozwiedzać Yosemite i nie stwierdzać po powrocie do domu, że policja przetrzepała im dom. A w przypadku tego konkretnego podejrzanego powodem ucieczki może być coś innego niż wina. Jako dziecko został niesprawiedliwie skazany. To chyba wystarczająco usprawiedliwia unikanie gliniarzy?

Reed wykrzywił usta. Przeciągnął palcem pod kołnierzem.

– Słuchajcie – podjął Nguyen. – Jak zdobędziecie pozwolenie od Vanderów, jest szansa. Ale to musi być na piśmie. Przynajmniej rozejrzycie się, skontaktujecie z innymi ludźmi: pokojówką, ogrodnikiem, kimkolwiek, zobaczycie, czy obciążą jakoś Hucka.

– Jak dotąd nie widzieliśmy śladów obecności innego personelu – powiedział Milo.

– Ale to jest olbrzymi dom, musi tam ktoś być – stwierdził Reed.

Nguyen wstał.

– Miło było, panowie. Mam spotkanie.

Kiedy wyszliśmy na parking, zadzwonił telefon Reeda.

– Liz Wilkinson – wyjaśnił, rozłączając się. Zarumienił się. – Doktor Wilkinson. Chce porozmawiać o kościach dłoni.

– Do krypty jest dziesięć minut. Jedź – zdecydował Milo.

– Pracuje teraz na bagnie, ogląda zdjęcia z powietrza, które rano zrobił śmigłowiec.

To Reed wymyślił oględziny z góry.

– Coś wyszło? – spytał Milo.

Moe pokręcił głową. Pospiesznie wsiadł do swojej crown victorii, szybko odjechał.

My poszliśmy do wozu Mila.

– Możesz poprowadzić, Alex? Chcę zadzwonić w parę miejsc.

– Czy to nie wbrew przepisom?

– Pewnie, że wbrew. Muszę się jakoś rozweselić.

Skierowałem wielki, niezgrabny samochód na zachód, a Milo zadzwonił do czterdziestoosobowej kancelarii adwokackiej w Beverly Hills, zajmującej się wszystkimi prawnymi sprawami Simona Vandera.

Najpierw został spławiony przez prawniczkę Sarah Lichter, ale kiedy przycisnął jej sekretarkę, wyszedł na jaw fakt, że panna Lichter reprezentowała pana Vandera w „pewnej sprawie biznesowej kilka lat temu”, natomiast głównym prawnikiem pana Vandera w przypadku

„większości spraw biznesowych” jest pan Alston B. Weir.

Sekretarka Weira okazała się sympatyczna, ale tak samo mało pomocna. Skierowała Mila do asystenta Weira, który kazał mu czekać.

Milo przełączył telefon na głośnik, ziewnął, przeciągnął się, rozejrzał

po ulicach śródmieścia.

Samochód ściągał na bok, musiałem się szarpać z kierownicą. Mój podziw dla sprawności Mila wzrósł.

– Buddy Weir – zabrzmiał wesoły, afektowany głos. – W czym mogę pomóc policji?

Milo mu powiedział.

– Travis? To trochę szokujące.

– Zna go pan?

– Poznaliśmy się. Chodzi mi o to, że ktoś, kogo Simon czy Nadine zatrudnili, jest... mam nadzieję, że panowie się mylą. Co do wejścia do domu... chyba w tych okolicznościach Simon ani Nadine nie mieliby nic przeciwko nadzorowanej wizycie. Naprawdę uważacie, że to konieczne?

– Tak.

– Ojej. – Weir westchnął głośno. – Jeśli Travis rzeczywiście jest zamieszany w jakieś przestępstwo, zakładam, że Simon i Nadine będą wdzięczni za waszą pomoc.

– Pomaganie to nasza praca.

– Dziękuję, detektywie. Zobaczę, czy uda mi się skontaktować z Si...

panem Vanderem.

– Simone mówiła, że jej ojciec przebywa w Hongkongu.

– Tak? To pomocne... jedna rzecz, detektywie. Nie znam się dobrze na prawie karnym, ale nie jestem pewien, czy zgoda Simona albo Nadine na wejście do domu zniesie wszelkie prawne przeszkody w przyszłości.

– Jakie prawne przeszkody, proszę pana?

– Taktykę obrony – wyjaśnił Weir. – Jeśli do tego dojdzie.

– Co ma pan na myśli?

– Jak już mówiłem, prawo karne to nie jest moja specjalność, ale tak z marszu widzę wiele problemów z kwestią lokatorstwa. Jeśli Tra-vis oficjalnie wynajął kwaterę, bezpośrednio lub w formie korzyści ubocznej...

Powtórzył prawie słowo w słowo przemowę Johna Nguyena. Miło milczał, kłapał dłonią jak kaczym dziobem.

– Będziemy to mieli na uwadze – zapewnił, kiedy Weir skończył.

– Wróćmy do kluczowej sprawy skontaktowania się z Simonem i Nadine w Hongkongu – podjął Weir.

– Ona jest u rodziny na Tajwanie.

– Och. Dobrze wiedzieć. Jeśli uda mi się z kimś skontaktować...

myślmy pozytywnie i powiedzmy „kiedy”, poproszę, żeby przesłali mi faksem ograniczone pełnomocnictwo. Wtedy będziecie mogli tam wejść.

– Dziękuję. Proszę w to włączyć domek na plaży.

– Domek na plaży – powtórzył Weir. – Nie widzę przeciwwskazań.

– Jeszcze jedno pytanie – zagadnął Milo. – Kto pracuje w głównym domu oprócz Trávisa Hucka?

– Nie wiem.

– Pokojówki, gosposie?

– Widywałem ogrodników, ale żadnego stałego personelu.

– W takim dużym domu? – zdziwił się Milo. – A kto sprząta?

– Travis zarządza posiadłością, może on to załatwia, zatrudnia firmę sprzątającą? Naprawdę nie wiem, poruczniku. Nie my płacimy rachunki, zajmuje się tym prywatny bank w Seattle... Global Investment. –

Przeczytał numer. – O rany.

– Co się stało, panie Weir?

– Jeśli to Travis decyduje, kiedy dom jest sprzątny, miałby możliwość ukrycia dowodów, prawda?

– Dlatego chcemy się tam dostać jak najszybciej.

– Oczywiście... poruczniku, na skali od jednego do dziesięciu, jak bardzo to poważna sprawa?

– Chodzi o zabójstwo, panie Weir, ale nie mogę przysiąc, że spraw–

cajest pan Huck.

– Ale go podejrzewacie.

– Interesujemy się nim.

– Cudownie – mruknął Weir. – Po prostu pięknie. Koniecznie muszę się skontaktować z Simonem.

Pojechałem Beverly Boulevard na zachód, a Milo zadzwonił do Global Investment w Seattle.

Kilku podwładnych i jednego bankiera później udało mu się ustalić, że firma z Palisades o nazwie Wesole Rączki sprzątała w obu domach Vanderów, kiedy było trzeba.

– Kto ustala, kiedy trzeba? – spytał Milo.

– A skąd mam wiedzieć? – odparł bankier. Klik.

Milo popatrzył wilkiem na telefon, potem go schował.

– A więc Huck to kontroluje. Mam przeczucie, że zwiął. Był

niewidoczny od chwili wyjścia z poprawczaka do trzech lat temu, a kiedy zaczęliśmy krążyć na horyzoncie, zakopał się głębiej.

– Życie pod ziemią uczy – powiedziałem.

– Co masz na myśli?

– Mógł być niesłusznie skazany, ale to doświadczenie i dalsze przygody wyrobiły w nim paskudne nawyki.

– Duszenie i okaleczanie dla zabawy i zysku... Jak taki facet poznał

Vanderów?

– Może to dobrzy ludzie.

– Sympatyczni, opiekuńczy bogacze.

– Zdarza się.

– Tak myślisz?

– A ty nie?

– Na pewno gdzieś tacy istnieją, ale przypuszczam, że tyle szmalu nie mają ludzie sympatyczni, o dobrym sercu.

– As detektyw Włodzimierz Lenin.

– Władza w ręce ludu. – Pchnął zaciśniętą pięścią w powietrze, musiał

zgiąć rękę, żeby nie uderzyć w podsufitkę. – Jedź do Moghul. Zgłodniałem od tych wszystkich

niewpowodzeń.

– To samo mówisz przy sukcesach.

– Przynajmniej jestem stały w poglądach.

Zostawiliśmy samochód na służbowym parkingu, poszliśmy do restauracji. Sala była gwarna; dwa długie stoły okupowali pracownicy pobliskich biur, stolik w rogu zajmowali Moe Reed i Liz Wilkinson.

Siedzieli bliżej, niż wymagały tego sprawy służbowe. Miski z jedzeniem stały nietknięte. Reed miał na sobie marynarkę, ale zdjął

krawat, rozpiął kołnierzyk. Rozpuszczone włosy Liz Wilkinson były masą lśniących kędziorów. Niebieska sukienka ładnie podkreślała jej odcień skóry.

On się uśmiechnął, ona roześmiała. Stuknęli się łokciami, zaśmiali oboje.

Zobaczyli nas jednocześnie i przestraszyli się jak dzieci przyłapane na zabawie w doktora.

Reed zerwał się na nogi.

– Poruczniku, doktorze. Doktor Wilkinson ma nam do powiedzenia ciekawe rzeczy o tych kościach palców. Wreszcie coś!

Trajkotał. Liz Wilkinson patrzyła na niego ze zdziwieniem. Milo zerknął na talerz jagnięciny.

– Przekonałem cię do curry, detektywie Reed?

– Ona... doktor Wilkinson to lubi.

– Tak się składa, że to jedna z moich ulubionych kuchni, więc kiedy Moses ją zaproponował, pomyślałam: super – wyjaśniła Wilkinson. –

Dodaję ten lokal do swojej listy.

– Usiądźcie – zaproponował Reed, trochę głośniejszym głosem niż to było konieczne.

Z głębi restauracji wyłoniła się kobieta w okularach, dziś w sari czerwonym jak krew. Na widok Mila rozpromieniła się i pospiesznie zawróciła do kuchni.

– Ucieszyła się – zauważyła Liz Wilkinson.

– Bo to dobry klient – odparł Reed. – Porucznik.

Kilka chwil później zamasyżycie postawiono nam na stole talerze z homarem.

– Ho ho, ktoś tu jest VIP-em – powiedziała Liz. – Dzięki, że pozwolił

się nam pan załapać, poruczniku.

– Wystarczy Milo, pani doktor. Co pani dla nas ma?

– Poskładałyśmy kości z pudełka i wyszły nam trzy komplety. Biorąc pod uwagę wymiary lewych dłoni trzech zakopanych ofiar, łatwo było wszystko dopasować. Palce Laury Chenoweth są wyraźnie większe niż pozostałych dwóch. A palce Numeru Trzy, panny Montouthe, miały ślady reumatyzmu. Drugie odkrycie: kości poddano kąpieli w kwasie.

Konkretnie siarkowym, o takim stężeniu, że je obrał, czyli rozpuścił

miękką tkankę, ale kości nie. Od początku podejrzewałam jakąś obróbkę.

Powierzchnie były bardzo gładkie, właściwie wypolerowane, a to nie efekt działania czasu, wody i rozkładu. Pobrałam próbkę i znalazłam ślady kwasu siarkowego w zewnętrznych warstwach kości wszystkich trzech ofiar.

– Taka polerka wskazywałaby na osobiste trofeum – wywnioskował

Moe Reed.

– Tak samo umieszczenie ich w ładnym pudełku – dodałem. – Pytanie, po co zadawać sobie tyle trudu, a potem zostawiać swój skarb do odnalezienia? Zastanawiam się, czy nie zaczęły jako upominki, a potem nie zmieniły się w coś innego: wyzwanie.

– „Patrzcie, co zrobiłem” – podsunął Milo.

– Pasuje to do gier, które Hernandez znalazł w schowku.

– Bawi się z nami.

– Jakich gier? – spytała Liz Wilkinson.

– Same plansze – odparł Reed. – „Monopol”, „Life”.

– Pieniądze i podstawowa egzystencja – powiedziała. – To dość pierwotne.

– Pieniądze, egzystencja, kończenie czyjeś egzystencji – podsumował

Reed. Przysunął się do niej bliżej. Nie miała nic przeciwko.

– Morderstwo Seleny również potwierdzałoby skłonność do ekshibicjonizmu – stwierdziłem. – Najpierw zabójca wybierał ofiary uważane za wyrzutki, zakopywał je w miejscu, gdzie mogły leżeć w nieskończoność. Morderstwo Seleny zostało zgłoszone, ciało zostawiono na widoku, z dowodem tożsamości w torebce. Sprawca chciał, żebyśmy wiedzieli, kim była i co jej zrobił.

– A przy okazji miał nadzieję, że przeszukamy bagno i znajdziemy pozostałe – wtrącił Reed.



– Gdybyście tego nie zrobili, zostawiłby inne odpowiedzi.

– Przestaje płacić za schowek – podjął Milo. – Wie, że aukcja odbędzie się mniej więcej w czasie, kiedy załatwi Selenę. Wszystko wyreżyserował?

Liz Wilkinson się skrzywiła.

– Potraktowanie palców kwasem oznacza, że zatrzymywał ciała. Może, żeby się nimi bawić.

– Wszystko w porządku? – Reed spojrzał na Liz ze zdziwieniem.

– Owszem. Po prostu zazwyczaj nie widzę takich spraw z tej strony. –

Kiedy sięgnęła, by odgarnąć włosy z twarzy, palcami musnęła jego rękaw.

– Ludzie bez przerwy pytają, czy nie brzydzi mnie praca ze szczątkami.

Kiedy mówię, że to uwielbiam, są zaskoczeni. Ale na poziomie tkanek to czysta laboratoryjna praca. Kiedy zaczynam myśleć o człowieku, który był

kiedys tym, co mam na stole... – Odsunęła talerz. – Chyba lepiej już wróć. Jeśli chcesz, Moses, możemy później porozmawiać o tej drugiej sprawie.

– Odprowadzę cię.

– Jakiej drugiej sprawie? – spytał Milo, kiedy Reed wrócił do restauracji.

– Słucham?

– O czym będziesz rozmawiał z miłą panią doktor? Reed zrobił się czerwony.

– A, to. Układa listę lektur medycyny sądowej. Pomyślałem, że powinienem coś o tym wiedzieć.

– Potęga edukacji. Jesz tę jagnięcinę?

– Cała dla ciebie, poruczniku. Chyba też będę się zwijał.

– Dlaczego?

– Przejadę się obok domu Vanderów, może przyłapię Hucka. Milo pokręcił głową.

– Pogadam z Jego Eminencją, niech postawi tam zmianami ludzi z patrolu w cywilkach. Ty jesteś przeznaczony do wyższych celów.

– Na przykład jakich?

– Sprawdź na skalę krajową nierozwiązane sprawy z brakującymi kończynami i częściami ciała potraktowanymi chemią. Zacznij od dłoni, ale się nie ograniczaj.

– Nogi, ręce, cokolwiek – powiedział Reed.

– Głowa, ramiona, kolana, palce. Wszystko jedno, byle obcięte.

– Myślisz, że zmieniał techniki?

– Jak doktor Delaware lubi mi przypominać, powtarzalność sprawdza się w rozkładzie jazdy. – Milo odwrócił się do mnie. – Jeśli zostawiał

sobie trupy do zabawy, dom Vanderów prawdopodobnie nie jest miejscem zbrodni. Zarządca czy nie, urządzenie sobie tam laboratorium doktora Frankensteina pociągałoby za sobą zbyt duże ryzyko.

– Nie, jeśli Vanderowie byli w to zamieszani – zaproponował Reed.

– Mimo wszystko, Moses. Mają w domu dzieciaka. Ewentualne niegrzeczne imprezki, kiedy mały pójdzie spać, to jedno, ale krojenie trupów przy małolacie to już przesada.

– Czyli Huck dysponuje innym lokum.

– Może dlatego go nie widzieliśmy, ukrywa się w swojej mordowni.

Sprawdź w nieruchomościach, czy płaci za coś podatek. Z wynajmem jest problem, czegoś takiego nie znajdziemy, dopóki nie ogłosimy publicznie, że go szukamy, a na to jeszcze nie jestem gotowy.

– Kiedy byliśmy w Pacific Storage, zażartowałeś, że ludzie tam mieszkają – przypominałem. – Chłopak z biura zaprzeczył. Ale jestem pewien, że to się zdarza.

Milo się zastanowił.

– Warto więc sprawdzić. Nie pokazywaliśmy chłopakowi zdjęcia Hucka. Nie masz dość, Moe?

– Nawet za mało – odparł Reed. – Dajcie mi jeszcze.

– Nie mam więcej. Na pewno nic nie zjesz?

– Nie, dzięki, będę się zbierał.

Po skończeniu porcji Reeda i Wilkinson Milo pochłonał jeszcze homara i dwie miski ryżowego budyniu. Wrócił do biura. Ja pojechałem do domu i powtórzyłem poszukiwania „Travisa Hucka”, „Edwarda/Eddiego/Eda Huckstadtera” nic nie znalazłem.

Wpisanie „Simon Vander” wyrzuciło sprzedaż sieci sklepów spożywczych za ośmiocyfrową sumę i parę wzmianek o udziale Vandera oraz jego żony w komitetach charytatywnych: muzeum sztuk pięknych, zoo, Biblioteka Huntingtona. Typowa filantropia bogaczy.

Jeśli Simon i Nadine Vander mieli mroczną stronę, ukryli to przed cyberprzestrzenią.

O wpół do piątej wylogowałem się, porozmawiałem z Robin o kolacji.

Oboje zdecydowaliśmy się na makaron. Ona wróciła do pracy, a ja skoczyłem do marketu na szczycie Glen. Zadzwoiła do mnie operatorka telefoniczna.

Ma pan wiadomość od Almy Reynolds.

– Jeśli jej pan nie pamięta, prosiła, żeby przekazać, że jest kochanką Sila Duboffa.

– Pamiętam ją.

– Interesujący sposób określenia siebie, nie sądzi pan, doktorze Delaware? Czyjaś kochanka? Ale pan się zadaje z różnymi ludźmi.

Usłyszałem osiem sygnałów. Już miałem się rozłączyć, kiedy Alma Reynolds odebrała.

– Porucznik Sturgis nie oddzwonił, myślałam, że pan też się ze mną nie skontaktuje – powiedziała. – Jadę do kostnicy. Za kilka dni wydadzą mi Sila. Zawsze mówił o kremacji, o ile dałoby się to zrobić... ekologicznie.

Ideałem byłoby oczywiście, gdyby wszystkich nas wyrzucono na kupę kompostu.

– O co chodzi?

– Coś nowego w sprawie?

– Jeszcze nie, przykro mi.

– Przyszła mi do głowy pewna myśl. Zastanawiałam się, co mogło skłonić Sila, żeby pojechał tamtej nocy na bagno. Nie żeby potrzebował

zachęty, bez przerwy tam wpadał. Pozbierać śmieci, sprawdzić, czy nikt się nie kręci. Ciągnęło go to miejsce. Tak naprawdę miał obsesję. Wiem dlaczego. Jego rodzice byli beatnikami, którzy przenieśli się z Ann Arbor w wiejskie rejony Wisconsin. Cała rodzina mieszkała w drewnianym domku niedaleko, proszę zgadnąć czego.

– Wody i trzciny.

– Olbrzymich moczarów, zasilanych przez jedno z Wielkich Jezior. Sil mówił, że było tam idealnie, dopóki niedaleko nie otworzono papierni, która zatrąła wszystko w cholerę. Ryby wyzdychały, powietrze okropnie śmierdziało i w końcu rodzina Sila musiała się przenieść do Milwaukee.

Oboje rodzice umarli na raka i Sil był przekonany, że to przez toksyny z papierni. Chociaż ojciec palił trzy paczki dziennie i dostał raka płuc, a rak piersi był w rodzinie matki dziedziczny. Ale spróbowałby mu to pan powiedzieć. W ogóle cokolwiek powiedzieć.

– Rozumiem, dlaczego Ptasie Moczary były dla niego ważne.

– Obsesja – powtórzyła Reynolds. – Czasami to przeszkadzało.

– Komu?

– Nam. Odpoczywaliśmy, a on nagle się zrywał, mówił, że musi tam pojechać i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Drażniło mnie to, ale rzadko się odzywałam, bo widziałam psychologiczne mechanizmy jego idealizmu. Tamtej nocy jednak był... naprawdę nie chciałam z nim jechać... po prostu mnie porwał. Dlatego to musiało być coś ważnego.

– Powiedział pani, że dzwoniący obiecał mu wyjaśnić morderstwa.

– A ja uwierzyłam. Kiedy znalazły się te zwłoki, Sil potraktował to osobiście, jakby pozwolił, żeby coś się stało jego dziecku. Martwił się też, że zabójstwa staną się pretekstem do twierdzeń, że bagno nie jest już nieskalanym zakątkiem i to otworzy drogę deweloperom. Paranoja co? Ale Sil taki był. Sam przeciw wszystkim.

– Przy takim nastawieniu sprawdziłby każdy trop – stwierdziłam.

– Właśnie. Cieszę się, że rozmawiam z panem, a nie Sturgisem.

– Czy coś w zachowaniu Sila wskazywało, że znał dzwoniącego?

– Nie. Zastanawiałam się nad tym, próbowałam sobie przypomnieć, ale nie. Myśli pan, że zwabił go ktoś, kogo szanował?

– Ktoś, kto go wspierał. Czy ma pani listę członków „Ocalić Moczary”?

– Nie wiedziałam, że taka w ogóle istnieje.

– Kto teraz kieruje biurem?

– Nie wiem, nie chcę wiedzieć – odparła z mocą. – Umywam od tego ręce.

W Ocalić Moczary nikt nie odbierał.

W zarządzie fundacji wymienieni byli postępowi miliarderzy, którzy próbowali na moczarach budować, Silford Duboff, niejaka Chaparral Stevens i dwóch mężczyzn: doktor medycyny Tomas Friedkin i doktor Lionel Mergsamer.

Chaparral Stevens projektowała biżuterię w Sierra Madre; Friedkin był

dziewięćdziesięcioletnim okulistą, emerytowanym wykładowcą; Mergsamer astronomem ze Stanforda.

Mało prawdopodobni kandydaci na przestępców, ale wydrukowałem ich nazwiska.

Poszukałem balów charytatywnych na rzecz moczarów, znalazłem trzy imprezy w Westside, bez list

gości.

Spróbowałem skupić się na całym lesie, zamiast na poszczególnych drzewach: dlaczego Silford Duboff został zwabiony na śmierć?

Raczej nie stanowił podniecy seksualnej dla psychopaty.

Najprawdopodobniej po prostu za dużo wiedział – a dowiedział się zupełnie przypadkiem albo i nie.

Kolejne kości w mule? Zdjęcia z powietrza nic nie wykazały, ziemia połykała i trawiła śmierć.

A może Alma Reynolds miała rację i chęć Duboffa, by bawić się w zbawiciela – odwrócić traumę z dzieciństwa – zaprowadziła go w pułapkę.

Z psychologicznego punktu widzenia to miało sens, ale nic dalej z tego nie wynikało. Moje zapętlone rozmyślenia przerwało ciche stukanie do drzwi gabinetu.

– Bardzo zajęty? – spytała Robin.

– Nie, już skończyłem.

– W razie czego, ja mogę się zabrać do gotowania. Wstałem i poszliśmy do kuchni.

– Współpraca, jak w Ulicy Sezamkowej. Chcesz być Bertem czy Erniem?

– Może Oscarem.

– Aż tak?

Blanche przydreptała do nas i się uśmiechnęła.

– Niech nakryje do stołu – powiedziałem.

Głowa, ręce i nogi w Missouri – poinformował Reed. – Głowa, dłonie i stopy w New Jersey. Trzy dłonie i stopa tylko w... – Zajrzał do notatek. –

W stanie Waszyngton, Zachodniej Wirginii i Ohio.

– Nigdzie samych dłoni? – spytał Milo.

– Nie. Ani kąpieli w kwasie. Do tego w trzech przypadkach znają sprawcę, ale nie mają dość dowodów, żeby wnieść oskarżenie.

Siedzieliśmy w sali przesłuchań w Westside, po kolejnym długim dniu.

Telefon Mila do Buddy'ego Weira skończył się zapewnieniem „pracujemy nad tym” od asystenta adwokata. Obserwacja domu na Calle Maritimo nie wykazała żadnej aktywności, nie licząc przybycia ekipy ogrodników.

Nie mieli pojęcia, czy Huck jest w domu, a kiedy Milo namówił

jednego z nich, żeby zadzwonił do drzwi wejściowych, nikt nie otworzył.

Huck wciąż odrzucał telefoniczne zaproszenia na rozmowę z policją.

– Zabójstwo w Jersey to na pewno robota mafii – powiedział Reed. –

Ofiara została rozpoznana po bliźnie pooperacyjnej na plecach.

– Gangster z chorym dyskiem. Coś jeszcze? Reed pokręcił głową.

– Jakieś amputacje tylko jednej ręki? – spytałem.

– Nie.

– Bo odrąbawali obie, żeby utrudnić śledztwo – stwierdziłem. – Nasza sprawa nie ma z tym nic wspólnego. Tu ręce są symbolem.

– Czego? – zaniepokoił się Milo.

– Jestem dobry w pytaniach, nie odpowiedziach – odparłem. – Ale może to ma jakiś związek z grą Seleny na pianinie?

– Na pianinie gra się obiema rękami, Alex.

– Prawa gra melodię.

Zrobili miny mówiące „nie, dziękuję”.

– Alternatywa: ktoś chce, żeby te morderstwa wyglądały na dziwaczne

– dodałem.

– Psychoseksualna zmyłka? – mruknął Milo. – Żeby ukryć co?

– Ciągłe wracam do Seleny. Ona się naprawdę różni od pozostałych. A jeśli tu chodziło właśnie o nią a pozostałe kobiety to próbne podejścia?

– Ponad rok prób? – zdziwił się Milo. – Dlaczego Selena miałyby być taka ważna?

– Wiedziała coś, przez co stwarzała zagrożenie. Coś wystarczająco poważnego, żeby zabrać jej komputer. Z tego samego powodu zginął

Duboff.

– Dalekosiężne plany zwykle związane są z pieniędzmi.

– A Vanderowie śpią na forsie – dorzucił Reed. – Ciągłe do nich wracamy. I do Hucka, który dla nich pracuje.

– Jeśli inne kobiety to rzeczywiście tylko przypadkowe ofiary, przekopywanie się przez ich przeszłość jest stratą czasu – stwierdził Milo.

– Morderca musiał się z nimi jakoś skontaktować – przypomniałem. –

Więc wciąż może coś wyniknąć z tego tropu.

– Obszedłem cały deptak pod lotniskiem – jęknął Reed. – Nikt nie pamięta Hucka.

– To tymczasowi ludzie. A tacy mają krótką pamięć z różnych powodów.

Milo wstał, przemaszerował w tę i z powrotem, wyjął cygaro. Moe Reed się odprężył, kiedy panatela wpadła do kieszeni.

– Facet wybiera dziwki... kto powiedział, że działał tylko w jednej okolicy?

– Inny deptak? – spytał Reed.

– Huck mieszka w Palisades – podjąłem wątek. – Jeśli chodzi mu o samą zabawę, ogranicza się do Westside. Ale kiedy szuka ofiar, jeździ tam, gdzie raczej nikt go nie pozna.

– Może gdzieś bliżej swojej rzeźni – podsunął Reed. – I stosunkowo blisko domu Vanderów. Nie żebym znalazł cokolwiek w nieruchomościach czy gdziekolwiek indziej.

– Lotnisko, moczary, magazyn, to wszystko znajduje się dość blisko siebie – dodał Milo. – A więc rzeźnia mogłaby być w tej okolicy.

– Żeby znaleźć wynajmowany lokal, musielibyśmy ujawnić sprawę i czekać na jakiś donos.

– Jeszcze nie teraz, Moses. Na razie trzymajmy się teorii drugiego deptaka. Jeśli znajdziemy inne pracujące dziewczyny, które Huck regularnie odwiedzał, i dowiemy się, że lubi brutalny seks, na przykład z przyduszaniem, to da nam podstawę do nakazu.

– Sprawdzę Lincoln Boulevard dalej na północy.

– Dobry pomysł. Jak to nie wypali, przejdziemy na Strip. Właściwie nawet nie będziemy czekali. Wieczorem ty zrobisz Lincoln, potem Sunset od Doheny do Fairfax. Ja wezmę Wschodni Sunset do Rampart, potem Śródmieście. Przefaksuję prawo jazdy Hucka do obyczajówki, może komuś coś się przypomni.

– Co z obserwacją domu?

– Dalej zostawimy to patrolowi. Jeśli Huck niedługo się nie pokaże, będziemy chyba musieli porozmawiać z szefostwem o konferencji prasowej. Oprócz ryzyka, że się zagrzebie, nic na niego nie mamy, a raz już był ofiarą urzędowej niesprawiedliwości. Słyszysz otwierającą mowę obrońcy? – Odwrócił się do mnie. – Co do Duboffa... możliwe, że został

wypatroszony przez innego maniaka moczarów, ale przesiewanie ekologów dostaje niski priorytet.

– Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć – powiedziałem.

– Nadaje się pan do policji, doktorze – stwierdził Reed.

– To mój przyjaciel – odparł Milo. – Uważaj co mówisz.

Ocalić Moczary: Komitet Obywatelski mieścił się w beżowym, drewnianym domu w Playa Del Rey, tam, gdzie dzielnica przechodzi w urocze miasteczko pełne kawiarni i sklepów.

Trzy kilometry od bagna, jeszcze bliżej do Pacific Storage.

Okna miały pozamykane okiennice. Parking na trzy samochody był

pusty.

Żadnego wspomnienia po Duboffie – w ogóle żadnego śladu, że został

zamordowany.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, do kawiarni Chez Dauphin. Białe drewno, niebieskie okiennice, ganek z moskitierą, gromadka klientów.

Zamówiłem bułkę i kawę, zjadłem połowę, zanim zapytałem galijską właścicielkę, czy wie, z kim się kontaktować w sprawie domu naprzeciwko.



– Nie, m’siew. Nigdy tam nikogo nie widziałam. Zaczęłam dzwonić do ludzi z zarządu Ocalić Moczary.

Poczta głosowa w wytwórni biżuterii Chaparral Stevens miała w podkładzie śpiew ptaków, szum wody i dzwonki wiatrowe. Głos Stevens był cichy i skwaszony, trochę się jąkała. „Tantryczna ekstaza”, której, jak sama twierdziła, doznała dzięki „półrocznej duchowej wyprawie do Rezerwatu Monteverde na zapierającej dech w piersiach Koch–ta–rice”, zabrzmiała jak marihuanowy bełkot.

Sekretarka w Centrum Okulistyki uniwerka poinformowała mnie, że doktor Tomas Friedkin nie odzywał się od lat.

– A przynajmniej ja go nie widziałam. Właściwie, mam nadzieję, że się mylę, ale chyba umarł.

– Och, rozumiem. Szkoda.

– Jest pan jego kolegą?

– Studentem.

– Niech pan zaczeka, sprawdzę. – Kilka chwil później powiedziała: –

Tak, przykro mi, zmarł w zeszłym roku. Jeden z jego studentów, doktor Eisenberg, mówi, że pogrzeb odbył się na statku. Rozsypano prochy.

– Doktor Friedkin kochał przyrodę...

– Wszyscy powinniśmy wracać tam, skąd przyszliśmy, i nie robić zamieszania.

– Doktor Friedkin działał na Ptasich Moczarach– próbowałam zdobyć jeszcze jakieś informacje.

– Och, jak miło. Uwielbiam ptaki.

Profesor Lionel Mergsamer był na rocznym urlopie naukowym w Królewskim Obserwatorium w Greenwich w Anglii.

Wszyscy odpoczywali. Kiedy ja ostatni raz miałem wakacje?

Zadzwoń do studia należącego do postępowych miliarderów i dostałem dokładnie to, czego się spodziewałem: długie czekanie, w końcu odłożono słuchawkę.

Nieobecny zarząd z tytułami honorowymi pozostawił prowadzenie organizacji temu, kto miał chęć wziąć na siebie odpowiedzialność.

Czyli Silfordowi Duboffowi.

Kto jeszcze mógł wiedzieć coś o fundacji? Ten wolontariusz, który odebrał telefon od mordercy...  
Chance Brandt.

W książce telefonicznej była tylko kancelaria Stevena A. Brandta.

Przypomniałem sobie jego wrogie nastawienie i uznałem, że nic nie powie albo dostanie szalu, więc zadzwoniłem do szkoły Windward. Podkreślając swój policyjny status i stanowczo prosząc o połączenie z dyrektorem Rumleyem, przekonałem sekretarkę, żeby podała mi numer telefonu pana Brandta juniora.

– Tak? Wyjaśniłem, kim jestem.

– Tak?

– Chance, kogo widziałeś w biurze oprócz pana Duboffa?

– Tak?

Dziewczęcy chichot i hiphopowy łomot basu w tle.

Powtórzyłem pytanie.

– A, tam... – Trochę bełkotał. Jakaś dziewczyna głośno wyrażała swój zachwyt.

– Chance?

– Tak?

Piskom dziewczyn zawtórował męski śmiech.

– Kogo widziałeś, Chance?

– Ta...

– Dobra, porozmawiamy na komisariacie.

– Nikogo, w porządku?

– Nikogo oprócz Duboffa.

– To świr. Człowiek z Bagien. – Głośniejsza wesołość w tle. – On się z nim pieprzy. Z tym błotem.

Użył czasu teraźniejszego; w wiadomościach nie podawali informacji o morderstwie Duboffa. Przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć o tym chłopakowi, ale się rozłączyłem.

Nie po to, by chronić jego wrażliwość. Obawiałem się, że nic takiego nie posiada.

Moe Reed wpadł do Cafe Moghul. Ciało zapaśnika pochylone do przodu, ramiona opuszczone. Agresywna szarża, ale uśmiechał się, jakby podążał ku zwycięstwu.

Pierwszy raz widziałem go zadowolonego.

Milo przełknął kurczaka tandoori i wytarł usta.

– Przynajmniej ktoś ma dobry dzień.

Całą noc spędził na bezowocnych poszukiwaniach dziewczyn, które znałyby Tralisa Hucka. Poranek w biurze był wypełniony niekończącymi się dyskusjami przez telefon z coraz wyżej postawionymi przełożonymi, czy podać do publicznej wiadomości tożsamość Hucka.

Debata dotarła do gabinetu komendanta i odpowiedź przyszła z samej góry: ze względu na doświadczenia Hucka z wymiarem sprawiedliwości, poczekać na więcej dowodów.

Chyba że znalazłaby się kolejna ofiara.

– Nie ma to jak polityka dążenia do celu po trupach.

Właśnie skończyłem opowiadać mu o wrednym zachowaniu Chance’a Brandta.

– Pokolenie T, jak tępe – skomentował. Reed usiadł i pomachał

notesem.

– Dwie dziwki. Milo odłożył widelec.

– A pytanie brzmi: „Jaki cotygodniowy przywilej wiąże się z mandatem senatorskim?”

Reed się uśmiechnął.

– Znalazłem je na Strip, poruczniku. Brały od Hucka po czterdzieści dolarów. Obie poznały go po skrzywionych ustach. I wiesz co? Nie miał

czapki i jest zupełnie łysy. – Otworzył notatnik. – Charmaine L’Duvalier, prawdziwe imię i nazwisko Corinne Dugworth, oraz Tammy Lynn Adams, wygląda na to, że naprawdę tak się nazywa. Obie pracują na Sunset, głównie między La Cienega a Fairfax. Huck poderwał Charmaine na Fairfax miesiąc temu, Tammy Lynn trafiła na niego dwie przecznice na zachód. Za jednym i drugim razem Huck krążył około trzeciej, czwartej rano terenowym lexusem. Najwyraźniej facet dostaje do zabawy wóz szefa.

– Jakies niespotykane zwyczaje seksualne?

– Obie wspominały go jako bardzo cichego. Adams przyznała, że ją wystraszył.

– Przyznała?

– Te dziewczyny lubią udawać, że są twardymi ulicznicami, nie boją się niczego. Przycisnąłem ją trochę i powiedziała, że tak, wystraszył ją.

– W jaki sposób?

– Nawet nie starał się zachowywać przyjacielsko, a sporo kolesiów tak robi. Jakby płacił za to od dawna i przyszedł po prostu na kolejny szybki numerek.

– W przeciwieństwie do niej, romantycznego serduszka – prychnął

Milo.

– Moim zdaniem – ciągnął Reed – te dziewczyny muszą czuć, że mają kontrolę, więc udają twarde. Wielu gości się przy nich denerwuje. Ale nie Huck, on wydawał się całkowicie wyluzowany: tu jest kasa, dawaj towar.

– Za co płacił? – spytałem.

– Seks oralny.

– Jakaś agresja? Szarpał ją za włosy, groził? – dorzucił Milo.

– Nie – odparł Reed. – Chyba wystraszył je obie, ale tylko Adams się przyznała. Pracuje na ulicy od pięciu lat. Mówi, że ma dobre wycucie, którzy goście są nienormalni. A Huck zrobił na niej właśnie takie wrażenie.

– Ale i tak z nim poszła.

– Na pierwszy rzut oka wydawał się kulturalny, jeździł niezłym samochodem. Zaczął jej działać na nerwy dopiero, kiedy wsiadła.

– Bo był cichy i rzeczowy.

– Zero rozmowy. W ogóle nic nie mówił.

– Masz numery tych dziewczyn?

– Komórki na kartę. Co do adresów, żadna nie posiadała prawa jazdy i obie twierdziły, że właśnie szukają stałego adresu.

– Ach, ten glamour – mruknął Milo.

– Tak, to bzdury, ale tyle z nich zdołałem wyciągnąć, poruczniku.

Zgodziły się popytać o Hucka. Wiem, że to naiwne myśleć, że będą współpracować, ale może moja

wizyta trochę je wystraszyła. Jeśli znów spróbuje którąś poderwać, załóżę się, że mi doniosą. – Wypatrzył kobietę w sari, poprosił o dolewkę mrożonej herbaty.

– Nic do jedzenia? – spytała.

– Nie, dziękuję, tylko herbatę. Odeszła, kręcąc głową.

– Doskonała robota, detektywie Reed – pochwalił Milo. – Szkoda, że nie wiedziałem o twoich sukcesach godzinę temu. – Streścił dyskusję z szefostwem. – Nie żebym miał pewność, że te rewelacje coś by zmieniły.

Nasi przełożeni się boją, że cała sprawa rozleci się z braku dowodów, a Huck pozwie miasto.

– Naprawdę myślą, że odważyłby się to zrobić? – zdziwił się Reed.

– Najlepszą obroną jest porządny pozew, młody. Jak go wystawimy bez solidnych kwitów, pójdzie na całość. Wyobrażasz sobie Hucka na miejscu świadka, po tych wszystkich przejściach z poprawczakiem?

– A jeśli powiemy, że tylko się nim interesujemy, a nie traktujemy jako podejrzanego?

– Może zyskalibyśmy trochę czasu, ale Śródmieście nie jest na to gotowe. – Telefon Mila zapiszczał Brahmisa. – Sturgis. Kto? O co? Och.

Tak, jasne, poproszę numer. – Wstał. – Idziemy.

– Co jest, poruczniku?

– Odzyskałem wiarę w kwiat młodości.

Kobieta w sari, z herbatą Reeda w ręku, patrzyła, jak wychodzimy.

Dziewczyna miała ledwie metr pięćdziesiąt, siedemnaście lat, była wysportowana i opalona. Bujne rude włosy, jasne piegi i niebieskie oczy.

Młodsza wersja matki. Obie siedziały, trzymając się za ręce – dwa skrzaty na skraju olbrzymiej, granatowej, adamaszkowej kanapy.

Wytapetowany karmazynowym jedwabiem salonik lśnił jak krew pod żyrandolem Swarovskiego. Długi złoty łańcuch żyrandola, owinięty seledynową satyną, zwisał z siedmiometrowego, kasetonowego, złożonego sufitu. Za szprosami okien rozciągały się aksamitne trawniki. Przeciwnie końce pokoju były przyozdobione olbrzymimi, kamiennymi kominkami.

Nad jednym renoir, nad drugim matisse. Oba obrazy wyglądały na autentyczne.

Czekaliśmy pod bramą domu w Brentwood Park przez kilka minut, zanim nas wpuszczono.

– Jestem taka dumna z Sarabeth – powiedziała Hayley Oster. Miała na sobie śliwkowy, welurowy dres Juicy Couture. Upalny dzień, ale w posiadłości było zimno tak jak w markecie na dziale mrozonek. Podobny dres córki, w rozmiarze zero, kołł oczy spokojnym kolorem mchu.

Oster, tak jak te centra handlowe, pomyślałem.

– My też jesteśmy dumni, proszę pani – odparł Milo.

Na widok jego uśmiechu Sarabeth przysunęła się bliżej matki.

– Na pewno nic nie podać do picia? – spytała pani Oster. – To bardzo uprzejmie z panów strony, że tu przyjechaliście i oszczędziliście nam wycieczki na komisariat.

– Dziękujemy za telefon.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić, poruczniku. Kiedy Sarabeth wplątała się w tę aferę z Chance'em Brandtem w szkole, ustaliłyśmy jasno, że sytuacja musi się zmienić. Prawda, skarbie? – Uśmiechnęła się do córki i szturchnęła ją łokciem.

Sarabeth spuściła wzrok i pokiwała głową.

– Mój mąż i ja widzimy to tak – podjęła Hayley Oster.

Uprzywilejowana pozycja to błogosławieństwo, którego nie wolno nadużywać. Żadne z nas nie pochodzi z bogatej rodziny i nie ma dnia, żebyśmy nie dziękowali naszym szczęśliwym gwiazdom za to, co się nam udało osiągnąć. Harvey i ja uważamy, że za takie dary losu należy odwdzięczać się z nawiązką. Nie tolerujemy słabych charakterów. Dlatego zawsze mieliśmy zastrzeżenia co do tego, że Sarabeth zadaje się z Chance'em.

Przez chwilę wydawało się, że dziewczyna zacznie polemizować z matką. Rozmyśliła się.

– Tak, uważasz, że jestem niesprawiedliwa, skarbie, ale któregoś dnia zobaczysz, że mam rację. Chance jest niesolidny. Przystojny, wyszczekany, ale w środku pusty. Co gorsza, brakuje mu moralnego kręgosłupa. W pewnym sensie to sprawia, że jestem z Sarabeth jeszcze bardziej dumna. Chociaż znalazła się w złym, zepsutym towarzystwie, postanowiła myśleć niezależnie.

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Może nam o tym opowiesz, Sarabeth? – poprosił Milo.

– Wszystko już mówiłam mamie.

– Powiedz im – nakazała Hayley. – Muszą to usłyszeć bezpośrednio od ciebie.

Sarabeth wzięła głęboki oddech i potrząsnęła włosami.

– Dobra... Dobra. Ktoś dzwonił wczoraj wieczorem. U Seana.

– Seana jakiego? – spytał Reed.

– Capellego.

– Kolejny płytki młody człowiek – wtrąciła Hayley. – Ta szkoła ich chyba produkuje.

– Ktoś dzwonił do Seana... – wrócił do tematu Milo.

– E–e. – Sarabeth pokręciła powoli głową. – Do Chance’a. Byliśmy u Seana.

– Towarzysko.

– Aha.

– I co dalej?

– Ten ktoś powiedział, że jest z policji. Spytał, czy ktoś jeszcze przychodził do biura. Chance się wygłupiał, ciągle powtarzał „Tak?” Uważał, że to zabawne.

– Ten telefon?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Kolejne szturchnięcie łokciem.

– Au.

– Biedactwo – wycedziła Hayley Oster przez zaciśnięte zęby. – Miejmy to już za sobą jak najszybciej, Sarabeth.

– On kłamał – wydukała dziewczyna. – Chance. Bo tam ktoś przyszedł.

– Do biura.

– Aha.

– Kto?

– Powiedział tylko, że go zna, ale nie piśnie ani słowa, bo gliniarze znów by go ciągali, a ojciec dobrałby mu się do du...

– Saro!

– Przepraszam.

– Używaj języka tak młoda damo, żeby podkreślać swoje zalety.

Wzruszenie ramion.

– Czyli Chance skłamał, bo nie chciał, żeby go w to nie mieszać –

podsumował Milo.

– Aha... tak.

Hayley Oster uśmiechnęła się pod nosem.

– No to chyba mu nie wyszło.

Znaleźliśmy chłopaka w Klubie Tenisowym Riviera, grał z matką. Na nasz widok prawie upuściła raketę.

– Co tym razem?

– Stęskniliśmy się za państwem – odparł Milo. – Konkretnie za pani synem.

– O cholera – zaklął Chance.

– Właśnie.

Informacja padła szybko, Chance pocił się w słońcu, uśmiech cwaniaka wyparował.

Nie, nie znał osobiście tego gościa. Spotkał go tylko na przyjęciu.

– Czym? – spytał Milo.

– Ich. – Wskazał kciukiem Susan Brandt.

– O czym ty mówisz? – zaniepokoiła się matka. – Kiedy ostatnio urządziliśmy przyjęcie? Twój ojciec ich nie znosi.

– Nie te – jęknął syn. – Te charytatywne, nudne pierdoły, na które każecie mi łązić.

– A konkretnie? – cisnął chłopaka Milo. Chance odgarnął żółte włosy z czoła.

– Nie wiem.

– Postaraj się bardziej, synu.

– Akurat.

– Na Boga – Stęknęła Susan Brandt. – Powiedz im, co chcą wiedzieć, i miejmy w końcu z tym spokój.

Chance odbił od ziemi piłkę.

Matka westchnęła. Przełożyła raketę do lewej dłoni, a prawą mocno trzasnęła go w twarz. Prysnał pot. Na policzku chłopaka zaróżowiły się ślady palców.



Był od niej piętnaście centymetrów wyższy i trzydzieści kilo cięższy.

Zacisnął pięści i jakby jeszcze urósł.

– Będziesz się dalej wydurniał, to znów ci dołożę – ostrzegła.

– Nie ma potrzeby, proszę pani – zainterweniował Milo. – Zachowajmy spokój.

– Ma pan dzieci, poruczniku?

– Nie, proszę pani.

– A więc nic pan nie wie.

– Bardzo możliwe, mimo to...

– Jakiś facet, w porządku? – burknął Chance. – To było w Malibu, na lamerskiej imprezie, gdzie wszyscy nosili hawajskie koszule i udawali surferów.

– A tak – powiedziała Susan Brandt. Do nas: – Mówi o balu Coastal Alliance w zeszłym roku, na jesieni. Wbrew temu, co syn twierdzi, zazwyczaj nie zabieramy go na imprezy charytatywne, ale tam to był

ogrodowy grill, strój swobodny, inni też przyprowadzili dzieci. To miała być rodzinna impreza, rockowa muzyka i hot dogi. – Syknęła do syna: –

Jesz, tańczysz, wracasz do domu. To takie złe?

Chance potarł twarz.

– Nikogo tam nie znaleźliśmy – tłumaczyła dalej matka. – Poszliśmy tylko dlatego, że firma Steve'a przekazywała im fundusze, a starsi partnerzy byli w Aspen. Ktoś musiał iść.

– Widziałem, jak ten gość pił piwo.

– Gdzie się odbywało przyjęcie? – spytał Milo.

– W Seth Clubie – odparła Susan Brandt.

– Opisz tę osobę, Chance.

– Stary. – Uśmiech. – Jak tata. Blond włosy, ale to tylko pic na wodę.

– Farbowane?

– Aha. Jakiś stary facet chciał wyglądać jak surfer. I kilogramy bondo na ryju.

– Bondo? – Matka zmarszczyła brwi.

– Szpachlówka do łatania samochodów – wyjaśnił Moe Reed. Chance poklepał się po policzku. Ślady po palcach zaczęły lekko puchnąć.

– Był po operacji plastycznej – dodał Milo dla jasności. Chłopak się zaśmiał.

– Naprawdę?

– Chance – ostrzegła matka. Jego oczy zapłonęły.

– Bo co, znów mnie walniesz? Przy glinach? Mógłbym cię wsadzić za przemoc w rodzinie, wiesz?

– Spokojnie – odezwał się Milo.

– Nigdy przedtem mnie nie uderzyłaś, dlaczego teraz to zrobiłaś?

– Bo... – Susan Brandt wykręciła ręce. – Przepraszam, po prostu nie wiedziałam, co robić...

– Jasne, to dla mojego dobra.

Dotknęła jego ramienia. Otrząsnął się gwałtownie. Reed odprowadził ją kilka kroków dalej. Milo został w cztery oczy z Chance'em.

– Blond, połatany, co jeszcze?

– Nic.

– Ile lat?

– Jak tata.

– W średnim wieku.

– To był totalny pajac, miał popieprzoną fryzurę.

– Jak to popieprzoną?

– Nastroszoną, rozczochraną. Takie retro gówno jak... Billy Idol. A na twarzy tyle zaprawy, normalnie jak z marketu budowlanego.

– Opowiedz nam o tym człowieku i Duboffie.

– Przyszedł.

– Ile razy?

– Raz.

– Kiedy?

- Nie wiem.
- Na początku twojego wolontariatu, pod koniec? Chłopak się zastanowił.
- Na początku.
- Czyli trzy, cztery tygodnie temu.
- Na samym początku.
- Dobra, facet przyszedł do Duboffa. Co dalej?
- Nie wchodził, stali na parkingu. Siedziałem w środku, nudziłem się jak diabli, wyjrzałem przez okno, a tam oni.
- Co robili?
- Gadali. Nie słyszałem, co mówili, miałem to w dupie. Dlatego nie powiedziałem tego wszystkiego, kiedy dzwoniście.
- Czy ich rozmowa wyglądała przyjaźnie?

W oczach chłopaka odmalował się wysiłek umysłowy.

- Gość dał coś Duboffowi, a ten się ucieszył.
- Co mu dał?
- Kopertę.
- W jakim kolorze?
- Nie wiem... białą. Tak, białą. –Dużą czy małą?
- Normalną.
- A Duboff się ucieszył.
- Uścisnął facetowi rękę.
- A potem?
- Gość odjechał.
- Czym?
- Mercedesem.

– Kolor?

– Czarny? Szary? – odparł chłopak. – A kto by to, kurwa, pamiętał? –

Popatrzył wyzywająco i zawołał do matki: – Dawaj, Susie, wal z całej siły!

Susan Brandt się rozplakała.

– Pokażemy ci kilka zdjęć, Chance – powiedział Milo.

– Któregoś dnia wezwą nas do ich domu do przemocy w rodzinie –

stwierdził Reed, kiedy wyjeżdżaliśmy z country klubu.

– Spore prawdopodobieństwo... – odparł Milo. – Niestety, zeznania chłopaka nic nam nie dają. Blondyn, który jeździ mercedesem, nie jest Huckiem.

– Ale za coś Duboffowi płacił – zauważyłem.

– Ciekawe za co? – parsknął Reed, – Za wyłączność pływania w bagnie?

Milo się roześmiał.

– Gratulacje, detektywie Reed.

– Z jakiego powodu?

– Gorzkiego sarkazmu. Osiągnąłeś już optymalne nastawienie do pracy.

Ja bym stawiał, że facet przekazywał datek na czaple i mewy. Chance widział go na imprezie charytatywnej na rzecz oceanu, czyli to jakiś zielony.

– Wodny gość – mruknął Reed.

– A my tymczasem toniemy.

Na biurku Mila piętrzył się stos wiadomości.

Trzy pozbawione entuzjazmu zapytania od mediów o postępy w śledztwie, dwóch zastępców komendanta żądających potwierdzenia, że Milo dostał wiadomość, iż za Travisem Huckiem nie wydano listu gończego.

Poćwiczył rzuty do kosza, czytał dalej.

– O, tu coś ciekawego. Pan Alston „Buddy” Weir i jeszcze jedna, brat Seleny Marc, z Oakland.

– Brat pewnie chce się czegoś dowiedzieć.

– Łap za telefon w głównej sali i sprawdź.

Kiedy Reed wyszedł, Milo zadzwonił do Weira, włączył głośnik.

– Żebyśmy podzielili się nieszczęściem.

Odebrał asystent, ten co zwykle, ale szybko odezwał się Weir:

– Poruczniku, dziękuję za telefon. – Jego gładki głos brzmiał wyżej, piskliwiej.

– Co się stało, proszę pana?

– Zaczynam się martwić. Simon nie odpowiedział na moje telefony ani e–maile, a kiedy dzwoniłem do hotelu Peninsula w Hongkongu, poinformowano mnie, że wymeldował się w zeszłym tygodniu.

Natychmiast skontaktowałem się z Ronem Balterem z Global, ale on też nie miał pojęcia, gdzie jest Simon. Kazałem mu sprawdzić listę ostatnich zakupów Simona i odkryliśmy, że wrócił do Stanów. Ale od tamtej pory nie używał swoich kart kredytowych.

– Przyleciał do Los Angeles?

– Nie, do San Francisco.

– Czy to niezwykle dla pana Vandera?

– Raczej nie – powiedział Weir. – Simon i Nadine przepadają za San Francisco, jeżdżą tam na festiwale sztuki i tym podobne. Zazwyczaj zatrzymują się w Ritzu, ale nie tym razem.

– Czy pan Vander często tak znika z pola widzenia?

– Z reguły odpowiada na telefony. I zawsze używa kart kredytowych, nosi przy sobie bardzo mało gotówki. To nie wszystko, poruczniku.

Próbowałem dodzwonić się do pani Vander na Tajwanie, jej rodzina powiedziała, że Nadine i Kelvin wyjechali mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Simon wyleciał z Hongkongu.

– Mówili dlaczego?

– Nie, ale istnieje tu pewien problem językowy.

– A więc to mogą być rodzinne wakacje. Chcą być razem.

– Tak, oczywiście. Ale te karty kredytowe, poruczniku. Simon i Nadine płacą nimi za wszystko. Dzwoniłem do Simone, ale nic nie wie o podróży ojca. I bardzo się zdenerwowała... Travisem Huckiem.

– Uważa, że Huck zrobił coś jej rodzinie?

– Jest zdezorientowana, poruczniku.

– Czy Huck wiedziałby, gdzie mieszkają w San Francisco?

– Naprawdę nie umiem powiedzieć. Po rozmowie z Simone uznałem, że powinienem coś zrobić, więc pojechałem do ich domu i się rozejrzałem.

Wygląda na to, że Huck zniknął. Jego pokój jest pusty, wszystko zostało zabrane. Można to chyba uznać za oznakę winy... sam nie wiem.

Milo bezgłośnie powiedział „cholera”. Potarł twarz.

– Jak dokładnie pan szukał?

– Otworzyłem kilka szuflad, zajrzałem tu i tam. Nie ma go.

– Był pan sam?

– Nie, z Simone. Uznałem, że jako bliski członek rodziny w zaistniałych okolicznościach ma prawo wejść do domu. Właściwie szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałem, kiedy pytał mnie pan o możliwość przeszukania posesji. Co pan sądzi o zniknięciu Hucka?

– Trudno powiedzieć, proszę pana.

– Myślę, że w sumie mógł się wystraszyć, kiedy go przesłuchaliście.

Ale mimo wszystko, skoro nie ma się czego obawiać, po co uciekać? Albo po prostu rzucił pracę i wyjechał, w Kalifornii wszyscy tak robią.

– Dziwak.

– To chyba wpływ pogody, poruczniku.

– Kiedy sami możemy się tam rozejrzeć? – spytał Milo.

– Niech pan poda termin, a ja wyślę kogoś z kancelarii.

– Za godzinę?

– Za godzinę? Nie zdawałem sobie sprawy... cały dzień są spotkania. ..

niech popatrzę... potem znów spotkania. Co pan powie na jedenastą jutro?

Wyślę Sandrę, moją najlepszą asystentkę.

– Sprawdzał pan domek na plaży?

– Simone i ja zajrzeliśmy tam, ale cicho, pusto, chyba od dość dawna.

Dopilnuję, żeby Sandra miała też klucze do domku na plaży.

– Dziękuję panu.

– Na pewno rodzinie nic się nie stało – zakończył optymistycznie Weir.

– Nie ma żadnego powodu, żeby tak nie było.

Milo zadzwonił do swojego informatora w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego i potwierdził rozkłady lotów Simona, Nadine i Kelvina Vanderów. Cała trójka podróżowała pierwszą klasą Singapore Airlines; Simon przyleciał do San Francisco dzień przed żoną i synem.

Następny telefon był do bankierów w Seattle, gdzie Milo, podlizując się nieprzystępnemu Ronaldowi W. Balterowi, certyfikowanemu doradcy finansowemu, potwierdził, że karty kredytowe Vanderów nie zostały obciążone żadnymi płatnościami poza kosztem biletów lotniczych.

– Czy mają jakiś dom w północnej Kalifornii?

– Dom? – zdziwił się Balter. – Nie.

– A może coś wynajmują?

– Nie.

– Domyśla się pan, gdzie mogą być?

– Oczywiście, że nie.

– Oczywiście?

– Zajmuję się pieniędzmi. Nie interesuje mnie ich życie osobiste –

odparł opryskliwie Balter.

– Pan Weir wydaje się zmartwiony.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Dlaczego?

– Jego interesuje ich życie osobiste.

Moe Reed wrócił do gabinetu i pokazał uniesiony kciuk.

– Marc Green nie pytał o postępy. Przypomniał sobie coś jeszcze, co powiedziała mu Selena.

– Nagły przeblysłk pamięci? – Milo uniósł brwi.

– Moim zdaniem nie chciał o tym mówić przy matce. Selena zaczęła się z kimś spotykać kilka miesięcy przed śmiercią. Marc nie pamięta, kiedy dokładnie, ale uważa, że powiedziała mu o tym trzy, cztery miesiące temu.

Chodziło o starszego faceta.

– Ile starszego?

Reed wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Marc mówi, że była zawstydzona, czyli różnica wiekowa mogła być spora. Najciekawsze, że zachowała ten swój nawyk spowiedzi. Wyznała Marcowi, że facet lubi brutalne zabawy. I ona też, pasowali do siebie jak klucz i nakrętka. To jej słowa.

– Bardzo męskie porównanie.

– Zgadzam się, poruczniku. Czyli mamy upodobanie do dominacji, takie jak u Sheralyn i DeMaury. Może pod tym względem Selena nie różniła się aż tak bardzo od pozostałych. Co pan o tym myśli, doktorze?

– Stawia to sprawę w nowym świetle – odparłem.

– Starszy gość, który lubi na ostro – podsumował Milo. – Powiedziała o nim coś jeszcze?

– Nie. Poznała go pewnie na którejś orgii.

– Starszy – powtórzył Milo. – Simon Vander jest po sześćdziesiątce, więc by się nadawał. I Huck też. Ma co prawda trzydzieści siedem lat, ale to i tak jedenaście więcej niż Selena. Krąg się zacieśnia. A prawda może się okazać jeszcze paskudniej sza, niż myśleliśmy.

Zrelacjonował wieści o powrocie i zniknięciu Vanderów.



– Simon wydaje się raczej ofiarą niż sprawcą– stwierdził Reed. –

Chyba że zrobił coś złego i nie może się wychylać... moim zdaniem cały czas to Huck jest głównym podejrzanym. Musimy go znaleźć, i to szybko, Milo.

Pierwszy raz zwrócił się do szefa po imieniu. Optymalne dostosowanie do warunków pracy.

O siódmej rano następnego dnia na konferencji prasowej departamentu policji Los Angeles padło nazwisko Trávisa Hucka. Pora była starannie wybrana: za późno na gazety czy wiadomości o szóstej, dość wcześnie na informacje o jedenastej. Czyli, słowami zastępcy komendanta Henry'ego Weinberga, „strużka, nie fala, musimy uważać, poruczniku”.

Spece z departamentu określili Hucka jako „osobę, którą policja się interesuje”, i wspomnieli o „uprzednim skazaniu”. Nie wymieniono z nazwiska żadnej z kobiet znalezionych na bagnie. Ani słowa o Vanderach.

Milo, Reed i ja przeszukaliśmy oba domy Vanderów. Najpierw pojechaliśmy do domku na plaży, nie znaleźliśmy żadnych śladów, że ktokolwiek z rodziny ostatnio tam mieszkał. Na fioletowej wykładzinie stały zawilgłe meble. W powietrzu czuć było solą, rdzą i skwaśniałą starą farbą— całość aż krzyczała, że nikt z tego nie korzystał. Wiosła i męski kombinezon nurkowy w szafie zdradzały, że dom nie wyszedł z etapu zwykłego mieszkania kawalera.

Ciężkie podwójne drzwi posiadłości przy Calle Maritimo otwierały się na luźny łańcuch wysokich przestronnych pomieszczeń w kolorze wanilii, urządzonych ze smakiem, choć trochę nijako, z podłogami wyłożonymi złotym wapieniem. Na parapetach dwóch kominków stały przekrzywione rodzinne fotki. Na ścianach, tam gdzie nie zdominowały ich okna, nie wisały żadne obrazy. Kąt olbrzymiego salonu zajmował fortepian. W

błękitnym pokoju Kelvina stał szpinet.

Kwatera Trávisa Hucka składała się z małego pokoju za wielką kuchnią i łazienki. Podwójne łóżko, komoda z Ikei, aluminiowa lampka do czytania. Wystrój spartański, ale ocieplony widokiem na ocean.

Umiejscowienie w skrzydle służby oznaczało, że pomieszczenie było przeznaczone dla pokojówki.

Nigdzie żadnych śladów walki ani płynów ustrojowych, ale Milo wezwał ekipę techników. Asystentka Buddy'ego Weira zaniepokoiła się, ale zadzwoniła do szefa, a on kazał jej współpracować.

Z powodu nawału pracy techników należało się spodziewać „na dniach” i telefon Míla do biura tego nie zmienił. Spróbował u komendanta, nie połączono go, uśmiechnął się ponuro.

– Nie spieszy się nam? – spytał Moe Reed.

– Boże broń, młody. Reed się uśmiechnął.

– Uczę się.

Zostawiłem obu detektywów na pastwę ich frustracji i pojechałem do domu. Odkrycie kochanka utalentowanej pianistki zniweczyło moją teorię, że trzy poprzednie kobiety były rozgrzewką przed

Seleną; sprawa zmieniała się w kolejny ohydny przypadek ataków seksualnego sadysty.

Morderca zyskujący na pewności siebie. Selena – nieszczęsny krok w górę.

Zadzwoń do Marca Greena sprawdzić, czy wydobędę z niego coś jeszcze.

Był na skraju wściekłości. Mój głos go za ten skraj pchnął.

Zaczekałem, aż przestanie krzyczeć.

– Wiem, że to przykre, ale mimo to muszę spytać. Czy jest coś jeszcze, co mógłby pan...

– Jeszcze? A to wszystko, co im właśnie powiedziałem, nie wystarczy?

Trzask.

Pojechałem do Crenshaw i złożyłem drugą wizytę Beatrix Chenoweth, matce Dużej Laury. Byłem przygotowany na kolejny wybuch gniewu.

Cóż, lata praktyki.

Przywitała mnie wylewnie, poczęstowała kawą i ciastkami z czekoladą.

Wyczekała, aż podszedłem do tematu na tyle taktownie, na ile potrafiłem.

– Czy dobrze rozumiem? – Zamrugła gwałtownie. – Pyta pan, czy Lurlene lubiła, kiedy zadawano jej ból?

– Znaleźliśmy takie przesłanki w przypadku innych ofiar, więc...

– Odpowiedź brzmi: tak, doktorze. Nie wspomniałam o tym za pierwszym razem, bo... bo byłam taka wstrząśnięta, kiedy wszyscy nagle przyjechaliście. Myślałam, czyby nie zadzwonić, ale ciężko się mówi o takich rzeczach. Nie chcę udawać, że łączyły mnie z Lurlene mocne więzy, ale to moje dziecko. Wyobrażanie sobie, co się z nią stało, okropnie boli.

– Przykro mi.

– Jakies postępy?

– Jak dotąd nie.

– Ale macie inne ofiary, które... o Boże... Lurlene tyle czasu spędziła na ulicy, w głębi ducha się tego spodziewałam. – Chude, wąskie ramiona uniosły się i opadły. Dłonie Beatrix zadrżały. – Czy lubiła ból? Jako dziecko wręcz przeciwnie, to ona biła innych i wpadała przez to w kłopoty. Powtarzałam jej, że skoro jest duża, powinna być podwójnie odpowiedzialna. – Zmarszczyła brwi. – Dopiero później, kiedy zrozumiałam, jakim problemem jest dla niej waga, dotarło do mnie, że powiedziałam dokładnie to, czego nigdy nie chciała usłyszeć... Czy lubiła ból? Najwyraźniej tak. Ale już potem,

kiedy pracowała. – Sięgnęła po chusteczkę, wytarła nagły strumień łez. – Jakby to była rzeczywiście praca. – Odchrząknęła, zapanowała nad głosem. – Dwa razy, kiedy przyszła... po pieniądze, zauważyłam siniaki. Tutaj, tutaj. – Dotknęła obu stron szyi. – Z początku nie byłam pewna, czy to siniaki. Lurlene miała bardzo ciemną skórę, po ojcu. Za pierwszym razem próbowała zasłonić szyję szalem. Dlatego właśnie zwróciłam na to uwagę, córka nigdy nie nosiła szali. Zobaczyłam coś fioletowego pod materiałem, dotknęłam palcem, a ona mnie uderzyła po rękę. – Skrzywiła się. – Mocno, nie w żartach. Ale ja potrafię być tak samo uparta jak ona, zaczęłam ją wypytywać. Strasznie się wściekła, zdarła szal i wrzasnęła:

„Zadowolona?” Ja na to: „Nie jestem zadowolona, jeśli ktoś ci robi krzywdę, Lurlene”. „Nikt mi nie zrobił nic, czego nie chciałam”, odparła, a potem uśmiechnęła się pod nosem. Byłam przerażona, a ją to bawiło.

Podwinęła rękawy. Pomyślałam „no to uwaga, zacznie się chwalić śladami po igłach”. Co innego ta dziewczyna mogła zaplanować, żeby sprawić mi zawód? Ale zamiast tego pokazała mi kolejne sińce na nadgarstkach. Moje przerażenie ją nakręciło. Powiedziała, że ludzie płacili za usługi ekstra, a ona była pewna, że ze wszystkim sobie poradzi. Więc oczywiście zaczęłam prawić kazania. Mówiłam, że ryzykowne zachowania prowadzą do... po co pana zanudzać? Wyśmiała mnie i wyszła. – Uśmiechnęła się. –

To wszystko.

– Bardzo dużo pani przeszła – odezwałem się po chwili.

– Moje pozostałe córki radzą sobie dobrze. Dolać panu kawy?

– Laura też, to już hat-trick – powiedział Milo.

Podjechałem pod komisariat akurat w chwili, kiedy wychodził na spacer.

– Tyle ruchu... Zaczynam się o ciebie martwić – zażartowałem.

– Popołudniowy trening kondycyjny w tempie spacerowym – odparł. –

Dostaję klaustrofobii, kiedy się czuję bezużyteczny. Ty pewnie przebiegłeś rano dziesięć kilometrów.

Mijaliśmy domy i kamienice. Tym razem niebo pozostało szare, a powietrze było gęste i leniwe.

– Gliniarze z lotniska namierzyli lexusa Vanderów na parkingu LAX –

powiedział Milo. – Ale nie możemy znaleźć żadnych dowodów, że Huck gdziekolwiek poleciał.

– Najstarsza sztuczka z podręcznika.

– Mimo to młody Moses i ja wypytywaliśmy o Vanderów w pobliskich hotelach i motelach. Tak samo w bajeranckich hotelach od San Francisco do Santa Barbary. Sprawdziliśmy prywatne czartery. Wszędzie nic.

Zaczyna mi to brzydko pachnąć dzikusem w szale zabijania, który dawno się zmył.

- Cztery sadystyczne morderstwa na tle seksualnym, zabawy kośćmi trzech ofiar – myślałem głośno.
- Potem Duboff, teraz Vanderowie?

Trudno tu dostrzec prawidłowość.

- A musi być? – spytał Milo. – Ten dupek z Kansas zabijał kobiety, mężczyzn, dzieci, kogo tylko zastał w domu. Tak samo Ramirez, Zodiak, bla, bla, bla.

- W tych przypadkach mężczyźni byli skutkiem ubocznym.

- Podobnie może być tutaj. A co powiesz na taką teorię: Huck pracuje dla Vanderów przez trzy lata, zaczyna mieć chętkę na Nadine. Zanim się do niej dobierze, musi się pozbyć męża i dziecka.

- Udaje mu się ściągnąć ich z Azji?

- Zmyślił coś, żeby przyjechali. Takim gościom chodzi głównie o kontrolę, prawda? Wyobrażasz sobie lepszą jazdę dla kogoś takiego niż przedstawianie bogaczy jak szachowe figury? Potem zjawiamy się my, wędzimy wokół Seleny, on dochodzi do wniosku, że trzeba dać nogę.

Zastanowiłem się nad tym.

- Jako wabik mógł posłużyć nagły wypadek w rodzinie. Simone potracił samochód albo jest chora. Vanderowie ufali Huckowi, nie sprawdzili informacji. Ale jak się do tego ma Duboff?

- Dowiemy się, kiedy przyskrzynimy Hucka. Spójrzmy prawdzie w oczy, Alex. Kiedy odrzucić na bok wszystkie pierdoły, to wcale nie jest zagadka. Głównego podejrzanego namierzaliśmy od razu. Miał powód się denerwować. – Dziesięć kroków dalej: – Bóg jeden wie, co Huck robił

przez te wszystkie lata, zanim Vanderowie go przyjęli. No to im się odpłacił.

- Żaden dobry uczynek nie ujdzie bezkarnie – spointowałem.

- Rozbudowałem to – odparł Milo. – Żaden dobry uczynek nie ujdzie niezwiązany, niezakrwawiony, niezdeptany i niewyrzucony jak śmieć.

- Za długie na naklejkę na zderzak.

Skromne nagłośnienie sprawy w wiadomościach zaowocowało trzydziestoma czterema przypadkami widzenia Edwarda T. Huckstadtera alias Trávisa Hucka.

Milo i Moe Reed spędzili dwa dni, uganiając się za zwidami.

Mężczyzna, który pracował w domu poprawczym, za czasów Hucka, poinformował Reeda, że ten dzieciak zawsze przyprawiał go o ciarki.

– Ciągłe się mazał, ale te jego oczy...

– To znaczy? – spytał Reed.

– Przebiegłe, wie pan? Jakby coś knuł. Ja bym go nigdy nie wypuszczał.

– Zrobił wtedy coś złego?

– Nic takiego nie pamiętam. Takie typy czają się, a potem atakują jak węże.

Nazwisko Hucka nie pojawiło się na listach pasażerów pociągów ani autobusów opuszczających LA, ale bilet na metro zapłacony gotówką umożliwiłby łatwą ucieczkę. Po paru prawniczych unikach Buddy Weir zgodził się, żeby przebadać lexusa Vanderów w laboratorium policyjnym.

– Ale proszę, poruczniku, żadnych szkód. Nie chcę, żeby Simon i Nadine mieli niemiłą niespodziankę po powrocie do domu.

Nikt nie przejmował się morderstwem Silforda Duboffa, ale ja nie mogłem o nim zapomnieć. Zadzwoiłem do Almy Reynolds, posłuchałem dzwonka telefonu.

Nie miała poczty głosowej i chwaliła się, że ona ani Sil nie korzystali z komórek. Może zrezygnowali też z komputera i telewizora; zastanawiałem się, czy słyszała o poszukiwaniu Trávisa Hucka.

Odeszła z uczelni, nie wspominała o innym zajęciu. Zadzwoiłem do Mila, żeby sprawdzić, czy w jego papierach jest telefon do Almy do pracy.

Milo był na lotnisku, jeszcze raz sprawdzał rejestry wylotów, więc porozmawiałem z Moe Reedem.

– Zaraz poszukam.. – powiedział. – Jest, gabinet lekarski, West LA. A co ona może jeszcze dodać?

– Pewnie nic.

– Często pan tak pomaga?

– Kiedy poprosi.

– Prosił pana o sprawdzenie Almy Reynolds?

– Czasami improwizuję.

– Aha – mruknął Reed. – Wspominał o tym.

Biorąc pod uwagę styl życia Almy Reynolds, spodziewałem się, że jej pracodawca prowadzi jakąś holistyczną praktykę. Ale okazał się zwykłym okulistą w zwykłym budynku przy Sepulveda niedaleko Olympic.

W poczekalni panował tłok. Najpopularniejszą lekturą były drobno zadrukowane broszury o laserowych korektach wzroku.

Reynolds pełniła funkcję „koordynatora biura”. Recepcjonistka wydawała się zadowolona z przerwy w codziennej rutynie. Mniej więcej w moim wieku, miała krótkie włosy i przyjemny uśmiech.

– Przykro mi, pani Reynolds wyszła na lunch.

– Za piętnaście trzecia. Trochę późno – zauważyłem.

– Rano mieliśmy duży ruch, pewnie dopiero teraz mogła się wyrwać.

– Wie pani, gdzie ona jada?

– Chodzi o jej chłopaka?

– Tak. Mówiła o nim?

– Tylko tyle, że za nim tęskni. Chciałaby, żeby ten, kto zrobił coś tak okropnego, zapłacił... Nie nosi pan soczewek, prawda?

– Nie.

– Tak myślałam. – Pokiwała głową. – Pana oczy mają naturalny szaroniebieski odcień, a kolorowe soczewki są za bardzo niebieskie...

Alma lubi meksykańską kuchnię, trzy przecznice na zachód jest pasaż handlowy.

W pasażu, za przestronnym parkingiem, znajdowało się sześć etnicznych restauracji. Alma Reynolds była jedyną klientką Cocina de Cabo. Siedziała w niebieskiej wnęce z prefabrykowanej żywicy nad ta-cos z rybą i puszką coli zero. Mimo upału miała na sobie męskie wełniane spodnie, do tego białą bluzkę z dekoltem – wyglądała w niej o pięć kilo lżej niż w koszuli, w której przyszła na komisariat. Długie, siwe włosy związała w kucyk; wydawało mi się, że wokół zmarszczek widzę makijaż.

Jasnoniebieskie oczy przywiodły mi na myśl kosmetyczne soczewki.

Pomachałem do niej. Uderzyła się dłonią w pierś.

– Śledzi mnie pan?

- Tylko w służbie bezpieczeństwa publicznego. Mogę usiąść?
- A mogę panu zabronić?
- Jeśli to niewłaściwa pora...
- Żartowałam. Sentarse. To chyba tak brzmiało... kiedy jesteś w Cabo, postępuj jak Caboanie. – Wypchnęła do przodu dolną szczękę, spojrzenie niebieskich oczu padło na taco. – Sil był weganinem. Ja od czasu do czasu jadam ryby.
- Czy może przyszło pani do głowy coś jeszcze w związku z ostatnim dramatycznym wydarzeniem?
- Ściągnęła usta.
- Obywatelski współudział? Odpowiedź brzmi: nie.
- Ciągłe się zastanawiamy, jak Sil pasuje do tamtych innych morderstw.
- Może nie pasuje. Zaczekałem.
- To wszystko – dodała po chwili. – Może nie pasuje. To robota jakiegoś wariata. Chyba że bydlak, który go tam zwabił, chciał ukryć coś na temat tych pierwszych morderstw.
- Obiecał pomoc w ich wyjaśnieniu.
- Machnęła ręką i dostrzegłem błysk złota. Alma opuściła dłoń.
- Tak.
- Myśli pani, że Sil znał tego człowieka wystarczająco dobrze, żeby dać się zwieść?
- Na przykład?
- Przyjaciel, znajomy, który wiedział, jak bardzo Sil jest związany z moczarami.
- Jego przyjacielem byłam ja – powiedziała. – To samo tyczy znajomych.
- Ograniczony krąg towarzyski.
- Z wyboru. Ludzie potrafią być tacy męczący.
- A może ktoś, kto znał go pośrednio, przez pracę?
- Wzruszyła ramionami. Nigdy nie wymienił żadnego nazwiska.
- Niestety nie znaleźliśmy listy członków Ocalić Moczary.
- Bo to nie jest prawdziwa grupa. Na początku, kiedy Sil uratował



moczary przed chłopcami z SM, Szumowiny Miliarderzy, ustalono zarząd.

Ale to byli tylko bogaci ludzie, którzy chcieli się poczuć wspaniałomyślni.

Nie odbyło się ani jedno posiedzenie. Praktycznie rzecz biorąc, OM to Sil.

– Kto płacił rachunki?

– Wspomniane dziewięciocyfrowe szumowiny. Ostrzegałam Sila, że ryzykuje. Kiedy za bardzo się od nich uzależni, będą mieli nad nim całkowitą kontrolę, jak handlarze prochami. Ale stwierdził, że zamierza brać od nich każdego dolara, jakiego chcą dać, a konsekwencjami zacznie się martwić później.

Usta Almy zadrżały, dłoń wróciła na pierś. Dostrzegłem olbrzymią perłę.

Reynolds podniosła taco, ugryzła kawałek, odłożyła.

– Chciałabym zostać sama, jeśli pan pozwoli.

– Proszę o chwilę cierpliwości. Ile zarabiał Sil?

– To było stypendium – odparła. – Żeby chłopcy SM nie płacili podatków od zatrudnienia. Dwadzieścia pięć tysięcy. Sil uważał, że każdy może za tyle przeżyć, jeśli ograniczy swoje potrzeby.

Jej dłoń rozpostarła się nad perłą.

– Ładna – powiedziałem. Szyja Reynolds poczerwieniała.

– Sil dał mi ją na urodziny. Nie podobała mi się, nie chciałam jej nosić, bo za bardzo krzykliwa. Teraz noszę.

Kiwnąłem głową.

– Niech pan nie udaje, że rozumie, bo pan nie rozumie. Ludzie tacy jak Sil i ja są dość inteligentni, żeby grać według zasad i żyć wygodnie jak każdy inny miejski robot. Mam dwa fakultety, a Sil zrobił licencjat z fizyki. – Nachyliła się do przodu, jakby zdradzała sekret. – Wróciliśmy do podstaw z wyboru. Ale nawet Sil potrafił być romantyczny. Na naszą ostatnią rocznicę pragnął mi sprawić coś ładnego. Nawet idealiści potrzebują trochę piękna w życiu.

– Zgadza się.

– Powiedziałam mu, że nie chcę tej perły, kazałam ją zwrócić.

Odmówił. Pokłóciliśmy się. Przeczekał mnie. Teraz się z tego cieszę. –

Powędrowała spojrzeniem za przeszkloną ścianę. – To pana samochód?

Ten zielony... jak mu tam?

– Seville.

– Cadillac – powiedziała. – Seville, a nie ma w nim nic hiszpańskiego.

Co opętało tych korporacyjnych kłamców?

– Wyniki sprzedaży.

– Jeździ pan potworną maszyną palącą hektolitry benzyny. Co pan ma na swoje usprawiedliwienie?

– Jesteśmy ze sobą ponad dwadzieścia lat i nie mam serca wymienić jej na młodszą i ładniejszą.

Alma wypięła pierś. Chełpiła się naszymi. Perła była duża, kremowa, bez skazy. Za ciężka do łańcuszka, który wyglądał tandetnie, jak pozłacany.

– A więc miliarderzy regulowali rachunki, a wszystkim kierował Sil –

wróciłem do poprzedniego wątku. – Czy ktoś jeszcze coś wpłacał?

– Jasne, od czasu do czasu ludzie przysyłali czeki, ale Sil mówił, że to drobniaki. Bez Braci SM byłoby mu ciężko. Mogę w spokoju skończyć obiad? Naprawdę nie chcę już o tym myśleć.

Podziękowałem jej i ruszyłem do wyjścia.

– Nie myśli pan o środowisku, ale przynajmniej jest pan lojalny –

rzuciła na do widzenia.

– Nie znalazł jej pan? – spytała recepcjonistka u okulisty.

– Znalazłem, dziękuję za wskazówki. Wydaje się bardzo przygnębiona.

– A pan by nie był?

– Och, pewnie jeszcze bardziej... może ta olbrzymia perła ją pocieszy.

– Wątpię. Ale to faktycznie coś. Kupiła ją sobie wczoraj. Wszyscy byliśmy zaskoczeni.

– To nie w stylu Almy?

– Ani trochę.

– Żałoba zmienia ludzi – stwierdziłem.

– Na pewno... co jeszcze mogę dla pana zrobić?

– Nic. – Odwróciłem się na pięcie,

– W takim razie, po co pan...

– Chciałem tylko podziękować za pomoc.

Zanim zdążyła przetrwać to kłamstwo, mnie już nie było.

Pojechałem przecnicę na zachód od pasażu handlowego, gdzie jadła Alma Reynolds, zrobiłem kilka kółek, zanim wypatrzyłem miejsce do zaparkowania z dobrym widokiem na Cocina de Cabo.

Reynolds wyszła piętnaście minut później, wróciła do pracy na piechotę. Stawiała długie, powolne kroki, wyglądała na ponurą. Śledziłem ją zatrzymałem się pół przecnicy od przychodni.

Minęła wejście, zeszła rampą na podziemny parking.

Nie musiałem długo czekać, zanim z warkotem wyjechał stamtąd pobijany, stary, żółty volkswagen garbus. Reynolds nachylała się do przodu, jakby popędzała mały samochodzik. Z rury wydechowej buchał

czarny dym. Nieładnie.

Pojechała prosto do zielonego bloku mieszkalnego przy Czternastej, kawałek na północ od Pico. Numery zgadzały się z jej adresem domowym, który dał mi Reed. Budynek był zaniedbany, na wprost zasłonięty wyłysiałymi palmami, ze ścian obłaził tynk.

Mniej elegancka strona Santa Monica. Ale nawet tutaj lokatorzy mieli swoje przywileje: parkowanie tylko dla mieszkańców. Zwiększyłem dystans.

Alma Reynolds z trudem wcisnęła się garbusem w wąskie wolne miejsce. Bez widocznych wyrzutów sumienia obijała samochody przed i za sobą. Trzasnęła drzwiami tak mocno, że volkswagen aż się zatrzęsł.

Weszła do budynku.

Ustawiłem się za hydrantem, posłuchałem muzyki. Trzydzieści pięć minut później uznałem, że Reynolds już nie wyjdzie, i pojechałem do domu.

Po drodze spróbowałem jeszcze raz zadzwonić do Mila, zostawiłem mu wiadomość. Właśnie zbliżałem się do Westwood Village, kiedy zapiszczała komórka.

– Dzień dobry, mówi Luise z centrali telefonicznej. Właśnie dzwoniła doktor Rothman.

– Nathalie Rothman?

– Nie przedstawiła się z imienia. Prosiła, żeby pan pilnie się z nią skontaktował. Chodzi o jakiegoś pana Travisa.

Nie rozmawiałem z Nathalie Rothman od lat.

– Akurat teraz mam pacjentów, Alex – powiedziała. – Ale możemy porozmawiać później.

– Znasz Trávisa Hucka?

– Czy znam? To trochę... przepraszam, Alex, poczekaj... – Po kilku chwilach ciszy odezwała się: – Jedna z rezydentek właśnie urodziła, mamy cholerne braki kadrowe, a po pracy muszę od razu wyjść. Mogę ci poświęcić czas, który zajmuje mi pochłonięcie obiadu. O szóstej?

– Nic mi nie podpowiesz?

– To zbyt skomplikowane. Szósta może być?

– Zadzwońię do ciebie punktualnie.

– Nie, pogadajmy osobiście. Jarrod, mój najstarszy, ma o siódmej mecz koszykówki, obiecałam mu, że na ten już na pewno pójdę. Ciągle mieszkasz w Glen?

– Tak. Strasznie jesteś tajemnicza, Nathalie.

– Tajemnicze osobowości to twoja działka, nie? Spotkajmy się gdziekolwiek w okolicach szkoły Jarroda.

– Gdzie jest szkoła?

– W Brentwood. Akademia Windward... Co powiesz na tajską knajpę?

Bundy przy Olympic. Pad Palace. Znasz?

– Znajdę.

– Dobrze, niskotłuszczowe żarcie. Biorę tam na wynos. O wiele za często.

Kolejny pasaż handlowy; może któregoś dnia ceny gruntu wzrosną na tyle, że przestanie się opłacać je stawiać.

Pad Palace do maksimum wykorzystywało swoje możliwości –

pojedynczej witryny z ograniczonym budżetem na wystrój. Parawany i sosnowe stoły miały tworzyć wrażenie eleganckiej prostoty. Ściany pomalowano na różne odcienie spadziowej zieleni. Szczupłe, nieśmiałe Azjatki obsługiwały hałaśliwych, wesołych Anglosasów.

Menu wegetariańskie z jajkami, wegańskie na życzenie. Sporo tego ostatnio w LA. Nie zdziwiłbym się, gdyby do środka wmaszerowała nagle Alma Reynolds. A może zawsze lubiła przegryźć trochę ryb.

Białe bmw cabrio Nathalie Rothman zatrzymało się przed restauracją pięć minut po tym, jak usiadłem z dzbanuszką herbaty. Wpadła do środka jak pocisk: mała, szybka, bezpośrednia.

Całe metr pięćdziesiąt wzrostu i pięćdziesiąt muskularnych kilogramów. Twarz miała miękką i

gładką jak nastolatka, okoloną burzą rozwichrzonych, ciemnych włosów. Czterdzieści dwa lata, matka czterech chłopców, żona dewelopera posiadającego spore kawałki Wilshire Boulevard, od dziesięciu lat szefowa ostrego dyżuru Centrum Medycznego Western Pediatric. Poznałem ją, kiedy była stażystką tuż po Yale. Potem kierowniczką stażystów, potem szybki tytuł naukowy.

Wiele ważnych osób w szpitalu uważało ją za ciętą i nieprzyjemną.

Wiedziałem, o co im chodzi, ale ja lubiłem Nathalie.

Pomachała mi palcem, podskoczyła do jednej z kelnerek.

– Rothman. Moje jedzenie jest gotowe?

Zanim dziewczyna skończyła kiwać głową, Nathalie klapnęła na krzesło naprzeciwko mnie.

– Zamawiam przez telefon. Cześć, Alex. Przystojny jesteś, przestępcza strona życia ci służy. Myślałeś, żeby wrócić i zabrać się do jakiejś poważnej pracy?

– Ciebie też miło widzieć, Nathalie. Zaśmiała się.

– Ładnie ci z tą odrobiną siwizny. To samo mówię Charliemu, ale mi nie wierzy. Dobra, do rzeczy: przypadkiem oglądałam wiadomości, zobaczyłam informację o panu Hucku, zadzwoniłam pod podany numer jak porządny obywatel. Jakiś policjant nazwiskiem Reed powiedział, że chciałby ze mną porozmawiać, ale nie sądzę, żeby rzeczywiście chciał.

– Dlaczego?

– Bo stwierdził, że akurat jest w polu, i później do mnie Oddzwoni. Co gliniarze uprawiają na polach? Nawet go o to spytałam, ale nie zrozumiał

dowcipu. Znasz go?

– Młody, zielony detektyw.

– No, musi się jeszcze poduczyć, jak traktować praworzędne źródła potencjalnie użytecznych informacji. Zaczął mnie przepytować: kim jestem, po co zadzwoniłam. Jak podejrzaną. Kiedy wyjaśniłam, że pracuję w Western Peds, jakby mu się światło zapaliło. Uspokoił się, stwierdził, że przypadkiem konsultantem w sprawie jest ktoś, kto kiedyś pracował w tym Centrum Medycznym, i spytał, czy cię znam. Ja na to: oczywiście znamy się z dawnych lat. On: to dobrze, może bym porozmawiała z tobą. Bez urazy, Alex, ale odniosłam wrażenie, że to psychologia. Miał ci przekazać, że będę dzwoniła. Przekazał?

– Jeszcze nie.

– No pewnie. Zielony detektyw Reed może nie chcieć się borykać z dysonansem poznawczym, trudno.

– Dysonansem w sprawie czego?

– Pana Hucka.

– Znasz go.

– Za dużo powiedziane. Raz go spotkałam. Ale to wystarczyło, żebym uznała go za bohatera.

Przyniesiono talerz celofanowego makaronu i kurczaka tofu. Nathalie zjadła parę kęsów, zaczęła się bawić pierścieniem z brylantem.

Wielki kanciasty kamień. Nie znam się na biżuterii, ale po mamuciej perle Almy Reynolds zacząłem zwracać na takie „drobiazgi” uwagę.

– To było dziesięć lat temu – ciągnęła Nathalie. – Właśnie przejęłam też przychodnię, siedziałam na nocnym dyżurze, żeby udowodnić, że żadnej pracy się nie boję. Około trzeciej nad ranem wzywa mnie dyżurna pielęgniarka. Ktoś przyniósł zakrwawione niemowlę. Z początku wszyscy myśleli, że to będzie jakiś horror, ale kiedy maleństwo obmyli, okazało się, że nie ma żadnych ran ani skaleczenia. Dziewczynka, siedem miesięcy. Cała i zdrowa, tylko zmarznięta i zdenerwowana. – Wrzuciła do ust pałeczkami kawałek tofu. – Samarytaninem był twój koleżka, pan Huck. Nie przedstawił się, ale jestem pewna, że to on, tę twarz trudno zapomnieć. Wychudzony, prawie zabiedzony, w bardzo kiepskiej formie.

Wyraźnie pamiętam ten jego wygląd po jakimś urazie neurologicznym, może dawnej ranie głowy albo łagodnym wylewie.

– Wykrzywione usta – domyśliłem się.

– Tak. – Ułożyła palce w zwycięskie V. – Wiedziałam, że to on.

Chodził niepewnie. Na początku dyżurna przypuszczała, że jest pijany, że upuści dziecko. A mała płacze, wszędzie krew, to dopiero widok. W

wiadomościach podawali, że interesujecie się Huckiem w sprawie morderstw. Co to znaczy?

– To znaczy, że departament wyraża się wymijająco.

– Dlaczego?

– To zbyt skomplikowane, Nathalie. Popatrzyła na mnie przeciągle.

– Dobra, ale tak między nami... jest podejrzany o te morderstwa?

Kiwnąłem głową.

– O kurczę. Alex, nie wyczułam w nim nic złowrogiego. Był

zdeenerwowany, spłoszony, bał się chyba bardziej niż dziecko. Powiedział, że znalazł dziewczynkę na chodniku, kiedy poszedł na spacer. Usłyszał

kwilenie, myślał, że to ranne zwierzę. Kiedy zobaczył, że dziecko, wziął

malucha na ręce i przyniósł do nas. Z Silverlake do East Hollywood, bite trzy kilometry w chłodny wieczór. Swoją kurtkę owinął dziecko, sam został tylko w koszulce i tanich, kraciastych spodniach. Zabawne, jakie rzeczy się zapamiętuje. Spodnie pewnie były z ciuchlandu, przewiązał je w pasie sznurkiem. Szczekał mocno zębami.

– Dlaczego nie zadzwonił na policję?

– Może pomyślał, że sam dotrze do Centrum szybciej.

A może wiedział, że przez swoją przeszłość natychmiast będzie podejrzany.

– Czy nas wystraszył? – mówiła dalej Nathalie. – Pewnie, że tak. Cały zakrwawiony, wyglądał jak z tych ohydnych filmów, które lubią moi chłopcy. Nie chcieliśmy konfrontacji, ale staraliśmy się zatrzymać go do przybycia policji. Kiedy zobaczył, że dziecku nic nie jest, uciekł przed ochroniarzem. Pamiętasz kaliber naszej ochrony.

– Stara, słaba, leniwa, z wytrzeszczem oczu.

– W dobry dzień. Do tego gliniarzom się nie spieszyło, a my skupiliśmy się na dziecku. Co jest w sumie niepokojące, kiedy teraz o tym myślę. A gdyby Huck rzeczywiście był mordercą psycholem?

– Skąd wiesz, że nie był?

– Bo sprawa została od razu zamknięta. Tak to się oficjalnie mówi, prawda? Zamknięta, nierozwiązana.

– Dobrze odrobiłaś lekcje, Nathalie.

– Charlie lubi programy policyjne.

– Jak zamknięto sprawę?

– Skierowaliśmy policję tam, gdzie Huck natknął się na dziecko, znaleźli ślad krwi, poszli za nim, odkryli zwłoki w krzakach. Okazało się, że to matka dziecka, siedemnastoletnia dziewczyna Brandi Loring.

Mieszkała parę przecznic dalej, matka i ojczym alkoholicy, rodzeństwo.

Mała nazywała się Brandeen, pewnie zdrobnienie od Brandi. Rodzina wskazała mordercę. Były chłopak Brandi, też dzieciak, rok od niej starszy.

Zerwała z nim przed urodzeniem dziecka, a on ją śledził. Kiedy tylko przyjechała do niego policja,



złamał się, przyznał, że pobił dziewczynę na śmierć. Miał złamaną rękę i pięści pozdzierane do kości, do tego znaleźli jego krew na twarzy, szyi i piersi Brandi. Kiedy gliniarze spytali, dlaczego zostawił dziecko na chodniku, popatrzył na nich głupio, na zasadzie, „o rany, zapomniałem”.

– Skąd znasz wszystkie szczegóły?

– Od detektywa, który zajmował się papierkową robotą. Tak to nazwał.

„Papierkowa robota, to nie jest sprawa dla Sherlocka Holmesa, proszę pani”.

– Pamiętasz, jak się nazywał?

– Leibowitz – odparła. – Detektyw Żyd, kto by się spodziewał?

Zanim się rozstaliśmy, spytałem, jak jej synowi podoba się w Windward.

– Ciekawa szkoła – odparła.

– W jakim sensie?

– To tak naprawdę dwie szkoły. Z socjologicznego punktu widzenia.

Bystre, bogate dzieciaki i niezbyt bystre, za to bardzo bogate dzieciaki.

– Znajduję wspólny temat.

– Wspólne jest czterdzieści tysięcy chesnego, Alex. Charlie uważa, że to niedorzeczne, i ja chyba też. A do której grupy zalicza się Jar-rod? To zależy, w jaki dzień mnie spytasz. Wiesz, jak to jest z nastolatkami, zero kontroli impulsów. Popatrz tylko, co się stało z biedną Brandi Loring. Nie miałabym nic przeciwko wysłaniu go do publicznej szkoły, a Charlie tego właśnie chciał. Ale nasz książę pragnie grać w uniwersyteckiej lidze koszykówki i twierdzi, że w publicznej szkole nie osiągnąłby odpowiedniego poziomu. Czyli chyba jest jednym z bystrzejszych. Zna własne ograniczenia.

Zadzwońłem do Hollywood Division i spytałem o detektywa Leibowitza. Recepcjonista nigdy o nim nie słyszał, tak samo oficer dyżurny.

– W takim razie proszę z detektyw Connor.

– Nie ma jej.

Zadzwońłem do Petry na komórkę.

– Barry Leibowitz – odezwała się po dwóch sygnałach. – Odszedł

niedługo po tym, jak ja zaczęłam pracować. I żadnych dowcipnych skojarzeń. Barry był po sześćdziesiątce.

Zaśmiałem się.

– Wiesz, gdzie go znaleźć?

– Przykro mi, nie. Mogę spytać dlaczego? Opowiedziałem, jak Travis Huck uratował dziecko.

– Wasz zły gość zrobił coś dobrego?

– To ni cholery, nic nie znaczy – powiedział Milo.

– To samo pomyślałem, kiedy zadzwoniła, doktorze – tłumaczył się Moe Reed. – Miałem dać panu znać, ale byłem zawalony robotą.

Sprawdzałem listy pasażerów pociągów i autobusów oraz umowy z wypożyczalni samochodów.

– A więc to chłopak zabił matkę tego dziecka – mruknął Milo.

– Tak powiedział detektyw Leibowitz doktor Rothman – uściśliłem.

– Leibowitz... nie znam.

– Odszedł na emeryturę zaraz po tym, jak Petra przyszła do Hollywood.

Zamierzałem go poszukać, ale jeśli uważacie, że to strata czasu, zrezygnuję.

– A skąd pomysł, żeby kontaktować się z Leibowitzem?

– Jeśli udało mu się znaleźć i przesłuchać Hucka, mógłby nam coś powiedzieć o osobowości faceta.

– Mnie bardziej by interesowało, co Huck robił na ciemnej, opuszczonej ulicy w Silverlake o trzeciej nad ranem.

– W tych godzinach wyszukuje sobie dziewczyny na ulicy. A kiedy nie może nic znaleźć, czai się pod domami, zagląda ludziom przez okna albo i gorzej – zasugerował Reed.

– Przynajmniej wiemy, gdzie był dziesięć lat temu – stwierdził Milo. –

Gość z ulicy, bez numeru ubezpieczenia, więc dziesięć do jednego, że utrzymywał się z czegoś nielegalnego. Zobaczmy, co archiwum nam powie o włamaniach z tamtego okresu, zwłaszcza w East Hollywood i Silverlake. Ja się tym zajmę, Moses, ty dalej sprawdzaj komunikację i odbieraj telefony.

– Jasne.

– Huck zaniósł dziecko na piechotę do szpitala – przypomniałem. –

Jeśli to prawda, nie miał samochodu. Czyli mieszkał raczej niedaleko miejsca, gdzie znalazł małą.

– Dla zabawy trzyma się ulicy, na noc wpełza do jakiejs nory na wzgórzach – powiedział Reed.

– Być może – stwierdził Milo. – Ale zapomnij o wypytywaniu o niego na ulicy. Nie będzie tam nikogo sprzed dziesięciu lat. Dzielnica domów jednorodzinnych to inna sprawa. Mimo wszystko rozejrzemy się w okolicy, gdzie leżało dziecko, może trafimy na kogoś, kto pamięta Hucka.

– Albo jeszcze lepiej, Huck to pamięta i wróci się tam ukryć –

wtrąciłem.

Milo przygryzł wnętrze policzka.

– Tam dom twój, gdzie serce twoje, co?

– To jego dawna okolica – powiedział Reed. – Może wyglądać kusząco, kiedy się pryska przed la policia.

Ciało Brandi Loring zostało znalezione na Apache Street, niedaleko zachodniego skraju Silverlake, cztery strome przecznice w górę od Sunset.

Była to okolica nijakich domków. Mniejsze przypominały szopy; większe podzielono na mieszkania do wynajęcia. Obejrzelśmy miejsce, gdzie Travis Huck znalazł małą Brandeen – popękany, nierówny chodnik, coraz bardziej niszczone przez korzenie gigantycznego figowca.

Półtorej godziny pukania do drzwi w górę i w dół Apache wywołało tylko pytające spojrzenia i deklaracje niewiedzy, głównie po hiszpańsku.

Ale Maribella Olmos, stara i pomarszczona, choć z bystryimi oczami, pamiętała tamto zajście.

– Dziecinka. Dobrze, że to zrobił – powiedziała. – Odważny.

– Znała go pani? – spytał Milo.

– Żałuję, że nie. Bardzo odważny.

– Uratował dziecko.

– Uratował, zabrał do lekarza – dodała. – Tylu tu jeździło bandytów, strzelało... Teraz jest lepiej, ale wtedy? Ho, ho.

– Bandyti grasowali o trzeciej w nocy?

– Kiedy chcieli. Czasami spałam, a tu strzały. Teraz jest lepiej. O wiele lepiej. Robicie dobrą robotę.

Chwyciła wielką dłoń Mila, przycisnęła ją do pomarszczonych ust.

To była jedna z nielicznych chwil, kiedy widziałem go zaskoczonego i zdezorientowanego.

– Dziękuję pani.

Maribella Olmos puściła jego dłoń i mrugnęła.

– Dałabym panu jeszcze jednego całusa, prosto w usta, ale nie chcę, żeby żona była zazdrosna.

Następny przystanek: ostatni znany adres matki i ojczyma Brandi Loring.

Anita i Lawrence Brackie mieszkali kiedyś w różowej, piętrowej przedwojennej kamienicy, podzielonej na cztery mieszkania. Nikt w całym kwartale nigdy nie słyszał o nich, o Brandi ani o uratowaniu dziecka.

Resztę popołudnia jeździliśmy po Silverlake, pokazując zdjęcie Hucka ludziom na tyle starym, żeby

mogli coś pamiętać.

Puste spojrzenia i kręcenie głową; Milo musiał jakoś złagodzić gorzki smak porażki, zatrzymał się przy ulicznym wózku i kupił dwie szklanki gazowanego tamaryndowego napoju z lodem. Inni sprzedawcy rozstawili na chodniku kosze z odzieżą. Milo popatrzył na nielegalny handel z rozbawieniem i pił z zapalem; obok nas na wyboistym odcinku Sunset podskakiwały samochody.

– Szanse były niewielkie – stwierdził, kiedy wsiedliśmy z powrotem do auta. – Jeśli dalej chcesz gonić za Leibowitzem, nie krępuj się. Ja wracam do biura, rozszerzę przeszukiwanie nieruchomości na sąsiednie hrabstwa na wypadek, gdyby Huckowi udało się załapać na boom w nieruchomościach. Potem znowu sprawdzamy włamania i napady w Hollywood. Może znajdę odciętą dłoń.

– Jakież wieści o Vanderach?

– Jeszcze nie, Buddy Weir ciągle dzwoni, zaczyna wpadać w histerię.

– Troskliwy prawnik. Milo prychnął.

– Tyle płatnych godzin za okno.

Trzydzieści sekund poszukiwań w Internecie zaprowadziło mnie do Barry'ego Leibowitza, który zajął czwarte miejsce na charytatywnym turnieju golfowym w zeszłym roku. Klub Golfowy Tres Olivos i ośrodek wypoczynkowy Wygodne Życie w Palm Springs.

Pustynia akurat nadawała się na w miarę tanie miejsce zamieszkania emerytowanego gliniarza. Otworzyłem grupowe zdjęcie. Grający w golfa Barry Leibowitz był siwowłosym, wąsatym mężczyzną, stojącym w tylnym rzędzie. Dalsze surfowanie po sieci doprowadziło mnie do kolejnego artykułu w biuletynie klubu i skróconych biografii czterech najlepszych amatorów.

Dwaj dentyści, jeden księgowy i „detektyw Leibowitz, nasze beztalencie z organów ścigania. Dzisiaj zamiast przestępców łapie nagrody”.

Zadzwoiłem do Tres Olivos, przedstawiłem się swoim prawdziwym nazwiskiem, ale zmyśliłem historyjkę, że dzwonię z Western Pediatrics, bo szpital chce ustalić obecny adres korespondencyjny pana Leibowitza.

– Nagroda, którą zdobył w ostatnim turnieju „Dziewięć Dołków dla Dzieci”, wróciła nieodebrana, a bardzo chcielibyśmy mu ją doręczyć.

W najgorszym razie sekretarka klubu okazałaby się podejrzliwa, zadzwoniła do szpitala, dowiedziała się, że byłem na liście pracowników, ale taka nagroda nigdy nie istniała.

– Proszę bardzo, doktorze – powiedziała.

Detektyw III klasy (em.) Barry Z. Leibowitz nie zażywał pustynnego powietrza.

Mieszkał w niewielkim dwupokojowym mieszkanku przy Pico, na zachód od Beverwil.

Zadzwońnię, nikt nie odebrał, mimo to pojechałem.

Adres odpowiadał zamkniętemu osiedlu o nazwie Posiadłość na Wzgórzu. Nie był to deweloperski olbrzym, sto metrów podjazdu z pudełkami w kolorze piasku po obu stronach, na północnym skraju zielonego pola golfowego country klubu Hillcrest.

Klub pasował do zainteresowań Leibowitza, ale nie wyobrażałem sobie, żeby emerytowany detektyw mógł sobie pozwolić na opłatę członkowską.

Na domofonie przy furtce widniało trzydzieści nazwisk mieszkańców.

Wybrałem numer Leibowitza.

– Tak? – odezwał się basowy głos. Zacząłem wyjaśniać, kim jestem.

– Nabiera mnie pan.

– Wcale nie. Pracuję z detektywem Sturgisem. Chodzi o Trávisa Hucka...

– Proszę zaczekać.

Pięć minut później mężczyzna, którego niedawno widziałem na zdjęciu z turnieju, pojawił się po zachodniej stronie krótkiej uliczki, w złotej koszulce polo, czarnych lnianych spodniach i kłapkach. Wyższy i potężniejszy niż wydawało się na zdjęciu, Barry Leibowitz miał

beczkowaty korpus i krótkie, grube nogi. Siwe włosy mocno mu się przeredziły, wąs był gęsty i nawoskowany.

Jego rozbawiona mina kojarzyła się z wesołym kolegą z monoklem z Monopolu.

Kiedy podszedł do furtki, pokazałem odznakę konsultanta.

– Co to ma niby dać?

– Potwierdzić, że nie oszukuję.

– Przed chwilą dzwoniłem do Sturgisa – oznajmił, otwierając furtkę. –

Słyszałem o nim, ale nigdy razem nie pracowaliśmy. To musi być interesujące.

– Sprawy takie bywają. Przyjrzał mi się uważnie.

– Oczywiście. O to mi właśnie chodziło.

Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, w głębi – czyste, niemal antyseptyczne. W rogu dwie torby golfowe, w przenośnym barku whisky i gin. Około tuzina golfowych nagród stało na regale z książkami w miękkich okładkach.

Głównie kryminały.

Leibowitz zobaczył, że na nie patrzę, i parsknął śmiechem.

– W prawdziwym świecie łapiemy sześćdziesiąt, siedemdziesiąt procent złych. Ci geniusze łapią sto. Napije się pan czegoś.

– Nie, dziękuję.

– Ja należę sobie macallana 16. Na pewno?

– Przekonał mnie pan. Leibowitz się zaśmiał.

– Elastyczność, oznaka inteligencji.

Wyjął z dolnej półki barku dwie staroświeckie szklanki, obejrzał je pod światło, zaniósł do kuchni, umył, wytarł, sprawdził jeszcze raz, powtórzył

rytuał.

Z kuchennego okna widać było kawałek oszałamiającej zieleni między sosnami. Na szczycie łagodnego wzgórza postać w bieli przygotowywała się do uderzenia piłki.

– Ładny widok, co? – zagadnął Leibowitz. – Jestem jak ten facet z mitologii, Tantal. Wszystkie cudeńka na wyciągnięcie ręki, a mimo to niedostępne.

– Rancho Park nie jest daleko.

– Grywa pan?

– Nie, po prostu słyszałem o Rancho. Kiedy OJ. został pozwany, zaczął

grać na publicznych polach.

Leibowitz się zaśmiał.

– OJ. Bogu dzięki, że nigdy nic przy tym nie robiłem. Przyniósł dwa drinki, usiadł na fotelu. Pierwszą połowę szklanki opróżnił małymi, wolnymi łykami. Resztę jednym haustem.

– Niech żyją Szkoci. Czyli interesuje pana Eddie Huckstadter... takiego wtedy używał nazwiska. W mojej sprawie odgrywał rolę dobrego.

Niezwykłe, biorąc pod uwagę okoliczności.

– To znaczy?

– Był menelem – odparł Leibowitz. – Przepraszam, „osobą bezdomną, której nie należy osądzać według konwencjonalnych standardów”. –

Zaśmiał się, sięgnął do barku, nalał sobie jeszcze whisky. – Ja nie osądzam. Już nie. Po odejściu ze służby zaczyna się widzieć wszystko z innej perspektywy. Na przykład Sturgis. Kiedy zaczynałem, za nic bym nie chciał z kimś takim pracować. A teraz? Zna się na robocie? To kogo obchodzi, co robi po godzinach? – Przyjrzał się mi. – Przepraszam, jeśli czuje się pan urażony.

– Nie czuję się urażony. Huckstadter wyszedł ze szpitala. Jak go znaleźliście?

– Dzieło geniusza. – Znów śmiech. – Niezupełnie. W szpitalu go opisali, przekazałem rysopis do patrolu, dwóch naszych mundurowych od razu wiedziało, kto to jest. Eddie był ulicznikiem. Zgarnęliśmy go następnego dnia.

– Kręcił się po Hollywood?

– Zebrał pod Chinese Theatre i kawałek dalej, pod Pantages. Chyba wszędzie, gdzie chodzili turyści. Miał długie włosy, kolczyk w nosie, wyglądał jak czubek. Tym właśnie wtedy byli. Już nie hipisami.

Czubkami.

– Patrol znał go z poprzednich aresztowań?

– Nie, tylko jako menela. Wyróżniał się, przez te wykrzywione usta i utykanie. – Sam się skrzywił. Wąsy wybrały się na przejażdżkę. –

Przywieźli go do mnie. Przesłuchałem gościa, powiedział mi to samo co pielęgniarce w szpitalu, ale wtedy i tak już się nie liczył. Sprawa została zamknięta, bandzior od razu się przyznał. Jakaś łajza Gibson DePaul.

Gibbie – wymówił ksywę z pogardą. Pociągnął łyk whisky. – Ale skoro patrol się postarał, nie chciałem, żeby mieli wrażenie, że tracili czas. Sam kiedyś jeździłem. Dziesięć lat w Van Nuys, potem cztery w West Valley, zanim postanowiłem używać tego... – postukał się w głowę. – ...zamiast tego. – Poklepał biceps. – Krzepkie ramię się uniosło. Zniknęła reszta szkockiej. – Mieszkałem w Valley, kiedy żyła jeszcze moja żona. Dobry trunek, sezonują go w beczkach po sherry. Nie smakuje panu?

Napiłem się. Poczulem smak, potem gorąco.

– Bardzo mi smakuje.

– Huckstadter został grubszym bandytą? – spytał Leibowitz. – Kiedy Sturgis mi powiedział, prawie się przewróciłem, w ogóle nie wiedziałem o tych morderstwach.

– Nie słyszał pan w wiadomościach?

– Nie, nie oglądam pierdół, szkoda życia. Mam dziewiętnastocalowy telewizor w sypialni, czasem oglądam sport.

– A więc Huckstadter nie robił wrażenia skłonnego do przemocy.



– Nie, ale przecież nie spędziliśmy tam godzin na psychoanalizie.

– Mimo to jest pan zaskoczony.

– Zawsze jestem zaskoczony – powiedział Leibowitz. – To pomaga zachować młodość... jak już mówiłem, elastyczność.

– Jaki Eddie był wtedy?

– Kolejny smutny przypadek, doktorze. Pełno ich w Hollywood.

– Nie był notowany jako dorosły.

– Czyli narozrabiał w młodości?

– Spędził trochę czasu w poprawczaku, ale wyrok unieważniono.

– O co chodziło? – spytał Leibowitz.

Opisałem sprawę Hucka niezwiązaną z zabójstwem.

– Przekrzywione usta to prawdopodobnie skutek urazu głowy w zakładzie.

– Cóż... – Westchnął. – Wyobrażam sobie, że coś takiego może kogoś wkurzyć.

– Huck sprawiał wrażenie nerwusa?

– Nie. Wydawał się przestraszony. Jakby nie lubił przebywać na świetle dziennym.

– Problemy z narkotykami?

– Nie zdziwiłbym się. Prochy, gorzała albo szaleństwo, to wypędza ludzi na ulice. Ale jeśli pyta pan, czy widziałem ślady po igłach, czerwony nos albo mętne spojrzenie, odpowiedź brzmi: nie. Żadnych wyraźnych objawów wariactwa. Mówił spójnie, opowiedział całą historię logicznie od A do Z. Jeśli już, to wyglądał na przygnębionego.

– Czym?

– Chyba tym, jak potoczyło się jego życie. Kiedy człowiek jest bezdomny, łatwo się zdołować, prawda? Nie byłem jego psychologiem, doktorze. Spisałem raport, kiedy skończył, zaproponowałem, że go podwiozę, gdzie chce. Podziękował, stwierdził, że lubi chodzić. A teraz pan mi mówi, że to poważny drań. Niedobrze, doktorze. Czyżbym przeoczył wszystkie oznaki? Są dowody, że wtedy też dusił dziewczyny?

– Nie.

– Nie, czy jeszcze nie?

- Jeszcze nie.
- Morderstwa z bagien to na pewno jego robota?
- Wiele na to wskazuje.
- Cholera – zaklął. – Kto by się domyślił? Nie zauważyłem u niego żadnych oznak. Nic.
- Może nie było żadnych oznak.
- Ukrywał swoje mroczne impulsy?
- Aha – powiedziałem. – O to mi właśnie chodziło.

Dopiero po zmroku udało mi się złapać Mila na komórkę.

- Jakież ciekawe napady? – spytałem.
  - Jedyne ciekawe są już zamknięte, reszta to zwykłe włamania: biżuteria, sprzęt grający. Żadnych złodziei majtek, nic podejrzanego. A Huck jak dotąd nie załapał się na boom w nieruchomościach. Nie posiada nic.
  - To odpuść sobie dalsze sprawdzanie. Dziesięć lat temu był bezdomny. Trudno sobie wyobrazić, żeby zebrał przez ten czas dość pieniędzy.
  - Trudno też sobie wyobrazić, żeby z bezdomnego został zarządcą posiadłości.
  - Może Vanderowie naprawdę mają miękkie serca – powiedziałem. –
- Albo kiedy go spotkali, już wyszedł na prostą.
- Dobrze, ale jak tacy ludzie jak oni poznaliby lumpa? Zastanowiłem się przez chwilę.
  - Przez jakąś tymczasową pracę. Huck na przykład zarabiał jako kelner albo barman na imprezie charytatywnej. A może to było przypadkowe spotkanie.
  - Oszukał ich, że się zmienił? Tu już zwykłe miękkie serce nie wystarczy, Alex, musiałyby się rozplýwać.
  - Idealizm, który mógłby ich skłonić do wpłat na rzecz bagna? Cisza.
  - Interesujące – odezwał się w końcu Milo.

– Niestety, nie zdołałem znaleźć żadnej listy darczyńców Ocalić Moczary, a Alma Reynolds twierdzi, że nie istnieje oficjalna grupa.

Pieniądze miliarderów sfinansowały całą operację, czyli czynsz i dwadzieścia pięć kawałków

rocznie wynagrodzenia dla Duboffa.

Zastanawiam się, czy Duboff jakoś sobie nie dorabiał. Myślę tu o odpacykowanym blondynie z kopertą, którego widział Chance Brandt.

– Jeśli to była zapłata, co senor Bondo dostawał od Duboffa?

– Nie wiem, ale założmy, że Duboff odłożył sobie trochę gotówki ekstra, mimo niskiej pensji, a potem forszę przejęła Alma.

Opisałem olbrzymią perłę, którą Reynolds próbowała ukryć.

Wspomniałem, że kupiła ją niedługo po śmierci Duboffa i skłamała, że to prezent od niego.

– A może sama robiła coś na boku i wstydziła się do tego przyznać –

zasugerował Milo. – Jako umartwiająca się wegańska ascetka i tak dalej.

– Jada ryby, ale nie zdziwiłabym się, gdyby sięgnęła po wołowinę.

– Hipokrytka?

– Coś ukrywa. Kiedy tylko mnie zobaczyła, zasłoniła tę perłę. Potem zmieniła taktykę i zaczęła się nią chwalić, jakby mnie wyzywała, żebym się przyczepił. Ale to, że zobaczyłem perłę, wyraźnie wytrąciło Reynolds z równowagi. Zamiast wrócić do pracy, pojechała do domu.

– Może zaszkodziło jej jedzenie... dobra, jasne, niewykluczone że trafiłeś na jakieś finansowe psoty, ale to nie znaczy, że mają związek z morderstwami. A jeśli Duboff ukrywał gotówkę, to nie w mieszkaniu.

Osobiście je przetrząsnąłem. W którymś momencie wezmę na siebie starą Almę, ale nie teraz, na razie za dużo się dzieje. W sensie szukania pana Hucka. Zmyłka na lotnisku, owszem, jest oklepana, ale podziałała. Po facecie nie ma ani śladu.

– Może napisze – zażartowałem.

– To by było miłe z jego strony. Wujek Milo baaardzo tęskni.

Następnego ranka nie doczekałem się telefonu od Mila ani Reeda, żaden z nich też nie odbierał.

Obudziłem się rozgrzany słońcem. Myślałem o Travisie Hucku.

Petra i Milo mieli rację: pojedynczy dobry uczynek nic nie znaczył, bo psychopaci są świetnymi aktorami i pozory altruizmu pozwalają im parać się okrucieństwem, które uwielbiają.

Powszechny podziw karmi ich żądzą kontroli i bycia w centrum uwagi.

Tango „patrz na mnie”. Morderstwa z moczarów śmierdziały ekshibicjonizmem: wybór uświęconej ziemi na groby, zgłoszenie morderstw, zbieranie kości w ładnym pudełku.

Po co układać kobiety na wschód?

Od pierwszego dnia niewiele na ten temat wymyśliliśmy.

Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to symbolika geograficzna: Nadine Vander była Chinką, a ostatni raz widziano ją, przed San Francisco, na Tajwanie.

Simon przyleciał z Hongkongu.

Czy to wszystko rzeczywiście kręciło się wokół tej rodziny?

A może Vanderowie stanowili tylko ukoronowanie krwawej orgii?

Zniszczyć bogatych i wpływowych, zagarnąć ich dusze, a potem pochwalić się zwłokami. Ale jedyną ujawnioną ofiarą była Selenia, pozornie nieśmiała kobieta, która zabawiała się na orgiach, zanim przeszła do igraszek z cierpieniem.

Jakkolwiek bym na to patrzył, morderstwa ciągle sprowadzały się do serii na tle seksualnym. A może z Vanderami łączyła je inna młoda kobieta.

Czy Nadine była celem Hucka od samego początku, jak sugerował

Reed? Pani domu, oglądana z daleka z pożądaniem i tęsknotą? A jej mąż i syn... skutki uboczne?

Nawet jeśli, to akt miłosierdzia Hucka sprzed dziesięciu lat nie był

wołaniem o uwagę. Wręcz przeciwnie, Huck uciekł, kiedy tylko potwierdzono dobry stan zdrowia Brandeen Loring.

A może nawet wtedy miał mroczne sekrety, których nie chciał

wyjawiać.

Wychowany przez matkę alkoholicką, zamknięty i dręczony do chwili uratowania w wieku osiemnastu lat. Jego życie do czasu drugiego ratunku, przez Vanderów, pozostawało tajemnicą.

Przez półtorej dekady na ulicy wiele mogło się wydarzyć.

Poświęciłem temu jeszcze godzinę, w końcu wszystko mi się pomieszało i musiałem wziąć proszek, żeby zwalczyć paskudny ból głowy. Przerzuciłem się na pracę robota, popłaciłem rachunki, posprzątałem w gabinecie. Potem się przebiegłem i wyciszyłem piętnastominutowym spacerem z Blanche, i wziąłem prysznic.

Powiedziałem Robin, że muszę się przejechać.

Nie była zaskoczona.

Ani śladu żółtego garbusa Almy Reynolds na Czternastej ulicy.

Zadzwoiłem do lekarza, u którego pracowała.

Na chorobowym.

Równie dobrze Milo mógł znaleźć czas, żeby ją przemaglować, i siedziała teraz w sali przesłuchań West LA.

Zadzwoiłem do przyjaciela. Wciąż nie odbierał.

Domysł Moe Reeda, że Huck trzymał się znajomej okolicy, brzmiał

logicznie; zastanawiałem się, czy to samo dotyczyło Almy Reynolds odnośnie do zakupu biżuterii. Sprawdziłem sklepy w Santa Monica i znalazłem dwa wyspecjalizowane w perłach.

Pierwszy strzał okazał się niecelny ze względu na fałszywą reklamę –

stoisko w markecie z antykami, profil działalności: ozdoby krawieckie.

Drugi, Le Nacre, na Montana, na szarym aksamicie wystawiał pojedyncze sztuki i sznury, w tym większe „cuda” z Morza Południowego.

Oglądałem gablotkę po gablotce lśniących kul. Białe, czarne, szare, zielonkawe, niebieskawe, złote. Bez cen.

W środkowej gablocie zobaczyłem wisior bliźniaczo podobny do cacka Almy Reynolds.

Sprzedawczyni, kobieta pod czterdziestkę z tlenionymi blond włosami i lisią twarzą, miała na sobie czarny, obcisły kostium krzyczący „męki na siłowni”. Pozwoliła się rozejrzeć, zanim przydryfowała do mnie i wskazała perłę na łańcuszku.

– Piękna, prawda?

– Piękna i ogromna – odparłem.

– To właśnie gwarantuje Morze Południowe: wielkość i jakość. Ta ma pełnych siedemnaście milimetrów. Dochodzą do dwudziestu, ale rzadko widuje się siedemnastki o tak doskonałym połysku, kształcie i nacre, czyli grubości zewnętrznej warstwy. Tutaj jest milimetr. Ładny kształt i idealna gładkość. To nasza ostatnia.

– Mieliście państwo więcej?

– Dwie. Pochodzą z Australii, druga sprzedawała się kilka dni temu. Niech mi pan wierzy, ta też szybko pójdzie. Jakość zawsze dobrze się sprzedaje.

– Szczęśliwa kobieta. – Uśmiechnąłem się lekko. – Urodziny czy przeprosiny?

Odwzajemniła uśmiech.

– A jaki jest pana przypadek?

– Urodziny. Ale niech mi pani da trochę czasu, to na pewno będzie za co przeproszać.

Zachichotała.

– Domyślam się. Nie, klientka kupiła ją dla siebie. Powiedziała, że matka zawsze nosiła perły, pora sprawić sobie coś ładnego.

– Ta jest więcej niż ładna. Mogę obejrzeć?

– Och, oczywiście. – Kiedy otwierała gablotkę, wysłuchałem krótkiego wykładu o gradacji i kulturze pereł. – Jaką cerę ma pana żona... To dla żony?

Po co tłumaczyć.

– Tak. Pochodzi z włosko-hiszpańskiej rodziny. Cerę ma różową, ale z wyraźnym oliwkowym odcieniem.

– Widać, że pan ją kocha – stwierdziła. – Kiedy mężczyzna potrafi tak łatwo opisać kobietę, darzy ją głębokim uczuciem. Róż i oliwka... więc ta pasowałaby idealnie. Różowawe są jeszcze cenniejsze niż kremowe.

Mieliśmy podobną parę miesiące temu, szesnastkę, wyszła tego samego dnia, kiedy przyjechała. Ale róż nie każdemu pasuje. Dla pań z oliwkową karnacją kremowe są lepsze. Na pewno bardzo się spodoba.

– Ile?

Odwróciła mały kartonik z ceną, sprawdziła kod.

– Ma pan szczęście, kupiliśmy ją za dobrą cenę, więc sześć tysięcy czterysta, razem z łańcuszkiem z osiemnastokaratowego złota, ręcznie robionym we Włoszech, z idealnie rozmieszczonymi ślicznymi brylancikami. Zdecydowanie polecam zostawienie całości w komplecie, pasują do siebie doskonale, bardzo o to dbamy.

– A ktoś je zdejmuje? – spytałem. – Po co komu sama perła?

– Otóż to, ale ludziom przychodzą do głowy różne pomysły. Ta pani, która kupiła drugą, chciała tylko perłę. Powiedziała, że ma własny łańcuszek. Myślałam, że chodzi o jakiś antyk, pamiątkę po matce. A ona wyciąga tani, pozłacany, właściwie śmieć. – Wystawiła język. – Żeby oszczędzić parę dolarów. Boli mnie, kiedy widzę tak noszoną perłę, ale klienci bywają dziwni. Ona była.

– Miała pomysły.

– Nie wyglądała na kogoś, kto doceniłby jakość biżuterii. – Dotknęła łańcuszka. – A więc, czy żona dozna ekstatycznej radości, zanim zrobi pan coś niegrzecznego?

– A czy cena jest do negocjacji?

– Hm – mruknęła. – Dla pana zejść dziesięć procent.

– Dwadzieścia i biorę.

– Przykro mi. – Pokręciła głową. – Piętnaście, nie więcej. Kiedy weźmie pan pod uwagę, ile kosztuje duży brylant, to i tak niewiarygodna okazja.

– Nie znam się za bardzo na perłach...

– Ale ja się znam i niech mi pan zaufa, jest tyle warta. Siedemnaście procent to absolutne maksimum. Ma pan szczęście, że to ja, a nie mój mąż.

Przy takiej obniżce prawie nic nie zarabiamy, a kiedy Leonard przyjdzie i dowie się, co dla pana zrobiłam, nie będzie szczęśliwy. – Dotknęła mojego nadgarstka ciepłymi, gładkimi opuszkami palców. – A prezenty na przeprosiny dla niego to nie przelewki.

Duże piwne oczy Robin powiększyły się jak koła w kalejdoskopie.

– Coś ty zrobił?

– To był impuls.

– Ja... jest piękna, skarbie, ale dla mnie o wiele za duża.

– Moim zdaniem, w sam raz.

– Kiedy będę ją nosić?

- Znajdziemy okazję.
- Naprawdę, Alex, nie mogę.
- Założ. Nie spodoba ci się, oddam.
- Ty to jesteś. – Kilka chwil przed lustrem później: – Kocham cię.
- Doskonale pasuje do twojego odcienia skóry.
- W ogóle mi nie pasuje... jest taka wielka.
- Jak już ją masz, to niech będzie widać. Westchnęła.
- A niech mnie.
- Naprawdę ci się nie podoba?
- Nie takie „a niech mnie” – powiedziała. – A niech mnie, jeśli nie sprawię, że będzie działać.

Długa kolacja w Bel–Air, wino i seks znokautowały mnie wystarczająco, żebym mocno przespał całą noc. Ale wspomnienie perły na piersiach Robin w pełni mnie rozbudziło. Teraz naszyjnik leżał na komodzie w sypialni, a kiedy wyjrzałem przez kuchenne okno, w pracowni paliło się światło.

W końcu złapałem Mila na komórkę. Spytałem, czy rozmawiał z Alną Reynolds.

– Właśnie dzwoniли do mnie koledzy technicy – poinformował, zamiast odpowiedzieć. – Pokój Traversa Hucka w posiadłości był czysty, ale znaleźli krew w odpływie jego umywalki. Grupa AB. Nie znamy grupy Hucka, więc teoretycznie może być jego. Ale wiesz, AB to rzadkość, jaka jest szansa, że mają ją dwie osoby?

– Czyli kto jeszcze?

– Simon Vander. Laboratorium zadzwoniło do Simone i potwierdziło.

Tata, kiedy tylko mógł, oddawał krew. Reed też rozmawiał z Simone, weźmie od niej próbkę DNA, zobaczymy, czy da się to połączyć.

Dziewczyna wariuje. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby pojawił się Aaron Fox, oferując pomoc nam, prostytutkom. W tym czasie dostałem wezwanie do Jego Świątobliwości. To powinno wystarczyć, żeby ogłosić Hucka oficjalnym podejrzanym i zdobyć sądowy nakaz poszukiwań.

– Krew w odpływie – myślałem głośno. – Umywalka i prysznic?

– Tylko umywalka, Alex. Co idealnie odpowiada teorii, że broił gdzieś indziej. Huck zobaczył plamę na ubraniu i postanowił ją sprać. Dokładnie umył samą umywalkę. Właściwie poziom czystości jego pokoju jest tak samo podejrzany, jak gdyby w luminolu wszystko zaświeciło na czerwono. Ktoś je



wysterylizował. Drań nie pomyślał, że zajrzemy do kanalizacji.

– Technicy to robią rutynowo?

– Tak, kiedy im każę. Myślę sobie, że Vanderowie zostali zwabieni do San Francisco. Odebrał ich na lotnisku, załatwił gdzieś w północnej albo środkowej Kalifornii, zakopał zwłoki, wrócił do LA i utrzymywał pozory lojalnego pracownika.

– Tyle jest lasów na północy wybrzeża.

– Właśnie.

– Pożądanie do Nadine tłumaczyłoby ułożenie zwłok twarzą na wschód

– powiedziałem. – Patrzcie w stronę Orientu.

Oddech Mila przyspieszył.

– Co się stało?

– Zaczynam mieć to uczucie, Alex, że wszystko się układa w całość.

Słuchaj, muszę odblokować telefon na wypadek, gdyby Zeus dzwonił z Olimpu. Jeśli chcesz pomóc, spróbuj wymyślić hipotezę, gdzie Huck się ukrywa.

Travis Huck jako główny podejrzany wystąpił w wiadomościach o szóstej i gazetach.

Kolejna fala donosów zajęła Mila, Moe Reeda i dwóch innych detektywów na czterdzieści osiem godzin.

Nic się nie potwierdziło.

Próbowałem odgadnąć, gdzie Huck się zagrzebał, patrzyłem na mapy, nic nie wymyśliłem.

Po dwóch dniach oglądania perły Robin schowała ją w sejfie.

Pojechałem do mieszkania Almy Reynolds, zobaczyłem jej samochód, zapukałem do drzwi.

– Kto tam?

– Alex Delaware.

– Pan mnie naprawdę śledzi. Niech pan sobie idzie.

– Sześć tysięcy dolarów za perłę – powiedziałem. – Mama byłaby dumna.

Odgłos, który wydała, świadczył o wściekłości albo strachu.

Cisza powiedziała mi, że Reynolds nie chwyciła przynęty.

Siedziałem w samochodzie kawałek dalej prawie przez godzinę. Już miałem się poddać, kiedy Reynolds wybiegła z budynku, wsiadła do żółtego garbusa.

Pojechałem za nią do Washington Mutual na Santa Monica Boule-

vard. Spędziła w banku czterdzieści dwie minuty, potem skierowała się do gabinetu okulisty, ale po krótkiej przerwie ruszyła dalej, zawróciła na Pico, zatrzymała się w koreańskim grillu na Centinela.

Szklana witryna, dobrze widać, co się dzieje w środku.

Zaczekałem, aż przyniesiono jej zamówienie.

Wielki talerz żeberek, kufel piwa.

– Świętujemy? – spytałem.

Zatchnęła się, zakaszłała. Pogryzła wściekle i przełknęła. Zgrzytnęła zębami.

– Zostaw mnie pan.

– To, że perła leży w skrytce w banku, nie znaczy, że może ją pani sobie zatrzymać.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mama mogłaby być dumna z pani gustu, ale czy pochwaliłaby sposób zdobycia pieniędzy?

– Wynos się pan w cholerę.

– Znosiła pani Duboffa przez lata, uznała się za prawowitą dziedziczkę i ja tego nie neguję. Problem w tym, skąd on miał te pieniądze.

Nawet jeśli nie można ich powiązać z żadną zbrodnią na pewno zainteresowałby się nimi urząd skarbowy.

Podniosła żeberko i przez chwilę myślałem, że posłuży się nim jak bronią.

– Dlaczego mi pan to robi?

– Nie chodzi o panią– wyjaśniłem. – Tylko o cztery inne kobiety. –

Dotknąłem żeberka. – Kości.

Zrobiła się zielona. Zerwała się i pobiegła do toalety.

Pięć minut, dziesięć, piętnaście.

Poszedłem sprawdzić. Obie łazienki puste. Tylne drzwi prowadziły do zaułka cuchnącego śmieciami. Kiedy wyszedłem przed restaurację, garbusa już nie było.

Zaparkowałem trzy przecznice od kamienicy Almy Reynolds, wróciłem pieszo na róg i zacząłem się za starym, zakurzonym drzewem koralowym.

Pan Tajniak. Czuję się głupio, a w głowie miałem niezłą gonitwę myśli.

Czterdzieści minut później Reynolds nie wróciła. Pokpiłem sprawę i spłoszyłem kobietę. Byłem pewien, że zapłaciła za perłę pieniędzmi, które dostał Duboff.

Koperta przekazana z rąk do rąk na parkingu. Donacja czy łapówka?

Tak czy inaczej, nic nie wskazywało na związek z morderstwem Duboffa.

Wróciłem do seville'a. Przejechałem przecznicę, kiedy zadzwonił Milo.

– Huck zasłonił się prawnikiem.

– Macie go.

– Niezupełnie.

Kancelaria Debory Wallenburg zajmowała dwa najwyższe piętra kostki lodu na Wilshire, pięć przecznic na wschód od oceanu. Na drzwiach tłoczyły się nazwiska; Wallenburg była druga od góry.

Miała około pięćdziesiątki, zielone oczy, policzki jak jabłka i mocne ciało zapakowane w szary, kaszmirowy kostium. Platynowe pierścionki, kolczyki z brylantami i potrójny sznur pereł ciekawie odbijały światło.

Perły były różowosrebrne, stopniowanej wielkości; według mojego nieco podszlifowanego rozeznania, dziesięć do piętnastu milimetrów.

Ładna kobieta, wystarczająco pewna siebie, by zachować kolor na–

tapirowanych włosów taki sam jak kostiumu. Odrzuciła zaproszenie Mila na komisariat, uparła się, że woli swoją kancelarię.

Teraz siedziała za obitym skórą biurkiem i rozmawiała przez telefon z jakimś Lesterem. Błat biurka ożywiały złocone drobiazgi od Tiffany'ego, w tym misterna lampa ze szklanym kloszem pomarszczonym tak, by wyglądał na papierowy. Ścianę w głębi zajmowała paste-la Mary Cassatt, przedstawiająca matkę z dzieckiem – idealne ucieleśnienie czułości. Brak rodzinnych zdjęć czy czegokolwiek związanego z dziećmi zmieniał wielką sztukę w rekwizyt.

Milo, Reed i ja staliśmy jak petenci, a Wallenburg śmiała się z czegoś, co powiedział Lester. Pod względem wystroju gabinet był trzydziestoma metrami kwadratowymi przesady: brokatowe tapety w kolorze krwi, fałdy sztukaterii, sufit wykładany miedzianą folią lawendowo-fioletowy dywan

Abusson na tekowej podłodze. Z trzynastego piętra rozciągał się widok na grafitową ulicę, aluminiową wodę, rdzawe szpony linii brzegowej drące ocean.

Spróbowałem wypatrzeć dom Vanderów, uznałem, że przesadzam.

– Żartujesz, Les – powiedziała Wallenburg i odwróciła się tak, że mój wzrok padł na boczną ścianę, obwieszoną tytułami Ligi Bluszczowej i nagrodami palestry.

– Dobra, dzięki, Les. – W końcu się rozłączyła. – Siadajcie, panowie, jeśli chcecie.

Zajęliśmy miejsca przed biurkiem.

– Dziękujemy za spotkanie, panno Wallenburg – odezwał się pierwszy Milo.

– Dziękuję za odbycie niebezpiecznej wyprawy z samej dziczy West LA. – Wallenburg uśmiechnęła się lodowato zerknęła na zegarek.

– Jeśli wie pani, gdzie jest Travis Huck...

– Zanim do tego dojdziemy, poruczniku, oświadczam oficjalnie: mylicie się co do Trávisa. I to bardzo. Jakie macie dowody, aby uznać go za podejrzanego?

– Z całym szacunkiem, proszę pani, ale to ja mam tu zadawać pytania.

– Z całym szacunkiem, poruczniku, to ja muszę zapobiec drugiemu ohydному błędowi wymiaru sprawiedliwości. Krok pierwszy tego procesu to wyjaśnienie, co takiego wiecie, co by usprawiedliwiało zrujnowanie życia mojego klientowi.

– A jaki jest krok drugi?

– To zależy od pierwszego.

– Rozumiem pani punkt widzenia, ale fakty zostaną ujawnione, jeśli i kiedy panu Huckowi będą postawione zarzuty.

– Brzmi to tak, jakbyście już go osądzili.

Milo nie odpowiedział. Debora Wallenburg podniosła pióro Tiffa-

ny'ego i zawiesiła je między palcami.

– Przykro mi, że jechaliście panowie taki kawał na próżno. Podbić panom kwity parkingowe?

– Jeśli ukrywa pani Hucka, może się pani stawiać w...

– Zaczyna się. Zawołowane groźby. – Zmrużyła zielone oczy. – Niech pan wali, poruczniku. Już zabrałam się do pisania olbrzymiego pozwu.

- Od razu krok dwa? – Milo zmarszczył brwi.
- Na pewno wszyscy mamy pilne zajęcia, poruczniku.
- Pozywa pani na prośbę Hucka? To pani pomysł? Wallenburg pokręciła głową.
- Nie wyciśnie pan ze mnie żadnych informacji.
- Droga pani, to nie pora na pojedynki. Mówimy o pięciu potwierdzonych morderstwach i prawdopodobnych kilku kolejnych. O

wyrachowanej rzezi. Naprawdę chce pani być kojarzona z czymś takim?

– Kojarzona? Nie interesuje mnie reklama, poruczniku Sturgis. Wręcz przeciwnie. Przez ostatnich dziesięć lat zajmowałam się sporami korporacyjnymi właśnie dlatego, że miałam dość farsy nazywanej systemem sprawiedliwości karnej.

– Dziesięć lat – powtórzył Milo. – Proszę wybaczyć, ale czy nie wypadła pani trochę z obiegu?

– A może to pan wypadł? – odcięła się Debora Wallenburg. – Powiem więcej, na pewno tak się stało. Travis Huck to przyzwoity człowiek, a ja nie jestem miękką naiwną idealistką która zaprzecza istnieniu zła. W

swoim czasie widziałam bardzo dużo zła.

– Spory korporacyjne bywają aż tak paskudne?

– Niezwykle pan dowcipny, poruczniku. Do rzeczy: nie ukrywam Hucka, nie wiem też, gdzie przebywa.

– Ale miała pani z nim kontakt. Pióro pstryknęło.

– Dam panu darmową poradę prawną: proszę zdjąć klapki z oczu. Tak będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych.

– Jakies sugestie co do alternatywnych podejrzanych, proszę pani?

– To nie moje zadanie.

Moe Reed sapnął. Jeśli Wallenburg to zauważyła, nie dała po sobie poznać.

– Huck uciekł – oznajmił Milo. – Niewinny człowiek tak się nie zachowuje.

– Zachowuje, jeśli został skrzywdzony przez system.

– Zadzwonił tu, bo raz już go pani uratowała. Dostał radę, żeby nie zdradzał pani miejsca swojego pobytu. Ani nie przyznawał się pani do winy. W ten sposób nie może pani kłamać przed sądem.

Wszystko to legalne, ale omija pani kwestie etyczne. Jeśli Huck znów zabije, chce mieć to pani na sumieniu?

– Och, proszę, poruczniku. Powinien pan pisać scenariusze.

– Zostawiam to zgorzkniałym prawniczkom.

Wallenburg spojrzała na mnie. Szukała grzecznego ucznia w klasie.

Kiedy nie zareagowałem, popatrzyła na Reeda.

– Huck zostanie pojmany, osądzony i skazany – powiedział. –Niech pani to ułatwi.

– Komu?

– Zaczniemy od rodzin ofiar – odparł Reed.

– Ma być łatwo wszystkim oprócz Trávisa. Dziewiętnaście lat temu zgarnięto go jak worek śmieci, osądzono w jakimś cyrku, torturowano...

– Kto go torturował? – spytał Milo.

– Jego tak zwani opiekunowie. Nie czytał pan mojego wniosku apelacyjnego?

– Nie, proszę pani.

– Przefaksuję kopię.

– Cokolwiek stało się wtedy, nie zmienia faktów teraz – wtrącił się znów Reed. – Jest pani taka pewna jego niewinności, ale nie ma czym tego przekonania poprzeć.

Wallenburg się zaśmiała.

– Naprawdę pan myśli, że wycisnie informacje, obrażając mnie? A może to wy pokazalibyście dowody? Proszę bardzo, przekonajcie mnie, że jest winny. Jedyne, co macie, to jego przelotna znajomość z Seleną Bass.

– Tak pani powiedział? – spytał Milo.

– No jasne, nic nie macie. Czemu mnie to nie dziwi?

– Sądzi pani, że wybraliśmy go sobie z książki telefonicznej? –Reed zaczynał tracić cierpliwość.

– Sądzę, że szukacie najbliższego z brzegu kołka, na którym moglibyście powiesić swoje dochodzeniowe kapelusze.

– Gdybym pani powiedział, że dysponujemy dowodami rzeczowymi, przekonałoby to panią? – ciągnął Milo.

– To zależy od natury tych dowodów i tego, jak skrupulatnie je zgromadzono.

Reed się zaśmiał.

– Powtórka z OJ.

– Myślcie sobie, co chcecie, panowie. Prawda jest taka, że nawet gdybym mogła wziąć udział w tej parodii, nie zrobiłabym tego.

– A „ta parodia” to...? – zareagował natychmiast Milo.

– niesprawiedliwy wyrok dla Trávisa. Znów. Naprawdę powinniście przeczytać moją apelację. Został pobity tak dotkliwie, że doznał trwałych uszkodzeń nerwów. A za co trafił do poprawczaka? Za to, że odepchnął

dręczyciela. Postawił się władzy i pieniądзом.

– Dlaczego nie złożyła pani pozwu cywilnego? – zagadnąłem.

Wallenburg zamrugowała.

– Trávisa to nie interesowało. Nie jest mściwy.

– Przyznaję, pierwszy raz był oburzający – powiedział Milo. –A pani została bohaterką. Ale to nie ma związku z obecną sytuacją.

– Bohaterką? Niech mnie pan nie traktuje z góry, poruczniku. Zrobiłam tylko to, co prawnik powinien.

– Tak jak teraz.

– Nie muszę się przed panem tłumaczyć.

– Życie Trávisa między jego uwolnieniem a zatrudnieniem przez Vanderów to biała plama – zmieniłem temat. – Kiedy wyszedł, chciała mu pani pomóc, ale on zniknął. Został bezdomnym. Kalekiemu młodemu mężczyźnie żyjącemu na ulicy mogą się przytrafić najróżniejsze rzeczy.

Dlaczego pani uważa, że Travis jest tym samym człowiekiem, którym się pani zaopiekowała?

Wallenburg odłożyła pióro, podniosła suszkę do atramentu.

– Mówimy o dziewiętnastu latach ze zmienioną tożsamością – dodał

Milo. – To sugeruje, że człowiek ma coś do ukrycia.

– Nie sugeruje nic takiego.

– A więc co?



Debora Wallenburg stuknęła długim paznokciem w suszkę.

– Nie macie pojęcia – odezwała się po chwili.

– Wydaje mi się, że mamy – odparłem. – Travis był w szoku, samotny, tak zdesperowany, że nie chciał przyjąć pani pomocy.

Cisza.

– Którego fragmentu układanki nie znamy, panno Wallenburg? Jej spojrzenie straciło prawniczą twardość i zrobiło się ludzkie.

Szybkie mrugnięcie zmieniło oczy z powrotem w beznamiętne, szmaragdowe dyski.

– Co się z nim stało przez te lata w ukryciu? – spytałem. Zadzwoił

telefon. Podniosła słuchawkę.

– Jasne, połącz. Cześć, Mort, co słychać? Tamto? Wysłałam wczoraj, powinno u ciebie być lada chwila. Co takiego? Oczywiście. Nie, po prostu się nie stresuję.

Ostentacyjnie zrelaksowana odchyliła się w tył w fotelu, porozmawiała, posłuchała, w końcu zerknęła na nas.

Udała zaskoczenie naszą obecnością nie przerwała dyskusji.

Wysoka, jasnowłosa asystentka w kostiumie prawie tak samo ładnym jak ten Wallenburg weszła do gabinetu na zabójczych obcasach.

– Przed chwilą dzwonili z garażu. Panów samochód jest gotowy.

– Nic nie mogę zrobić, Milo – powiedział John Nguyen.

– Nawet jeśli ukrywa zbiega?

– Przyznała, że ukrywa?

– Twierdziła, że nie.

– Macie dowody, że jest inaczej?

– To oczywiste, że Huck się z nią kontaktował. Na pewno wie, gdzie się przyczał.

– Ciągłe stawiasz mnie w tej sytuacji – obruszył się Nguyen.

– Jakiej?

– Że muszę wylewać wam wiadro zimnej wody na głowę. To, co macie, nic nie znaczy, Milo, a ty

jesteś za bardzo doświadczony, żeby o tym nie wiedzieć.

Siedzieliśmy w restauracji Pacific Dining Car na Szóstej, niedaleko centrum. Nguyen pochłaniał obiad, Reed i ja zadowoliliśmy się wodą gazowaną. Milo zamówił jedzenie, ale apetyt mu nie dopisywał, co oznaczało, że świat się kończy.

– Jezu, John, czy ty wiesz, jak ta sprawa może się rozkręcić?

– Widziałem służbowe notki – odparł Nguyen. – Słyszałem też pogłoski, że twój szef spowalnia ten proces.

– No, teraz szefowie chcą, żeby sprawa nabrała rozpędu. Powiedziałem Wallenburg, że rozmyślnie udaje głupią, i nie zaprzeczyła.

– W jej sytuacji zrobiłbym to samo, Milo.

– John, na wolności grasuje cholerny seryjny zabójca, a ona może pomóc nam go znaleźć.

– Niewykluczone.

– To ona uratowała Hucka, jestem pewien, że teraz tu do niej się zwrócił. Jeśli Wallenburg nawet dokładnie nie zna jego miejsca pobytu, to na pewno przynajmniej się domyśla.

– Udowodnij, że go ukrywa, wtedy postaram się to jakoś wykręcić na twoją korzyść.

– Siedzenie jej byłoby...

– Twoim wyborem, ale ja bym się do tego zabrał delikatnie. Debora będzie na was przygotowana i jak tylko coś nie wypali, przyłoży wam pozwem.

– A więc prawnicy mają specjalne przywileje – burknął Reed.

– Hej, dlatego właśnie wybieramy ten fach. – Nguyen nadział na widelec olbrzymi kawałek steku, zastanowił się, przekroił go na pół. –

Czego w zasadzie się spodziewacie, obserwując Deborę? Nie pojedzie swoim ferrari prosto to kryjówki Hucka.

– Ma ferrari?

– I maybacha, tego supermercedesa – powiedział Nguyen. – Co to jest czterysta tysięcy, nie licząc podatku za zużycie paliwa?

– Zbrodnia popłaca – wycedził Reed.

– Ja jeżdżę hondą, nie rozczulajcie mnie. Kiedy studiowałem, Debora wykladała prawo karne. Była świetnym wykładowcą i jednym z najlepszych publicznych obrońców w mieście.

– Zarobiła tyle kasy, przekładając korporacyjne papierki? – spytał Milo.

– Nie bezpośrednio – odparł Nguyen. – Niedługo po tym, jak przeszła na korporacje, została przydzielona do sporządzenia umów paru transakcji firm internetowych za grube miliony. Wcześniej zainwestowała i w odpowiednim czasie wycofała pieniądze. Nie wiem, po co dalej prowadzi praktykę.

– Pewnie dla przyjemności – zadrwił Milo.

– Cha, cha, cha. – Nguyen umoczył homara w maśle, napił się martini.

– John, gdybym poprosił cię o założenie jej podsłuchu...

– Powiedziałbym: „To kiedy zakładasz kabaret?”

– Cztery kobiety nie żyją, John. I może Vanderowie, plus dzieciak, z odrąbaną ręką.

Nguyen popatrzył na swój stek i westchnął.

– Opinia publiczna będzie zachwycona, jak się na tym wyłożymy –

ciągnął Milo.

– Nie możesz jej podsłuchiwać. Jest jego prawniczką, nie dziewczyną.

– Kto wie? – wtrącił Reed.

– Macie dowody intymnego pożycia?

– Jeszcze nie.

– To znajdźcie. Dajcie cokolwiek, co jasno pokaże, że zrobiła jakiś przekręt.

– Jeśli utrzymuje intymne kontakty z Huckiem, jest najgłupszym mądrym człowiekiem na świecie – oznajmił Milo. – Jego partnerki seksualne mają zwyczaj kończyć martwe i pokrojone.

– I głową na wschód – dodałem, ciekaw, czy Nguyena to zainteresuje.

Nie zainteresowało.

– Naprawdę chciałbym wam pomóc, chłopaki. Może powinniście zapomnieć o Deborze i znaleźć Hucka starym sposobem.

– Czyli? – spytał Milo.

– Połazić po ulicach, popytać ludzi... nie wiem, nie znam się na waszych metodach. – Przymierzył się do steku, zaczął żuć bez apetytu. –

Jest jeszcze jeden powód, żeby nie wkurzać Debory. Kiedy już dopadniecie Hucka, możemy się z nią zmierzyć jako obrońcą. Wtedy to ja dostanę wrzodów.

– Myślisz, że odsunęłaby swoich korporacyjnych klientów i zajęła się tym biedakiem?

– Z tego, co mówicie, ona w niego wierzy – powiedział Nguyen. –

Nawet jeśli nie będzie głównym obrońcą, odegra swoją rolę. Znam Deborę.

– Zawzięta – zauważyłem.

– Ponad wszelkie wyobrażenie, doktorze.

– Ferrari, maybach... – wymienił Reed.– Stać ją na zabawę w Wonder Woman.

– Założę się, że to przyjemne.

Brałem udział w kilku konduktach pogrzebowych. Droga powrotna na komisariat odbyła się w tym samym nastroju rezygnacji i szoku.

– Taka mądra kobieta, a tak się dała nabrać na te pierdoły – mruknął

Milo.

– Jak te kretynki, które lecą na skazańców w więzieniach – powiedział

Reed. – Co się za tym kryje, doktorze?

– Zazwyczaj niska samoocena i pragnienie przyciągnięcia uwagi. – Ani jedno, ani drugie nie odnosiło się do Wallenburg, ale po co burzyć ich niechęć?

Milo potarł twarz.

– Tyle kasy, ale jej życie jest puste, więc znów chce się poczuć dobra i sprawiedliwa.

– Liberałowie w limuzynach – powiedział Reed.

Kąciki ust Mila lekko drgnęły, ale poddały się, zanim doszły do uśmiechu.

– Dawno tego nie słyszałem, Moses.

– Podobno tak na nich mówił mój ojciec.

– Jakies sugestie, jak przekonać Wallenburg, Alex?

– W przypadku kogoś innego spróbowałbym sięgnąć po makabryczne szczegóły: zdjęcia ofiar, zdjęcia z autopsji, podkreśliłbym, jak te kobiety cierpiały. Ale Wallenburg to może tylko utwierdzić w oporze.

– Bo uważa się za Żelazną Dziewicę.

– Uratowanie Hucka było ważnym wydarzeniem w jej życiu, więc uznanie go za zajadłego mordercę stanowi zagrożenie. Ale jeśli będziecie mieli poważne dowody, możecie ją złamać.

– Do tego zmierzałeś w kancelarii. Huck nie jest tym samym niewinnym dzieckiem, to nie jej wina.

– Mamy krew w odpływie – przypomniał Reed.

– Myślałem, czy tego nie ujawnić – odparł Milo. – Ale nie chciałem jej dawać żadnego punktu zaczepienia. Od razu by powiedziała: „Grupa AB

to nie DNA”.

– Stanie za nim murem nawet, jak on się przyzna – stwierdził Reed. –

Biedna mała ofiara systemu. – Pokręcił głową. – Debby Ferrari.

– Masz ochotę ją pośledzić, Moses? – spytał Milo.

– Jasne. Departament zapłaci za maserati? Jak Wallenburg depnie gaz, zwykły wóz nie da sobie rady.

– O ile znajdziesz jakieś za trzydzieści dolarów dziennie.

– Mógłbym załatwić fajny wózek – oznajmił Reed. – Tylko broń Boże, żebym był niedelikatny.

W domu, z dala od ich kwaśnych humorów, zastanawiałem się, czy Debora Wallenburg kłamała, że nie zna miejsca pobytu Hucka.

Mądrzy ludzie bez przerwy robili głupie błędy; mój zawód z tego właśnie czerpał profity. Ale jeśli Wallenburg się zagalopowała, ukrywając niebezpiecznego zbiega, pewnie nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli.

Pomyślałem o Hucku, wykorzenionym, zaszczutym. O przebłyску w roli superbohatera.

Uratował dziecko.

Pierwszy akt dobroci Debory Wallenburg stworzył długotrwałą więź

między nią i Huckiem. A jeśli to samo tyczyło się Hucka i rodziny Brandi Loring?

„Anita i Lawrence Brackie” nie występowali w Internecie, ale „Larry Brackie” pojawił się w policyjnym kąciku „Daily News” sprzed trzech lat.

Czterdzieści trzy lata, aresztowany w Van Nuys za jazdę po pijanemu.

Nic więcej na ten temat, ale przeszukując grafikę, dotarłem do zdjęcia Brackle’a sprzed dwóch lat, na którym świętował „Indyczy Festiwal Klubu Kręglowego Stowarzyszenia Meadowlark” w Canoga Park.

Tuzin rozpromienionych kręglarzy. Brackie w pierwszym rzędzie. Nie bez powodu. Nawet w porównaniu ze szczupłymi kobietami obok niego był drobnym mężczyzną – chudy, żylasty, z przylizanymi do tyłu czarnymi włosami i bakami sięgającymi szczęki.

Wpisałem „Stowarzyszenie Meadowlark” i trafiłem na grupę właścicieli mieszkań osiedla w Sherman Oaks.

Osiemdziesiąt dziewięć mieszkań „deluxe” na półtora hektarze na północ od Ventura Boulevard, tuż przy autostradzie 101. Ceny wahały się od średnich sześciocyfrowych sum za dwupokojowy „apartament Hacienda” do blisko miliona za „3 pok. 2 łaz. Rancho”.

Zdjęcia w wysokiej rozdzielczości ukazywały białe moduły o czerwonych dachach, zmiękzone paprociami, palmami, bananowcami i drzewami gumowymi. „Szerokie chodniki dla spacerowiczów”, trzy baseny, dwa z „brodzikami jacuzzi”, sala projekcyjna, siłownia „z przestronną sauną”.

Niezły krok w górę po wynajmowanym mieszkaniu w Silverlake, które Brackie i jego rodzina dziesięć lat temu nazywali domem.

Sprawdziłem nazwiska pozostałych kręglarzy. Żadna z kobiet nie była Anitą Brackie. Może nie lubiła kręgli. Albo Larry dalej pił, więc go zostawiła.

Razem z małą Brandeen?

Przyjrzałem się twarzy Brackle’a, szukając oznak nałogu, zobaczyłem tylko małego, chudego okularnika, cieszącego się, że jest wśród kolegów.

Spisałem adres „Meadowlark”, poinformowałam Robin, że wychodzę.

– Tym razem nie jesteś po prostu niespokojny – zauważyła. – Masz żar w niebieskich oczkach.

Opowiedziałem jej o Brackle’u.

– Huck pomógł rodzinie, więc teraz oni pomagają jemu?

– Tak myślę. Pocałowała mnie.

– Uważaj na siebie.

Rzeczywistością osiedla Meadowlark był biały tynk poszarzały od upływu czasu i zanieczyszczeń, obfitość roślin wymagających przyszczenia, nieustanne pierdzenie autostrady.

Ochrona, choć mechaniczna, okazała się skuteczna: furtka z żelazną siatką zamknięta na zamek. Sprawdziłem listę lokatorów, nie znalazłem nazwiska Brackie’a, uznałem, że dawno się wyprowadził albo wynajął

komuś mieszkanie.

Wtedy zauważyłem nazwisko na dole listy.

Ranchero Pięć. Jedno z najdroższych mieszkań.

Zastanawiałem się, czy zagadać bezpośrednio, kiedy przez furtkę przebiegł facet z FedEksa. Złapałem ją, zanim się zatrzasnęła, minąłem dwa baseny, oba pełne pływających liści.

„Rancheros” były skupiskiem dwupoziomowych domków upchniętych w północno-wschodnim rogu osiedla i oddzielonych niskim murkiem z betonowych pustaków.

Pomarańczowe drzwi do „piątki” niemal ginęły za szerokimi liśćmi bananowca, który owszem rozwinął się w cieniu, ale nigdy nie wydał

owoców.

Zadzwońłem.

– Larry? – odezwał się damski głos. – Znów zapomniałeś klucza?

Mruknąłem coś, co mogło być „Aha” albo „E-e”.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich niebezpiecznie chuda, ciemnowłosa kobieta w średnim wieku, w za dużej białej dżersejowej bluzce i czarnych spodniach do jogi. W dłoni trzymała papierosa. Bose stopy, różowe paznokcie u nóg, czerwony lakier na czubkach pajęczych palców rąk. Na jednej zznaczonych żyłkami stóp opierał się złoty łańcuszek. Twarz wieńcząca długą, wdzięczną szyję nosiła ślady dawnej urody. Przez zmarszczki wokół szerokich, cienkich ust kojarzyła się z kapucynką. Cienie pod oczami mówiły o przeszłości, której nie dało się odwrócić.

– Pan nie jest Larrym. – Chrypka palaczki. Zapachowa mieszanka Chanel i tytoniu.

– Pani Vander?

– A kto pyta?

Przedstawiłem się i pokazałem identyfikator konsultanta.

– Doktor? Coś się stało Larry’emu?

– Nie. Przyszedłem z nim porozmawiać.

– O czym?

– O starych przyjaciółach.

– Cóż, nie ma go. – Kelly Vander zaczęła zamykać drzwi.

– Kiedy pan Brackie wróci? – spytałem. – To ważne. Drzwi znieruchomiały.

– Pani Vander?

– Słyszałam. – Za nią rozciągał się wielki, jasny, wysoki pokój, z płaskim telewizorem i różowymi skórzanymi kanapami. Na stoliku stała dwulitrowa butelka freski. Grała muzyka. Jack Jones radził jakiejś dziewczynie, żeby uczesała włosy i poprawiła makijaż. – Wyszedł po papierosy – odpowiedziała po chwili Kelly Vander.

– Nie ma problemu. Zaczekam na zewnątrz.



- Co to za starzy przyjaciele?
- Na przykład Travis Huck.
- Travis – powtórzyła.
- Zna go pani.
- Dlaczego miałabym nie znać? Pracuje dla mojego byłego męża.
- Utrzymuje pani regularne kontakty z panem Vanderem?
- Rozmawiamy.
- A ostatnio? Pokręciła głową.
- To ma coś wspólnego z Simonem?
- Czy Larry pomógł Travisowi dostać pracę u Simona? – zagadnąłem.

Wciągnęła dym.

- Nie mówię za Larry’ego. Za nikogo. Niech mi pan zostawi swój numer, przekażę.
- Wolałbym poczekać.
- Cóż... – Drzwi przymknęły się o kolejnych kilkanaście centymetrów.
- Z Simonem od dwóch tygodni nie ma kontaktu – powiedziałem. – Z

Nadine i Kelvinem też.

- Pewnie podróżują. Często to robią.
- Dwa tygodnie temu przylecieli z Azji do San Francisco. Wie pani może, gdzie się zatrzymali?
- A niby skąd? Co to ma wspólnego z Larrym?
- Nie słyszała pani o Travisie?
- O co panu chodzi? Wyjaśniłem całą sprawę.
- Bzdura.
- Co takiego?
- Że Travis mógłby to zrobić. On nas kocha.

– Całą rodzinę?

– Prawie – wychrypiała. – Szkoda tych kobiet, to naprawdę okropne.

Straszne. Jezu. – Pociągnęła dekolt bluzki. – Na pewno nic im nie jest, Simonowi i Kelvinowi. Nadine. Przemile dziecko, ten Kelvin. Gra na pianinie jak Elton John. Mówi na mnie ciocia Kelly.

– Jak często się z nimi pani widuje?

– Niezbyt często.

– A co to znaczy „prawie”?

– Słucham?

– Powiedziała pani, że Travis kocha „prawie” całą rodzinę.

– Kocha wszystkich. – Jej dłoń trzymająca papierosa zdrząła. Popiół

spadł na pierś. Strzepnęła go, znacząc smugami biały dżersej. – Niech mi pan przeczyta metkę, jak to się pierze.

Zaczepiła kciukiem krawędź bluzy na karku, pociągnęła, pochyliła się do przodu. Luzu było akurat tyle, żeby mignęły mi płaska pierś i pomarszczony mostek.

– Tylko pranie chemiczne.

– No pewnie – prychnęła.

– Travis kocha wszystkich – wróciłem do tematu.

– Dlaczego miałby nie kochać? – Błysnęła brązowymi, zepsutymi zębami. Papieros wyśliznął się jej z palców, wylądował na lewej stopie, popiół się rozsypał. To musiało boleć. Kelly Vander popatrzyła na żarzący się wałek, jakby oceniała straty.

Pochyliłem się i podniosłem papierosa. Wyrwała mi go, wsadziła z powrotem do ust.

– Przepraszam, że panią zdenerwowałem.

– Zdenerwował pan? Nie sądzę. Niech mi pan pokaże ten swój identyfikator.

Różowe kanapy Kelly Vander były bardzo gąbczaste. Mieszkanie, choć przestronne, przez dość tandetny wystrój sprawiało wrażenie tymczasowego lokum.

Źródłem muzyki był siedemdziesięciocalowy telewizor; kablówka albo satelita, Piosenkarze i szlagiery. Jack Jones ustąpił miejsca Eydie Gorme, która za wszystko obwiniała bossa novę.

Kelly dotknęła butelki z napojem.

– Freski? Jeśli ma pan chęć na kofeinę, mogę zaproponować dietetyczną pepsi.

– Nie, dziękuję.

Dopaliła papierosa do filtra, wrzuciła do kuchennego zlewu, znalazła paczkę winstonów light, zapaliła.

– Niektórzy ludzie uważają, że dietetyczna szkodzi, ale według mnie to i tak lepsze niż cukier. Larry powinien niedługo wrócić.

Zdjęła coś ze ściany.

Oprawiona w ramki reklama z gazety. Kolorowa rozkładówka May Company, wyprzedaż sukienek i swetrów dla młodzieży. Data –

trzydzieści jeden lat temu.

– To ja. – Kelly Vander pokazała jasnowłosą dziewczynę w kraciastym bezrękawniku. Nawet bez zmarszczek jej usta wyglądały trochę jak małpie i sam bym ją poznał.

– Była pani modelką? Usiadła na różowym narożniku.

– Kiedyś miałam metr sześćdziesiąt osiem, trzy centymetry więcej niż teraz, ale nawet to było za mało na duże wybiegi. Na początku robiłam tylko w dziecięcych ciuchach. Piersi urosły mi późno, bo... Kiedy tylko dostałam biustu, agencja wypchnęła mnie prosto do junierek i tam zostałam. Tak poznałam Simona. Handlował ciuchami, sprzedawał

syntetyczne dzianiny dla producenta z miasta. Zorganizowano pokaz dla kupujących. Ustawili wybieg w Scottish Rite, wszystko tam skrzypiało jak w nawiedzonym domu.

– W Hancock Park – powiedziałem. – Niedaleko Ebella.

Zastanawiałem się, czy miejsce recitalu Kelvina Vandera wywoła jakąś reakcję.

– Właśnie tam – odparła Kelly Vander. – Przeznaczenie. – Nalała sobie freski. – Na pewno pan nie chce?

– Dziękuję. Co było przeznaczeniem?

– Spotkanie z Simonem. Stałyśmy wszystkie w szeregu, przydzielali nam stroje losowo. Ja trafiłam na kostium jego firmy. Niebieski, dwurzędowy. Metalowe guziki jak u marynarza. Miałam nawet marynarską czapkę. – Dotknęła głowy, pozwoliła sobie na nierówny, brązowy uśmiech. – Tandetny poliester, drapiący. Nie mogłam się doczekać, żeby go zrzucić. Simon podszedł do mnie później. Dostał duże zamówienie, bardzo mi dziękował. Był ode mnie trochę starszy. Robił

wrażenie obytego... – Wypuściła dym z płuc. Nikotynowe opary zakłębiły się nad szklanką, gazowany napój przez chwilę wyglądał jak wywar alchemika. – Jest pan psychologiem, tak? Dużo takich poznałam.

Lepszych i gorszych.

– Dobrze, że przynajmniej trafiło się kilku lepszych.

– Pracuje pan w policji?

– Jestem wolnym strzelcem.

– To na pewno interesujące.

– Bywa. Szeroki uśmiech.

– Jaka była pana najciekawsza sprawa? Odpowiedziałem uśmiechem.

– Nie mogę mieć do nich pretensji – powiedziała. – Do tych psychologów, którzy próbowali mi pomóc. Ciężka sprawa. „Chroniczne zaburzenia odżywiania, niechęć do zmiany”. Powiedzieli mi, że jeśli nie przestanę się głodzić, umrę na atak serca. Wystraszyli mnie, ale nie dość.

Jakbym miała dwie połówki mózgu, część otwartą i część zablokowaną.

Jeden z lekarzy tłumaczył mi, że to kwestia wyrobienia sobie nowych nawyków. Kazał robić ćwiczenia... to znaczy umysłowe. Żeby część otwarta zaczęła dominować. Brzmi to dla pana jakoś sensownie?

– Tak.

– Teraz już ze mną wszystko w porządku. – Przesunęła dłońmi po kościstym ciele. – Pewnie ciągle mogę się przekręcić po tym, co sobie wtedy zrobiłam, ale jak dotąd, odpukać w niemalowane.

– Była pani wystarczająco zdrowa, żeby urodzić dziecko.

– Zna pan Simone? Jest do mnie bardzo podobna... powinnam sobie zrobić zęby. To oczywiste, prawda? Są przegniłe od bulimii, wszyscy mi mówią, że wyglądałabym o dziesięć lat młodziej, gdybym w końcu zrobiła porządek z zębami, ale ja nie wiem, czy tego chcę.

– Wyglądać młodziej?

– Właśnie – odparła. – Za każdym razem, kiedy widzę swoje odbicie w lustrze, przypominam sobie, jak do tego w ogóle doszło. Co pan o tym sądzi? Jako fachowiec. Potrzebuję takiego przypomnienia?

– Nie znam pani wystarczająco dobrze.

– Ding. Dobra odpowiedź. – Odetchnęła, zerknęła na zegar na ścianie.

– Gdzie ten Larry... W końcu się otworzyłam i zaczęłam myśleć. Do trzech odwyków sztuka.

– Poznała pani Larry’ego na odwyku? Pokręciła głową.

– Nie mówię za Larry’ego. Co moje, to moje, na jego emocjonalne tereny nie wchodzę. O wilku mowa.

Zerknęła na drzwi.

Nasłuchiwałem kroków, ale nic nie usłyszałem. Chwilę później pomarańczowe drzwi szeroko się otworzyły i do środka wpadło metr sześćdziesiąt Larry’ego Brackle’a, w okularach przeciwsłonecznych i hawajskiej koszuli wymachiwał zatłuszczoną białą torbą. Pod pachą miał

karton winstonów light.

– Kupiłem ci pączki, skarbie. Te chrupiące, z orzechami, syropem klonowym i cynam... – Zdjął okulary. – Masz gościa, Kell?

– Ty masz, Larry. Ty jesteś najważniejszy, skarbenku.

Larry Brackie strzepnął popiół do filiżanki po kawie.

– Chce mi pan wmówić, że Travis to jakiś zwariowany zabójca? Bez urazy, proszę pana, ale to totalna bzdura.

– Dokładnie to samo powiedziałam, złotko – dorzuciła Kelly Vander.

Siedzieli tuż obok siebie, paląc unisono i wypijając powoli fireskę.

– Policja uważa go za głównego podejrzanego – wyjaśniłem.

– Policja też tak uważała za pierwszym razem – prychnął Brackie.

– Zna pan historię Trávisa. Wahanie.

– Pewnie. Pisali o tym w gazetach.

– Nie w lokalnych. Cisza.

– „Ferris Ravine Clarion” jest dość mało znany, panie Brackie. Chyba że zna pan tę historię z innego źródła.

Brackie odwrócił się do Kelly Vander. Jej twarz pozostała nieprzenikniona.

– Może – burknął. – Słyszałem o tym.

– Od Trávisa.

– Może.

– Poznał go pan na odwyku?

– Proszę posłuchać, chcę być dobrym obywatelem, ale nie mówię za Trávisa. Jego życie jest jego. Bez urazy.

– A więc proszę mówić za siebie – odparłem. – Poznał go pan, zanim zaniósł Brandeen do szpitala czy potem?

Brackie zacisnął zęby. Był drobny, ale nadgarstki i dłonie miał grube i mocne.

– Rany, ale zgłodniałem. – Zerwał się, pobiegł do kuchni, wrócił z wielkim keksem na papierowej tacce. – Chcesz kawałek, kochanie?

– Nie, to dla ciebie.

Brackie pocałował ją w policzek.

– Może być też dla ciebie.

– Słodki jesteś, ale brzusek mam pełny – zaszczebotała Kelly Vander.

– Zaczekam do obiadu.

– Na pewno? To dobry keks.

– Oczywiście, skarbie.

– W porządku. Na obiad zjedzmy steki.

– Zrób sobie, Lar. Dla mnie są trochę za ciężkie.

– Potnę je na cienkie paseczki.

– Zobaczymy.

– Poprzednio ci smakowały.

- Tak, były dobre, ale nie wiem, jestem trochę najedzona.
- Wydaje mi się – przerwałem im – że znał pan Trávisa, zanim znalazł Brandeen. Poszedł szukać małej i Brandi, żeby panu pomóc.
- Proszę, niech pan się nie bawi w zgadywanki. Travis to dobry człowiek.
- Nie mówię, że nie. Wiem, że nie zrobił nic Brandi. Dłonie Brackle’a zmieniły się w lśniące białe pięści.
- Nie, cholera, on nie. Wszyscy wiedzą kto zabił Brandi.
- Gibson DePaul.
- Gnoj. Dostał dożywocie, zatłukł współwięźnia i wysłali go do Pelican Bay.
- Pilnuje go pan?
- Dostajemy powiadomienia dla ofiar, które oni wysyłają.
- „My”, czyli państwo dwoje? Czy pan i pana była?
- Nie wiem, co ona dostaje.
- Gdzie jest pani Anita?
- Pan mi powie.
- Straciliście kontakt?
- Anita nie umiała się zmienić. Nie chciała spróbować.
- Co z dziećmi?
- Widuję je czasem na święta – powiedział Brackie. – Co to pana obchodzi? Skąd to zainteresowanie moją rodziną?
- Przepraszam. Chodzi mi przede wszystkim o Trávisa.
- W takim razie traci pan czas. On nikogo nie zabił. Ani wtedy, ani teraz.
- Ciekawe – zauważyłem.
- Co takiego?
- Policja uważa go za głównego podejrzanego, ale wciąż spotykamy ludzi, którzy mają go za świętego.

– Na przykład kogo?

– Deborę Wallenburg.

Brackie i Kelly Vander popatrzyli po sobie. Wybuchnęli nagłym, przenikliwym śmiechem.

– Chyba nie zrozumiałem dowcipu – powiedziałem.

– Święci... – prychnął Brackie. – Nie ma takich, często o tym rozmawiamy. Są tylko, proszę pana, grzesznicy różnego stopnia i musimy się nauczyć sobie wybaczać, a nie czekać, aż zrobi to jakiś kaznodzieja.

– A więc oboje państwo poznaliście Travisa na odwyku. Cisza.

– To nie jest tajemnica, którą można długo zachować w sekrecie.

– Travis ma prawo do prywatności, proszę pana.

– Szukania pomocy nie należy się wstydzić, panie Brackie. Wręcz przeciwnie. Wyszedł na prostą.

– Dobra, w porządku – mruknęła Kelly. – Tam go poznaliśmy.

– To pani poleciła go Simonowi w ramach wdzięczności za uratowanie wnuczki pana Larry’ego? – spytałem.

– Bystrzak z pana. – Brackie cmoknął. – Może by pan zajął ten swój mózg czymś ważnym?

– Jak długo przed morderstwem Brandi poznaliście go państwo?

– Tuż przed, wystarczy? Sześć, siedem miesięcy. Ja już wtedy postanowiłem odejść od Anity, bo nie chciała wyzdrowieć i wiedziałem, że jeśli z nią zostanę, długo nie pożyję. Jedyne, co mnie powstrzymywało, to dzieci. Trójka jej, w tym Brandi, i jedno nasze wspólne. Randy. Jest w wojsku, w Faludży, zdobył odznaczenie.

– Randy to cudowny chłopak. – Kelly westchnęła tęsknie.

– Jasne... Tak, tam poznaliśmy Travisa, wszyscy troje chcieliśmy wytrzeźwieć. Za jego leczenie płaciła ta prawniczka, Wallenburg.

Uważałem, że to cholernie miło z jej strony. Powiedziałem mu, że powinien wykorzystać taką niesamowitą łaskę i się poprawić. Ja płaciłem z własnej kieszeni i z renty, wydałem majątek.

– Mój rachunek pokrył Simon – wyjaśniła Kelly. – Chociaż już nie musiał.

– Kiedy to było? – spytałem.

– Dwanaście lat temu, Simon i ja rozwiedliśmy się trzy lata wcześniej, ale zostaliśmy przyjaciółmi.



Simon przeze mnie wiele wycierpiał i przestał

mnie kochać. Zresztą nieważne, nigdy o nic go nie prosiłam. Nie próbowałam z niego wyciskać żadnych pieniędzy, nawet kiedy stał się bardzo bogaty. Uważałam, że nie jestem warta miłości, więc zadbałam, żeby przestał mnie kochać. Simone była nastolatką, stres... z niczym nie dawałam sobie rady. Simon powiedział: spróbuj jeszcze raz, Kell, jesteś to sobie winna, znajdziemy jakiś dobry ośrodek, z wszystkimi wygodami.

Przynosił broszury. Spodobała mi się klinika w Pledges, mieli tam dużo drzew.

– Pledges w South Pasadena?

– Zna pan to miejsce?

– Dobra klinika – przyznałem. – Zamknęli ją kilka lat temu.

– Świetna klinika – powiedział Larry Brackie. – Wykupiła ich korporacja, dranie wszystko zrównali z ziemią.

– Pierwszego dnia, kiedy tam trafiłam, poznałam Larry’ego – zaczęła wspominać Kelly. – Polubił mnie i pokochał, ale przyznał się do tego dopiero po latach, bo wciąż był żonaty. A ja... nie wyobrażałam sobie siebie z kimś innym.

– Od jak dawna jesteście państwo razem?

– Oficjalnie, dziewięć lat. Tutaj... Brackie poklepał się po sercu –...od zawsze.

– Natychmiastowa przyjaźń i zrozumienie, nigdy tak nie miałam z mężczyzną – wyznała Kelly. – Simon to dobry człowiek, ale wiedziałam, że ciągle sprawiam mu zawód, a nie można żyć bez przerwy jako rozczarowanie.

– Policja twierdzi, że Travis brał narkotyki – powiedziałem. Cisza.

– Odwyk pomógł państwu, ale jemu nie. Dwa lata później był

bezdomy.

– Tam go spotkałem.

– Na ulicy?

– Pracowałem w Hollywood jako zastępca zarządcy w dużym apartamentowcu, ładne miejsce niedaleko La Brea. Wracając do domu, zazwyczaj jeździłem bulwarem, obok Chinese Theatre. Któregoś wieczoru zobaczyłem tam Trávisa. Żebrał od turystów. Wyglądał bardzo źle. To znaczy w porównaniu z tym, jak wyglądał w Pledges. Włosy w strąkach, broda, zgarbiony. Nie szło mu z turystami za dobrze, bo nie pchał się nikomu pod nos... Cały Travis, nie lubi konfrontacji. Wcisnąłem mu do ręki dwudziestkę. Zobaczył, że to ja, zaczął płakać, przepraszał, że tak spieprzył sprawę.

– Zanim nas wypisano – wtrąciła Kelly – wszyscy troje obiecaliśmy sobie, że się zmienimy i że będziemy się nawzajem wspominać, kiedy zacznie być z nami źle. Larry i ja tak robiliśmy, dzięki temu nam się udało.

Ale z Travisem straciliśmy kontakt.

Brackie kiwnął głową.

– Powiedziałem mu: „Nikt cię nie osądza, stary. Chodź ze mną do domu, zjesz coś i się wykąpiesz”. Uciekł. Następnego dnia go tam nie było, i tak przez cały tydzień. Ale potem znów go zobaczyłem, taka sama sytuacja, wyciągnięta ręka, wyglądał jeszcze gorzej. Tym razem zgodził

się ze mną pojechać. Anita była wkurzona, wrzasnęła: „Widzisz w tej norze jakiś wolny pokój, durniu?!” Jasne, my dwoje, dzieciaki i jeszcze dwa psy. Powiedziałem, że jak chce, mogę spać na podwórku. Ona: że obaj powinniśmy. W końcu Travis zajął naszą małą szopę. Posprzątałem graty, rozłożyłem materac i mógł wychodzić i wracać, jak chciał.

Zawiozłem go do fryzjera. Kiedy się ostrzygł, zobaczyłem mnóstwo kolczyków w jego uszach. Jak pirat. Na dodatek utykał. Dzieciakom bardzo podobały się te kolczyki, Anita ich nie znosiła.

– Ale polubiła Travisa – powiedziała Kelly.

– Był dobry dla dzieci. Niedługo potem pozwalała mu opowiadać im bajki. Później nosił na rękach najmniejsze, świetnie sobie z nią radził.

Oczywiście Anita bywała nieprzewidywalna, przez picie i trawkę, więc nie zawsze układało się idealnie. Ale najczęściej mieliśmy spokój. – Mocno zaciągnął się papierosem. – Travis bardzo lubił tę małą... Rany, ile to czasu minęło. A teraz pan chce mi wmówić, że Travis to potwór? Nie ma mowy. Nie jestem psychologiem, ale znam się na ludziach. To dobry człowiek.

– Niech mi pan opowie o tej nocy, kiedy Brandi zniknęła – poprosiłem.

– Ona nie zniknęła. Poszła z nim. Z tym śmieciem, którego nie wymieniamy z imienia. O, ten to samo zło, własna rodzina się go bała.

Kiedy Brandi nie wracała, poszliśmy prosto do nich. Travis i ja. Jego rodzice byli wystraszeni. Gnojek powiedział im, że idzie odwiedzić Brandi i małą, nic więcej nie wiedzieli. Zaczęliśmy przeszukiwać okolicę. Travis parę ulic, ja parę innych. To on znalazł małą. Zobaczył krew i zabrał ją do szpitala.

– A więc wiedział, że Brandi coś się stało.

– Była ukryta w krzakach. Tak powiedziała policja. A dziecko leżało na widoku.

– Dlaczego poszedł do szpitala, zamiast się z państwem skontaktować?

– Bał się. Dziwi to pana? – spytał Brackie. – Raz już siedział w więzieniu za coś, czego nie zrobił, a

teraz dziecko we krwi... Ten chłopak całe życie się bał, jak przechodziłem koło szopy, słyszałem jęki. Śniły mu się koszmary. W dzień miał takie spojrzenie, jest na to słowo... udręczony.

Był udręczony przez to, co mu zrobili. Każdy by był, jak by mu otłukli mózg. Pewnie się wystraszył, że policja zwali całą winę na niego. Ale chociaż się bał, chciał mieć pewność, że małej nic nie jest.

– Ale nigdy pan z nim o tym nie rozmawiał.

– Nie. Travis podrzucił Brandeen do szpitala i zniknął.

– Skąd pan wiedział, że to on?

– Opisali go gliniarze. Spytałi, czy wiemy, kto to jest, ale nic nie pisnęliśmy. Wszyscy wariowaliśmy po tym, co się stało Brandi, nie chcieliśmy komplikować sprawy. Najważniejsze było odkryć, kto jej to zrobił, i to powiedzieliśmy policji.

– Travis przeszedł trzy kilometry w chłodzie – powiedziałem.

– Lubił chodzić. Większość dnia spacerował.

– Gdzie?

– Wszędzie. I niech pan źle nie zrozumie, to nic nienormalnego. Po prostu lubił chodzić.

– Najlepsze ćwiczenie – przyznała Kelly. – Sama chodziłam po piętnaście kilometrów dziennie. Ciągle chodzę połowę tego.

Skóra wokół oczu Brackle'a się zmarszczyła. Zmusił się do wesołości.

– Właśnie, aerobik, chłopak chciał uprawiać aerobik.

– Jak Travis poznał Simona? – spytałem.

– To było lata później – powiedziała Kelly. – Przez jakiś czas nie mieliśmy z nim kontaktu, a potem ni z tego, ni z owego zadzwonił do Larry'ego, żeby mu przekazać, że radzi sobie lepiej.

– W końcu znalazł sobie jakąś pomoc, która mu coś dała – dodał

Brackie.

– Gdzie?

– Nie powiedział, a ja nie pytałem. Już po głosie się zorientowałem, że z nim lepiej. We trójkę umówiliśmy się na kawę. Wyglądał dobrze.

– Miał jasne spojrzenie – wspominała Kelly. – Inteligentne. Wcześniej nigdy tego nie było widać, bo zawsze chodził taki przybity. Mówił, że szuka stałej posady i podejmie się wszystkiego, na czym

mógłby uczciwie zarobić. Wiedziałałam, że Simon potrzebuje kogoś do zarządzania domem.

Parę osób już go wystawiło, więc rozglądał się za kimś odpowiedzialnym.

Zgodził się wypróbować Trávisa. Wyszło świetnie.

– Czy Travis mówił, co robił od ostatniego razu, kiedy się z nim państwo widzieliście? – spytałam.

– Nie – odparł Brackie.

– Gdzie mieszkał?

– Odniosłem wrażenie, że podróżował.

– Wie pan, dokąd?

– Nie wnikaliśmy – powiedziała Kelly. – Cieszyliśmy się, że u niego wszystko dobrze. Wszyscy byli bardzo zadowoleni. Simon podziękował

mi za to, że znalazłam mu dobrego pracownika. Travis jest łagodny, nigdy by nikogo nie skrzywdził. Teraz ja się zrobiłam trochę głodna.

– Aha, pora na obiad – przyznał Brackie. – Zaprosilibyśmy pana, ale zawsze przygotowujemy tylko dla dwóch osób.

Pojechałem z powrotem do miasta. Przed moim domem stał żółty garbus.

Pusty. Zimny silnik, ani śladu Almy Reynolds.

Moja uwaga o perłach matki ją spłoszyła.

Może Robin wpuściła Almę.

Kiedy wchodziłem na schody, usłyszałem za sobą głos.

– Teraz to ja śledzę pana.

Wyszła zza rogu domu. W ręku miała zieloną, winylową aktówkę.

Nowiutką, jeszcze z metką na rączce, podobną do tych, jakich używa Milo, kiedy nosi grube książki morderstw. Kraciasta koszula, dzinsy, robocze buty. Siwe włosy sterczały na wszystkie strony. Oczy rozpalone.

– Proszę, niech pan bierze. – Wcisnęła mi teczkę. – To koniec. Ręce trzymałem przy bokach.

Teczka dotknęła mojej piersi.

– Niech pan się nie boi, nie tyka.

– Porozmawiajmy.

Zabrała ode mnie teczkę, otworzyła zapadki. W środku znajdowały się pliki dwudziestodolarowych banknotów spięte gumkami. Na pieniądzach –

czarne, aksamitne pudełko na biżuterię.

– Razem z tą cholerną perłą – warknęła. – Zadowolony?

– Wybiera pani proste życie?

– Niech pan nie będzie wredny. Tego pan chciał, więc daję.

– Ja chcę informacji.

– Czy to nie tłumaczy wszystkiego?

– Sugeruje. Może pani wejdzie?

– Co? Terapia? Podobno prowadzi pan tu gabinet. Myślałam, że jest pan bardziej ostrożny... A gdybym była socjopatką?

– Powinienem się bać?

– O, pewnie, jestem obwieszona bronią. – Zaśmiała się, wywróciła kieszenie na lewą stronę, postawiła teczkę na ziemi, poszła, tupiąc, do garbusa, odwróciła się i plasnęła dłońmi o maskę. – To odpowiednia pozycja?

– Och, niech pani da spokój. Proszę o kilka minut. Wyprostowała się i odwróciła przodem do mnie. Oczy miała wilgotne.

– Sil nauczył mnie tej pozycji. Przyzwyczał się, przyjmował ją odruchowo na demonstracjach. Czasami gliniarze i tak go bili. Był

człowiekiem z zasadami i proszę, do czego go to doprowadziło. Dlatego...

ale cholera, czemu ja nie mogę sobie pozwolić na nic ładnego?

– Domyślam się, że miał twarde zasady. Znalezienie jego pieniędzy musiało być przez to podwójnie szokujące...

– Niech pan posłucha – przerwała mi wywód. – Daję to panu, co do grosza, i umywam ręce. Do widzenia.

– Wyjaśnijmy kilka rzeczy i to rzeczywiście będzie koniec.

– Tak pan twierdzi.

– Z tego co widzę, to pani jest człowiekiem z zasadami –

powiedziałem. – A ja nie zamierzam być pani wrogiem.

Skrzyżowała ręce na piersi. Wytarła oczy, szturchnęła teczkę czubkiem roboczego buta.

– Co tam, kiedyś byłam katoliczką. Jeszcze jedna zakichana spowiedź

mi nie zaszkodzi.

Alma Reynolds podskoczyła na mojej leżance i się zaśmiała.

– Rzeczywiście pan taką ma. Gdyby tylko skóra mogła mówić...

Postawiłem teczkę na podłodze między nami.

– Co to jest? – spytała. – Ołtarz wiecznej prawdy? Mam zadrzeć na jego widok?

Odsunąłem teczkę na bok.

– Nieważne, co pan myśli, Sil naprawdę był człowiekiem z zasadami.

Może i wziął te pieniądze, ale ich nie wydał.

– Policja bardzo dokładnie przeszukała jego mieszkanie. Gdzie je pani znalazła?

– Co za różnica?

– Został zamordowany. Wszystko jest ważne.

– Nie widzę tego, ale w porządku, w jego samochodzie. W bagażniku, na widoku. I o to mi chodzi: to nie było nic, czego by się wstydził. Nie ma tu żadnej wielkiej tajemnicy. Ludzie przysyłali drobne datki w gotówce i zamiast bez przerwy chodzić do banku, Sil je zbierał, żeby wpłacić na konto moczarów.

– Drobniki.

– A więc rzeczywiście pan słuchał.

– Powiedział pani o pieniądzach? – spytałem.

– Nie.

– Kontrolował konto.

– Sil stworzył to konto. On był całą fundacją już to panu tłumaczyłam.

Każdy grosz szedł na utrzymanie bagna.

– Nie licząc jego wynagrodzenia.

– Nigdy nie dał sobie podwyżki, więc nie rozmawiamy tu o rozbuchanym materializmie. Teraz, kiedy widzę, jak pan mieszka, rozumiem, czemu pan tego nie pojmuję. Ten dom... wygodny, nowoczesny kalifornijski styl. Wiem, po ile jest tu ziemia, pieniądze pana kręcą ale Sila nie kręciły. Zostawił gotówkę na widoku. To chyba wystarczający dowód, że jest legalna.

– Ile tu zgromadził?

– Piętnaście tysięcy. Tak, przeliczyłam. Kto by tego nie zrobił?

– Razem z perłą? Zarumieniła się.

– Niech pan sobie zatrzyma tę cholerną perłę, i tak mi nie pasowała, a widać, że Zalażła panu za skórę. Cholera, niech ją pan da żonie czy komu tam.

– Perła należy do pani – powiedziałem. Cieszyłem się, że Robin pracuje w innym budynku.

– Ojej, jaki pan słodziutki. Nic z tego. Umywam ręce od tej całej pieprzonej afery. Sil miał rację, brudny szmal brudzi na zawsze.

– Pieniądze również mogłyby być pani, o ile nie zapisał ich w spadku komuś innemu – stwierdziłem.

– Nie zapisał – odparła. – Żadne z nas nie sporządziło testamentu.

Razem zdecydowaliśmy, że nie będziemy podejmować żalosnych prób kontrolowania czegokolwiek zza grobu.

– W takim razie, moim zdaniem, należą do pani. Jako partnerki Sila.

– Jest pan tępy czy tylko usiłuje mną manipulować? Ja ich nie chcę. I niech mi pan nie wmawia, że gliny nie zechcą ich skonfiskować. Nie o to tu chodzi? Cała tak zwana wojna z narkotykami to nic innego jak intryga skarbówki.

– Policjanci, z którymi ja współpracuję, zajmują się szukaniem morderców. A detektywowi Sturgisowi z perłą nie będzie do twarzy.

– Och, jaki pan uroczy. – Zamrugła jak trzpiotka. – Pewnie był pan bezstresowo wychowany i zawsze stawiał na swoim. Powtarzam po raz ostatni: nie chcę ani pieniędzy, ani tej chrzanionej perły. Proszę mnie już nie męczyć. Polazł pan za mną do tego cholernego sklepu z biżuterią, niewiarygodne. Jest pan jak ci cwaniacy z Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Pani Almo – przerwałem jej potok żalu. – Ja tylko chcę ustalić, co się stało na bagnie.

– Tropił mnie pan. Ten żarcik o mojej matce... naprawdę pan ten sklep znalazł?

– Miałem dużą motywację.

– Brawo... skoro musi pan wiedzieć, nie poszłam tam z zamiarem kupowania czegoś drogiego. Tylko błyskotkę, coś, co przypominałoby mi Sila. Czemu nie, u diabła? Byłam w żałobie. – Pociągnęła nosem. – Tak cholernie go nie ma... trzeba czymś zapełnić pustkę.

– Przykro mi.



- Akurat. Bawi się pan ze mną.
- Chcę ustalić, kto zamordował mężczyznę, którego pani kochała. I całą gromadę innych ludzi.
- A kto wymyślił, że to jeden i ten sam człowiek? A nawet jeśli, rozmowa o pieniądzach niczego tu nie rozwiąże. Już powiedziałam, to drobne datki.
- Piętnaście tysięcy – podkreśliłem.
- Uzbierało się. – Mniej pewności w głosie.
- Banknoty są w różnych nominałach? Cisza.
- Łatwo sprawdzić.
- W dwudziestkach – burknęła. – Wszystko w dwudziestkach.
- Ciekawy zbieg okoliczności.
- No to Sil wymienił je na dwudziestki... żeby łatwiej się liczyło.
- Skoro poszedł do banku wymieniać banknoty, czemu nie wpłacił pieniędzy na konto?

Reynolds zerwała się na nogi.

- Moje ręce są czyste. I koniec spowiedzi, nigdy nie lubiłam się biczować.
- Sil był widziany, jak bierze kopertę od jakiegoś mężczyzny – wyjaśniłem.
- Co?
- Na parkingu za biurem.
- Przez kogo?
- Świadka.
- Nazwisko.
- Nie mogę powiedzieć. Uśmiechnęła się pod nosem.
- Jedno z tych „anonimowych źródeł”, które władza zawsze przypadkiem znajduje?
- Ten świadek nie miał powodu kłamać.

- Tak pan twierdzi.
- Może nie było to nic złego, ale się wydarzyło.
- Ktoś przyniósł datek osobiście. Wielkie rzeczy. – Alma wzruszyła ramionami.

Opisałem mężczyznę z blond włosami i poprawianą twarzą.

- Typowy koleś z LA – odparła.
  - Nie ma pani pojęcia, kto to był.
  - A skąd? Do widzenia, niech pan od razu nie wyda wszystkiego.
  - Jeszcze jedno...
  - Z wami zawsze jest jeszcze jedno.
  - Z nami, czyli...
  - Reprezentantami państwa.
  - Wszędzie polityka – powiedziałem.
  - Żeby pan wiedział.
  - Czy to dotyczy także noża w brzuchu Sila? Zesztywniała.
  - Och, nieźle. Taki niby wrażliwy i w ogóle, ale jest w panu okrucieństwo, które pan okazuje w wybranym momencie.
  - Staram się dotrzeć do prawdy. Myślałem, że to nasz wspólny cel.
  - Prawda to bzdura. Zmienia się zależnie od kontekstu.
  - Właśnie o kontekst mi chodzi. Jeśli chce pani kanonizować Sila, proszę bardzo. Ale jeśli potrafi pani otworzyć umysł na dość długo, żeby rozważyć alternatywę, może nam się uda znaleźć mordercę.
- Nie byłbym zaskoczony, gdyby wyszła. Została.
- Jaką alternatywę?
  - Niech pani dopuści możliwość, że Sil był opłacany. Nic nielegalnego, może chodziło tylko o nagięcie zasad. Myślę, że ten, kto dawał pieniądze, także go zwabił. Ktoś, kto znał moczary i uważał, że Sila trzeba uciszyć.
  - Bogaci dranie – mruknęła. – Wszędzie chodzi o politykę.

– Jacyś bogaci dranie konkretnie?

– A może na początek ci oszuci od filmów? Pieniądze psują, a oni mają obsceniczne ilości kasy. Ufundowali Ocalić Moczary, ale założę się, że ciągle mieli ochotę na tę ziemię. Sil brał od nich forszę, ale nimi gardził.

– Czy poszedłby w środku nocy do jednego z ich wysłanników? Cisza.

– Komu ufał, Almo?

– Nikomu. Tylko mi się zwierzał, a nawet wtedy potrafił być skryty.

– Na jaki temat?

– Miewał humory, czasami chował się jak żółw w skorupę. Ale to nie znaczy, że się sprzedał. To cholerne bajoro było dla niego wszystkim.

Poza tym, po co ktoś miałby go opłacać?

– Nie wiem.

– No, ja też nie wiem. Do widzenia.

Otworzyłem szybko teczkę, wyjąłem pudełko z perłą, wcisnąłem jej w dłoń.

Gwałtownie pokręciła głową, ale nie odepchnęła pudełka.

– Zależnie od tego, jak się potoczą sprawy, może uda mi się też załatwić pani pieniądze.

– Ja nie ch... Dlaczego, do cholery, pan to robi? Kim pan w ogóle jest, do diabła?

– Po prostu bezstresowo wychowanym facetem. Przyjrzała się mi uważnie.

– Jeśli się pomyliłam, przepraszam, ale to nie zmienia faktów. Pracuje pan dla rządu.

– Nie ma za co przepraszać. Naciskałem na panią.

– Tak, to prawda. – Zamknęła dłoń na pudełku. – To było piekło, muszę dojść do siebie.

Kiedy ją odprowadzałem, zaglądała do każdego mijanego pokoju.

– Jedyne, co Sil mógł... – odezwała się, kiedy doszliśmy do garbusa. –

Nie, to bez sensu. To by nie było warte piętnastu tysięcy śmierdzących dolarów.

– Proszę mi jednak powiedzieć.

– Jest jeszcze jedno wejście na moczary. Dokładnie naprzeciwko głównego, po zachodniej stronie.

Pierwotnie właśnie tam miało być główne, ale rosło za wiele roślin i Sil się uparł, żeby ich nie ruszać. Gdyby to od niego zależało, zamknąłby całe moczary.

– Gdzie po zachodniej stronie?

– Na samym środku, dróżka jest zarośnięta, nie widać jej z ulicy. Sil zamykał furtkę na kłódkę. Lubił tam chodzić. To była jego sekretna kryjówka. Czasami zabierał mnie ze sobą. – Zarumieniła się. – Piękny teren, olbrzymie wierzby, wysokie trzciny, małe oczka zasiedlone przez kijanki i żaby. Dużo ptaków, bo bliżej do oceanu.

– Jak często Sil tam chodził?

– Nie wiem. Mnie zabrał tylko trzy czy cztery razy, zawsze w nocy.

Rozkładaliśmy koc, patrzyliśmy w gwiazdy, a on mówił: „To jest widok za miliard dolarów, gdyby tylko ludzie wiedzieli”. Ale to czysta retoryka.

Kto by zapłacił piętnaście tysięcy za miejsce na piknik? I czemu Sil znalazłby się przez to w niebezpieczeństwie? – Pokręciła głową. – Goni pan własny ogon.

– Mimo to dziękuję.

– Za to, że puściłam wodze wyobraźni?

– To się nazywa kreatywność – sprostowałem. – Bóg jeden wie, że przydałoby się nam jej więcej.

Popędziłem na bagno szukać sekretnego wejścia.

Zachodnia granica rezerwatu była zbitą ścianą eukaliptusów i wierzb, gęstą na dobrych osiem metrów, otoczoną półtorametrowymi, metalowymi słupkami imitującymi drewno. Dopiero za trzecim podejściem zobaczyłem szczelinę między drzewami. Zacząłem się przedzierać.

Gałęzie tłukły mnie po twarzy. Po kilku metrach moim oczom ukazało się drugie ogrodzenie.

Cedrowe słupki, kłódka, tak jak mówiła Alma Reynolds. Ale płotek miał ledwie metr wysokości i pokonanie go nie było problemem. Po drugiej stronie napotkałem kolejnych zielonych bokserów, odpychałem gałąź za gałęzią, aż wyszedłem na nierówną zasłaną liśćmi ziemię.

Nie spieszyłem się, szukałem znaków ludzkiej obecności.

Znalazłem je dziesięć metrów dalej. Ślady butów, w większości zatarte, ale jeden ostry i wyraźny – męska stopa okolona kropkami.

Liście szumiały nad nieruchomą wodą. Pałki wodne zafalowały, kiedy olbrzymia czapla o węzowej szyi, z martwym spojrzeniem szukającego ofiary pterodaktyla wzbiła się niezgrabnie w powietrze. Tłukąc skrzydłami, skierowała się w stronę oceanu. Zanim zniknęła, osiągnęła już grację lotu.

Minęło kilka sekund ciszy, potem coś czmychnęło.

Przyklęknąłem i nachyliłem nad śladami butów. Kropki wyglądały niezwykle, ale nie byłem ekspertem. Zrobiłem zdjęcia komórką zastanowiłem się, co dalej.

Przed sobą widziałem tylko zielen: drzewa tak wysokie, że zasłaniały niebo i rzucały na ziemię czarny cień.

Może to miejsce rzeczywiście było tylko sekretnym ogrodem.

Tajemne miejsce piknikowe warte piętnaście tysięcy?

Może to nie taki absurd, jak by się wydawało. W LA i Nowym Jorku nic nie podsycza żądz bardziej niż strach przed odrzuceniem. To dlatego producenci aksamitnych sznurów nigdy nie wypadną z rynku. Dlatego przebrani głupcy czekają godzinami na chodnikach, podlizując się bramkarzom i ryzykując upokorzenie, żeby zaliczyć parę złodziejsko drogich drinków i posłuchać otępiających tanecznych rytmów.

W takich miastach, jak LA ludzie zapisują w swoich telefonach –

głowach – dwie listy: miejsca, do których chodzę, miejsca, których unikam.

„Tej części bagna unikam, bo wszyscy tam chodzą Ale jest tam takie wyjątkowe miejsce, maleńka, o

wiele piękniejsze...” Chance Brandt pamiętał blondyna, który płacił Silowi Duboffowi, z imprezy charytatywnej, zorganizowanej dla ludzi troszczących się o ocean albo tę troskę udających.

Nie było powodu wątpić w intencje pana Bondo. Może po prostu dał

trochę drobnych za kilka nocy na osobności pod gwiazdami.

Ale w takim razie, dlaczego Duboff został zwabiony na śmierć?

Wypatroszony i porzucony, jeszcze jedno ciało na mokradłach. Po publicznej stronie.

Stałem i zastanawiałem się, czy to piękne miejsce nie kryje zła.

Postanowiłem zgrać zdjęcia butów i wysłać je mailem Milowi.

Cokolwiek by to dało.

O ósmej rano następnego dnia powitał mnie sennie jego głos.

– Reedowi udało się śledzić Wallenburg, ale donikąd go to nie zaprowadziło. Jutro jemy jak zwykle w południe. Jeśli masz jakiś niespodziewany pomysł, zostawię sobie miejsce na deser.

– Dostałeś zdjęcia?

– Buty – powiedział. – Pewnie Duboffa, ale wyślę je do kogoś, kto się na tym zna.

Tym razem Reed dotrzymywał tempa Milowi, pakując sobie jedzenie do ust jak kombajn. Kolejny krok do kariery. Kiedy usiadłem, odłożył

widelec.

– Wallenburg mieszka w ogrodzonej części Palisades, przy Mande–

ville Canyon. Udało mi się dojechać tylko do bramy. Myślałem, że może coś mam, kiedy ciągle była w domu o jedenastej. Wtedy pod budką strażnika zatrzymały się chevy z wypożyczalni i furgonetka Hertza, zaraz potem furgonetka odjechała z dwoma facetami zamiast jednego. Piętnaście minut później Wallenburg opuszcza posiadłość w chevym. Pomyślałem: Załatwiła sobie inny samochód, zapowiada się ciekawie. Jedzie do Mar Vista, parkuje przed domem, który jest zdecydowanie poniżej jej progu podatkowego. Myślę sobie, w końcu namierzyłem kryjówkę tego drania.

Otwiera drzwi własnym kluczem, wychodzi za dziesięć minut, odjeżdża. A ja mam wybór. Zapukać do drzwi albo jechać za Wallenburg. – Poluzował

krawat. – Idę zapukać. Nikt nie otwiera. Próbuję z tyłu, to samo, zasłony zaciągnięte. Zaczynam się zastanawiać, czy Wallenburg mnie nie wypatrzyła i nie oszukała, może jest właścicielką tego domu i go wynajmuje, a sama pognęła do prawdziwej kryjówki Trávisa.

- Dobrze wybrałeś, młody – ocenił Milo.
- Skoro tak mówisz.
- Jesteś pewien, że Huck nie koczuje w tym domu? – spytałem.
- Sąsiedzi mówią, że mieszka tam rodzina nazwiskiem Adams, porządni ludzie, spokojni. Pokazałem zdjęcie Hucka, z włosami i bez włosów. Nikt go nie poznał.
- Rodzina Adamsów – powiedziałem.
- Prawda? W innych okolicznościach uznałbym, że to zabawne.
- Wiesz, jak liczna jest ta rodzina?
- Nie pytałem. Dlaczego?
- Jeśli mieszkają tam kobieta i dziewczynka około dziesięciu lat, to może być Brandeen Loring, dziecko, które uratował Huck, i jej babka, Anita Brackie. A Huck jest tam gościem. Wymyka się i wraca po zmroku.

Nie wychyla się, więc nikt go nie przyuważył – zasugerowałem.

- Dlaczego sądzisz, że Anita ukrywa zbiega? – spytał Milo.
- To teoria, i w dodatku słaba. Ale w pewnych kręgach Huck jest bardzo popularny.

Streściłem im swoją rozmowę z Larrym Brackle'em oraz Kelly Vander.

- Żona numer jeden, tak? – powiedział Reed. – To wyjaśnia, jak Huck dostał pracę u Vandera, ale nic poza tym. Sam pan mówił, że Huck nie był

ulubieńcem Anity, to Larry go przyjął.

- Ale Anita zmieniła co do niego zdanie. Czasami nawrócenie prowadzi do silniejszej wiary.
- Ta wiara musiała być niezwykła, skoro Anita przyjęła Hucka z dzieckiem w domu – skomentował Milo.

– Dzieckiem, które rzekomo uratował – odparłem. – Równie dobrze Huck mógł mieć stały kontakt z Brandeen. Jak w chińskim przysłowiu: jak kogoś uratujesz, to jesteś za niego odpowiedzialny. Przypuszczalnie to tłumaczy też motywację Debory Wallenburg.

- Wszyscy się nawzajem ratują – mruknął Reed. – A my tymczasem znajdujemy trupy. Naprawdę uważa pan, że Huck mógł sobie zaskarbić tak wielką sympatię?
- Kelly i Larry są przekonani, że to święty.

– Typowy psychopata – stwierdził Milo. – Gość może już kandydować.

Reed podrapał się w krótko ostrzyżoną głowę. Wrócił do jedzenia.

– Nawet jeśli pani Adams to nie Anita, może być kimś innym, kogo Huck zna z odwyku – rozważałem. – Nieszczęścia chodzące parami tworzą bardzo mocne więzi. Jeśli Wallenburg cię nie wystawiła, pojechała tam nie bez powodu. Zaciągnięte zasłony też coś znaczą.

– Jeśli Huck ma siatkę kumpli z odwyku, to dysponuje kryjówkami w całym mieście – zauważył Milo.

– Bohater... – zaczął Reed, ale coś kazało mu się odwrócić w stronę drzwi restauracji. Ścisnął w dłoni nóż.

W naszym kierunku szedł Aaron Fox. Obsyty na miarę jak zwykle, w czarnym garniturze z surowego jedwabiu, koszuli w kolorze morskiej zieleni, z żółtą chusteczką w butonierce.

W jego kroku nie było żadnej sprężystości.

Reed wstał i zagroził mu drogę.

– Zła pora, jesteśmy zajęci.

– Nie wątpię, braciszku. Ale nie aż tak zajęci.

Fox opadł na krzesło obok brata. Spojrzenie miał bystre, ale oczy zaczerwienione. Ogolił się niedbale, w cieniu pod linią szczęki widniały skaleczenia i kępki włosów.

– Długa noc, Aaron? – zagadnął Milo.

– Dużo długich nocy. Mogłem się wpakować na minę, rozmawiając z wami.

– Jakies zawodowe kłopoty? – spytał Reed. Fox zmarszczył czoło.

– Tak, braciszku. Małe problemy są w tej pracy nieuniknione. Mogę?

Sięgnął po szklankę wody, wypił ją łąpczywie, nalał sobie następną i też wypił. Wziął chapati, odłamał kawałek, zmełł w palcach. Powtórzył.

Po chwili usypał górkę okruszków. Potem wygładził stosik, wytarł dłoń serwetką i wyjął chusteczkę z butonierki.

– Kiedy Simone Vander wynajęła mnie, żebym przyjrzał się Huckowi, oznajmiła, że to jej pomysł. Koniec, kropka. Nie miałem pozwolenia na kontaktowanie się ze współnikami jej ojca. Powiedziałem, że nie tak zwykle pracuję. Jeśli chciała mieć biblioteczną kwerendę, mogła to zrobić sama.



– Twoim zadaniem, o ile zgodzisz się je przyjąć... – zaczął Reed.

– Daj spokój, Moses. – Fox odwrócił się do Mila. – Simone wyznała, że wynajmując mnie, chodziło jej o coś więcej niż przyjrzenie się Huckowi.

Obiecała mi poważniejsze zlecenie: wybadanie finansowego spisku wymierzonego w ojca. Przez jego sługi... to jej słowa. Kiedy spytałem dlaczego, odparła, że bez przerwy jest wykorzystywany i okradany.

– Które sługi konkretnie ją niepokoiły? – spytał Milo.

– Wszyscy prawnicy, księgowi i doradcy finansowi. Uważała ich za pijawki pchające się jedna przez drugą, żeby podliczyć go na więcej godzin. Zwłaszcza prawników uznała za mocno podejrzanych.

– Alston Weir – podsunął Milo.

– Weir plus jego wspólnicy. Podobno nie byłaby zdziwiona, gdyby cała firma spiskowała, żeby złupić majątek ojca, może nawet z Huckiem.

– Lekka paranoja?

– Trochę tak, ale z superbogaczami nigdy nie wiadomo, motywów nie brakuje. Widziałem mnóstwo drapieżnych pracowników.

– Czy podejrzewała Hucka o jakieś konkretne przekręty finansowe? –

Reed zaangażował się w rozmowę.

Fox pokręcił głową.

– W jego przypadku chodziło bardziej o podejrzaną osobowość, o to, że wkładał się w łaski rodziny. Właził w tyłek zwłaszcza Kelvi–nowi.

Simone twierdziła, że rozpuszczał chłopaka. Potem, kiedy Selene znaleziono martwą, dziewczyna się przeraziła i zadzwoniła do mnie.

– Jak dotąd nie usłyszałem nic nowego. – Reed zrobił znudzoną minę.

– Nowe jest to, Moses, że mi nakłamała. Zaczynając od tego, że miało być następne zlecenie. Kończąc na tym, że mnie wyrolowała. Nie zapłaciła ani grosza rachunku, totalnie mnie olała. Nie odpowiada na maile, nie odbiera telefonów. Moja wina, nie wziąłem zaliczki, uznałem, że to szybki numer. I był, dlatego nie mówimy tu o jakimś megarachunku. Mimo to lubię, kiedy mi się płaci.

– A więc teraz jesteśmy twoją firmą windykacyjną?

– O jakiej sumie mowa, Aaron? – spytał Milo.

- Cztery kawalki, plus minus.
- Za szperanie w Internecie. Nieźle.
- Którego wyniki przekazałem wam, chłopcy. Z drugiej strony, może sami byście do tego dotarli.
- Jesteśmy wdzięczni, Aaron – powiedział Milo. – Czy na horyzoncie majaczy jakaś puenta?
- O tak – mruknął Fox. – Zirytowała mnie, a moja filozofia brzmi: walczyć o każdy grosz. Jak buldog, nie mogą się rozejść plotki, że jesteś miękki. Więc się do niej zabrałem. Zacząłem od sprawdzenia przeszłości Simone. I tak trafiłem na kilka interesujących rzeczy: sporo aresztowań za narkotyki, kiedy miała osiemnaście do dwudziestu dwóch lat, amfa i zioło, prawnicy tatusia załatwili pannie zawiasy.
- Coś potem?
- Oficjalnie nie, ale zaczekajcie, panowie, to nie wszystko. Kłamała nie tylko o dużym zleceniu, kłamstwo to jej sposób na życie. Kiedy się z nią widziałem, mówiła mi, że jest piosenkarką, baletnicą, analitykiem finansowym w funduszu hedgingowym.
- Dla nas była tylko nauczycielką – powiedział Reed.
- Rehabilitantką – dodałem.
- To też. – Fox kiwnął głową. – Podobno kocha małe brzdące. Ale jej prawdziwą miłością jest „balet”.

Milo otarł usta.

- Malutka tancerka, tak?
- Twierdziła, że towarzyszyła Baletowi Nowojorskiemu, dopóki nie doznała kontuzji stopy i nie przerwała obiecującej kariery. Balet nigdy o niej nie słyszał. – Fox pozwolił sobie na uśmiech. – Tyle w temacie mojego znania się na ludziach. No więc... adrenalina mi nieźle skoczyła.

Zacząłem obserwować dom Simone, grzebać w jej śmieciach.

- To w tej robocie najfajniejsze – zażartował Milo. Szeroki uśmiech Foksa nabrał mocy.
- Ale jakie pouczające. Dowiedziałem się, że generalnie żywi się powietrzem. Poza tym dietetyczne napoje i płatki, i to nie za dużo.

Pochłania też cholernie dużo środków na przekrwienie i ritalinu.

Przypomniałem sobie o tych wpadkach z amfą. Po prostu przerzuciła się na legalny spid.

- To by się zgadzało. Ritalin pobudza fantazję – powiedziałem. – Działa też dobrze na zbijanie wagi,

jeśli komuś nie przeszkadza ryzyko. Tak samo środki na przekrwienie. A miała z kogo brać przykład, jeśli chodzi o zaburzenia jedzenia.

– Z kogo?

Zerknąłem na Mila. Kiwnął głową. Opisałem zmagania Kelly Van-der z anoreksją.

– Jaka matka, taka córka – skwitował Fox. – Kiedy poznałem Simone, nie zwróciłem na to uwagi. Połowa dziewczyn w Westside to szkielety. No jasne, wszystko do siebie pasuje.

– Czyli jest niedożywioną ćpunką – podsumował Reed. – Co to ma wspólnego z Huckiem?

– Dojdę do tego, Moses. Kłamczucha i lekomanka... czyli ma problemy z osobowością tak? A co jeszcze znalazłem w kubie na śmieci? Zdjęcie ojca, macochy i brata, porżnięte, z potłuczoną szybką. – Podniósł szklanekę wody jak do toastu. – Wywalila na śmieci swoją rodzinę, panowie.

– Tata i syn czarne muszki, mama czerwona suknia? – spytałem.

– To samo.

– Stało na stoliku do kawy. Zwróciła na nie naszą uwagę. „To mój brat, Kelvin. Jest genialny”.

– No, teraz jest genialny i zniszczony – powiedział Fox. – Ze słodką buźką potraktowaną żyletką. Do tego całe to cholerstwo leżało owinięte w papier toaletowy. Nie chciałbym wam psuć apetytu, ale to nie był czysty papier toaletowy. Jak ja kocham tę robotę.

– Zdjęcie było pokazówką dla nas – domyślił się Milo. – Szczęśliwa rodzinka.

– A teraz już jej nie potrzebuje – stwierdził Reed. – Bo... o Jezu.

Vanderowie nie odzywali się od dwóch tygodni.

Fox sięgnął po kolejne chapati.

– Ale czekajcie, to nie wszystko. Zadzwońcie teraz, to dostaniecie nóż Ginzu i automatyczną krajalnicę gratis. Ponieważ ta mała, kłamliwa suka wydawała mi się coraz bardziej podejrzana, postanowiłem dalej ją śledzić.

Pierwszego dnia robiła to, co zwykle robią bogate dziewczynki. Zakupy, masaż, znów zakupy. Dziwna beztroska jak na kogoś, kto martwi się o swoją rodzinę. Drugi dzień zaczął się tak samo. Neiman Marcus, spacer do Two Rodeo, oglądanie biżuterii u Tiffany’ego, Judith Ripki, zakup okularów przeciwsłonecznych w Porsche Design. Potem przejeżdża dwie przecznice... bo to w końcu dziewczyna z LA i trafia do biurowca przy Wilshire i Canyon. Według listy w recepcji, to kancelaria prawnicza Simona Vandera. Najpierw przede mną obsmarowała gości, a teraz ich odwiedza. Siadam po drugiej stronie ulicy i czekam. Wyjeżdża, ale nie swoją beemką. Siedzi w mercedesie, za kierownicą jakiś facet. Jadą prosto do Peninsula, Simone daje odźwiernemu hojny napiwek, więc mogą zostawić samochód przed wejściem. Dwie godziny później wychodzą oboje z zadowolonymi,

już nie napalonymi minami. Tymczasem ja sprawdziłem numery mercedesa. Nie pytajcie jak, okej?

– Gdzieżbyśmy śmiali – obruszył się przesadnie Milo.

– Wracamy do Alstona Weira, adwokata psotnika. Chciwy łajdak, nie miała do niego za grosz zaufania. A tymczasem to jej koleżka do rypania w przerwie obiadowej.

– Czy Weir jest łysy? – spytał Reed.

– Tak myślisz, Moses? A widzisz inny powód, żeby zakładać sobie wielką, starą, żółtą jak szczynty, tanią perukę? Panowie, normalnie Halloween. Blond szczotka do kurzu. Aż dziwne, że facet umie się dobrze ubrać. Garnitur od Zegny, krawat od Ricciego, buty od Magliego. Takie ciuchy... i rozwała efekt kiepską peruką. Bądź tu mądry.

– Może ma rozdęte wyobrażenie o sobie – wtrącił Milo.

– To znaczy?

– Wydaje mu się, że jest przystojniejszy niż w rzeczywistości, przez ten cały kit na twarzy.

Fox zmarszczył czoło.

– Aha, to też... Czyli wszystko wiecie? Spaliłem klientkę całkowicie na darmo?

Cisza.

– Och, po prostu świetnie. Siedzicie tak i pozwalacie mi gadać bez sensu. – Do brata rzucił: – Ubawiłeś się, Moses?

Reed się uśmiechnął. Ale bez ironii, bez urazy. Może nawet z cieniem braterskiego uczucia.

– Co jest?– spytał ostro Fox.

– Wiedzieliśmy trochę, Aaron. Dzięki tobie wiemy dużo.

Wszyscy czterej wyszli z restauracji. Fox i Reed szli ramię w ramię. Wyglądali, jakby byli na skraju rozmowy. Ale żaden nie zaczął.

– Czy przypadkiem zachowałeś śmieci Simone? – zwrócił się Milo do Aarona.

– Macie szczęście, nie lubię wyrzucać rzeczy. Moses może potwierdzić.

Jego strona pokoju wyglądała jak kaplica, u mnie zawsze walały się stosy zabawek.

– Stosy gratów – sprostował Reed.

– Odbierzecie państwo osobiście czy dostarczyć pod wskazany adres? –

spytał Fox.

– Przyjedziemy do ciebie, Aaron. I dzięki.

– Uznałem, że muszę, ta dziewczyna to nic dobrego. Ukryjcie jakoś mój udział?

– Zrobimy, co się da.

Fox poprawił chusteczkę w butonierce i zerknął na swoje porsche.

– Czyli nie.

– Wiesz, jak to jest, Aaron – powiedział Milo. – Wszystko zależy, dokąd nas to zaprowadzi. Tymczasem zrób nam przysługę i wstrzymaj się z egzekwowaniem pieniędzy od Simone.

– Jak długo?

– Aż nie będzie to problemem.

– Czyli na zawsze.

– Czyli aż nie będzie to problemem – powtórzył Milo.

– Teraz mówisz jak prawdziwy porucznik – stwierdził Fox.

Zdobycie prawa jazdy Alstona „Buddy’ego” Weira zajęło krótką chwilę. Czterdzieści pięć lat, blond i niebieskie, karotenowa opalenizna na masywnej twarzy, balansującej między przesadnym napięciem a przegraną walką z grawitacją.

Znudzona, bezczelna mina człowieka, który ma lepsze rzeczy do roboty niż pozować urzędnikowi do zdjęcia. Nikt nie zakwestionował

biologicznej autentyczności tandetnej peruki.

Nienotowany, ale dwa lata temu w palestrze złożono na niego skargę w sprawie sprzeniewierzenia funduszy – jeszcze nie została rozstrzygnięta.

Zlokalizowanie Chance’a Brandta zajęło ponad godzinę.

W końcu znaleźliśmy chłopaka w domu w Westwood, u przyjaciela Bjorna Loftusa.

Rodzice na wakacjach, wypasiona terenówka na podjeździe, rozdierająca uszy muzyka. Kłęby marihuanowego dymu buchały z drzwi w twarz Milowi, kiedy Bjorn gapił się z rozdziawionymi ustami.

Bełkotał jakieś niestworzone kłamstwa, zanim Milo kazał mu natychmiast przyprowadzić Chance’a. Obaj młodzieńcy wyszli chwiejnie chwilę później.

Chance uśmiechnął się pod nosem.

– Znowu?

– Poznajesz tego faceta? – spytał Milo.

– Tak, to on.

– Kto?

– Właśnie on dawał kopertę Duboffowi palantowi. – Pokiwał głową czekając na śmiech, który się nie rozległ. Jego oczy się zamglily, szukał

puenty.

– Podpisz się na zdjęciu – polecił Milo.

Chance nabazgrał coś niewyraźnie. Reed kazał mu powtórzyć. Bjorn Loftus zachichotał głupawo.

– Teraz będziesz musiał zeznawać, gościu.

– Nie ma mowy – wymamrotał Chance i popatrzył na nas, szukając potwierdzenia.

– Jak by co, jeszcze się spotkamy – powiedział Milo.

– Słyszałeś? Będą się z tobą spotykać, stary. – Bjorn znów zarechotał.

– Nie, chyba że to geje – odparł Chance i wtoczył się z powrotem do środka.

Milo przyjrzał się podpisanej fotografii.

– Mam wrażenie, że mi zaraz łeb pęknie. Pora na proszek i podsumowanie, co wiemy, a czego nie.

– Mieszkam dziesięć minut stąd, zrobię ci okład na szyję.

– Powiedziałem łeb, nie szyja.

– Chodziło mi o kręcz szyi, od zawracania głowy. Milo i Reed się zaśmiali.

– Tak, lecimy do Białego Domu. On ładnie mieszka, Moses. I ma fajną suczkę. Może ona coś tu wymyśli.

– Jest jeszcze jeden powód – powiedziałem. – Wart piętnaście tysięcy.

Reed i Milo siedli na skórzanej kanapie. Żaden nie podskakiwał.

Blanche położyła się Milowi na kolanach. Uśmiechnęła się. Nie zauważył.

Wszyscy patrzyli na pieniądze.

– Kiedy Reynolds to panu przyniosła? – spytał Reed.

– Wczoraj. Miałem wam właśnie powiedzieć, kiedy przyszedł Aaron.

– Piętnaście kawałków to nie jest opłata za piknik – stwierdził Milo. –

Chyba pora na antropologów. I psy śmierci. – Blanche nastawiła uszy. –

Bez urazy.

– Weir i Simone płacili Duboffowi za dostęp do zachodniej strony, żeby robić tam coś paskudnego? – spytał Reed. – Dowiedział się, za co mu dawali kasę, i zginął?

– Wątpię, czy się dowiedział, narobiłby krzyku – powiedziałem. – Ale nie mogli ryzykować, że pozna prawdę.

– Facet ma wejście na całe bagno, jeśli ktoś by odkrył tajemnicę, to on.

A jeśli się dowiedział i próbował na tym jeszcze trochę zarobić?

– Wymuszanie dodatkowej gotówki od seryjnego mordercy to spora głupota – ocenił Milo. – Do tego na nocnym spotkaniu. Myślę, że Duboffowi obiecano coś, co zrobiłoby z niego bohatera. A dzwoniący był

wiarygodny, bo wiedział o sekretnej części moczarów.

Reed się zastanowił.

– Brzmi sensownie, poruczniku. Duboff przywiózł ze sobą Reynolds, bo nie spodziewał się kłopotów. Zaczęło mu się wydawać, że jest bogiem tego bagna. Ale nieważne, co Aaron znalazł, Hucka to nie zwalnia.

– Słusznie, detektywie Reed. Dobra, spróbuję trochę przyspieszyć analizę śladów butów.

– To Huck dał nogę, poruczniku. Im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje, że oni wszyscy siedzieli... w bagnie po uszy.

– Trzech Wrednych Muszkieterów? To po co Simone wynajmowałaby Aarona, żeby zajął się Huckiem?

- Ona i Weir wykorzystali Hucka, ale od początku planowali się go pozbyć.
- Najśłabsze ogniwo – powiedział Milo. – Przystępcza przeszłość, problemy z narkotykami, kontakty z paniami lekkich obyczajów. Tak, to pasuje.
- Zastanawiam się, czy nie zabijali dziewczek, bo przygotowali te morderstwa pod Hucka – wtrąciłem.
- Krew w odpływie może być prawdziwa albo ktoś ją celowo tam umieścił – powiedział Reed. – Tak czy inaczej, Huck wciąż brzydko pachnie.
- Co prowadzi nas do kolejnej kwestii – stwierdził Milo. – Jeśli jest niepotrzebny, niedobrze byłoby pozwolić mu uciec.

Reed wytrzeszczył oczy.

- Nie pozwolili mu, a my ścigamy trupa?
- Albo Huck jest samotnym psycholem–mordercą, a Simone, przypadkiem, gniewną dziewczyną ze skłonnościami do kłamstwa.
- Pocięła swoją rodzinę – przypomniał Reed. – Wyrwała bratu twarz.

Doktorze?

- To wściekłość wychodząca poza skalę, a rodzina zniknęła.
- Dobra. – Milo pomasaował sobie czoło. – Załóżmy na chwilę, że Simone, Weir i Huck współdziałali. Oczywiście chcieli pozbyć się Vanderów.
- Motyw wart sto milionów? – spytał Reed. – No jasne.
- W takim razie, jak się do tego mają kobiety z moczarów?
- Tak jak rozmawialiśmy wcześniej, to zmyłki – powiedziałem. –

Gdyby Vanderów znaleziono zamordowanych bez żadnego uprzedniego kontekstu, cała uwaga skupiłaby się od razu na pieniądzach. Czyli na Simone, jako jedynej ocalałej. Ale gdyby najpierw wpadł Huck jako zboczony morderca, Vanderowie mogliby wyjść na ofiary przypadkowe; skutek ostatecznego szału psychopaty. To by się zgadzało z przebiegiem zabójstw: ukryli ciała poprzednich ofiar, ale dopilnowali, żeby Selena została znaleziona i doprowadziła nas do Vanderów.

- Ten schowek w magazynie... – wtrącił Reed. – Gry planszowe. Oni faktycznie się nami bawią.
- Kości wytrawione w kwasie oznaczają że pozostałe kobiety były zabijane bez pośpiechu, może gdzieś przechowywane, a potem kolejno zakopywane – powiedział Milo.
- Równie dobrze mogły leżeć w suchym lodzie w schowku – odparł



Reed.

– Jedno pytanie – rzuciłem. – Zły łysy. Huck czy Weir bez peruki?

– A jak myślisz?

– Może być tak i tak. Ale dwaj faceci, którzy przypadkiem są ogoleni na zero, to może być element wrabiania Hucka.

– Jak stwierdził Nguyen, Alex, łysina to nie taka rzadkość. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej Huck mi wygląda przynajmniej na częściową ofiarę. Gdyby zamordował kupę ludzi i był dość cwany, żeby nie zostawiać śladów, po co miałby przyskać i stawiać się w pozycji oczywistego podejrzanego?

– Strach przewyciężył zdrowy rozsądek – wyjaśniłem. – A może załapał, że Weir i Simone chcą go wykończyć. Tu chodzi o wielkie pieniądze, musiał wiedzieć, że nigdy nie będzie dla nich równym partnerem.

– Jasne, trzydzieści trzy miliony to trochę dużo za mokrą robotę –

przyznał Reed. – Ale i tak się zgadza, bo lubi zabijanie.

– Albo Simone go uwiodła.

– Inny rodzaj trójkąta?

– Dlaczego nie? – spytałem. – Huck w końcu jednak zrozumiał, że jest na wylocie, i uciekł. Dowiedział się jakoś o Aaronie albo po prostu się wystraszył, kiedy wasze śledztwo nabrało rozpędu.

– Simone wkręca Aarona. Huck jest dziwny, zawsze się go bała –

rozważał dalej Milo. – Huckowi nie pomaga to, że rzeczywiście jest dziwny.

– Nie byłbym zaskoczony, gdyby w strategicznym momencie znalazł

się jego trap. Pozorne samobójstwo z eleganckim przyznaniem się do winy i wskazówką, gdzie są pochowani Vanderowie. Kilka spraw zamyka się jednocześnie, a Simone zostaje jedną z najbogatszych dziewczyn w LA.

Milo potarł twarz.

– Sto milionów. O mniejsze pieniądze toczono wojny.

– Jeśli Huck przysnął, Weir i Simone muszą wariować – powiedział

Reed.

- Może dlatego Simone pocięła zdjęcie – podsunąłem.
- Niska tolerancja na frustrację – zdiagnozował Milo.
- Jeśli tak jest, dziewczyna i Weir właśnie pracują nad planem B.

Pozbyć się wszystkich obciążających dowodów, podkreślić śledztwo przeciw Huckowi. – W głowie mi się rozjaśniło. – To dlatego Duboff zginął. Mógł powiązać Weira z moczarami.

- O rany – mruknął Reed. – Ci ludzie są z innej planety.
- O czymś zapomnieliśmy – oznajmił Milo. – Gdyby Huck nie żył, Wallenburg by go nie osłaniała.
- Albo jej się wydaje, że on żyje – powiedziałem. – SMS–a może wysłać każdy.
- Czyli kim jest rodzina Adamsów, którą odwiedziła? Dziwni, tajemniczy znajomi? Włączaj komputer, młody.

Reed posługiwał się klawiaturą szybciej niż Milo i znał kody dostępu.

W kilka sekund otworzył bazę danych hrabstwa.

Anita Brackie primo voto Loring dała małżeństwu trzecią szansę dwa lata temu.

Ślub cywilny w sądzie Van Nuys. Szczęśliwy pan młody, Wilfred Eugene Adams, czarny mężczyzna, sześćdziesiąt dwa lata, zameldowany w Mar Vista.

Trzy aresztowania za jazdę pod wpływem, ostateczny wyrok skazujący sprzed sześciu lat.

- Pewnie kolejny romans z odwyku – stwierdził Reed.
- Randka kropka com – powiedział Milo. – To dopiero biznes. Dobra, sprawdźmy ten trop.
- Wstrzymujemy się z psami i antropologami?
- W żadnym razie. Dzwon do doktor Wilkinson. – Malutki uśmieszek.
- A przy okazji powiedz jej, żeby sprawdziła dokładnie zachodni skraj bagna.

Reedowi opadła szczęka.

- Tak już jest w tej robocie, młody. – Milo rozłożył ręce.
- Jak?
- Długie okresy daremnych starań ożywiane krótkimi chwilami rozgoryczenia.

Reed dzwonił, a Milo i ja czekaliśmy w nieoznakowanym wozie.

Wracał do nas z niewesołą miną.

– Może nie chciała się z nim umówić na drugą randkę – zażartował

Milo.

Młody detektyw wsiadł z tyłu.

– Wszystko w porządku, Moses?

– Nie było jej, zostawiłem wiadomość.

– Jakiś problem?

– SMS, powinienem o tym wcześniej pomyśleć.

Przed domem Wilfreda i Anity Adamsów stał dodge van. Jeśli Wilfred był w domu, nie afiszował się z tym. Głos Anity brzmiał jak zardzewiałe wiertło, które groziło przewierceniem zamkniętych drzwi od środka.

– Idźcie stąd.

– Proszę pani...

– Nie otworzę, a wy mnie do tego nie zmusicie. Powtórzyła to już po raz czwarty.

– Naprawdę możemy wrócić z nakazem – przekonywał Milo.

– To lepiej tak zróbcie.

Milo położył się na dzwonku. Kiedy przestał, Anita Adams się zaśmiała. Zabrzmiało to jak grzechot kostek lodu w szklance.

– Widzi pani coś zabawnego w tej sytuacji?

– Pranie mózgu dzwonkiem. Może załatwcie jakiś rap i puśćcie go na całą ulicę. Zobaczycie, jak to się spodoba sąsiadom. Zwłaszcza, kiedy się okaże, że nie mieliście żadnego powodu.

Milo i ja wróciliśmy do samochodu. Wyzwiska rzucające przez Anitę słychać było aż na ulicy.

– Urocza kobitka. – Milo poruszył brwiami. – Rany, chciałbym mieć taką mamę.

Siedzieliśmy w samochodzie i patrzyliśmy na mały, drewniany domek.

Ja piłem zimną kawę, Milo red bulla. Po pięciu minutach zadzwonił do Moe Reeda. Liz Wilkinson i trójka studentów odbywających praktyki w laboratorium jechali już na zachodni brzeg moczarów. Zbliżający się zachód słońca nie pozwalał na dokładne poszukiwania, ale zamierzali rozejrzeć się w kilku miejscach. Wilkinson sugerowała oględziny z helikoptera i, oczywiście, psy to dobry pomysł.

Nic na temat śladu buta.

Milo rozłączył się w chwili, kiedy za nami zatrzymał się samochód.

Maybach w kolorze stali. Debora Wallenburg wysiadła, rozejrzała się na obie strony i podeszła do radiowozu. Kostium Aqua Chanel, mocno ściągnięte siwe włosy, dużo brylantów.

– Chevy panią znudził, pani mecenas? Wallenburg drgnęła, ale szybko się opanowała.

– Siedzicie mnie. Uroczo.

– Rozmawiała pani ostatnio ze swoim nieuchwytnym klientem?

Zaśmiała się.

– Znów ta sama śpiewka.

– Ciekawe, że uważa pani tę sytuację za beczkę śmiechu.

– Bardziej mi przypomina teatr absurdu.

– Tak pani zależy na Hucku, można by pomyśleć, że będzie to pani traktować poważnie.

– Wasze rzekome zarzuty.

– Zgon pani klienta.

Mięśnie policzków Wallenburg zadrżały. Trening z sali rozpraw opóźnił jej reakcję.

– O czym pan mówi?

– Kiedy ostatni raz rzeczywiście rozmawiała pani z naszym Travisem?

Wallenburg przybrała pozę ostentacyjnego luzu. Napięcie wokół jej oczu popsuło efekt.

– Tak właśnie myślałem – skomentował Milo.

– To jest ten moment, kiedy pana umiejętne podchody sprawiają że wyrzucę z siebie kluczowe informacje, poruczniku?

– To jest ten moment, kiedy pani mówię, że wiem, że Huck do pani nie zadzwonił. Dostała pani SMS-a i założyła, że to on. Bez urazy, pani mecenas, ale może to kwestia wieku. Technologiczna naiwność.

– Pan zwariował – warknęła Wallenburg.

– Raczej się trochę zirytował.

– Chodziło mi jednak o chorobę psychiczną.

– Zniewaga zarejestrowana, przetrawiona, niedługo zostanie wydalona.

– Moi klienci, którymi się pan w tym momencie interesuje, to państwo Adamsowie – powiedziała Wallenburg. – Żądają, żebyście przestali ich nachodzić.

– Myślałem, że będzie pani współpracować. – Milo pokręcił głową. –

Jakim cudem reprezentuje pani dwójkę alkoholików z nizin społecznych, którzy przypadkiem znają Travisa z odwyku?

– Dobra – wycedziła Wallenburg. – Teraz przechodzimy do poniżania ludzi, którzy mieli odwagę odbić się od dna.

– Mój tata tyrał całe życie i sam znałem paru, co za kołnierz nie wylewali, ale tu nie chodzi o politykę, tylko o morderstwo.

Wallenburg milczała.

– Jasne – ciągnął Milo. – Co to jest kilka uduszonych kobiet z odrąbanymi dłońmi dla takiego weterana sal sądowych jak pani.

– To odrażające.

– Sęk w tym, że to, co pani robi, to nawet nie jest dobra prawnicza robota. Nie chodzi mi o pani klienta jako o głównego bandziora. Uważam, że został wykorzystany i odrzucony. W interesie nas obojga jest dotrzeć do prawdziwego zła.

Debora Wallenburg pokręciła głową. Kolczyki z brylantami się zahuściły.

– Bredzi pan.

– Niech to pani udowodni. Jeśli Huck jeszcze oddycha, proszę go do nas przyprowadzić. Będzie współpracował, to wszyscy zostaniemy przyjaciółmi.

Wallenburg cmoknęła.

– Beznadziejne. Przestańcie nękać Adamsów, to dobrzy ludzie, a wy nie macie powodu ich nachodzić. Słyszałam, że koszty procesowe departamentu ostatnio niebezpiecznie wzrosły.

– Mały pozwik? – Milo uniósł brwi. – Na jakiej podstawie?

– Coś wymyślę. – Wallenburg się odwróciła.

– Huck to szeregowiec, pani mecenas, ja chcę oficerów.

– Dla was wszystko to wojna.

– A przynajmniej konflikt zbrojny. Niech pani udowodni, że Huck żyje, przyprowadzając go na komisariat.

– Jest niewinny.

– A pani to wie, bo...

Wallenburg zaczęła odchodzić.

– Tu chodzi o czas, Deb. Kiedy dostaniemy nakaz na ten dom, kto wie, co się stanie.

– Chyba śnisz. Mil. Brak podstaw.

– Powiedz to sędzi Stern.

– Studiowałam z Lisą na roku.

– Czyli wiesz, co sądzi o prawach ofiar. I jak patrzy na urzędników sądowych mieszających się w sprawy poza swoją specjalnością.

Wallenburg przeciągnęła wymanikiurowanym palcem po ustach,

– Jaki z ciebie miły człowiek. Wsiadła do maybacha i odjechała.

– Kiedy dzwoniłeś do sędzi Stern? – spytałem.

– Jakies dwa lata temu – odparł. – Strzelanina między gangami, oczywista sprawa, łatwy papier.

– Nauka wojny.

– Raczej marsz w ciemnościach.

O szesnastej czterdzieści siedem pod domem zatrzymał się szkolny autobus. Jasnowłosa dziewczynka w czerwonym T–shircie, dzinsach i adidasach wysiadła z niego i ruszyła do drzwi. Około dziesięciu lat, chuda i patykowata, zgięta pod ciężarem mamuciego tornistra.

– Mała Brandeen – powiedziałem bardziej, żeby usłyszeć, jak to brzmi, niż poinformować Mila.

– Aż się wzruszyłem, kolego. Jak one szybko rosną.

Zanim dziewczynka doszła do progu, drzwi się otworzyły. Niska, gruba, siwowłosa kobieta wyciągnęła rękę i wciągnęła dziecko do środka.

Zamiast zamknąć drzwi, popatrzyła na nas przez chwilę z wściekłością. Za nią zmaterializował się mężczyzna, wysoki, czarny, brodaty. Zmęczone oczy.

Wilfred Adams powiedział coś do żony.

Odwarknęła mu, pokazała nam środkowy palec, a potem trzasnęła drzwiami.

– Może Huck jednak żyje – odezwał się Milo. – Ona wyraźnie kogoś chroni.

Znów zadzwonił telefon. Moe Reed zgłaszał się po raz drugi, z zachodniego skraju bagna. Żadnych widocznych śladów naruszonej ziemi, ale przywieziono psa tropiącego i wydawał się „zainteresowany”.

– Ładne miejsce – powiedział Reed. – Klimat rajskiego ogrodu.

– Znajdź mi węża – odparł Milo.

Zapalił cygaro, zaciągnął się dwa razy, kiedy od północy nadjechał z rykiem silnika maybach Debory Wallenburg. Zatrzymał się obok radiowozu. Przyciemniona szyba uchyliła się bezgłośnie.

Wallenburg rozpuściła włosy, odświeżyła makijaż, ale nie zdołała ukryć zmęczenia.

– Stęskniła się pani za mną – zakpił Milo.

– Usychałam. Możemy spróbować rozegrać to po przyjacielsku, ale najpierw podstawowe zasady: wiem, że prawo pozwala wam kłamać podejrzanemu. Ale nie radziłabym tego z adwokatem.

– A klientem jest...

– Musi pan być ze mną szczery.

– Szczerość to moje drugie imię.

– Mówił pan, że Travis nie jest głównym podejrzanym. To kupa bzdur?

– Nie.

– Poruczniku, muszę wiedzieć, że działamy w tym samym kontekście.

Do tego żadnych brutalnych zagrań.

– Brutalnych, czyli?

– Antyterrorystów, uszkodzeń mienia, straszenia dzieci. W zamian zobowiązuję się do udzielenia informacji.

– Na temat?

– W tym momencie nie mogę tego uściślić.

Milo wydmuchnął kółko z dymu, potem drugie, które przeszło przez środek pierwszego.

– Musi mi pan zaufać – dodała Debora Wallenburg. Milo oparł głowę o zagłówek.

– Kiedy i gdzie?

– Szczegóły przekażę w odpowiednim czasie. Czy pan Delaware będzie obecny?

– Huck potrzebuje konsultacji psychologa?

– Czułabym się lepiej, gdyby doktor wziął w tym udział. Zgadza się pan, doktorze?

– Jasne.

– Mal Worthy, Trish Mantle i Len Krobsky należą do mojego klubu tenisowego – powiedziała.

Trójka znanych prawników rodzinnych.

– Proszę ich pozdrowić.

– Wszyscy pana lubią. – Do Mila rzuciła: – Czyli umowa stoi.

Zadzwoń. – Wolne mrugnięcie. – Albo wyślę SMS-a.



Travis Huck dygotał.

Na skroniach wystąpiły mu robaki żył, przez linię włosów wpełzające w gęstą czarną szczecinę porastającą czaszkę. Oczy osadzone tak głęboko, że widać je było tylko w najsilniejszym świetle, gapiły się w pustkę.

Policzki wyglądały, jakby wydrążono je łyżką do arbuza. Obwisła twarz przedstawiała własną historię.

Debora Wallenburg kupiła mu nową koszulę. Błękitną jak niebo, bawełnianą z kantami po fabrycznym złożeniu. Wyglądał jak kandydat do warunkowego zwolnienia.

Wysunęła biurko kilka kroków do przodu, razem z Huckiem usadowiła się za tą drewnianą barierą. Matka z dzieckiem pędzła Mary Cassett spoglądały ze ściany z irytującą błogością. Łagodne oświetlenie, które Wallenburg zorganizowała, nie uspokoiło jej klienta. Kołysał się na krześle. Pocił.

Może światło neonówek policyjnej sali przesłuchań działałoby na niego jeszcze gorzej. A może nie zrobiłoby mu to różnicy.

Była czwarta rano. SMS Wallenburg obudził Mila o drugiej piętnaście; Milo zadzwonił do mnie dwadzieścia minut później. Sahara cichych ulic zmieniła jazdę do Santa Monica w rajd. Ale nie licząc myślnika bursztynowych okien na górnym piętrze, biurowiec Wallenburg przypominał granitowy szpadel wbity w bezgwiazdne niebo.

Kiedy nasz samochód podjechał do wjazdu na podziemny parking, rozsunęła się siatkową bramą i wyszedł z niej strażnik w mundurze.

– Dokumenty proszę.

Odznaka Mila okazała się dokładnie tym, czego mężczyzna się spodziewał.

– Winda jest tam, możecie panowie zaparkować, gdzie chcecie.

Machnięciem ręki wskazał morze wolnych miejsc. Na rozległej przestrzeni stał tylko jeden samochód – ferrari w kolorze miedzi.

– Jej sportowa bryka – domyślił się Milo. – Mam nadzieję, że to nie jakaś gra.

Moe Reed na tylnym siedzeniu stłumił ziewnięcie i potarł oczy.

– Jestem gotów zagrać.

Debora Wallenburg dotknęła dłoni Hucka. Odsunął się od niej. Usiadła prosto. Każdy srebrny włos idealnie zaczesany, pełny makijaż, brylanty.

Sądowa pewność siebie łamała się tylko wtedy, kiedy Wallenburg patrzyła na Hucka. On pozostawał we własnym świecie, nie spojrzał nam w oczy.

– Zaczynij, kiedy będziesz gotowy, Travis – powiedziała łagodnie pani mecenas.

Minęła minuta. Jeszcze trzydzieści sekund. Moe Reed założył nogę na nogę. Ten ruch jakby obudził Hucka.

– Zabiłem tylko Jeffreya. Wallenburg zmarszczyła czoło.

– To był wypadek, Travis.

Huck odchylił głowę w przeciwnym kierunku, jakby uraziło go to stwierdzenie.

– Dużo myślę o Jeffreyu. Wcześniej nie mogłem.

– Przed... – zagadnąłem.

Huck wciągnął powietrze do płuc.

– Żyłem jak we śnie. Teraz jestem trzeźwy i obudzony, ale to nie zawsze... dobrze.

– Za dużo rzeczy do myślenia – odpowiedziałem.

– Złych rzeczy, proszę pana.

– Travis – jęknęła Wallenburg.

Huck poruszył się na krześle, a łagodne światło padło mu na twarz.

Źrenice miał rozszerzone, czoło oleiście mokre. Wokół nozdrzy dostał

jakiejsz wysypki – małe kulczki rosnące na bladym polu.

– Nawiedzają mnie koszmary. Jestem potworem.

– Travis, nie jesteś żadnym potworem. Huck nie odpowiedział.

– Jak masz się nie czuć napiętnowany, Travis, skoro ludzie są do ciebie ciągle uprzedzeni? – Udawała, że mówi do niego, ale kierowała te słowa do ławy przysięgłych.

– Deboro. – Huck zniżył głos do szeptu. – Ty jesteś rzadkim ptakiem, który lata wolny. Ja nie wiem, kim jestem.

– Dobrym człowiekiem, Travis.

– Przeciętnym Niemcem.

– Słucham?

– Człowiekiem z tłumu – ciągnął Travis. – W garniturze i dobrych butach, zapominającym o smrodzie.

– Travis, musimy się skupić na...

– Dachau, Deboro. Rwanda, Darfur, statki niewolnicze, Kambodża, żar pustyni. Przeciętny człowiek siedzi w kawiarni i je ciastka z kremem. Wie, skąd wieje wiatr, smród bije mu w nos, ale on udaje. Ty latasz wolna, Deboro. Tłum wybiera klatkę. Ja wybrałem klatkę.

– Travis, tu nie chodzi o wojnę i... Huck odwrócił się do prawniczki.

– Chodzi, Deboro. Wojna wciąga nas wszystkich. Napadnij na sąsiednie stado, zburz im wioskę, zjedz młode. W dobrym świecie być człowiekiem to nie być zwierzęciem. Ty wybrałaś bycie człowiekiem. Ja...

– Travis, przyszliśmy tutaj, żebyś powiedział im, co wiesz...

– Powąchałem wiatr i przez głowę przeleciał mi smród. Dopuszciałem do tego, Deboro.

– Dopuszciałeś do morderstw – wtrąciłem, zanim Wallenburg zdążyła zareagować.

Huck uderzył dłońmi o stół, jakby zapierał się przed upadkiem. Długie, guzowate palce przycisnęły się do skóry, cofnęły, zostawiając ślimacze ślady potu. Przygryzł wnętrze obwisłego policzka.

– Travis – odezwała się Wallenburg. – Nie miałeś absolutnie ni...

– Mogłem to powstrzymać. Nie zasługuję, żeby żyć. – Nadstawił nadgarstki do założenia kajdanek.

Debora Wallenburg pchnęła w dół jego rękę. Huck zeszywniał.

– Kiedy się dowiedziałeś? – spytałem.

– Ja... Nie na początku. To po prostu było. Tutaj. Tutaj. Tutaj tutaj tutaj.

– Uderzał się w głowę, w policzek, w pierś, w brzuch. Z każdym razem coraz mocniej.

– Wyczułeś, że nadchodzi przemoc.

– Kelvin – powiedział. Opuścił głowę, zaczął mamrotać do skóry. –

Zabierałem go na spacer. Mało rozmawialiśmy, chłopiec jest cichy.

Widzieliśmy jelenie, jaszczurki, orły, kojota. Kelvin lubi słuchać oceanu.

Mówi, że ocean to bas w tle, a wszechświat mruczy jak chorał

gregoriański.

– A Kelvin jest...

Huck popatrzył na mnie, nie rozumiejąc.

– Cała rodzina nie żyje – powiedziałem.

Huck spazmatycznie zaszlochał. Nad jego wykrzywionymi wargami utworzył się wąs smarków. Debora Wallenburg podała mu chusteczkę, a kiedy jej nie wziął, sama wytarła mu nos.

– Gdzie oni są? – zaskomlał.

– Nie wiesz, gdzie są?

– Myślałem, że ona ich kocha, że jest zdolna do miłości. – Rozpostarł

dłoń, jakby zebrał. Kiedy ją obrócił, zobaczyłem blizny na kłykciach: lśniące, białe, wyglądały na stare oparzenia.

– „Ona”, czyli... – zagadnąłem. Cisza.

– Kto, Travis?

Wymówił imię bezgłośnie. Dźwięk doszedł chwilę później, jak cyfrowe echo.

– Simone.

Moe Reed zmrużył oczy. Milo siedział z zamkniętymi powiekami, dłońmi splecionymi na brzuchu. Dla postronnego obserwatora spał. Ja wiedziałem, że nie; nie chrapał.

– Twierdzisz, że Simone zabiła Vanderów – podjąłem. Każde słowo przyprawiało Hucka o dygot.

– Tak przypuszczasz, Travis? Czy wiesz na pewno?

– To nie... Ja wiem... Z tego, co ona... Myślałem, że jest wrażliwa, nie...

Bo zadawała ból sobie samej.

– Jak zadawała sobie ból?

– Rany, których nie widać, dopóki... To sekretna gra.

– Simone się tnie. Kiwnięcie głową.

– Smakuje własną krew.

– Kiedy się z nią spotkaliśmy, nie widzieliśmy żadnych ran...

– Wybiera sekretne miejsca. – Oblizwał wargi.

– Wiesz to, bo...

Jego głowa opadła do przodu. Z zaciśniętych ust wyrwał się zimny, chrapliwy dźwięk.

– Byłeś z Simone blisko – powiedziałem. Zduszony śmiech. Znow oparł się o biurko.

– Głupie marzenie. Ona miała inne pomysły.

– Opowiedz im dokładnie to, co mi mówiłeś, Travis – zachęciła Wallenburg.

Cisza.

– Powiedz, jak cię uwiodła. Gwałtowne kręcenie głową.

– To brzmi romantycznie. A to nie było romantyczne, to było... Było...

Było...

– Mów albo ja to zrobię.

– Deboro – zaskomlał Huck błagalnie.

– Obiecałam, że poznają prawdę, Travis. Nie uwierzą ci, dopóki nie dostaną faktów.

Minęło kilka chwil.

– Ja... – zaczął Huck. – To... przyszła do domu. Do dużego domu.

Nikogo nie było. Ja ją obserwowałem. Piękna dziewczyna. Fizycznie.

Rozmowa nie wchodziła w grę, ona jest córką, ja wynajętą pomocą domową. Ale to ona odezwała się do mnie. Czulem, jakby znała mój mózg od środka. Bycie z nią przypominało otwarcie okna.

– Łatwe dla niej – podsunąłem. Kiwnięcie głową.

– Skuliła się, patrzyliśmy na ocean. Przyszła do mojego pokoju.

Położyła głowę na mo... Pokazała mi swoje rany. Płakała w moją koszulę.

To było objawienie. Geografia ciała. Tulenie jej, kiedy płakała. –Potarł

gładkie kłykcie.

– Znałeś się na geografii ciała – powiedziałem. Wbił wzrok w skórę na biurku.

– Dla niej to żyletki, dla ciebie ogień – mówiłem dalej. Krzywy uśmiech.

– Kiedyś potrzebowałem kary.

– W więzieniu?

– Potem. – Czekał, aż Wallenburg go skarci. Nie odezwała się ani słowem.

– Przepraszam, Deboro. Wolność budziła obrazy Jeffrey'a... nie chciałem cię martwić. – Do mnie wymamrotał: – Musiałem coś poczuć, cokolwiek.

– Czego dokładnie używa Simone? – spytałem.

– Wszystkiego. Żyletek, noży kuchennych, nożyków tapicerskich. Ma broń, prezenty od Simona. Kiedy Simon się ożenił, Nadine powiedziała: proszę, żadnej broni w domu. Simone je ma, mówi o nich: drogie pistolety i strzelby. Wkłada sobie lufy do ust, udaje... wpycha sobie ręce do gardła, żeby wymiotować. Czasami podrażnia sobie od tego gardło, kaszle krwią.

Uwielbia własny smak.

Reed cicho odetchnął.

Milo wciąż pozornie drzemał, jego beczkowata pierś unosiła się i opadała. Wallenburg popatrzyła na niego, potem na mnie.

– Co jeszcze opowiesz nam o Simone? – spytałem.

– Za pierwszym razem, kiedy pokazała mi świeże... stygmaty, tak je nazywa... wtedy ją objąłem. Potem my... ogoliła mi głowę, powiedziała, że jestem jej kapłanem, że mam piękne kości. Myślałem... marzyłem, że mogę jej pomóc.

– Jak długo trwał wasz związek?

Oczy uciekły mu pod czaszkę, opadły z powrotem na miejsce jak wisienki w automacie do gry.

– Wieczność.

– A dokładniej.

– Dwa miesiące – wyjaśniła Debora Wallenburg. – Skończył się pół roku temu.

– To prawda, Travis? Kiwnięcie głową.

– Jak się dowiedziałeś, że Simone nie jest taka, jak ci się wydawało?

– Śledziłem ją.

Reed napiął mięśnie ramion. Milo ani drgnął.

– Zły dobór słów – stwierdziła Wallenburg. – Przedstaw im tylko fakty, Travis.

– Ja ją śledziłem, Debora.

– Miałeś obawy, więc zacząłeś obserwować tę dziewczynę.

– Obserwowałeś Simone – powiedziałem.

– Dzwoniłem przez tydzień, ale nie odbierała. Nie wiedziałem, co się stało. Ostatnio, kiedy byliśmy razem, mówiła... dobre rzeczy. A potem nagle nic? Zacząłem się bać, że coś złego ją spotkało. Potem pomyślałem: może czeka. Żebym zrobił coś spontanicznie. Mówiła, że spontaniczność ją kręci, że muszę się wyluzować. Bałem się... improwizować.

Niespodzianki nie są... nie lubię ich. Simone wiedziała, że nie cierpię wychodzić poza scenariusz. Dlatego zrobiłbym jej niespodziankę.

– Odwiedziłeś ją w domu?

– Tylko raz.

– Kiedy?

– Trzy miesiące temu – odpowiedziała Wallenburg.

– Simon, Nadine i Kelvin wybrali się na weekend do Ojai – podjął

Huck. – Pojechali tam, bo Kelvin chciał poznać Nikrugskiego, kompozytora. W domu było cicho, Simone nie oddzwaniała. Cisza zmieniła się w... wróciły stare żądze.

– Ognia i bólu.

– Znalazłem zapalki. Zapalałem je, ale się nie przypiekałem.

Zadzwoiłem na telefon zaufania. Rozmawialiśmy, ale nie o tym, co się naprawdę działo w mojej głowie. Cisza robiła się coraz głośniejsza.

Mówiłem sobie: jedź, jedź, jedź, bądź spontaniczny. Pojechałem do Malibu Canyon i nazbierałem kwiatów, zrobiłem bukiet, związałem go sznurkiem do zakupów, nalałem soku winogronowego do butelki po winie, owinąłem ją wstążką... czarną, ulubiony kolor Simone. Ze spiżarni wziąłem sucharki. Dwa pudełka. Havershamy, z Anglii, robione dla rodziny królewskiej. Simone je tylko sucharki, ale kiedy zaczyna...

widziałem, jak zjadała dwa pudełka. Potem... wydała. Gardło jej krwawi...

truskawkowa owsianka.

– Pojechałeś do niej do domu – wróciłem do głównego wątku.

– Chciałem zrobić miłą niespodziankę. Nie otworzyła, kiedy pukałem. Poszedłem na podwórko, Simone lubi wychodzić na dwór. W

każdą pogodę, zdejmuje ubranie... to na dworze się kaleczy. Na meblach ma plamy. Tekowych meblach. To małe podwórko, zarośnięte, z tyłu stromizna, mała altana, na której śpi. Zanim tam dotarłem, usłyszałem Simone i kogoś jeszcze. Mój mózg zrozumiał, ale nogi szły dalej.

Znalazłem miejsce do śledzenia. Patrzyłem. Nie było powodu, już wiedziałem, co się... – Złapał oddech, spojrzał w górę.

– Co zobaczyłeś? – spytałem.

– Lizali się. Koty. Wylizywali, lizali, lizali, wylizywali. – Zwilżył usta.

– Lizali, warczeli. Śmiali się, wulgarnie mówili.

– Simone i... Długa cisza.

– Kto był z nią, Travis?

– Peruka.

– Jak się nazywał?

– On... peruka, uśmiech, Weir, prawnik. Koszmar. Mówiła mi, że go nienawidzi, że jest skorumpowany, okrada Simona, że ona powie ojcu, ja mam nie mówić, ona powie, sprawa weźmie w łeb, dranie dostaną nauczkę, wtedy będziemy wolni...

– Ale na podwórku...

– Lizali się. Żadnej nienawiści. Tylko ta wspólna.

– Wspólnie nienawidzili – zgadywałem. Cisza.

– Kogo nienawidzili, Travis?

Oddech Hucka przyspieszył. Oczy zaczęły mu skakać na boki.

– Kogo, Travis?

– Lizali się, śmiali... to obrzydliwe słowo.

– Jakie?

– Żółtek.



– Nadine? Bo jest Azjatką?

– Wypluwali to jak wymiociny, żółtek kochanka żółty lachociąg żółta dajka żółta dziwka skośnooki żółty pomiot. – Zaciśnięte pięści zmieniły blizny po oparzeniach w perły. – Moja głowa... słuchałem tego i chciałem się przypalić. Pojechałem do domu, znalazłem nowe zapalki. Wrzuciłem je do wody. Znów zadzwoniłem na telefon zaufania. – W jego oczach wezbrały łzy. – Nie powiedziałem Simonowi.

– Simone nienawidzi swojej rodziny.

– Bardziej niż nienawidzi – wymamrotał Huck. – To... ona... na to nie ma słowa.

– Czy okazywała kiedykolwiek, że nie podoba się jej drugie małżeństwo ojca?

– Nie, nie, nie, nie, wręcz przeciwnie. Uwielbiała panią Vander, Nadine była mądra, piękna, miała styl. Nie jak matka Simone. Znam Kelly, jest dobra, ale nie dbała o córkę, w porządku, rozumiem, wszyscy rozumiemy, ale...

– Simone twierdziła, że kocha Nadine.

– Mówiła, że chciałaby, żeby to Nadine ją wychowywała. Obejmowały się, całowały, Nadine traktowała Simone jak siostrę. Kiedy Simone przychodziła do domu, bawiła się włosami Kelvina. Piękne włosy, zawsze mówiła. Całowała go w policzki. Taki słodki, Travis, kocham go, Travis...

Geniusz, kocham go, Travis... Złote ręce, kocham go, Travis.

– Złote ręce – podchwyciłem.

– Złote, brylantowe, platynowe, czarodziejskie. Mówiła, że muzyka chłopca to czysta miłość, a ręce sięgają prosto do jego duszy.

– Tamtego dnia na podwórku nie było miłości.

– Mój świat płonął – wyznał Huck. – Wpełzłem z powrotem do klatki.

– Nie powiedziałeś nic Vanderom, bo nie miałeś dowodów – wtrąciła się Wallenburg. – Dlaczego ktoś miałby ci uwierzyć?

Huck się uśmiechnął.

– Sprzeciw oddalony.

– Travis...

– Milczałem, bo jestem tchórzem.

– Bzdura. Masz więcej odwagi niż większość ludzi.

– Ona może mieć rację – przyznałem.

Moe Reed uniósł brew. Milo wciąż ani drgnął.

– To był trudny wybór, Travis – powiedziałem. – Przekłuć wrzód albo modlić się, że słowa nie przejdą w czyn.

– Wymówki – mruknął Huck. – Przeciętny Niemiec.

– Och, na Boga, Travis – zachnęła się Wallenburg. – Nie przyjechaliśmy tu, żeby się bawić w filozofię, to kwestie prawne. Nie mogłeś wiedzieć, co planowali, i nie miałeś żadnego obowiązku wyjawiać, co słyszałeś.

Milo otworzył jedno oko.

– Chyba że brał w tym udział.

– Och, proszę – warknęła Wallenburg. – Czy pan w ogóle kojarzy ostatnich dziesięć minut rozmowy?

– O tak. Kojarzę dobrą historyjkę.

– To logiczne, Deboro – jęknął Travis Huck. – Zabiłem człowieka, płacę za seks...

– Cicho, Travis!

– Porozmawiajmy o innych ofiarach – zaproponowałem.

– Trzy kobiety – wybełkotał Huck.

– Sheralyn Dawkins, Lurlene Chenoweth, DeMaura Montouthe.

Żadnego błysku rozpoznania w jego oczach. W ogóle nic.

– Słyszałem o nich w telewizji – przyznał. – Wtedy uciekłem.

– Dlaczego wtedy?

– Bo to prostytutki. Chodzę do takich jak one. Zacząłem mieć wrażenie, że je znam. Może rzeczywiście coś zrobiłem.

– Zrobiłeś?

– Czasami sam nie wiem, co robię. Powtórzyłem nazwiska.

– Nie – odparł. – Raczej nie. Wallenburg zacisnęła zęby.

– Travis, to nie jest to, co mi mówiłeś – wyskandowała pani mecenas.

– Deb...

Reed wyciągnął trzy zdjęcia portretowe. Huck długo się im przyglądał.

Pokręcił głową.

– On nie miał z tym nic wspólnego – oznajmiła Wallenburg. –

Spanikował i uciekł.

– Zabierałeś kiedyś kobiety w pobliżu lotniska? – spytałem.

– Nie.

– Gdzie do nich jeździsz?

– Sunset Strip.

– Czemu nie koło lotniska?

– Muszę być blisko domu na wypadek, gdyby Simon i Nadine mnie potrzebowali.

– Do czego?

– Do załatwiania spraw, przywożenia jedzenia z całodobowych lokali.

Nadine często w nocy głodnieje. Czasami kupuję Kelvinowi płyty w Tower Records na Sunset. Kupowałem. Zamknęli ten sklep, teraz chodzę do Virginia.

Oba sklepy znajdowały się kilka minut drogi od miejsc, gdzie Reed znalazł prostytutki, które znały Hucka.

– Nieustanna gotowość – powiedziałem.

– To moja praca.

– Czy Simone wiedziała, że korzystasz z usług prostitutek? Maleńki uśmiech, tajemniczy.

– Coś cię bawi? – spytał Reed. Huck się wzdrygnął.

– Nie... to nie było częste. Ja... chadzałem.

– Czy Simone wiedziała? – powtórzyłem.

– Kiedyś się jej zwierzyłem.

– Dlaczego?

– Rozmawialiśmy. Odsłanialiśmy ciemne zakamarki.

– Dzieliliście się sekretami.

– Tak.

– Jakie ciemne zakamarki odsłoniła Simone?

– Smakowała własną krew. Potrzebowała czuć. Chciała mieć idealne ciało, ciągle uważała, że jest gruba, nienawidziła luster, widziała na sobie fałdy.

– Co jej powiedziałaś o prostytutkach?

– Że przed nią miałem tylko takie kobiety. Że być z nią to jak wylądować na Księżycu.

– Nowe życie.

– Nowy wszechświat.

– Czyli znalezienie jej z Weirem było... Huck klasnął w dłonie.

– Katastrofa.

Zerknąłem na Mila. Znów zamknął oczy.

– Travis, opowiedz nam o Silfordzie Duboffie. Zamglone oczy.

– O kim?

– O człowieku, który opiekuje się Ptasimi Moczarami.

– Nigdy tam nie byłem.

– Nigdy?

– Nigdy.

Powtórzyłem nazwisko Duboffa.

– Powinienem go znać? – zdziwił się Huck. – Przykro mi.

– Porozmawiajmy o kimś, kogo znasz. Selena Bass. Huck wydawał się przygotowany na to pytanie.

– To przez Selenę dowiedziałem się na pewno.

– O czym?

– Że nienawiść Simone nie kończy się na słowach.

- Domyśliłeś się, że Simone zamordowała Selenę.
  - Selena wzięła się z Simone.
  - Jak to się z niej wzięła?
  - Simone ją znalazła. Zrobiła to dla Kelvina. Przyprowadziła Selenę do domu.
  - Znalazła nauczycielkę dla Kelvina.
  - Przyjaciółkę, która też jest wirtuozem.
  - Simone nazywała Selenę swoją przyjaciółką.
  - Tak się zachowywały.
  - To znaczy?
  - Wesołe, chude, roześmiane dziewczyny. – Huck wzruszył ramionami.
  - W dzinsach biodrówkach.
  - Skąd wiesz, że się nie przyjaźniły?
  - Simone mi powiedziała. Później. Usłyszała, jak Selena gra na imprezie. Dziewczyna miała magiczne dłonie, złote jak Kelvin, byłaby dla niego idealna. Chłopiec miał zgryźliwą starą nauczycielkę, nie chciał już brać lekcji. Simone obiecała Selenie dobry zarobek. Powiniennem się domyślić, że chodzi o coś więcej.
  - O co?
  - Za pierwszym razem przynosiłem właśnie zakupy i podjechała Simone z inną dziewczyną, obie chichotały. Wszedłem do domu. One nie.
- Kiedy wróciłem po resztę zakupów, patrzyły na ocean. Obejmowały się.
- Ręka Simone powędrowała na Seleny... jej tyłek.
- Były związane seksualnie.
  - Może.
  - To się zdarzyło przed twoim związkiem z Simone.
  - Tak.
  - I w ogóle cię to nie dziwiło.

– Co?

– Preferencje seksualne Simone. W oczach Hucka zapłonął ogień.

– A co mi do tego.

– Potem, kiedy już ty się do niej zbliżyłeś, Simone powiedziała, że poznała Selenę na imprezie.

Kiwnięcie głową.

– Jaka to była impreza?

– Zwykła.

– Herbata i ciastka? Cisza.

– Później się domyśliłem – wyszeptał.

– Czego?

– Na podwórku... po lizaniu, on wstał, a Simone wyciągnęła się na tekowej ławie i... – Skrzywił się.

– Miała żyletkę. On wrócił, posmakował

Simone. Przyniósł ze sobą rzeczy. Liny... paciorki... wielkie, olbrzymie plastikowe... Odwróciłem się, nie chciałem patrzeć, ale słyszałem.

Powiedział: „Pora na imprezkę”. A ona: „Złote ręce, kochanie. Brakuje nam tylko jej i pianina”.

Huck pokręcił głową, krople potu spadły na biurko. Debora Wallenburg zobaczyła to, ale nie wytarła mokrych śladów.

– Pora na imprezkę – powtórzyłem. – Czyli...

– Selena lubiła te same rzeczy. – Popatrzył na mnie, szukając potwierdzenia.

– Kiedy usłyszałeś o zamordowaniu Seleny, stworzyłeś teorię na temat tego, co się z nią stało.

– Przeczucie.

– Kiedy przyjechaliśmy do ciebie, nie wspomniałeś o nim ani słowem.

– Byłem... ja nie... miałem mgłę w głowie. W końcu się rozviała i naszło mnie przeczucie. Nie wiedziałem, co robić.

– Wystarczyło podnieść słuchawkę – mruknął Milo, nie otwierając oczu.

– I co wam powiedzieć? – syknęła Wallenburg. – „Miałem przeczucie”?

Milo obdarzył ją dobrodusznym uśmiechem.

– W takich sprawach jak ta, pani mecenas, bierzemy, co dają.

– O, jasne. Na pewno byście mu uwierzyli.

– Zamierzałem wszystko wyjaśnić Simonowi – powiedział Huck. –

Gdyby...

– Gdyby co?

– Gdyby doszło z wami do rozmowy.

– Gdyby – mruknął Reed. – Najciekawsze słowo w słowniku.

– Myślałem o tym – wyznał Huck. – Żeby powiedzieć Simonowi. Ale to jego córka, on ją kocha. Ja załatwiam sprawy.

– Więc milczałeś – zakończył Reed.

– Nie, ja... zadzwoniłem do pana Vandera, żeby usłyszeć jego głos, może to by mi podpowiedziało, co robić. Nie odebrał. Próbowałem dalej.

Nic. Wysłałem e-mail. Nie odpowiedział. Napisałem e-mail do Nadine.

Zero reakcji. Wtedy zacząłem się martwić. Potem te kobiety zostały...

usłyszałem o tym i pomyślałem: do takich ty chodzisz.

– Więc uciekłeś – powiedziałem.

– Zabiłem człowieka. Płacę za seks. Znałem Selenę. Wszyscy inni są bogaci. – Odwrócił się do Wallenburg. – Kazałaś mi wracać, nie posłuchałem.

– Travis, to nie jest kwestia posłu...

Milo wstał, podszedł do biurka, spojrzał na Hucka.

– To cała historia, kolego?

– Tak, proszę pana.

– Niezła bajeczka.

– Niech mnie pan wsadzi z powrotem do klatki. Zasłużyłem sobie na to.

– Czyżby?

Wallenburg zerwała się na równe nogi, wepchnęła rękę między Hucka i Mila.

– To nie było przyznanie do winy.

– Selena, dziwki... – zagrzmiał Milo. – Wszystko to wielka intryga, żeby cię wrobić. Wygodne.

– Na miłość boską, pan tego nie widzi?! – krzyknęła Wallenburg. – To przecież idealny kozioł ofiarny. Proszę spojrzeć głębiej. Ten człowiek, który został niesprawiedliwie skazany, ale nie pała gniewem. Prowadził

życie pozbawione przemocy... uratował niemowlę, na Boga!

– Ja jej nie uratowałem, Deboro. Tylko podniosłem z chodnika i...

– Zamknij się, Travis! Gdybyś nie znalazł małej, ten bydlak mógłby wrócić i zatłuc ją na śmierć tak samo, jak matkę.

– Deboro...

– Nie deboruj mi tu, Travis. Pora, żebyś zmądrzał i zaczął o siebie dbać. Głupio zrobiłeś, uciekając. Źle, że nie wróciłeś, kiedy ci kazałam. A teraz zachowujesz się jak skończony idiota!

– Ja...

– Życie jest do bani, dobrze, wszyscy zrozumieliśmy. Ale za tę konkretną katastrofę nie ty jesteś odpowiedzialny i jeśli będziesz się trzymał faktów, policja ci uwierzy.

Spojrzała na Mila. Milo milczał.

– Pozwoliłem, żeby to wszystko się stało, Deboro... – wybełkotał Huck.

– Byłeś ich chłopcem na posyłki. Nie jesteś wszechwiedzącym aniołem stróżem. Gdybyś powiedział coś złego na Simone, straciłbyś pracę, a ona i tak spokojnie skrzywdziłaby ojca i zrealizowała swój plan.

– O jakim planie tu mówimy? – wtrącił się Reed.

– Planie za sto trzydzieści trzy miliony dolarów – warknęła Wallenburg. – Ta dziewczyna przed niczym by się nie cofnęła. Przed niczym.

– Bardzo dokładna suma – zauważył Milo. Uśmiech Wallenburg był

jak lód.

– Jeśli tak wygląda sytuacja, to najwyraźniej chodzi o bardzo dalekosiężny plan. Zabijanie prostytutek przez piętnaście miesięcy i wyrzucanie ich kolejno tylko po to, żeby zabójstwo Vandera wyglądało na jedno z serii?



– Chodzi o motyw wart sto trzydzieści trzy miliony dolarów, poruczniku. Morderstwo Seleny skierowało was do Vanderów, a to z kolei do Trávisa. Znaleźliście zwłoki trzech kobiet i stwierdziliście, że to dzieło psychopaty. Ta podstępna mała dziwka podała wam Trávisa na talerzu.

Biorąc pod uwagę jego przeszłość, wiedziała, że założycie klapki na oczy.

– Ojej, którą do Keystone? – zakpił Milo.

– Sto trzydzieści trzy miliony, poruczniku. Rok planowania to niewiele za taki garnek złota.

– Byłby z tego świetny film.

– Oscar za dokument, poruczniku.

– Powinniśmy to kupić, bo pan Huck ma przeczucie. Tutaj. – Milo pomasaował swój wydatny brzuch.

– Nie, bo to prawda, brzmi logicznie i nie dysponujecie żadnym dowodem wiążącym Trávisa z jakimkolwiek aktem przemocy.

Milo błysnął swoim uśmiechem zadowolonego wilka. Nachylił się nad biurkiem, przybliżył na kilka centymetrów do twarzy Trávisa. Huck oblizwał usta.

– Tylko go nie zastrasza... – zaczęła Wallenburg.

– Travis, podobają mi się twoje bajeczki. Teraz opowiedz mi inną.

– O czym, proszę pana?

– O krwi, którą znaleźliśmy w odpływie twojej umywalki w pokoju.

Grdyka Hucka podniosła się i opadła.

– Ja... chyba się skaleczyłem... tracę równowagę. Przez bóle głowy, może się zaciąłem i obmyłem skaleczenie.

– Masz jakieś strupy? – Obejrzał dłonie Hucka. – Nie, czysto.

– Wsadźcie mnie do klatki – jęknął błagalnie Huck. – Nie zależy mi.

– Jaką masz grupę krwi, synu?

– Zero plus.

– W odpływie znaleźliśmy AB. Huck zrobił się biały.

Milo położył swoje łapsko na jego lewej dłoni. Huck je ścisnął, jak dziecko szukające bezpieczeństwa.

- Opowiedz nam o tym AB, synu.
- Simon – wykrztusił Huck. – To rzadka grupa. Ciągłe go proszą żeby oddał krew.
- Wygląda na to, że oddał trochę do twojego odpływu. Zaserwuj inną bajkę, synu.
- Ktoś, kto z wyrachowaniem mordował ludzi, bez problemu podrzuciłby krew do tego cholernego odpływu – powiedziała Wallenburg.
- Simone miała dostęp do domu. Założę się, że Weir też. Oczywiście, że tak, biorąc pod uwagę ich związek. Wystarczyło, żeby dała mu klucz...

Wciąż ściskając dłoń Mila, Huck wyciągnął wolną rękę.

- Wsadźcie mnie do klatki.
- Ani słowa więcej, Travis!
- Pani mecenas, wygląda na to, że osiągnęliśmy swego rodzaju konsensus. Wstań, proszę, synu. Przeczytamy ci twoje prawa i aresztujemy.
- Zgadzam się – odparł skwapliwie Huck.

Wallenburg zerwała się na równe nogi, chwyciła Hucka za ramiona.

- Pod jakimi zarzutami?
  - Zaczniemy od całego mnóstwa morderstw, dalej zobaczymy.
- Tym razem to ona zadrżała.
- Popelniacie katastrofalny błąd.
  - Bardzo pani wierzy w tego człowieka – zauważył Reed. – Którego elementu ja tu nie widzę?

Wallenburg zmeła w ustach przekleństwo.

- Poruczniku, wyraźnie się umówiliśmy...
- Że go wysłuchamy – dokończył Milo. – Wysłuchaliśmy, teraz go aresztujemy.

Wallenburg poruszyła ustami.

- Och, świetnie, jakie to przewidywalne... obiecuję, że to nic nie da, poruczniku. I lepiej dopilnujcie, żeby nic mu się nie stało. Kiedy tylko przekroczycie próg, ja zacznę szykować obronę.
- Och, jakie to przewidywalne, proszę pani. Wstań, synu. Huck posłuchał.

– Wyjdź z biurka. – Milo wyjął kajdanki.

– Zabieracie go do West LA czy do Śródmieścia?

– Zatrzymamy go w West LA, dopóki nie uda się zorganizować odpowiedniego transportu.

– Wszystko zgodnie z procedurą – powiedziała Wallenburg. – A mowa była o przeciętnych Niemcach. Pilnujcie lepiej, żeby nie popełnił

samobójstwa!

– Ja już nie żyję – oznajmił Huck.

Wallenburg uniosła dłoń, jakby chciała go uderzyć. Popatrzyła na swoje drżące palce, opuściła ramię.

– Dziękuję ci za wszystko, Debora.

– Ty... – wykrztusiła. – Ty cholerny głąbie.

– Naprawdę nie mieliście wyboru – powiedział Huck, kiedy jechaliśmy windą na dół.

– Dlaczego ona jest ci tak oddana? – spytał Reed. Huck zamrugał.

– Opowiedziała mi kiedyś o swoim wolontariacie. W schroniskach dla zwierząt. Nie może mieć dzieci.

– Ty jesteś jej dzieckiem? – spytał Reed.

– Nie, ale mówiła, że kiedy uratujesz zwierzę w schronisku, ponosisz za nie odpowiedzialność.

– Jesteś jednym z jej szczeniactków, co? Huck się uśmiechnął.

– Chyba tak.

Drzwi się otworzyły. Milo chwycił Hucka za ramię, pchnął go do samochodu.

– Chcesz jeszcze coś dodać?

– Raczej nie. I tak mi nie uwierzycie.

– Uczą was bierności na odwyku? Huck odetchnął.

– Życie było długie. Dłuższe niż myślałem.

– Czyli pora się poddać.

– Kiedy jest coś do zrobienia, robię to. W tym momencie nie zostało już nic.

– Niekoniecznie – powiedziałem.

Milo upchnął Hucka w pustej sali przesłuchań West LA, zabrał mu pasek i sznurówki. Żadnego spisywania, żadnych odcisków palców, żadnych zdjęć do kartoteki. Tylko duży kubek wody, szorstki koc i drugie przeszukanie, które nic nie dało.

Podczas pierwszego, na korytarzu pod biurem Debory Wallenburg, Milo znalazł u Hucka siepy z kieszeni, mocno ogryziony niebieski długopis Bic, trzy dziesięciocentówki, kwit parkingowy z LAX, żółtą samoprzylepną karteczkę z adresem na Washington Boulevard.

– Gdzie to jest, Travis?

– Kafejka internetowa.

– Mar Vista?

– Tak.

– Twoje łącze ze światem. Cisza.

– Nie masz żadnej gotówki?

– Wydałem.

– Debora obiecała uzupełnić. Cisza.

– Nie obciążasz się bagażem, przyjacielu – powiedział Milo.

Wzruszenie ramion.

– Gdzie twój dowód?

– Ee... zgubiłem.

– Na pewno.

– Wiecie, kim jestem.

– Zgadza się. – Milo pomachał kwitem parkingowym. – Będzie pasował do tego, który znaleźliśmy w lexusie Simona?

– Przepraszam – mruknął Huck.

– Za co?

– Że go tam zostawiłem.

– Żeby nas zmylić. Trochę czerstwa ta zmyłka, kolego.

– Przepraszam.

– To był twój genialny pomysł czy Debory? Za szybka odpowiedź:

– Mój. Zapłacę za holowanie.

Reed i ja patrzyliśmy przez weneckie lustro, jak Milo staje za Huckiem, a potem przed nim.

– Siadaj, Travis.

– Nie trzeba.

– Mimo to, siadaj. Huck posłuchał.

– Co jeszcze chcesz mi powiedzieć?

– Nic mi nie przychodzi do głowy, proszę pana. Milo zaczekał.

– Naprawdę.

– Dobrze, posiedź jeszcze chwilę... temperatura w porządku?

– Tak.

– Jak ci będzie zimno, weź koc.

– Dziękuję.

Milo wyszedł i dołączył do nas w przyległym pokoju. Szkło po drugiej stronie znaczyła mleczna smuga, jakiś zaschnięty płyn. Huck miał płamę bezpośrednio nad głową.

Człowiek pod chmurą.

Patrzyliśmy, jak siedzi. W końcu poszedł do kąta i się położył. Jedną ręką zakrył oczy, zwinął się w kłębek. Bardzo mały.

Moe Reed ziewnął.

– Nie ma to jak film akcji, żeby rozkręcić poranek. Po kilku sekundach Huck zasnął z otwartymi ustami.

– Bardzo spokojny jak na gościa rozdartego poczuciem winy –

zauważył Reed.

– Albo ucieka od rzeczywistości – odparłem.

– Może go wyrolowali, ale całkiem czysty to on nie jest.

– Myślę, że jego umysł działa inaczej.

– Czy nie o to chodzi, doktorze? To wariat, łatwo się wzbudza.

– Wiem, że oczywisty podejrzany z reguły jest tym właściwym, ale to, jak zostaliśmy doprowadzeni przez twojego brata prosto do Hucka, od początku nie dawało mi spokoju. Opowieść Hucka o nienawiści Simone do jej rodziny pasuje do pociętych zdjęć, które Aaron znalazł w śmieciach.

Jej kłamstwo, że nienawidzi Buddy'ego Weira, też zgadza się z tym, co Aaron widział. Tak samo jak fakt, że Simone i Weir łączą związek.

– Krew i zabawki. Też mi związek – prychnął Reed.

– Mała ilość jedzenia w śmieciach Simone potwierdza jej bulimię, tak samo wychowanie i masa ciała dziewczyny. Ogólnie historia Hucka wydaje się prawdziwa. A bez peruki Buddy Weir mógłby być tym łysym facetem, którego widziała sąsiadka Seleny. Lepiej też niż Huck pasuje do szarmanckiego, dominującego mężczyzny opisanego przez DeMaurę Montouthe. Weir spotkał Selene na orgii, dowiedział się, gdzie ona mieszka, bo się z nią umówił albo spytał Simone. Tak czy inaczej, bez problemu zabrał komputer. Ale zadbał, żeby zostawić zabawki znalezione w szufladzie.

– Łysym facetem równie dobrze mógł być Huck – skontrował Reed. –

Mówił, że Selena i Simone przyjechały rozchichotane, w dzinsach biodrówkach. Dla mnie to brzmiało, jakby pożałował ich obu. Taki gość nie dostaje, jeśli nie zapłaci. Pojawiają się dwie laski, myśli zaczynają mu krążyć coraz szybciej. W końcu nie wytrzymuje i bum. I jeszcze jedno, doktorze, on znów zapuszcza włosy. Doskonały pomysł, jeśli zamierzał

zniknąć. A w tym jest niezły.

– Ale zgłosił się dobrowolnie.

– Bo wiedział, że jesteśmy blisko.

– Twierdzi, że Simone ogoliła mu głowę – powiedziałem. – Doskonały ruch, jeśli planowała krycie Weira.

Reed potarł czuprynę.

– Tak mówi. Wszystko opiera się na tym, czy mu wierzymy.

– Weir generalnie nosi perukę – wtrącił się Milo. – Miał ją na głowie, kiedy płacił Duboffowi.

– Zapłata to inna rzecz – stwierdziłem. – Jaki motyw miałby Huck, żeby zabijać Duboffa? Kiedy wspomniałem mu to nazwisko, nie widziałem żadnej oznaki rozpoznania. Weir z kolei jest z Duboffem powiązany. Przekazywał mu pieniądze na parkingu. To musiała być zapłata za dostęp do

sekretnego ogrodu.

– Piętnaście kawałków za pikniki, a Duboff nie nabrał podejrzeń?

– Czyste LA. – Wzruszyłem ramionami. – Sala dla VIP-ów. Weir pasował do wyobrażenia Duboffa o hojnym darczyńcy: prawnik z Beverly Hills, popiera ochronę środowiska. Duboff pomyślał, że facet natłukł

forsy, dzieli się swoją radością. Biorąc pod uwagę dziurawy budżet naszego ekologa, musiał być wniebowzięty. I prawdopodobnie zaufał

Weirowi, kiedy ten go poinformował, że odkrył coś na temat morderstw.

– Zachodnia strona. – Milo pokiwał głową. – Dobra, jeśli coś tam się znajdzie, zmienię nastawienie.

– Otóż to – poparł go Reed. – Na razie, ja wolę Hucka.

– Można mnie oszukać tak samo jak każdego, ale nie wydaje mi się, żeby Huck był wystarczająco dominujący – powiedziałem. – Jeśli grał, czemu nie zakręcił się tak, żeby wyjść na czysto? W sensie: ja nic nie wiedziałem. Zamiast tego wyznaje, że podejrzewał nadchodzący wybuch przemocy, nie zgłosił tego, czuje się winny. Prawie was prosił, żebyście go aresztowali.

– Kolejny podstęp – rzucił Reed. – Gra na podwójne ryzyko: przedwcześnie wysuwamy oskarżenie, Wallenburg prawniczymi gierkami wydostaje faceta, nigdy więcej go nie widzimy.

Milo patrzył, jak aresztowany śpi.

– Huck... sam nie wiem. To naprawdę nie jest żaden cwaniak, Moe.

– Przygotowała go, poruczniku.

– Bez wątpienia. Ale są pewne granice. Ten gość... zniknął na lata, mógł nam uciekać jeszcze dłużej. Pytanie brzmi, czy uwierzyć, że Simone jest aż tak niegrzeczną dziewczynką?

– Ryzykując wprowadzenie psychologii... – zacząłem. Uśmiechnął się.

– Tak?

– Upodobanie do bólu, zadawania i doznawania, zgadza się z sytuacją Simone.

– Tnie się – powiedział Reed. – Rzekomo.

– Tnie się i głodzi, dorastała przy matce z problemami, miała ambicje, których nie udało się jej spełnić. To często prowadzi do poważnie zaburzonego postrzegania ciała i emocjonalnej drętwy. Czasami tacy ludzie potrzebują ekstremalnych bodźców.

– Nie czuje bólu, nie czuje też litości? – zagadnął Milo. – Mówimy tu o ogromnym okrucieństwie,



Alex.

– Aaron znalazł pocięte zdjęcie.

– Popelniła duży błąd, że mu nie zapłaciła – mruknął Reed.

– Założmy, że Simone poznała Selenę na orgii – powiedziałem. –

Zaczęła seksualne zabawy z nią i z Weirem, w końcu przedstawiła Selenę rodzinie. Znalazła przyjaciółce pracę i zyskała aprobatę ojca. Ale później, kiedy razem z Weirem opracowała plan, Selena stała się idealną ofiarą.

– Mieszka sama, odcięta od rodziny, może ma jakieś własne sekrety...

tak, chyba tak – zgodził się Reed.

– Ktokolwiek zabił Selenę, użył jej jako przynęty. Pierwsze trzy ciała były ukryte, ale jej zostawione na widoku. Anonimowy rozmówca podał

dokładne miejsce. Bardzo bym chciał zobaczyć billingi telefoniczne Simone i Weira. Hucka też. To by był duży krok do wskazania, kto ma brudne ręce.

– Są jakieś podstawy do nakazu udostępnienia billingów, poruczniku?

– Zadzwonię do Johna o ósmej.

– Kości w pudełku były kolejną podpowiedzią – rozważałem dalej. –

Gdybyście ich nie znaleźli, żadna strata. A odkrycie ich to kolejny krok w grze.

– Do tego zabawa częściami ciała mogła być fajna – zauważył Milo.

– To też.

– Uważa pan – zwrócił się do mnie Reed – że Selena zasadniczo kierowała nas do Vanderów.

– Którzy zniknęli – dodałem. – Tymczasem Simone zatrudnia Aarona, żeby oświecił nas na temat Hucka.

– Ten stoi w świetle reflektorów, a my orientujemy się, że Vanderowie zniknęli. Zaczynamy wyobrażać sobie hurtową psychomasakrę z Travisem w roli Pol Pota – podjął Milo. – On posłusznie daje nogę. Cholera, nawet gdyby się nigdy nie znalazł, podejrzenie nie padłoby na Simone ani Weira, a ona dostałaby sto trzydzieści milionów.

– Sto trzydzieści trzy – poprawił Reed. – Ale kto by tam liczył. Nie umiem sobie nawet wyobrazić takiej forsy.

– Założę się, że Simone umie – odparłem. – Zwłaszcza po tym, jak Weir wtajemniczył ją w szczegóły dotyczące majątku Vandera. Domyślam się, że plan wyklął się ponad rok temu. Może po tym, jak w trakcie

„zabawy” zamordowali DeMaurę Montouthe. Później zaczęli szukać innych dziewczyn z ulicy i narodziła się prawidłowość.

– Kto jest szefem: Simone czy Weir? – spytał Reed.

– Nie wiem. Weirowi przypuszczalnie chodzi tylko o pieniądze.

Simone chce czegoś więcej.

– Sto trzydzieści trzy duże bańki to niewystarczający motyw? – zdziwił się Milo.

– Oczywiście, że wystarczający – zauważyłem. – Ale dla Simone największą satysfakcją jest pozbycie się konkurencji. Ostateczny rozrachunek.

– Intruz, który wpełznął się przed nią do taty i jego kasy.

– Tata też. Za to, że ją porzucił.

– Co z Kelvinem?

– Konkurencyjny dziedzic i utalentowany – zauważyłem. – Geniusz, który daje koncerty, kiedy Simone nawet nie potrafi znaleźć sobie pracy.

Co doprowadza nas do odciętych dłoni i ciał skierowanych na wschód.

Teoretycznie to też mogły być fałszywe tropy: symulacja seryjnych morderstw maniaka. Ale czemu wybrano właśnie takie znaki charakterystyczne? To musi mieć jakąś wartość symboliczną.

– Złote dłonie Kelvina – podsunął Reed.

– Wyobrażam sobie, że dziewczyna myślała o tym w długie, zimne noce. Prawa dłoń gra melodię, Simone kończy koncert.

– A ułożenie na wschód to patrzenie na Azję, jak pan mówił – przypomniał Reed.

– Jeśli Huck nie kłamie, pogarda Simone ma podteksty rasowe.

– Urocza dziewczyna z tej naszej Simone – mruknął Milo.

– Jeśli ona rzeczywiście wymazuje nową rodzinę – powiedział Reed –

jakie jest prawdopodobieństwo, że maczała w tym palce jej matka?

– Nie sędzę. Kelly to przepełniona smutkiem, ale bierna kobieta. I uwielbia Hucka.

– Zła mała dziewczynka zakumplowała się z chciwym prawnikiem –

podsumował Milo.

– Jeszcze jednym – stwierdził Reed.

– Nie podziwiasz panny Wallenburg, Moses?

– Podziwiam jej samochody. Kiedy zaczniesz pociągać za sznurki, żeby wydostać stąd Hucka?

– Zgarnęliśmy go za wielokrotne morderstwo, zapomnij o sznurkach, Huck zostaje w areszcie śledczym. – Milo popatrzył przez brudną szybę.

Travis zamknął usta, ale nie zmienił pozycji.

Zapisała komórka Reeda. Kiedy zobaczył numer, jego twarz pojaśniała, ale stłumił radość, zrobił się niemal komicznie poważny.

– Cześć... naprawdę? O rany... niech zapiszę... słucham? Jasne. Potem, aha, dobrze. – Zaczerwienił się. – Słucham? – Zerknięcie na Mila. – To zależy, co powie szef... ee, ja też. Aha. Cześć.

– Niech zgadnę – odezwał się Milo. – Doktor Wilkinson chce nam przekazać miłe wiadomości, a do tego znów ma ochotę na indyjski obiad.

Rumieniec Reeda się pogłębił.

– Przyjechała na miejsce ze stażystami, użyli reflektorów. – Kolor odpłynął mu z twarzy. – Psy znalazły jeszcze cztery ciała, poruczniku.

– Kogo?

– Dwoje dorosłych Vanderów plus dwa zestawy kości, mocno przemieszane. Trudno stwierdzić, czy były obrócone w jakąś stronę, wszystkie ręce raczej na miejscu. Prawdopodobnie kobiety, jedna czaszka z pewnością jest Afroamerykanki, druga nie wiadomo. Simona i Nadine szybko zidentyfikowano. Niezbyt zaawansowany rozkład, byli wrzuceni daleko w głębi moczarów, ale zostawieni przy brzegu, w ubraniach, z portfelami w pobliżu. – Wziął głęboki oddech. – Brakuje im prawych dłoni, ułożeni na wschód. Do tego znaleziono kości kurczaka i coś, co wygląda na starą sałatkę coleslaw. Chyba faktycznie odbył się tam jakiś piknik.

– Żadnego śladu dzieciaka – Milo uniósł brwi.

– Może ktoś się zlitował.

– Albo wręcz przeciwnie, Moses. Reed się skrzywił.

– Coś jeszcze gorszego dla małego pana Złote Ręce? Cholera.

– Istnieje możliwość, że jego zwłoki są w bagnie, ale ich nie znaleźli?

– Ciągłe sondują, pójdzie łatwiej po świcie. Zrobili też drugi odlew odcisku buta, który opisał doktor Delaware, znaleźli parę innych tego samego obuwia. Wygląda jak adidas, ale niezwykle, nie krajowego.

Laboratorium obiecuje, że tak czy inaczej dziś wieczorem da odpowiedź.

– Rozrzucone kości – powiedziałem, wypychając z głowy obrazy Kelvina. – Te dwa ciała mogą być starsze od pierwszych trzech. Brak charakterystycznych znaków mówi, że Simone i Weir zaczęli od zabaw w wiązanie i zabijanie ofiar dla przyjemności. Kiedy wpadli w rytm, zaadaptowali swoje metody do olbrzymiego finansowego planu.

Naszą uwagę zwróciło poruszenie po drugiej stronie lustra. Huck odwrócił się do nas plecami. Zwinął się w ciaśniejszy kłębek, objął

ramionami.

– Myślisz, Alex, że on rzeczywiście zdoła coś jeszcze zrobić? Chodzi mi o obywatelski obowiązek.

– Jeśli jest niewinny, może się zgodzić.

– Mówimy facetowi o Vanderach? Żeby ocenić jego reakcję i dodać mu motywacji?

– Nie, jeśli poważnie chcesz go zwerbować – stwierdziłem. –

Emocjonalna burza to za duże ryzyko.

– To teraz go werbujemy? ~ spytał Moe Reed. Milo wskazał jego komórkę.

– Odpalaj sprzęt, Moses.

– Do kogo dzwonię?

– Do brata.

# 39

**Temat: wiesz co**

8:32

Od: rivrboat38@hotmail.com

Do: hardbod2673@tw.com

to ja. wiem wszystko mogę dochować tajemnicy, jeśli będzie mnie stać.

Temat: wiesz co

8:54

Od: rivrboat38@hotmail.com

Do: [hardbod2673@tw.com](mailto:hardbod2673@tw.com)

nie ma cie? to masz jeszcze godzinę...

Temat: wiesz co

8:54

Od: hardbod2673tw.com

Do: rivrboat38hotmail.com

gdzie jesteś?

9:56

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

nieważne, wymyśl jak wysłać 50 tys

10:11

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38

Żartujesz

10:15

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

nie slysze LOL. slysze zoltek zolta kurwa złote ręce. i dziewczyna od pianina i dziwki niby moja wina. nieładnie, hmm... nie 50 tys, 100 tys 10:18

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38

co???

10:22

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

dla ciebie nie problem czekasz na duzoduzoduzo, nie poczujesz, plac!!!

10:28

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38

musimy pogadać w realu.

10:34

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

nie wydaje mi się LOL załatwisz mnie jak innych? ty i peruka, teraz LOL widzisz? wiem.

10:40

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38

myślisz ze wiesz a nie wiesz, musimy się spotkać, bezpieczne miejsce dla ciebie, domek na plaży?

10:46

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

O na pewno twój teren może mnie od razu zastrzel

10:54

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38

Nie zostawiam więcej śladów w necie kasuje maile. Gdzie jesteś w jakiejś kafejce???

10:59

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

100. musze powtarzać???

Ok 100. 100!!!

11:04

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38

nie badz paranoikiem domek na plaży może być, dookoła otwarty piasek, pełno ludzi, co się może stać?

11:08

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

zostaw furtkę od pch otwarta o 7:30 dzisiaj wieczorem!!! nie przychodź

do 7:45. zostaw drzwi garażowe otwarte, żebym widział czy nie przyjechałaś pierwsza, albo peruka, odpływ jest około 8. przyjdź na linie przyływu najpóźniej 8:10. wez dużą torbę trader joe. papierowa, owiń w ceratę od wilgoci, przynieś wszystko!!!

11:12

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38

potrzebuje czasu żeby zebrać 50 tys ale pewnie ok. jak się opozni mogę pisać na ten adres?

11:16

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

pięćdziesiąt? LOL. sto. żadnych wymówek.

11:21

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38

uparty jesteś, sześćdziesiąt to maks czyszczę się do zera. uparty jesteś jak nie ty co się stało???

11:29

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

nie podoba mi się szesc dych. zasłużyłem na więcej ale ok chce tylko uciec, co się stało? ty pytasz?  
LOL. MEGA LOL!!!

12:05

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38

żadnego LOL. martwię się. badz ostrożny.

12:11

Od: rivrboat38

Do: hardbod2673

najlepsza ostrożność to. koniec rozmowy.

12:14

Od: hardbod2673

Do: rivrboat38



rozmowa pomaga na wszystko bede ok, obiecuje miedzy nami ciagle w porzadku prawda?

Cyberciska.

Moe Reed tłumaczył.

Siedział przed kanciastym biurkiem z przydymionego szkła. Aaron Fox słuchał.

Biuro Foksa było hermetycznie ciche.

Milo polecił Reedowi podsumować sytuację. W ramach szkolenia młodego detektywa.

A może chciał sprawić, żeby bracia zaczęli ze sobą rozmawiać?

Nie pytałem; nigdy by się nie przyznał.

Fox siedział z twarzą bez wyrazu.

– Mordercza mała dziwka – sapnął, kiedy Reed skończył. –

Wiedziałem, że to nic dobrego, ale nie aż tak. Jesteście pewni, że Huck da sobie radę?

– Nie – odparł Reed. – Ale on mówi, że tak.

– A to coś warte?

– Tylko jego mamy, Aaron, i będziemy go pilnować. To ona zaproponowała plażę, a to rzeczywiście otwarta przestrzeń.

– Może i otwarta – mruknął Fox. – Ale co ją powstrzyma, żeby go spłacić, a potem śledzić?

– Jeśli tak zrobi, będziemy gotowi.

Fox poprawił kołnierz białej, jedwabnej koszuli.

– Inna możliwość, to że Weir zaczął się na tarasie domu z karabinem z noktowizorem i rozwali biednego frajera. Zsynchronizuje strzał z przyływem, fala zagłuszy huk.

– Będziemy obserwować biuro i dom Weira – odparł Reed. – Jak się tam pojawi, to się zastanowimy.

Nie wspomniał, że Robin zadzwoniła do kancelarii Weira, podając się za chętną klientkę. Sekretarka zapisała jej wymyślone nazwisko i powiedziała, że pan Weir cały dzień ma spotkania, więc przekaże mu wiadomość.

– „Zastanowimy” w sensie „odwołamy”? – spytał Fox.

– „Zastanowimy” w sensie „zastanowimy”.

– La Costa to prywatny teren, Moses. Jak chcesz tam się dostać?

Reedowi nabrzmiała szyja.

– Co ty się nagle zrobiłeś taki ostrożny?

– Jestem realistą, braciszku. To daje większe szanse na długowieczność.

– Mamy dostęp od sąsiada. Zaparkujemy samochód po drugiej stronie PCH. Wszystko załatwione. Tak wygląda plan, Aaron. Decyzja należy do ciebie.

Fox przesunął palcem po obwodzie srebrnego, okrągłego zegara na biurku.

– Już czwarta... Skąd wiecie, że Weir tam nie pojechał i się nie zaczął?

– Pilnujemy, Aaron – wyjaśnił Milo.

– Dobra, dobra... Sąsiad w Malibu, tak? Macie niezłe towarzystwo. To ktoś, o kim słyszałem?

– Znajomy doktora Delaware'a – powiedział Reed.

Fox się przeciągnął. Błysnęły onyksowe spinki do mankietów.

– Chyba muszę się bliżej poznać z doktorem Delaware'em. Dobra, idę po zabawki.

– Ładny warsztat – ocenił Milo, kiedy Fox wyszedł. – Bije służbę publiczną na głowę.

Biuro Foksa znajdowało się na San Vicente przy Wilshire, w południowo-wschodnim rogu Beverly Hills. Na wystrój wnętrza składały się włoskie skórzane fotele, grafitowa gruba tkanina na ścianach, chrom, mosiądz, szkło i kubistyczne litografie. Budynek był dwupoziomowym bliźniakiem z lat dwudziestych, jedną z ostatnich pozostałości po poprzednim wcieleniu ulicy jako ślepego zaułka w rezydencjalnej okolicy.

Teraz otaczały go biura i firmy.

„Warsztat” Foksa był kiedyś sypialnią. Wielki i jasny, z widokiem na kaktusowy ogród, z wykładziną jako wygłuszenie. „Plac zabaw” – jego mieszkanie – znajdował się na piętrze, wchodziło się tam po spiralnych, tekowych schodach, prawdopodobnie wymontowanych z jachtu.

– Pewnie odpisuje cały budynek od podatku – stwierdził Reed. – Aaron odlicza, co może.

Fox wrócił z brązową, zamszową torbą, usiadł z powrotem za szklanym biurkiem. Wyłowił z torby czarne pudełko wielkości paczki papierosów, położył je, dodał coś, co wyglądało jak długopis, potem małe białe guziki połączone z kablem i wtyczką. Podobne kabelki wystawały jak spaghetti z innych urządzeń. Cały zestaw mógł się zmieścić w kieszeni spodni.

Ciemne dłonie Foksa przesunęły się nad sprzętem jak ręce kapelana błogosławiącego broń.

– Cały sprzęt w jednym miejscu, panowie.

– To wszystko? – spytał Milo.

– Plus mój laptop. Sygnał puszczonego przez interfejs, jedno naciśnięcie klawisza i mamy DVD dla potomności.

– Słodkie.

– Prywatna przedsiębiorczość. Milo wskazał małe, czarne pudełko.

– To odbiornik?

– Odbiornik i nadajnik – wyjaśnił Fox. – To... – dotknął białego guzika

– ...kamera. Nie pytajcie, ile kosztowała. Podczerwień, wysoka rozdzielczość, przechodzi przez ciemność jak nóż przez tłuszcz trans. –

Zręczne palce obróciły długopis. – Porządny mikrofon, ale prawdę mówiąc, bez rewelacji. Producent podaje zasięg sześćset metrów, moim zdaniem bliżej prawdy jest trzysta, czasami się zawiesza. Nowoczesna technika jest jak Kongres, obiecuje więcej, niż daje. Żeby osiągnąć najlepszy efekt, wasz gość musi stać od tego nie dalej niż trzy metry. Mam jeszcze jeden, trochę lepszy, ale jest wszyty w dżinsową kurtkę; jeśli dziewczyna mocno obejmie faceta, może wyczuć.

– Ile kabli będzie musiał założyć? – spytał Reed.

– Odbiornik idzie do kieszeni spodni, wytniemy niewielką dziurkę tutaj, puścimy kabel do długopisu w kieszeni koszuli, potem podmienię jeden guzik na ten i zainstaluję przekaźnik wideo. Któryś z was umie szyć?

Cisza.

– Świetnie, czyli jestem waszym krawcem. Niech ma na sobie koszulę z kieszenią i guzikami w tym samym kolorze co ten. I nie proście mnie nawet, żebym dał swoją. Są jakieś granice.

– Nosi niebieską z białymi guzikami – poinformował Reed. –

Nowiutką, dostał od swojej prawniczki.

– Wallenburg. – Fox pokiwał głową. – Myślałem, że siedzi w korporacjach. Co ona w ogóle do niego ma?

– To strasznie skomplikowane – odparł Milo. – Pracowałeś z nią kiedyś?

– Chciałbym... hej, może jak to wypali, szepniecie jej słówko, a ona podrzuci mi jakąś sprawę typu Enron–Worldcom.

– „Może jak”? – powtórzył Reed.

– Życzę wam jak najlepiej – powiedział Fox. – Ale sprzęt to jedno, a czynnik ludzki to drugie. Kiedy ja obsługuję te zabawki, ja kontroluję sytuację. Mam je na sobie albo zakładam któremuś ze swoich wolnych strzelców. Większość z nich ma legitymacje Stowarzyszenia Aktorów. Wy pracujecie z facetem chorym na głowę.

– Ma motywację – zaznaczył Reed.

– Dobre intencje i tak dalej?

– Droga do nieba – powiedział Milo.

– Skoro tak twierdzisz.

Travis Huck, kiedy usłyszał o planie, zupełnie się zmienił. Strach zniknął, szeroki uśmiech niemal ukrył krzywiznę ust. Zastanawiałem się, czy jego koncepcja nieba obejmuje wcześniejsze przybycie, ale nic nie powiedziałem. Po co?

– Jesteście pewni, że mam tylko siedzieć na dupie i monitorować sygnał? – spytał Fox.

– Tak jest– odparł Milo.

– A niech to.

– Jak tęsknisz za akcją, Aaron, zawsze możesz wrócić do prawdziwej pracy.

– Kurczę, że też na to nie wpadłem. Pewnie podliczenie mojego czasu, nie wspominając o ubezpieczeniu sprzętu przez departament, to mrzonka?

– Gwarantuję pełne pokrycie kosztu sprzętu z własnej kieszeni –

obiecał Milo. – A kto wie, jak wszystko pójdzie dobrze, może odzyskasz kasę, którą ci wisi Simone.

– Och, odzyskam, tak czy inaczej – zapewnił Fox.

Dziewiętnasta pięćdziesiąt, plaża La Costa, Malibu.

Świat się skurczył do rozmiarów dziewiętnastocalowego ekranu laptopa.

Zielonoszary świat, zabarwiony poświatą podczerwieni. W tle fale, huczące powolnym, prawie seksualnym rytmem.

Na linii przyływu stoi mężczyzna, bez ruchu.

Ja siedzę przy długim stole z antycznej sosny. Ze swojego miejsca widzę ekran pod kątem. Milo, na wprost laptopa, co chwila przysuwa do niego twarz, potem się cofa i pije kolejnego red bulla.

Aaron Fox zajmuje miejsce po jego lewej. Pije oszczędnie, niemal dziewczęco, ze swojej osobistej butelki wody źródlanej Norweski Fiord.

Między łykami żuje cynamonową gumę.

Moe Reed stoi w kącie i patrzy na ocean.

Stół ma dwa metry długości, jest nawoskowany, sękaty i poznaczony bliznami. Zajmuje prawie całą jadalnię domu dziesięć działek na północ od plażowego domku świętej pamięci Simona Vandera. Tak samo jak tamten, ten jest niewielkim piętrowym pudełkiem na słupach pokrytych kreozotem, wartym ośmiocyfrową sumę. W przeciwieństwie do drewnianego bungalowu Vandera ściany tego lokum otynkowano na szarawy błękit brzucha wieloryba, okna wymieniono na miedziowane, nierdzewne dwuskrzydłowe. W środku jest przytulnie, belkowany sufit, audiofilski zestaw grający i nowoczesny sprzęt wideo. Ściany pokrywa srebrnobiały gips, oszczędnie ozdobiony abstrakcyjną sztuką z rodzaju tych, o których ludzie żartują, że ich dzieci też tak potrafią malować.

Meble do tego wszystkiego nie pasują, pozostały z poprzedniego wcielenia domku jako „wiejskiej chaty plażowej”. Rattan, wiklina i proste, drewniane konstrukcje, wiele z nich to odrzuty ze sklepu ze starociami, stoją rozstawione niedbale na maszynowo tkanych orientalnych dywanach, nieco nadpleśniałych. Kuchnia z trudem mieści dwie osoby. Lodówka z nierdzewnej stali i blaty z fioletowego granitu to przesada.

Dzisiaj wystrój wnętrza się nie liczy. Podejrzewam, że nigdy się za bardzo nie liczy, skoro zachodnia ściana z rozsuwanych szklanych tafli oferuje widok na Pacyfik.

Drzwi są otwarte, ocean woła, dostrzegam gwiazdy nad tarasem.

Moje spojrzenie wraca na ekran.

Miniaturowy świat pozostaje nieruchomy. Dotykam gładkiej, woskowanej powierzchni stołu. Ładny; może rzeczywiście został

„uratowany” z klasztoru w Toskanii, jak twierdzi obecna mieszkanka domu.

To siostra właściciela, beztriosko żyjąca na jego koszt. Brat to wysiedlona angielska gwiazda rocka, teraz na trasie reunion w Europie.

Moe Reed mnie przypisał zasługę znalezienia domu, ale tak naprawdę załatwiła to Robin. Pracowała przy gitarach gwiazdora wiele lat temu, kiedy musiał jej płacić w ratach.

Dom na plaży znajduje się obok czterech rezydencji w jego portfo–lio nieruchomości: Bel Air, Napa, Aspen, garsoniera w San Remo, na Central Park West.

Siostra jest pięćdziesięcioletnią samozwańcą „asystentką producenta”. Ma na imię Nonie. Nie raczy przedstawić się nam z nazwiska, jakbyśmy nie zasługiwali na nic powyżej minimum. Wysoka, platynowa blondynka, opalona; krótka bluzka odsłania pępek, którego Nonie nigdy nie powinna być przekłuwać. Bardzo się stara wyglądać na trzydzieści lat, od dawna nie trudziła się niczym innym. Jej stanowisko jest władczo jasne: policjant stoi o krok wyżej od czyszciciela szamb, a Milo, Reed, Fox i ja powinniśmy bić pokłony co dziesięć sekund za przywilej korzystania z jej pożyczonej przestrzeni.

Brat nie pochwaliłby takiej oziębłości. Nazywa siostrę „nieznośnym pasożytem”. Kiedy Robin dodzwania się do niego w Lizbonie, od razu godzi się udostępnić dom.

– Dzięki, Gordie.

– Zapowiada się ekscytująco, skarbie.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie.

– Co... ach tak, jasne. Tak czy inaczej, jest twój, na ile chcesz. Dzięki za oczyszczenie przystawki pod mostkiem w tele. Właśnie zagrałem na nim przed siedemdziesięcioma ośmioma tysiącami ludzi i po prostu śpiewał.

– To świetnie, Gordie. Przekażesz Nonie, że przyjedziemy?

– Od razu zadzwoniłem, kazałem jej współpracować. Jak będzie robić kłopoty, powiedzcie jej, że zawsze może wrócić do swojej nędznej nory.

Mimo telefonu Gordiego Nonie postanawia się ponaprzykrzać. Milo wybiera podejście bardziej dyplomatyczne, niż proponował Gordie; słucha cierpliwie, kiedy kobieta wymienia nazwisko po nazwisku, odrzuca włosy, pije brandy, żałośnie usiłuje załsnąć odbitym blaskiem sławy brata.

Kiedy przerywa, żeby złapać oddech, Milo napomyka o stole z Toskanii, chwali jej gust, ale tak, żeby nie przesadzić. Chociaż wcale nie powiedziała, że to ona go znalazła.

Nonie patrzy podejrzliwie, ale w końcu przekonuje ją upór Mila i jej własna potrzeba czucia się ważną.

W odpowiedniej chwili Milo daje Nonie sto dolarów i prosi, żeby wyszła dla własnego

bezpieczeństwa, niech zje dobrą kolację na koszt LAPD. Pieniądze pochodzą z jego własnej kieszeni. Blondyna wbija wzrok w gotówkę.

– Tam, gdzie ja chodzę, to wystarczy na drinki.

Milo dokłada kilka banknotów. Nonie przyjmuje je z miną wielkiego poświęcenia, bierze swoją torebkę Marca Jacobsa, zakłada szal Prady, idzie do drzwi, stukając obcasami Manolo.

Moe Reed odprowadza kobietę do jej priusa. Czeką, aż Nonie beztrąsko skręci w prawo na Pacific Coast Highway, ledwie uniknie zderzenia z nadjeżdżającą terenówką i zniknie przy wtórze chóru klaksonów.

Zanim Reed wróci do domu, patrzy na południe, chociaż nie ma nadziei zobaczyć detektywa Seana Binchy'ego sto pięćdziesiąt metrów dalej, siedzącego w nieoznakowanym sedanie przed zamkniętą pizzerią. Na fotelu pasażera stoi tani laptop, zaprogramowany na wyświetlanie tego samego sygnału wideo, który Aaron Fox przesyła do swojego komputera.

Zmuszenie „cholernego złomu” do współpracy to jak dotąd największa przeszkoda. Aaron Fox wesoło określa służbę publiczną „dziadostwem”, zanim w końcu osiąga cel. Nawet po nawiązaniu połączenia transfer jest nierówny, dźwięk zagłuszany przez ruch na PCH.

Binchy dostał laptopa od Mila o osiemnastej, kiedy przyjechaliśmy do Gordiego, obserwował już dom Vandera od godziny. Nikt nie wchodził ani nie wychodził, a drzwi garażowe zostały otwarte, zgodnie z poleceniem Trávisa.

Huck stoi na piasku.

Wybija ósma. Mija.

Ósma pięć, dziesięć, dwanaście... zastanawiamy się już, czy plan w ogóle wypali.

Otwarte drzwi garażowe to dobry znak i tego się trzymamy.

Ósma piętnaście. Huck wydaje się nieporuszony. Potem przypominam sobie, że nie nosi zegarka.

W końcu to się staje, o ósmej szesnaście, nagły wstrząs jak atak serca.

Moe Reed zauważa pierwszy. Wskazuje ekran, niemal unosi się z fotela.

Simone Vander zmaterializowała się na plaży. Znikąd.

Kamera w guziku Trávisa Hucka chwytą jej smukłą postać sunącą do przodu.

Kojarzy mi się z syreną wyłaniającą się z oceanu.

Kiedy podchodzi bliżej, torba w jej ręku nabiera kształtu. Duża, papierowa, logo Trader Joe. Wszystko zgodnie z planem, na razie jest okej.



Simone ma suche ubranie. Cud chodzenia po wodzie?

Chuda dziewczyna, włosy trzepoczące na wietrze. Idzie wzdłuż plaży.

Bose stopy wtapiają się w piasek. Kroczy pewna siebie, bogata panna przyzwyczajona do prywatnych plaż, wyluzowana, macha torbą, beztroska.

Huck stoi.

– Skąd ona się wzięła, do cholery? – pyta Milo.

– Nie wiem – odpowiada Aaron Fox. – Kamera jest świetna z bliska, ale z pewnej odległości traci ostrość.

Jakby ilustrując jego słowa, Simone zbliża się na pięć metrów do Hucka, patrzy na niego, zatrzymuje się i jej rysy twarzy nabierają ostrości.

Jest może odrobinę bardziej spięta, niż sugerowałby swobodny krok.

Zielonkawość ekranu nie pomaga. Kości bardziej wydatne niż zapamiętałem.

Ale wciąż ładna dziewczyna.

Wybrała typowy strój kalifornijskiej laseczki: obcisłe džinsy biodrówki, ciemna krótka bluzka odsłaniająca napięty jak bęben brzuch, bransoletki, wielkie koła w uszach.

Dwa kolczyki w pępku. Wiatr zwiewa włosy z lewego ucha, ukazując lśniący w chrzątce samotny brylant. Obraz jest aż tak wyraźny.

Huck się nie rusza i przez kilka sekund Simone też nie.

– Travis. – Dźwięk jest lekko zniekształcony; a głos wydaje się wysoki, odległy, stłumiony. Jakby mówiła z ustami pełnymi bitej śmietany. Albo krwi.

– Simone.

– Dokąd pojedziesz?

– Nieważne.

Simone się uśmiecha, podchodzi bliżej, macha torbą.

– Biedny Travis.

– Biedny Kelvin. Uśmiech Simone zamiera.

– Twój mały koleżka.

– Twój mały braciszek.

– Przybrany braciszek – poprawia.

– Braciszek żółtek.

Simone się wzdryga, mruży oczy i nieruchomieje. Usiłuje zgadnąć, gdzie on to słyszał.

– Nie wiedziałam, że jesteś rasistą – odpowiada.

– Ty tak mówiłaś, Simone. – W głosie Trávisa coś się zmieniło. Jest niższy. Bardziej zduszony.

Fox to wychwytuje.

– Facet się chyba wzbudził. Jak się na nią rzuci, jesteśmy za daleko, żeby coś zrobić.

Milczenie.

– Śledziłaś mnie – mówi Simone Vander.

– Tak.

Śmieje się z tego bezwstydnego wyznania.

– Pieprzyłam się z tobą cztery razy, a ty nie możesz o tym zapomnieć.

– Pięć.

– Cztery, ofermo. Pierwszy raz to był żart. Trzeba go wsadzić, zanim się spuścisz, żeby to nazwać pieprzeniem.

Śmieje się głośniej. Jej okrutną wesołość zmiękcza szum nadpływającej fali.

Podchodzi bliżej do Hucka.

– Jesteś żalonym palantem, Travis.

– Wiem.

Jego beznamiętna zgoda ją rozwściecza; dziewczyna mruży oczy, które zmieniają się w chirurgiczne nacięcia. Zatrzymuje się, lekko zapada w piasek, zmienia pozycję i staje wyżej. Torba zatacza szersze łuki.

– Myślisz, że uciekniesz przed tym, jeśli przyznasz, że jesteś żalony?

Co to ma być, jakieś pierdoły z odwyku?

Huck nie odpowiada.

– Półmózg, debil, wypalony duży dzieciak. Nie wyobrażaj sobie, że możesz ze mną zadzierać, Travis. Jestem tu tylko dlatego, że mi cię żal, rozumiesz? I wiesz, co zrobisz, kiedy tylko dostaniesz moje pieniądze?

Cisza.

– Zgadnij, debilu. Cisza.

Simone odrzuca włosy, chwytając torbę obiema rękami.

– Zgarniesz całą kasę co do grosza i od razu wciągniesz ją nosem albo wstrzykniesz sobie w żyłę. Może nam obojgu dopisze szczęście i przedawkujesz. Jak myślisz, skarbie? Czy to by nie było dobre rozwiązanie dla wszystkich?

Huck nie odpowiada. Ocean huczy.

Zastanawiam się, czy się poci. Moe Reed tak. Milo też. Pod pachami białej, jedwabnej koszuli Aarona Foksa pokazały się ciemne kręgi. Włosy mam wilgotne, w ustach mi zaschło. Nadchodzi kolejna fala, wielka, załamuje się z hukiem.

– Do dzieła, Travis – nakłania Simone. – Jak mówi Nike. Przedawkuj i uwolnij wszystkich od nieszczęścia.

– Dlaczego to zrobiłaś, Simone? Śmieje się.

– Dlaczego się z tobą pieprzyłam? Dobre pytanie, martwico mózgu.

– Dlaczego ich pozabijałaś?

Dziewczyna nie przyznaje się ani nie zaprzecza. Zerka za Hucka, jakby spodziewała się towarzystwa. Wszyscy czterej sztywniejemy. Mijają chwile.

– Wszystkich – mówi Huck. – Kelvina. Jak się do tego doprowadziłaś?

Śmiech Simone jest nagły, ostry, drażniący.

– Wiesz, jak lubię porządek, skarbie. Przychodzi pora, śmieci trzeba się pozbyć.

Huck milczy. Oszołomiony. A może dość bystry – po doświadczeniach pacjenta terapii – by wykorzystać ciszę.

Simone macha torbą. Wypina pierś, jakby chełpiła się swoim mizernym biustem.

– Nigdy nie przestaje – szepcze Aaron Fox. – Kiedy się z nią widziałem po raz pierwszy, to był sam seks.

– Fajne spotkanie, ogierze, ale kończmy już – mówi Simone. Huck nie odpowiada. Dziewczyna

sprawia wrażenie, jakby zainteresował ją ocean.

– Co, nie dość, że jesteś głupi, to jeszcze ci mowę odebrało? Cisza.

– Powiedz coś, gościu, nakręcaj ją– sugeruje telepatycznie Fox. Zęby ma zaciśnięte, cała jego pyszałkowatość zniknęła i zaczynam widzieć, jaki był, kiedy pracował w wydziale zabójstw.

Simone podchodzi bliżej do Hucka. Nieruchomy obraz z kamery w guziku mówi, że Huck się nie porusza.

Nie drgnął, odkąd postawiliśmy go na plaży.

– Ot, tak – mówi.

– Jak?

– Płacisz mi, jesteś wolna od grzechu.

– Grzechu? – powtarza Simone. – A co to, kurwa, jest?

– Szóste przykazanie.

– Co... a, tak, nie będziesz bla, bla, bla.

– Wszystko dla pieniędzy – kontynuuje Huck ze współczuciem w głosie.

– Nie ma nic piękniejszego.

– Tu chodziło o coś więcej. Byłaś zazdrosna o Kelvina. Zawsze.

– Zazdrosna – powtarza Simone, jak trudne słowo w obcym języku.

– On ma talent. Ty problemy.

Simone patrzy prosto w kamerę. Jej pierś unosi się ciężko i opada.

Uśmiech.

– Wiesz, jaki mam problem, Travis? Taki, że stoję tu z cholernym palantem, żeby dać mu pieniądze, które wciągnie nosem albo załaduje sobie w kanał. Dlatego kończ to gadanie, zawsze chciałeś gadać.

– Byłaś dla mnie miła, żeby mnie wystawić.

– Miła?

– Udawałaś.

– Skarbie, jesteś taki łatwo wystawialny.

- Żebyś mogła posprzątać w domu.
- Pozamiatać, wytrzeć, odkurzyć – nuci.
- Tata dał ci wszystko, Simone. Mogłaś to mieć, nie zabijając ich.
- Naprawdę? – drwi Simone. – Wszystko dla mnie i nic dla niej? Jesteś debilem.
- Wystarczyłoby dla każdego, Simone. Simone wciska mu torbę.
- Bierz to i się, kurwa, zamknij.

Maleje w oku kamery. Huck cofa się o krok.

- Bierz to!

Milo nachyla się do przodu.

- Dawaj – mruczy Moe Reed. – Dawaj, dawaj.
  - Ale ty chciałaś całe złoto dla siebie – ciągnie Huck. Simone uśmiecha się pod nosem.
  - Dostałam całe złoto. Palancie.
  - Dziecko, Simone. Przytulałaś Kelvina, całowałaś i głaskałaś po włosach. Obejmowałaś Nadine. A teraz to żółtki?
  - To zawsze były żółtki...
  - Całowałaś ich. Głośny śmiech.
  - Jak w mafii, w Ojcu chrzestnym. Dostajesz pocałunek, a potem cię rozwalają.
  - Łatwo było, Simone? Patrzyłaś im w oczy? Patrzyłaś Kelvinowi w oczy?
- Simone śmieje się głośniej.
- O co to wielkie halo? Każdy umiera tak samo.
  - Mów dalej – naciska Milo.
  - Patrzyłaś mu w oczy – mówi Huck.

– Oczy się zmieniają– szepcze głośno Simone, a jej spojrzenie staje się rozmarzone. – To wygląda, jakby gasło światło. Nic się z tym nie może równać. – Znow wypręży piersi. – Patrzyłam, jak światło gaśnie w jej oczach, i miałam orgazm.

Milo wymachuje pięścią.

– Mamy ją!

Simone upuszcza torbę na piasek.

– Tu jest to, czego chcesz. Niemiłego życia. Kamera ani drgnie.

– Co, myślisz, że cię roluje, palancie? Chodź, zobacz.

– Co z nimi zrobiłaś, Simone?

– Zjadłam– odpowiada.– Z bobem i chianti... co zrobiliśmy?

Wsadziliśmy im dynamit w dupę, kogo to obchodzi? Zabieraj to i pełzaj jak robak, którym jesteś.

Nachyla się, wkłada do torby rękę, wyciąga plik pieniędzy.

Rzuca banknoty.

Huck ani drgnie. Forsa ląduje na piasku.

Simone się gapi.

– Co?

– W porządku – mówi Huck. – Zostaw je i idź. Dziewczyna mu się przygląda.

– Zostaw je i idź – powtarza Huck. – Życzę ci takiego życia, na jakie, według siebie, zasługujesz.

– Co to, jakaś klątwa? – pyta Simone. – Od ciebie klątwa do błogosławieństwo.

Odwraca się. Zatrzymuje, znów odwraca. Wsadza rękę do torby i wyjmuje z niej coś, co nie jest pieniędzmi. Długie i wąskie; unosi ramię.

– O cholera! – krzyczy Fox, kiedy Simone rzuca się na Hucka. Kamera łapie jej oczy, rozpalone i lodowate zarazem. Pustkę na twarzy, kiedy dźga nożem.

Ręce Hucka błyskawicznie wystrzeliwiają przed kamerę, kiedy sięga po broń.

Simone dźga, przekręca, chrząka, tryska krew.

Huck milczy, kiedy ona go dźga, raz za razem.

Milo biegnie do tarasowych schodów prowadzących na plażę. Reed tuż za nim, po chwili go wyprzedza.

Aaron Fox gapi się na ekran.

Dostrzegam wyraz jego twarzy, kiedy ruszał pędem za Milem i Reedem.

W tej chwili nikt by nie uwierzył, że to był kiedykolwiek pewny siebie, elegancki mężczyzna.

Odgłosy z ekranu, mokre, łomoczące, natarczywe, wypełniają moje uszy, aż dotykam stopami piasku.

Kiedy docieramy na miejsce zdarzenia, Huck siedzi na piasku, po turecku jak jogin. Spokojnie patrzy na krew płynącą z jego dłoni, ramion i piersi.

Simone leży rozciągnięta kilka kroków dalej, tuż na skraju wody, z płaskim brzuchem wystawionym do księżyca; dwa kolczyki migoczą.

Nóż sterczy z boku jej szyi. Kuchenny, z drewnianą rączką i długim ostrzem. Ciało jest skręcone, jakby w próbie ucieczki. Oczy białe i matowe.

Moe Reed wyhamowuje przy Simone na piasku niczym bejsbolowy łapacz. Sprawdza puls, niepotrzebnie.

Wstaje, kręci głową, dołącza do Mila obok Tralisa Hucka.

Milo dyszy po biegu. Usiłując dotrzymać kroku Reedowi, zdołał

zadzwoić po karetkę.

Razem z Reedem opatrują Hucka, drą swoje koszule na opatrunki. Po chwili podkoszulka Mila i szeroka naga pierś Reeda są pochłapane krwią.

Huck wydaje się rozbawiony całym zamieszaniem.

Na piasku leżą dwa pliki pieniędzy. Później odkryjemy, że to jedno–

dolarówki, po obu stronach zakryte dwudziestkami.

Siedemdziesiąt dolarów w każdej.

Zjawia się Aaron Fox, rozgląda. Podchodzi do ciała Simone, jego mina mówi, że to coś obcego i oślizgłego, co wyrzuciło morze.

Twarz dziewczyny obmywa fala, zostawiając cienką warstewkę piany, która znika w miarę pękania banieczek w ciepłym nocnym powietrzu.

W sąsiednich domach nie zapaliło się żadne światło. To weekendowe działki. Do rana ocean spierze krew, ale teraz piasek jest grząski.

Fox i ja stoimy z boku. Milo i Reed w milczeniu, idealnie zgrani, redukują tryskanie do sączenia. Huck robi się blady, potem szary, zaczyna tracić przytomność.

Milo go podtrzymuje, a Reed bierze za rękę.

– Trzymaj się, stary – dodaje otuchy młody detektyw. Huck patrzy na trupa Simone. Porusza ustami.



– A–e–a...

– Cicho, synu – uspokaja Milo.

Huck ani na chwilę nie odrywa wzroku od Simone. Wzrusza ramionami. Broczy.

– Nie szarp się – szepcze Moe Reed. Huck coś mamrocze.

– Ćśś – mówi Milo.

Huckowi opada głowa. Oczy się zamykają.

Zmusza się do uformowania słów.

– Znów to zrobiłem.

Myślę o tym, kiedy moją uwagę zwraca jakieś poruszenie w domku na plaży.

Przelotny ruch w dole, gdzie żarówka zamontowana pod tarasem rzuca słabe światło na słupy i gródź pod głównym budynkiem.

Coś się przesuwa. Nikt inny tego nie dostrzega. Podchodzę.

Ponton zodiak wisi na łańcuchach pod belką. Za nim drzwi, nieco uchylone, wycięte równo ze sklejką, którą obito gródź.

Nie ma zamka, to jakiś schowek, pewnie otworzył go wiatr.

Ale dzisiaj nie wieje. Może jest otwarty już od jakiegoś czasu.

Przechodzę między słupami, czuję zapach soli, smoły i mokrego piasku. Wślizguję się pod taras jak do jaskini. Zodiak jest nadmuchany.

Inne rzeczy zwisają z belek jak kielbasy w sklepie. Metalowa łódka wiosłowa, dwa komplety wiosel. Stary szyld coca-coli, zardzewiały niemal nie do poznania, przybity do wykrzywionego legara.

Zbliżam się do drzwi. Są tak wąskie, że ledwie można się przez nie przecisnąć. W środku żadnego ruchu ani światła. Schowek może być głęboki ledwie na kilka kroków, na ile pozwala gródź.

Drzwi uchylone przez wiatr, kto wie, jak dawno.

Otwieram je na oścież.

Staję na wprost czarnej ósemki.

Podwójna lufa strzelby. Nad morderczą rurą twarz, miejscami obwisła, gdzie indziej nienaturalnie napięta.

Bezwłosa. Bez brwi, bez rzęs.

Zmieniona w maskę przez słabe, boczne światło.

Łysa głowa, jasne oczy. Ciemna koszulka i dres, ciemne adidas.

Na palcu przyklejonym do spustu – duży pierścień z brylantem.

Ten fragment łoża strzelby, który widzę, jest lśniący i ładnie usło–jony.

Grawerunki na metalu czynią z broni dzieło sztuki. Zupełnie inny poziom niż zabójcze narzędzie mojego ojca.

Jedna z kosztownych zabawek, których Simon Vander się pozbył na prośbę drugiej żony.

Pierścień z brylantem podskakuje, kiedy Buddy Weir poprawia palec na spuście.

– Spokojnie – mówię.

Weir oddycha przez usta. Teraz to on się poci. Miękki mężczyzna o wąskich ramionach, śmierdzący siarczanym strachem.

Bardziej niebezpieczny niż gdyby był wściekły.

Jasne oczy patrzą nad moim ramieniem na scenę na plaży. Wygląda, jakby miał się rozpłakać.

Pierścień znów skacze. Lufa się przybliża, zatrzymuje centymetry od mojego oka.

Ogarnia mnie dziwne, cudowne odrętwienie, kiedy słyszę swój głos.

– Złe oko – mówię. Zmieszany Weir zatrzymuje rękę.

– Jesteś praworęczny, ale możesz być lewooki. Zamknij jedno, potem drugie, zobacz, przy którym moja twarz będzie bardziej skakać. Poza tym przestań się szarpać ze strzelbą, broń tego nie lubi, obejmij ją, przytul, zlej się z nią w jedno, dalej, mrugnij, sprawdź oczy.

Mina Weira jest pełna pogardy i wyższości, ale jego oczy mimowolnie ulegają namowom i strzelba się chwieje.

Robię unik, uderzam przeciwnika z całej siły nisko w brzuch, poprawiam najstraszniejszym kopniakiem, na jaki mnie stać, trafiam w krocze. Sapie, składa się w pół, strzelba mierzy w górę.

Grzmot.

Drewno idzie w drzazgi.

Weir wciąż cierpi, kiedy wkładam wszystkie siły w uderzenie obiema rękami w jego kark.

Pada na piasek. Wciąż trzyma strzelbę.

Nadeptuję na rękę, łamię kości, wrywam broń.

Piękna strzelba do rzutków, prawdopodobnie włoska. Drewno to wspaniały orzech, grawerunki – sceny przedstawiające renesansowych myśliwych podchodzących mityczne bestie.

Weir jęczy z bólu. Potem się dowiem, że jego kość łokciowa trzasnęła jak szkło; ręka już nie odzyska dawnej sprawności.

Patrzę, jak ofiara się wije, pozwalam sobie na chwilę satysfakcji, do której nigdy się nikomu nie przyznam.

Milo słyszy wystrzał, przybiega z pistoletem w dłoni.

Odwraca Weira, skuwa mu ręce i nogi kajdankami, w tym samym momencie przyjeżdża pogotowie z Malibu.

Jeden samochód, jedno nosze. Travis Huck dostaje pierwszeństwo.

Weir cierpi.

Podczas krótkiej przerwy w jego zawodzeniu wyłaniam jakiś odgłos.

Od strony grodzi.

Słabe, wstydlive stukanie. Wyższa fala by je zagłuszyła.

Milo też to słyszy. Z bronią w ręku wskazuje drzwi, przystaje, zagłada, znika.

Idę za nim.

Chłopiec jest oparty o betonowy blok. Smród odchodów, moczu i wymiocin zwała z nóg. Owinięto go czarnymi workami na śmieci, związane nylonowym sznurkiem jak baleron. Na oczach ma opaskę z czarnego muślinu. Gumowa kulka w jego ustach jest jaskrawopoma–

rańczowa. Nozdrza drożne, ale obsmarkane. Głowa ogolona.

Kopie małymi, bosymi stopami w sklejkową ścianę schowka.

Pół metra kwadratowego; skazani mordercy mają więcej miejsca.

Pospiesznie uwalniamy dziecko. Milo jest szybszy, woła do niego po imieniu, mówi mu, że jest bezpieczny, że już wszystko dobrze. Kiedy ściąga opaskę z ciemnych, skośnych oczu, Kelvin Vander na nas patrzy.

Bez łez.

W innym świecie.

Dotykam delikatnego policzka. Chłopiec krzyczy jak szop złapany w sidła.

– Już dobrze, synu – mruczy łagodnie Milo. – Nie ma się czym martwić, jesteś bezpieczny.

Spojrzenie Kelvina wwierca się w oczy Mila. Uważne, bystre. Na twarzy widać ślady palców, opuchliznę, skaleczenia. Ma obie dłonie.

– Wszystko będzie w porządku, synu – mówi Milo i odwraca się od chłopca.

Żeby ukryć kłamstwo.

Sprawa zamknięta. Duża sprawa. Komendant okazał zadowolenie.

Albo jakiś jego rozsądny zamiennik.

Praca zastępcy prokuratora okręgowego Johna Nguyena dopiero się rozpoczynała, ale on też się uśmiechał. Mimo całego swojego knucia i planowania Simone Vander i Buddy Weir zostawili uroczy trop: ponad rok rozmów telefonicznych i jeszcze jeden wynajęty schowek, w samym sercu West LA, grzecznie opłacany co miesiąc osobistym czekiem Weira.

Wewnątrz znajdowały się kolejne gry i papiery poświadczające uczestnictwo Weira w krajowych zawodach w Scrabble, backgammo–nie i brydżu. Wyciągi kart kredytowych dokumentujące comiesięczne wycieczki do Vegas, często z Simone. Wygrane Weira w blackjacku i pokerze na pierwszy rzut oka przewyższały przegrane – ludzie Ngu–yena, wciąż grzebiący w finansach Weira, jeszcze nie dotarli do wszystkich szczegółów.

Jeden miły detal: odciski butów z zachodniej strony bagna odpowiadały parze butów Legnani za sześćset dolarów, znalezionych w garderobie domu Weira w Encino.

W schowku znajdowały się także trzy polerowane drewniane szkatułki, podobne do tej, w której leżały kości palców. Każda zawierała kupkę zdjęć.

Weir i Simone w całej krasie sado–maso.

Kobiety, w sumie pięć, częściowo ubrane, potem nagie. Trzy z nich to Sheralyn Dawkins, Lurlene „Duża Laura” Chenoweth i DeMaura Montouthe. Pozostałe dwie fenotypem odpowiadały kościom znalezionym po zachodniej stronie bagna, ale ustalanie ich tożsamości trwało dłużej. Z

pomocą obyczajówki Milo i Reed w końcu zidentyfikowali je jako Mary Juanitę Thompson, lat dwadzieścia dziewięć, i June „Biedronkę” Paulette, lat trzydzieści dwa, prostytutki z okolic lotniska. Odkrycie nie zdobyło ani sekundy zainteresowania mediów, departament nie zwołał też konferencji prasowej.

Fotograficzne świadectwa kontaktów każdej z ofiar z Weirem i Simone okazały się sekwencją tak stereotypową, że musiała być zaplanowana: wstępna wymiana gotówki, dobrowolny udział, kneblowanie, wiązanie, śmierć przez uduszenie. Zbliżenie na ogrodowy sekator z zielonymi rączkami, czasem w dłoni Weira, czasem Simone.

Kości.

Milo był za mądry, żeby się cieszyć ze „szczęśliwego zakończenia”, ale po telefonie, z biura komendanta, żeby zajął się kolejnymi pięcioma wystygłymi sprawami, zaczął filozofować i zrzedzić.

Moe Reed wystąpił o przeniesienie do West LA, ale rozkaz zrobienia czegoś w sprawie zniknięcia Caitlin Frostig zatrzymał go w Venice.

Zadzwoił i spytał, czy mógłbym mu pomóc.

Zgodziłem się spotkać i przejrzeć tę sprawę, ale moją uwagę pochłaniało coś innego.

Któregoś dnia, kiedy jechałem na komisariat ze swoim oświadczeniem w sprawie morderstw z moczarów, zauważyłem Reeda – szedł za rękę z doktor Liz Wilkinson. Oboje się śmiali. Aż do tej chwili nie widziałem, żeby młody detektyw się chociaż uśmiechnął.

Tego samego wieczoru zabrałem Robin na kolację do hotelu Bel–Air.

Założyła perłę.

Travis Huck spędził dwa miesiące w Cedars–Sinai. Większość ciosów nożem rozcięła mięśnie, kilka uszkodziło nerwy, wynikiem czego były nieustępujące osłabienie i ból. Przez głębokie rany lewa ręka prawdopodobnie miała być już do końca bezużyteczna i podatna na zakażenia. Lekarze wywołali widmo amputacji, a doktor Richard Silverman, dyrektor ostrego dyżuru, nie odegnał tej ponurej wizji.

Rick, poproszony przez Mila, żeby mieć oko na postępy Hucka, powiedział, że pacjent fizycznie dochodzi do zdrowia.

– Ale nie wyczuwam go psychologicznie, Alex. Zachowuje się trochę niestosownie, prawda?

– Uśmiechy – powiedziałem.

– Właśnie. Nieważne co. Nawet po tym, jak odmówił środków przeciwbólowych.

– Dla niego to mógł być najlepszy wybór.

– Może i tak, ale to go musi boleć.

Kiedy odwiedziłem Hucka, był spokojny. Twarz miał tak rozluźnioną i błogą, że niemal zniknęło jej wykrzywienie. Pielęgniarki okrzyknęły go swoim ulubionym pacjentem. Na ruchliwym oddziale to oznacza posłusznego.

Dużo oglądał telewizję, przeczytał dwa razy wszystkich siedem tomów Harry ‘ego Pottera, zjadł trochę owoców i słodczy, które przysłała mu Debora Wallenburg, większość rozdał.

Wallenburg zaoferowała swoje usługi w procesie Buddy’ego Weira.

John Nguyen z szacunkiem odmówił. Zwierzył mi się, że prawdopodobnie

„zniszczył swoje szanse wejścia w korporację”.

Któregoś razu, idąc do pokoju Hucka, natknąłem się na Kelly Vander i Larry’ego Brackle’a. Na mój widok Kelly zarumieniała się ze wstydu i szybko mnie wyminęła. Brackie przystanął, wyglądał, jakby chciał

porozmawiać.

Uśmiechnąłem się.

Pobiegł za Kelly.

Szpitalny ochroniarz, który w wolnych chwilach siedział pod drzwiami Hucka, podszedł pospiesznie.

– Dzień dobry, doktorze. Kiedy mi się przedstawiła, nie chciałem wpuścić. – Wskazał kciukiem za siebie. – Pan Huck powiedział, że można, więc przeszukałem jej torebkę, nie znalazłem nic podejrzanego.

– Jak długo byli w środku? – spytałem.

– Dwadzieścia minut. Nasłuchiwałem, doktorze, żadnych problemów.

Raz zajrzałem do środka, nie widzieli mnie. Ona trzymała pana Hucka za rękę. Pod koniec trochę popłakała i chyba on ją prosił, żeby mu coś wybaczyła, a ona mówiła, że nie, że to ona potrzebuje wybaczenia. Potem oboje się popłakali.

– Co robił ten drugi pan?

– Tylko siedział. Podziękowałem mu i uchylilem drzwi.

Huck leżał na plecach, spał spokojnie. Nie obudził się, kiedy przeglądałem jego kartę i rozmawiałem z fizjoterapeutą. Wyszedłem i pojechałem do drugiego szpitala.

W Centrum Rehabilitacji Western Pediatrics Kelvin Vander przebywał

w prywatnym pokoju, pilnowany całą dobę przez prywatnych detektywów wynajętych przez Aarona Foksa. Jedna trzecia należności za każdą godzinę ich pracy przelewana była prosto na konto Aarona.

Nowi prawnicy Kelvina płacili z przyjemnością. Własne stawki godzinowe ściągali z siedmiocyfrowego konta Vanderów. Majątek wyceniono na ponad sto siedemdziesiąt milionów. Sędzia sądu rodzinnego wyznaczony do ochrony interesów Kelvina obiecał dbać o jego pieniądze.

Gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli, ograniczyłby roczne pobory prawników do miliona czy dwóch.

W ciągu trzech tygodni spędziłem ponad sto godzin z Kelvinem, w końcu powinienem przysłać też swój rachunek, ale na razie miałem inne sprawy na głowie.

Kiedy się zjawiłem, chłopiec popatrzył na mnie.

Miesiąc później. Wciąż ani słowa.

Próbowałem rysowania, gier, siedzenia w milczeniu.

Kiedy moja inicjatywa prawie już się wyczerpała, zadzwoniłem do sędziego i złożyłem prośbę.

– Hm... – mruknął. – Dość niezwykły pomysł, doktorze. Myśli pan, że to podziała?

– Sądziłem, że do tej pory chłopiec się otworzy, trudno przewidzieć.

– Rozumiem. Sam u niego byłem. Uroczy, ale jak posązek. Jasne, podpiszę zgodę.

Następnego dnia do sali Kelvina dostarczono szpinet i ławeczkę. W

szufladzie ławeczki były nuty, które zabrałem ze steinwaya stojącego w pokoju chłopca w domu na Calle Maritimo, z widokiem na ocean.

Wyjąłem kilka, rozłożyłem na szpitalnym łóżku.

Zamknął oczy.

Zaczekałem chwilę, wyszedłem. Wypisywałem właśnie kartę przy stanowisku pielęgniarek, kiedy rozległa się muzyka. Dźwięki, najpierw niepewne, potem głośniejsze, dobiegały zza drzwi, budząc dyżurującego detektywa.

Wszyscy słuchali.

– Co to? – spytała pielęgniarka. – Mozart?

– Szopen – powiedziałem. – Jedna z etiud. Chyba. W kółko, raz za razem.

Pojechałem do domu i wygrzebałem pudełko z płytami. Dziesięć minut później miałem: Opus 25, numer 2, f-moll. Technicznie trudna, czasami żwawa, czasami smutna. Później pielęgniarki powiedziały mi, że grał cały dzień, do późna w nocy.